

Biblioteka
UMK
Toruń

389195

105

993

No. 218.

6792

357

~~301~~

17

6844



EX·LIBRIS
JANINY
HURYNOWICZ

ZWIADY
ŚWIATA I LUDZI.

ODDZIAŁ I.
od r. 1800 do r. 1816.

DOM
MOJĘJ BABKI

przez

Walerego Wielogłowskiego.

Cena Egzemplarza dla osób z rodziny Złp. 50.
" " dla publiczności Złp. 12.

KRAKÓW

W Księgarni i Wydawnictwie Dziel katolickich
Naukowych i Rolniczych.

1856.

ODDZIAŁ I.

OD R. 1898 DO R. 1918

389195



CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU.”

D. 200/68

DOM MOJEJ BABKI.

Wastrój do powieści.

„Wilija naszych strumieni rodzica“
Mickiewicz.

Wisła nasza płynąca wśród rzek i strumieni, które z szumem i śmiechem bieżą z Tatrów łona, to jak poważna matka co swawolne dzieci, kocha, pieści, przytula do siebie, ale nieraz zapłacze nad mnogiemi psoty i łez wezbranych rozlewa powodzie.—*Nida*, starsza jej córka, co z Wiślickim grodem, od dawna ślubem wspólnych pamiątek związana, jedna tylko zśród wielu podobna do matki: cicha jak ona, spokojna a zyczna, jakoby żywot dobrego człowieka, który nie czwałem ale krok za krokiem idzie wśród świata a wszędzie rozsiewa ziarno pożytku i spraw budujących.

Lecz *Raba* rozkosznica lub ów trzpiot *Dunajec*, to światem gonią dla pustej zabawy: dużo napsocą i nastraszą wiele, rzekomo całując, szarpiają własne brzegi i jakby żrebee puszczone na łakę, pojeżą grzywę, drą ziemię kopytem, i groble przesadzając w rozhukanym pędzie, bujają po szerokiej wybrzeżów płaszczynie, aż w końcu zmordowane życiem rozprószonem, zciekają z wolna w dawne swe łożysko, i stawając przed matką w układowej postawie, wspólne potem w rodzinie dźwigają ciężary.

Ja znam ich żywot, bo na mój chrzest *Raba* dostarczyła wody!... A chociaż ją ksiądz proboszcz exorcyzmem świętym w Imię Chrystusa w zdroj łąski zamienił, to jednak przyroda rwiącego potoku w niej pozostała. I z tąto wiem dla czego krew ma żywiej płynię, ... wiem, dla czego te psoty w latach mój młodości; ... jam przy *Rabie* zrodzony, *Raby* wychowaniec, ścigałem wzrokiem, duchem, zmienne rzeki nurty; goniłem fale, albo na ich grzbiecie łódką rybacką z pędem na wyścigi, zapuszczałem się w bory Niepołomskiej puszczy, i jak młody krogulec na ptaki łąkomy, śledziłem gniazda po wiekowych dębach, a kiedyś je zrujnował i wybrał pisklęta, byłem szczęśliwym, śmiałem się serdecznie; ... *Raba* zaś grzegotając z okrąglonym zwirem, pluskami fali sypała oklaski.

I niechaj mi nie mówią zamarżłe abstrakty, iż pomiędzy człowiekiem a ziemską przyrodą niema sto-

•sunku; że człowiek tylko nogą dotyka się pyłu, ale •zarówno każdym oddęcha powietrzem. • Bo nawet kości ludzkie tęsknią za ziemią z której Bóg je stworzył; ... serce drży z rozkoszy na widok okolic rodzinnych, a duch przez dwie źrenice jakby przez okienka wygląda w kraj wspomnień, niewszystkich może godnych uwagi, ale swojskich i całość istoty ludzkiej tworzących.

Dla tego jam się jeszcze nigdy do *Raby* nie zbliżał, abym jej niepowitał przyjaznym uczuciem. Płynę myślą z jej wodami, a pod wodę ku przeszłości z całej siły prę pamięcią.

Gdy *Raba* ledwo zrodzona, pod *Rabki**) sączy się skała a strumyczkiem przejrzystym, bałkuje się po ziemi, to mi moje niemowlęctwo stawia zaraz po przed oczy, ... i pomnę na dom mój babki, pod której tklwą opieką pierwsze ustawiałem kroki. Oh, wtenczas *Raby* kryształowe wody, w każdej wód swoich kropelce, niebo całe z słońcem całym i księżycem i gwiazdami jak w zwierciadle odbijały. I dusza moja w ówczas kaźnią niedotknięta, poufała z niebem całym, z świętymi i aniołami, w świetle Bożym, enót niebieskich bawiła się klejnotami.

— Lecz o mil kilka, jakby o lat kilka, zobaczymy *Rabę* w *Dobczycach*!... Hałasnicą, z szumem, wrzawą, pędzi szybko w dalszą stronę; rośnie w butę z każ-

*) Wieś *Rabka* w *Sandeckiem*.

żdym krokiem, piętrzy falą, kipi pianą... toczy złamy drzew i krzewiów a potraça skał urwiska; i choć legnie w wodospadach, to znów siłą swój młodości w dalszy pochód rozpędzona, pruje ziemię, niszczy pola, i niesłuszny dział wymierza, jednym biorąc, drugim dając,... za grunt orny,.. odsypiska. •Zkąd ta zmiana?• ktoś zapytał... Łatwo ją bardzo tłómaczyć: Oto ze światła strumieni, z kału bagien, rowów cieczy, brudne w nią spływały wody i zmaciły zdrój jój czysty, a skręcając jój koryto w tysiąc zwojów i zawrotów, odwróciły prąd jój żywy z kolei prostój przeznaczeń.

Gdy o tém myślę, to w Raby zwierciadle całą moją przeszłość widzę; lecz obrazek mój młodości zbyt jaskrawy, nieponętny, więc go mińmy!... Idźmy dalej brzegiem Raby ku *Proszówkom* gdzie zasiądę do powieści: a co pamięć mi przywiedzie z ojców moich obyczaju, to podam czytelnikowi.

Lecz rodacy mi wybaczą krój niezwykły zwierchniej szaty, którą w kształcie pamiętnika z rodzinnych wspomnień wykrawam. Wszak nie za próżności radą w tém poszedłem: ale sędzę, że z większą będzie korzyścią spisywać znajome dzieje, chwycić żywe podobieństwa, wydać prawdę w jój czystości, jak wymarzać senne dziwy, i snuć z pakuł wyobraźni, zaplątaną nić wypadków. — Dla tego też w tym utworze, mało bohaterkich czynów i wielkich mężów postaci, intryg zawitych i wzruszeń gwałtownych. Jest to obrazek zdjęty z domowego życia, zarys szlacheckiego siola, prosty

jak dusza naddziadów, spokojny jak ich sumienie. Pragnę w nim uszanować ojców mych mogiły i nad kolebką bieżących pokoleń roztoczyć tęczę nadziei. Jeśli zaś cicha przodków moich cnota, w sercach pocziwanych obudzi współczucie, to Bogu podziękuję iż dopiąłem celu, jakiś sobie w tej pracy głównie zamierzylem.

I.

Postać mojej Babki.

Babka moja z Badenich, siostra dwóch znakomitych tego imienia braci: *Marcina Szambelana* królewskiego a później *Senatora Wojewody, Ministra Sprawiedliwości, i Stanisława Regenta* koronnego: wcześniej posłbioną była *Józefowi Wielogłowskiemu, Staroście Olszańskiemu, posłowi na sejm czteroletni, w którym się światłemi rady i złotą wymową odznaczał. Szczęśliwemu przez długie lata pożyciu babki mojej z mężem, Bóg błogosławił, a wzajemna ich miłość na gruntownej oparta uczciwości, ścieśniała węzeł małżeński i stapiała dwie dusze w jeden promień życia Bogu i usługom bliźnich poświęconego. Pan Starosta był człowiekiem silnej i stanowczej woli, nader sumiennym, szlachetnym ale nieco żywym i porywczym, kiedy babka moja nieporównaną obdarzona słodczą charakteru, przeciwważyla mężkie ale zbyt szorstkie jego usposobienia. Umiała ona męża swego cenić, szanować i słuchać, ale też*

zdołała upór jego naginać i gwałtowne wybuchy łagodzić. Dość na tém, iż zadaniem jej było przez cały ciąg wspólnego pożycia, równać mężowi drogę zbawienia. Ale bo też i łatwo uznać się mężowi z niewiastą aniołem, która jak niebios posłannik, stoi na straży mężowskiego serca, i uniesień chwilowych odsuwa napaście. Żona dobra, to jak chłód w czasie skwaru i jak deszcz wśród pieki, jak pogoda wśród słoty, jak zdrowie wśród choroby i jak życia nadzieja w ciężkiej chwili skonu. Żona dobra, to opatrzna poręcz na drodze zbawienia, to światło dobroczynne wśród mroków rozpaczy, to przewodnik łask Bożych na domową strzechę i miłosierdzia tkliwy orędownik. Taką zaś żoną była *Józefa z Badenich Wielogłowska, której obraz dla tego tu na wstępie kręślę, aby czytelnika zaznajomić z tą wdzięczną postacią, która się będzie w ciągu mego opowiadania często pojawiać, to jako duch pocieszyciel, to znowu jak ręka Opatrzności, to jako wzór gościnnych w Polsce obyczajów,.... to znów jako matka rodziny, pani domu i dobra sąsiada, a co najważniejsze jako chrześcianka, której życie było ciągłą modlitwą, modlitwa, źródłem cnót i onych mistrzynią; świątobliwe zaś u niej pobudki w takiej zgodzie z czynem, iż jej wola boskiemu prawu podporządkowana, służyła tylko za siłę, przez którą człowiek stowarzysza się z Bogiem w celach doskonałych, zamiast aby na rękę własną brał świata wątpliwe sprawy. —*

Była to słowem *niewiasta* w najpiękniejszym znaczeniu tego wyrazu, to jest, pobożna, cicha, w obejściu się słodka, pokorna w duchu, niezachwiana w enotach. Państwo Starostwo przez wiele lat mieszkali w Olszanych, ale dziad mój kupiwszy Zborów, niegdys majątek słynnych wnaszych dziejach Zborowskich a później Joachima hr. Tarnowskiego, tam się z żoną sprowadził, i tam aż do roku 1800 (w którym życie zakończył), przemieszkiwał.

Moja babka po bolesnej stracie męża, pragnęła się uwolnić od trudów zarządzania większym majątkiem, dla tego uprosiła starszego swego brata p. Marcina Badeniego, aby między nią a czworgiem potomstwa dział majątkowy uczynił. Jakoż w krótkim czasie sprawa dała się załatwić, bo powaga naczelnika rodziny wywierała tak przeważny wpływ na serca i sumienia, iż każdy z wdzięcznością część działem mu wskazaną przyjął, a tylko troskliwym był o przyzwoite matki uposażenie.—Wszystkie też dzieci zgodnie się ozwały, iż Proszówki małą byłyby częścią z działu na matkę przypadającą, a więc proszą, aby się mogli osobno do jęj utrzymania przykładać. W tenczas p. Marcin Badeni zabrawszy głos, rzekł do zgromadzonej rodziny:

— Prawda, iż matka wasza najmniejszą sobie część z podziału obrała, ale zezwoliłem na to, bo wiem, iż więcej dóbr ziemskich *Marcie* jak *Maryi* potrzeba, i że wreszcie, czego wy usilną z ziemi niewydobędzie-

cie pracą, to waszj matce Bóg łaską przysporzy, tak, że ani jęj ani wam przy jęj stole niezabraknie chleba. Niechęć jednak kładź tamy synowskim uczuciom, i skoroby serca wasze na tém cierpiały, że się matka w majątku uszczupła, przeto dołożcie do jęj rocznych dochodów częśćkę z intrat waszych.

Babka moja wzbraniała się przyjąć tęg ofiary, ale gdy pan Marcin zwrócił jęj uwagę, iż sobie dzieci błogosławieństwo niebios kupują za tak słuszną troskliwość o wygodę matki, przyjęła, pocieszając się wewnętrzną myślą, iż co weźmie jedną ręką, to drugą powróci w podarkach dla dzieci i wnuków. Działu tego osnowę spisano w obec księdza Jaszczurowskiego ex-jezuita, proboszcza Soleckiego, i doktora Żarczyńskiego przyjaciela i lekarza domu, a za każdym podpisem, synowie, córki i zięciowie upadając do nóg swj matki, dziękowali jęj za udział rodzicielskiego majątku, a potem oświadczyli swą wdzięczność panu Badeniemu, za łaskawe w tęg sprawie pośrednictwo.

Ksiądz Jaszczurowski przybrawszy ton zwykłej mu powagi, wieszował budującej w rodzinie zgody, mówiąc: iż jedność w rodzinach jest nietylko pomyślności doczesnej fundamentem, ale zadatkiem łask Bożych, a rękojmią ogólnego w narodzie szczęścia. Zwróciwszy się zaś do pana Marcina Badeniego, rzekł:

— Tobie się to głównie wdzięczność należy JW. Szambelanie, iż dziełami troskliwej o całą bliższą i dal-

szą rodzinę opieki, potrafiłeś sobie zjednać, tę nieograniczoną ufność a razem uszanowanie i uległość, która cię stawia głową kilku znacznych rodów z sobą skoli-gaonych.

W skutek skutecznego działu majątkowego, klucz Zborowski dostał się memu ojcemu Ignacemu Wielogłowskiemu, który będąc synowcem i wychowawcem Starosty Olszańskiego, ożenił się z moją matką starszą córką swoich stryjostwa i był zarazem ich bliskim krewnym i zięciem. Kilka innych dóbr w krakowskiem po obu stronach Wisły położonych, rozdzielone zostały między resztę dzieci. Ksiądz Jaszczurowski, który bardzo mego ojca cenił i kochał, cieszył się, iż w nim znajdzie kolatora wedle serca swojego, i powitał go też przyjaźnie w tych słowach:

— Szanowny panie Ignacy, a od téj chwili dóbr Zborowskich dziedzicu i mój znaczny kolatorze, przyjmij od twego pasterza najszczerze życzenia błogosławieństw Bożych i dobrego powodzenia w przypadłej tobie z działu posiadłości. Ty będąc podwójnym węzłem z panią Starościną związanym a wdzięcznym wspomnieniem doznanych łask pobudzonym, pierwszy w synowskiéj troskliwości upomniałeś się o wygody matki; Pierwszy też krok twój w progi nowego mieszkania naznaczyłeś śladami szacunku dla nieprzedawnionych zasad należnej czci dla rodziców. Kamieńto węgielny cnot wielu. A więc budujże na nim gmach przykła-

dnego życia, i snuj wątek pomyślności, o którą i ja prosić dla was będę, odpowiadając na tę intencją jutro w kościele Soleckim nabożeństwo, na które wszystkich obecnych zapraszam.

Mój ojciec, który lat kilka przepędził na Żmudzi, a po Żmudzku dobrze mówił, podziękował księdzu Jaszczurowskiemu w tym języku w wyrazach pełnych czułości. Ksiądz Jaszczurowski, który był Żmudzinem z urodzenia i kraj ten bardzo kochał, odpowiedziawszy słów kilka, dodał po polsku: iż Bogu dziękuje, że mu dał kolatora który nietylko głos pański z ust pasterza, ale i mowę jego rodzinną rozumie. A potem rozwodząc się szeroko o zaletach swojego kraju i Białej Rusi, zakończył:

— Oh, bo też-to słusznie prowincję naszą *Świętą Żmudzią* nazywają. Cóż to za kraj błogosławiony, jaka czystość obyczajów, jaka pobożność! nieprawdaz panie kolatorze? Tamto i ty panie Ignacy porośles w złote piérze,... i nie dziw, bo jest przysłowie u nas, iż gdy ptak przez dobra Szawelskie przeleci, to mu skrzydełka złote wyrastają.

Pan Szambelan potwierdził to zdanie, a zawróciwszy się do mego ojca rzekł:

— Mój Ignacy, pilnujże się dobrze, aby twoje złote skrzydełka w ołowiane się nie zamieniły na téj Zborowskiéj ziemi; bo szwagier mój byłby dwa razy większy zostawił majątek gdyby był Zborowa nie kupił. Zawsze mu to

kupno odradzałem, bo do niego jest jakieś nieszczęście przywiązane od czasu, jak go bracia Zborowscy posiadali, a strzelali do siebie z dwóch pałaców na przeciw jeden drugiego stojących. Jest też podanie ludowe, iż jakiś tu duch zaklęty rujnuje pomyślność i dobre mienie posiadacza. Tarnowscy znaczną część swego majątku w niekorzystnej warzonce soli utopili, i lasy Małoszowy z dymem tu poszły a soli nieuważono. Obszary gruntów Zborowskich kilkanaście tysięcy mórg wynoszące, nieodwdzięczają pracy rolnika. Słowem, jest to jeden z najpiękniejszych może majątków, ale najmniej intratnych, i tylko przy niezmordowanej twojej pracowitości może wydawać korzyści. Dla tego też ciężar jego posiadania na ciebie kochany Ignacy włożyłem, bo wiem, że mu jeden podobał. Ale czy twoje dzieci go utrzymają?... tego nie wiem i nieśmiałybym wróżyć.

— Będziemy, rzecze ksiądz Jaszczurowski, zaklęte duchy egzorcyzmować, a pan Ignacy da sobie radę, bo Bóg uczciwiej dopomaga pracy. To jednak pewne, iż rzadko ten majątek w trzecim utrzymał się pokoleniu.

— Mój ojciec zamyslił się — westchnął i rzekł:— I ja nie prawie z majątku rodzicielskiego nie oddziedziczyłem. Jeżeli więc znowu dzieci moje zostawiony im majątek stracą, to go Bóg przysporzy wnukom! Fortuna kołem się toczy, a w ten czas tylko niemłym jest w domu gościem, gdy przychodzi obryzgana błotem cudzej krzywdy.

II.

Wieść o działach.

Wieść, jest jak owad skrzydlaty, który lecąc z miejsca w miejsce brzęczy nowiną, a za ledwie w kielichu kwiatów zatopi żądło, za ledwie na nóżki świeżego nabierze pyłu, już spieszy dalej, aby na każdym spość przedmiocie, i każdy ucześć rozmową, a zabrać nowe zapasy i znowu odlecieć. Tak też obiegła w okolicy świeża wiadomość o skutecznionych w Zborowie majątkowych działach. Sąsiadki kazały wypręgać od bron fornalskie konie, aby do przyjaciołek zawieść nowinę, że pani Starościna jedzie do Proszówek a pan Ignacy zostaje w Zborowie; że pan kacper odbiera Nadzów, Zagrody i Piestrzec a w Galicyi Dąbrowę; pan Stefan Nieszków i Raclawice. Że pani Teofila będzie spłaconą i że już wszystko skończone, bo nawet w Soleckim kościele „Te Deum“ śpiewano. Jedni mówili, że podział bardzo sprawiedliwy, a drudzy wprost przeciwnie objawiali zdanie; lecz się na to zgodzono, że

ten dział wypadł jak z procy, i że nikt o nim pierwój nie nie wiedział. Byli jednak i tacy, którzy utrzymywali że się im z zamiarów swoich jeszcze za życia p. starosta zwierzył,—ale o tem wątpiono, gdyż było wiadome, iż pan Szambelan swoją w rodzinie przewagą całą rzecz rozstrzygał. Bądź co bądź, szlachta w powiecie Stopnickim miała o czém mówić, a dobre sąsiadki znalazły powód zjeżdżać się do Zborowa, oświadczając, iż tracą wszystko z wyjazdem méj babki. Wszystko?... to przesadzone, ale iż traciły *wiele*, to przyznaje, gdyż moja babka uprzedzała każdego szczerą uprzejmością, a spieszyła z chętną pomocą w zdarzonym wypadku choroby lub niepowodzenia.

Każdy pytał, kiedy ma przyjść fatalna epoka odjazdu?.. Na zimę, czy na wiosnę?.. (bo ważném jest i tę wiadomość mieć z pierwszego źródła).

Moja babka wdzięczna sąsiadom za okazywane współczucie, zaręczała je, że z równą przychylnością zastąpi ją w Zborowie córka i zięć tak dobry i dla sąsiadów życzliwy.

— To już co innego, rzecze pierwsza z sąsiadek.

— Młode pokolenie ma swój osobny tryb życia, dodała druga. My się tu już tak włożyły, iż jesteśmy jak w domu własnym, rzecze trzecia.

— Dla nas, rzecze czwarta, to z odjazdem pani Starościny wszystko się kończy. Państwo Ignacowie są najgodniejsi, przyznaje, ale już są troszkę z francuzka.—

Z panią Ignacową tak się nie zabawimy, ani też nasza rozmowa tyle ją niezajmuje. Słucha nas tylko przez grzeczność, ale widocznie się nudzi.

Jeżeli zaś było trudno wytłómaczyć szanownym sąsiadom konieczność działów i zmian za tym układem idących i jeżeli się każdemu zdawało, iż dla powodów przyjemnego i życzliwego sąsiedztwa, powinna była moja babka w Zborowie pozostać, to tém trudniej było ukoić żal starych służących, którzy się do téj bolesnej myśli przyzwyczaić niemogli, ale po całych dniach radzili, narzekali, wróżyli a czasem też pocieszali się wzajemnie, iż jaki nadspodziewany wypadek, zdoła jeszcze odwrócić moją babkę od wykonania zawartéj umowy.

— Do czego to podobne? mówił Rzepecki (dawny marszałek domu), aby starsza pani, młodziej się ze Zborowa usuwała!... To tak zostać niemoże, trzeba tylko aby się znalazł ktoś mądry coby umiał odradzić.

— Oh, mój panie Rzepecki, odpowie panna Tuchowska, (wierna i stara klucznica mojej babki) dość się ja już o tém naszej pani nagadałam, mówiłam jej do przekonania; ale wszystko na nic, bo pan Szambelan i ksiądz Jaszczurowski rzecz całą ułożyli a pani ich słucha.

— Ciekawy jestem, przerwał Rzepecki, co się z nami służącemi stanie? Czy się i nami podzielili?

— Jużto ja wiem, rzecze Tuchowska, że ja pojedę



z panią starością, bo jakżeby się ona bezemnie obezła?... Na mnie wszystko stoi! w cóżby się gospodarstwo obróciło?....

— Nietylko na pannie stoi rzecz, odpowie urażony Rzepecki, bo i ja też coś znaczę, a nawet więcej od panny, która masz tylko klucze od mąki a ja od wszystkiego. Ja muszę jechać! Jednak aby się przekonać o prawdzie, zwołam całą służbę i pójdziemy do pani, aby się dowiedzieć z jej ust własnych, na jakim każdy z nas stoi fundamencie. Poszedł więc Rzepecki, a złożywszy radę, udał się na czele służących do swojej pani aby się dowiedzieć jaki los jego i innych czeka?... Po długiej i tklivej przemowie, w której Rzepecki przywodził na pamięć trzydzieści kilka lat zasług tak kończył:

— Szkoda iż o tych działach nie pierwój nie wiedziałem, bobym był JWój pani odradził. Zborów, to są pańskie dobra, jest się gdzie pomieścić, i gościa przyjmą, ale Proszówki to do niezego!.... Dwór mały, kuchnia, na małego szlachcica to prawie, ale na Jasnę panią, to wcale rzecz nie stósowna.

— Mój Rzepecki, odpowie babka moja, to może wolisz zostać w Zborowie?... Dzieci moje chętnie cię przyjmą, a nader będę szczęśliwą iż im dobrego słuęę zostawię!.... Pomówię przeto z moim zięciem.

— Oh nie! jaśnie pani, przerwie Rzepecki, bo chociaż do młodszych państwa równie jestem przywiązany

gdyż ich wychowałem, to jednak aż do śmierci chce JWnej pani służyć, choćbyśmy też na kraj świata jechali.

— I ja to samo, rzekł kuchmistrz Wojciechowski. Już my starzy służy JWój pani nieodstąpimy.

— I my wszyscy to samo, rzekną chórem służy; wszyscy pojedziemy!

— To trudno, odpowie babka moja, aby każdy z was jechał, bo dwór zastósowany do większego majątku niepomieściłby się w Proszówkach. Wreszcie znacie szlachetność i dobroć mego zięcia, lepszego pewno nie znajdziecie pana. On równą jak i ja o was będzie miał troskliwość. Doktor i apteka będą na dal kosztem dworu utrzymane; chleb wysłużony mój zięć wam zapewnia; przeto warunki służby zostaną te same. Dla czegoż więc chcielibyście opuszczać dzieci moje w chwili właśnie, w której najwięcej wiernych usług waszych potrzebować będą?

— Pan młodszy, rzeknie Rzepecki, ma swoich Żmudzinów, którym zupełnie ufa i którzy rej wodzą. My z nimi nie zostaniemy, bo z tegoby wkrótce wypadła kozera, a trudno aby krakowski człowiek Żmudzinowi ustąpił. Byłoby to nawet z obrazą Bożą!... więc dla tego samego zostać nie możemy.

— Wszystko się to ułoży, rzecze moja babka, i później wyznacę tych którzy zemną pojedają, a teraz

bądźcie spokojni, cierpliwi, a szczególnie zachowajcie zgodę z sługami młodszych państwa.

Wszyscy ludzie kolejno i razem rzucając się do nóg babki mojej prosili, aby ich z sobą wzięła, aż wreszcie gdy się natarczywości i łzom oprzeć niemogła, wpada kulawa Tuchowska, a cięta w krasomostwie przerwała tę tkliwą scenę upomnieniem, iżby się babce mojej nienaprzykrzano, dodając:

— Zbiegliście się tu jak filistyny, aby martwić jaśnie panią. Na wszystko będzie czas, a jak rzecz ułożymy, to się wam powie. Teraz zaś niech każde idzie do swojej roboty i czeka cierpliwie.

Rozczulenie sług mojej babki wstrzymane wtrętne wmięszaniem się panny Tuchowskiej, przeniosło się do przedpokoju, a tam znowu rzeszystych łez ulewą objawiać się poczęło, kiedy Łukaszewicz rodem z Litwy, a z ojcem moim ze Żmudzi przybyły i nadzwyczajnie do pana swego przywiązany, zgorszył się tym niewczesnym żalem i stanąwszy w pośrodku czeladki, pasa poprawił i podgoloną głośnawszy czuprynę, tak się odezwał.

— Cóż wy tu za żydowski sądny dzień odprawiacie, rozwodząc próżne żale, i utyskując jakby was bis dusił?! Czy to mój pan ma być gorszy od pani starościny?... A wiecie wy coto mój pan! Mój pan to na Żmudzi pływał w honorze i bogactwach jak pączek w maśle. Nic memu panu nie brakowało prócz

żonki, bo takie były zapasy i w spichrzu i w spiżarni, o których tu ludkowie małej Polski ani kiedy słyszeli. Toż u was zajac to *raritas*, i dają to zwierze na stół pański, a u nas w kluczu koronnym Szawelskim, to Szaraki *) czeladź jadała z botwiną. Cóż wam się więc dzieje? i czemu łzy rozlewacie, wy, co powinniście poczytać sobie za szczęście, służyć u takiego pana, co jest słodki jak miód kowieński, a sprawiedliwy jak waga królewska. Ot, kiedy się wam tak żałośnie na sercu robi, to niechaj z was jedzie kto chce do Proszówek, a mój pan jak tylko do Żmudzi napisze, to tu cała Żmudź i Ruś biała pociągnie, bo ja wiem jakie tam o nim głosy! Nas tu kilku z naszym panem przyjechało, a my i ei co jeszcze zostali, daliby za niego życie, bo to Tatka a nie pan.

Rzepecki, (marszałek domu) do żywego dotknięty, uszykowawszy się w groźniej postawie podniósł rękawicę, a tak do Łukaszewicza prawi:

— Co nam tu waszeć masz swego pana stawiać obok naszej pani. My dawniej waszego pana znamy jak wy, i ani go tu ganimy ani ujmujemy honoru, ale napróżno go też równać z naszą panią. Ja lat czterdzieści służę, to wiem, że jak świat światem, takiż pani niebyło i niema. Rozumié teraz wasze?... Wy Żmudzini widzę bardzo mądry jesteście, a gadacie de-

*) Zajac szary, czyli popielaty, którego rodzaj znajduje się na Żmudzi.

likatnie i zdradliwie, ale my tu na mowę waszą nie-
zważamy, bo gdyby się przyszło spróbować, tobyśmy
was w mysią dziurę zapędzili.

— Oh ja wiem, rzecze Łukaszewicz, iż ślepy Mazur
to tylko w pięść wierzy, i z małej rzeczy zaraz robi
burdę, ale my was też obchodzimy jak zygawkę *),
bo za sprawiedliwość miło dostać guza, ale zuciechy
to się każdy strzeże.

— Co to mówisz, odpowie rozplómienny Rze-
pecki, o ślepym Mazurze? kto to ślepy? kto ślepy?
gadaj zaraz, albo ja cię osłepię, ty dardański Litwinie!!

— Dajcież pokój panie marszałku, rzecze Michał
drugi Żmudzin (koniusz mego ojca), toż się przecież
pożartować godzi bez niczyjéj obrazy. Wszak wie każ-
dy, że Mazur na oczy i Żmudzin nie ślepy, a ten
tylko ślepy co ma oślep na bliźniego swego bije. Pró-
żne rzeczy gadacie i o próżne wam chodzi? Bo ja-
śnie Wna Staroscina jest naszą panią, i nasz pan jest
toż samo naszym panem, a nad JWną panią starszą i nad
naszym państwem i nad nami jest najstarszym i naj-
wyższym Pan Bóg, którego próżną zwadą obrażać nie
należy. Usiądźcie panie Rzepecki, a ochłódnijcie z gniewu,
bo niema o co—niema dalipan powodu!

— Tak to co innego, odpowie Rzepecki. Jak pan
koniusz mówi, to aż posłuchać warto; — człowiek

*) Rodzaj małej pokrzywy bardzo parzącej.

wierzyćby niechciał iż to Żmudzin; ale co pan Łuka-
szewicz, choć był za pisarza, to ani słowa do rzeczy
nie powie, tylko mu się myli język z litewska a dro-
bi te słówka jakby zacierkę.

— Niech i tak będzie na chwałę Bożą pomruknał Łuka-
szewicz, ale mój pan to kiedyś pożałuje iż z Litwy
wyjechał, z pośrodku takich dobrych ludzi, co mieli
serce lepkie jak patoka, i że dostał się tu między tych
zuchwalców.

— Niedogaduj waszeć—niedogaduj, mówię, bo pręd-
ko tu co od tych zuchwalców oberwiesz...

Gdy się sprawa zaognić zaczęła wpada panna Tu-
chowska a tupnąwszy laską jakby trzecią nogą stanęła
bohatersko pomiędzy stronami, falbanę z czepca do
góry podniosła, i groźnie się zapytała o powody hała-
su i sporu.

— Jaka śmiałość, rzecze ona, w państwa przedpo-
koju wszczynać tutaj swary!... A to pięknie, to coś
nowego, tego tu u nas nigdy nie bywało. Za życia
śp. starosty, (którego duszy niechaj Bóg świeci) to mu-
siało być cicho jak w uchu. Gdy pan starosta pisał
mowę na sejm, to nawet komary kazał powyganiać
aby mu nie brzęczały, a teraz tu rokosz w pałacu
i jakby najazd Tatarów (od czego uchroni nas Boże).
Już to od czasu jak nam się ze Żmudzi sług nazjeź-
dzało, to ani poznać domu JWéj jejmości naszej. Jej-
mość dobra, marnego słowa nikomu nie powie, nie

skarcei, a służba się na bicz dziadowski rozpuszcza. Już i hajdukowi odrastają zęby i chłopiec od kredensu odmruknie, a co ci panowie Litwini to u nas burmistrzują jakby w swojej białowiejskiej puszczy.

— Cóż to panna (odrzeknie Łukaszewicz) domawiasz nam tutaj: my tu nie służemy u panny tylko u naszego pana, dziedzica dóbr Zborowskich i tego pałacu. Jak tam było dawniej, tak było, a dzisiaj Żmudź górą!!

— Daj pokój Janie, rzecze koniuszy! to kobieta, niewarto jęj odpowiadać, niech się ona wygada, bo jęj to na zdrowie. Toż ona o to zła, że nie poszła za męża, bo jęj nikt niechciał. Zawsze tak było i będzie na świecie.

— O jaka to żmija ten pan Michał, rzecze Tuchowska: niby to temperuje, a zjadliwie kąsa. Wolę sto razy pana Łukaszewicza, bo przynajmniej otwarty i kiedy ma co na sercu to się wyklóci,— ale ten p. Michał, to tylko mruczy pod nosem jak niedźwiedz, który na dwóch łapach tańcuje, a pazury chowa. Kto to panu Michałowi powiedział, że mnie nikt niechciał? Proszę powiedzieć kto to powiedział? Ten kto mówił to kłamca. Bo najprzód chciał mnie organista ze Stognicy, ale niechciałam, bo jestem szlachcianką z rodu, a on był z niższej kondyeyi. Chciał mnie ekonom ZKikowa, ale niechciałam, bo wdowiec. Chciał mnie pisarz z Oblekonia na Wisłą, ale niechciałam, bo szpe-

tny. Chciał mnie też i woźny sądowy, ale pani niepozwoliła bo ktoś oskarżył, że pijak! Któż? jużci wiem kto, bo to ksiądz Jaszczurowski nagadał mojęj pani, że będę nieszczęśliwą, a ja byłabym szczęśliwą, za tak przystojnym człowiekiem! A więc kto mówił o mnie, to skłamał, a kto powtarza takie plotki również jest kłamcą.

— Dobrze moja panno rzecze Michał, chcieli cię, kochali, i jeszcze za męża pójdziesz, tylko tyle nie gadaj.

— Otóż będę gadała,— i do śmierci będę gadała, i póki tchu, będę gadać a powiem że pan Michał kłamca,— i powiem że cała złość na mnie o to, że mu nie daję chołodeu z botwiną. A ja i tak nie dam, choć wiem jak się robi ze śmietaną i z rakami i z sałatą i z jajem... to na złość nie dam.

— Odczepże się odemnie pokuso, rzeknie koniuszy, już mi uszy spuchły! czy lichu nas do tęg białogłowy zbliżyło.

— Oto znowu: *białogłowa*, odezwie się panna Tuchowska, impertynent, będzie mnie nazywał białogłową! Powiem ja to mojęj pani, i waszym państwu, jak wyto zasłużonych w domu ludzi traktujecie. Sama JWna jejmość mówi mi panno Tuchowska, albo Tuchosiu, a ten masztalerz, czyli koniuszy, nazywa mnie *białogłową*. Poczekajcie Litwini my was tu podkurzymy jak pszczoły w pniaku to tu ztąd prędko wyparadujecie!!

III.

Skarga i Zgoda.

Moja babka siedziała w pokoju bawialnym robiąc na drutach kołderkę dla przyszłego wnuka i marząc o bliskiej pociesze kołysania dziecięcia ulubionej córki, kiedy zadyszana wpada Tuchowska, i jak wicher co z nagłą powstawszy, spokojnym liściem na drzewie szeleści, ona spokojny bieg myśli mojej babki od razu zamięciła wykrzyknikiem: „Ach jejmość łaskawa!

— Cóż takiego Tuchosiu, coż się to stało? Czy zaś Marysia nie słaba, albo czy pan Ignacy nie spadł z téj wierzchowój klaczy chimernój Litwinki?...

— Nie jaśnie pani, ale prawie gorzej, bo z Litwinami już nawet najcierpliwszy nie nie poradzi. Ten Łukaszewicz, a potem Michał koniuszy, i pasiecznik, stadnik i wszyscy Żmudzini, formalnie się zbutowali i sceny dokazują. Już sobie tak tu rządzą jak u siebie, i wyraźnie mi rzekli, że oni są górą, że ich pan jest dziedzicem. Nazwali mnie pokusą, białogłową, i najczarniejsze ciskają potwarze: że nikt mnie niecheiał,

że umrę w paniństwie, i takich różnych pozwalają sobie kłamstw i przycinków. Lecz gdyby się na tém kończyło, tobym dla miłości Bożej wszystko zniosła, ale co mnie do żywego boli, to że na samą jaśnie panią wygadują, np. że wolą swego pana, i że u pana Ignacego w Szawlach czeladź jadała zające. Że ich pan dobry jakby miód kowieński, i ani nawet spamiętać co ci ludzie wymyślają. Otóż Rzepecki broniąc honoru JWój jejmości, tak się uniósł, że ledwo za włosy się z Łukaszewiczem nie wzięli, i gdybym była moja powagą niepołożyła temu końca, przekładając z flegmą i reflektując, toby może krwią byli zboczyli podłogę domu państwa. Oh, ja powiem na mój babski rozum, że pospieszyłaś się JWa pani nadto z temi działami, bo teraz straciliśmy całą w domu powagę. Panna Szadurska chociaż jest panną stołową, to choć jęć się gorzej śmietanki dostanie garnuszek, upomnieć się już nie śmie. Rzepecki chodzi jakby mu kto poobcinał ręce; pokojówek ani się dowołać mogą, bo mówią iż dla młodziej pani mają prasowanie, i gdybym ja jedna niemiała odwagi rządzić po dawnemu, tobyśmy tu prawie gośćmi byli w domu. Trzeba raz temu koniec położyć i to stanowczo, a tych Żmudzinów zuchwastwo ukrócić, bo ani sposób żyć z takimi ludźmi. My tu od czasu tych nieszczęsnych działów, jesteśmy jakby na lasce, a to nigdy nie jest dobrze, gdy rodzice zależą od dzieci, a nie dzieci są na łas-

sce rodziców. Ja tu nawet sama co dzień tracę na władzy, i co komu rozkażę, to mnie nikt nie słucha. Dla tego radziłabym jaśnie pani, albo wycofać się z działów i jak dawniej zostać przy Zborowie, albo jeśli już taka ma być wola Boża, abyśmy się usuwali i młodszemu państwu miejsca ustąpili, to potrzeba nam już wcześniej jechać do Proszówek, a tu zostawić młodszych państwa ze Żmudzinami.

— Wstydz się panna Tuchowska, rzecze moja babka, wszczynać takie szwary, tworzyć niepokoje, i pod pozorem życzliwości, skargi rozwodzić. To jest widoczna pokusa szatana, i on to sieje ziarno niezgody między domownikami. Zamiast się cieszyć i zemną wspólnie Bogu dziękować, że dzieciom moim dał takich sług wiernych, ty miotana zazdrością ciągle im dokuczasz i w istocie przebierasz miarę ich cierpliwości. Tém bardziej w tobie zadziwia mnie to grzeszne usposobienie, iż pod innemi względami jesteś sług wzorem, a od lat trzydziestu dajesz mi dowody i przywiązania i rzadkich poświęceń. Pamiętam ja, z jaką troskliwością mnie i mego męża opatrywałaś w chorobie i w ciężkich niemocach! Oh, wtenczas za kilka sług mi starczyłaś, a pędząc dnie i nocy przy mojem łóżku, dźwigałaś z rozkoszą trudny ciężar obowiązków. Z wdzięcznością podziwiałam i twoją wytrwałość i nieporównaną życzliwość. Albo przy kolebce mych dzieci, ileż to bezsennych strawiłaś nocy? z ja-

każ kliwością dzieliłaś moje niepokoje! I téj dzisiaj Tuchosiu, którą pomiędzy najlepsze i najwierniejsze sługi liczę, ty z którą tyle lat przeżyłam, chcesz wprowadzać przez swary z ludźmi zawichrzenie między mnie a dzieci?...

Odpędź od siebie tę niecną pokusę, i pogódź się ze Żmudzinami a razem staraj się Rzepeckiego nakłonić do zgody, bo tych tylko wezmę z sobą do Proszówek, którzy do mego zacisza pokój a nie kłótnię wniosą.

Panna Tuchowska topniała w duchu jak wosk przy ogniu. Widocznie słabł w niej jankur kłótniwy, a zalana łzami, zbliżała się za każdym usłyszaném słowem do mej habki, aż upadłszy jęj do nóg zaręczyła, iż natychmiast zawsze przykłądną zgodę, i drugich do niej skłoni. Jakoż, posła natychmiast spełniać wielką restytucyą honoru Żmudzi i Litwy.

W godzinach południowych schodziła się zwykle czeładź do kuchni i tam przy wesołej pogwarce oczekiwała chwili popasu. W tenczas kuchmistrz i kuchciki najwięcej byli zajęci wydawaniem pańskiego obiadu. Jeden z nich zasiękiwał zrazy, drugi na talerzu ubijał piankę, trzeci na różnie dopiekał kapłona i masłem podsyczał słabo tlejący ogień, a w kącie siedziało pachole które skubało kwiczoły. W drugiej izbie, zwanej piekarnią, tłusta dziewczka folwarczna pęcak w stępie ubija, a miarowém uderzeniem daje niemal takt téj

łumną pogwarce. I tak wszyscy zajęci, pracą albo rozmową, ani się spodziewali iż w krótkce będą powołanymi na świadków sojuszu, korony, Litwy i Żmudzi.

Tuchowska rozczulona przemową moją babki, a lekając się zostać w Zborowie i utracić wielkorządztwo w spiżarni i oborze, wpadła do kuchni i pyta czyli niema panów Żmudzinów do których pilny ma interes?

— Kuchmistrz przyzwyczajony do żywych popędów klucznicy, obojętnie odpowiedział, że ich niema, ale dodał iż gdy przyjdą to będą.

— Nie żartuj pan kuchmistrz, rzecze Tuchowska, bo tu niema żartów, trzeba raz rzecz zakończyć. Moja pani kazała, a pan kuchmistrz musi do tego należyć, oraz Rzepecki, i co tylko jest sług starszej pani.

— Ale do czego? zapyta kuchmistrz, czy pałac gore, lub się też pannie głowa pali, iż takie robisz gwałty?

— Otóż nic nie powiem, aż wszyscy przyjdą rzecze klucznica, a teraz niechaj stróż pałacowy idzie do stodoły, dziewczka do stajni, kuchcik do browaru, aby odszukać panów Żmudzinów.

W tem też Rzepecki zdążył do kuchni, a za nim niósł kredensarz wazę na półmisków stósie, aż wreszcie Żmudzini w krótkich kurtach spieszą, i czeladź zapóźniona w pracy przybyła; zdaje się więc że nikogo już w kuchni niebrakowało, kiedy panna Tuchowska

wystąpiwszy na środek, laską tupnęła i na kulawej poprawiwszy się nodze, tak się ozwała:

Panowie Żmudzini, już to od dawna z sobą zadarliśmy koty, ale co mówię? dzisiaj nawet pomiędzy służbą starszej jejmości, a pomiędzy przybyłą tu Żmudzią z JWym młodszym panem, zaszło nieporozumienie, tak iż zgrozą przejęta jestem gdy pomyślę na jakiej wazjemnej rebelii to wszystko mogło się skończyć! Powiem, że do tego nawet przyszło, iż ja w mojej osobie byłam obrażoną, a to wszystko przez prędkość panów Żmudzinów. Lecz przebaczam dla miłości Bożej i mojej pani, która pragnie abyśmy żyli wzgodzie, jak na każdego przystoi. Nietylko więc nie czekam, ale sama przychodzę przeprosić pana pisarza, pana koniuszego, pasiecznika i co jest tylko Żmudzinów, i godzę się z nimi na wieki w moim własnym imieniu, oraz całego dworu JWój pani starszej, z której rozkazu wzywam pana kuchmistrza oraz czeladź z drugiego i trzeciego stołu, aby do zgody przystąpiła za moim przykładem.

— Niechże i tak będzie, odezwał się Rzepecki. Ja dla starszej pani w ogieńbym skoczył a nietylko Żmudzi przebaczył, ale niechaj wie każdy, że to czynię z dobroci serca a nie z bojaźni, bo jabym ze stu Żmudzinów wziął na jedną rękę a Litwę przez rów przesadził kiedym zły! Lecz skoro ma być zgoda, to niech będzie, jak się należy, to jest nie na sucho, i trzeba ją podlać obyczajnie, aby niezwiędła.

— Kuchmistrz rzekł na to: Ja się ani gniewałem ani się też godzę, ale kiedy piją to piję, i skoro panna Tuchowska godzi, to niech postawi napitek.

— Wyjednam ja u JWój pani, rzecze Tuchowska, flaszkę jałowcówki, a teraz podajmy sobie ręce.

— Chętnie, rzekną Litwini.— Szczerze, rzekł Rzepecki.—Wiwat zgoda, zawoła kuchmistrz!— a panna Tuchowska tym widokiem rozczulona, rogiem sycowego szalu łązy sobie ocierała.

— Dobrzy-to ludkowie, te Mazury z pod Krakowa! rzekł Łukaszewicz. Za zbyt prędkie ale dobre i czułego serca. Toż mi mówił Stryjaszek mój na Litwie jak żegnał się zemną: Synowcze, życzę waszeci, abyś ostrożnie chodził około mazurów, bo w nich krew jak proch strzelniczy, i jedną iskierką zapala się—ale zuchy są oni i łebskie chłopaki.— No, toż prawda, co mówił Stryjaszek.

— To więc Stryjaszek musiał bywać w koronie, gdy nas tak opisał?... rzecze z miłym uśmiechem Rzepecki.

— Jakżeż nie bywał? odpowie Łukaszewicz, on w chorągwi służywał Rozenów, Tysenhauzów, a potem w obowiązkach zostawał u pana Wawrzeckiego i jeździł do Warszawy.

— Służywał i w chorągwi,? odrzeknie Rzepecki.— To znowu co innego; już dla niego mam szacunek a także i dla Waćpana panie pisarzu. I kiedy taka się święci, to dzisiaj wieczorem pociągniemy sobie garnczyk mio-

du u żyda Felixa, bo miód jest dobry, gdyż go przywozi z Pinczowa.

— A oczywiście, doda kuchmistrz,— któż się tam spodziewał, że macie w rodzie towarzysza?!... To co innego!... Więc i ja na krupnik *) proszę wieczór do poduszki.

— Ot, gdybyto na Litwie, toby my panom służyli nalewką**), ale tu jeszcze nie wiemy czémby odwdziżyć; lecz znajdzie się sposobność a wzajemnie zabawim się z panami.

Zgoda więc stanęła, pokój w dom powrócił—a na nim nie mało żyd Felix skorzystał.

*) Trunek z wódki gotowanej z miodem.

**) Nalewka, trunek.

IV.

Matka z Córka.

Zdawało się mojej babce, iż zarówno dzieci swoje kocha: jakoż tak pragnęła i postanowiła, a we wszelkich sprawach i okolicznościach życia równego przywiązania dawała im dowody. Lecz zwykle obok zasady moralnej, świętej samej w sobie, stoi siła spreczna natury ludzkiej, która tworzy walkę między wolą doskonałą a pociągami przyrodzonymi i zdradza się, to w spojzeniu, to w słowie tkliwszém, to w pewnym układzie, który chociaż się nie da określić, to się dostrzega i wyraźnie objawia, pomimo że nad tém uczuciem, doskonała zdaje się panować wola. Dwie osoby sympatyczny iż tak powiem pociąg ku sobie mające, zdradzają bliższe duchowe powinnowaństwo, promieniem ócz swoich, a to widzimy we wszelkich rodzajach miłości, czy ona zachodzi między rodzicami a dziećmi, siostrą a bratem, kochanką a kochankiem, czyli też objawia się w różnych stopniach i odcieniach ludzkiej przyjaźni.

Matka nieraz uczucia tego w sobie przyznać nie chce, a nawet się go sama przed sobą zapiera, ale się mu obronić niemoże, bo też w istocie niema bezwzględnej równości w uczuciach, tak jak i w przyrodzie nikt dwóch listków zupełnie sobie podobnych nie znajdzie. Z téj to różnicy miarkowanej harmoniją, płynie cały układ świata fizycznego i moralnego. Bo jeżeli rozmaitość wzbogaca i zdobi ziemię nieobliczonymi kształtami, to z drugiej strony tworzy w moralnym, świecie nieskończoną różność charakterów, w których cnoty i wady w różnych stopniach światła, cieniów i półcieńców kreślą zarysy każdej w szczególności duszy i stanowią jej właściwe piętno czyli osobistość. Takiego też to przywileju szczególnej miłości używała matka moja, starsza córka mojej babki (Maryanna z Wielogłowskich Wielogłowska).

Uposażona od przyrody wdziękami, które ją między najurodziwszemi polkami stawiały, pełna życia i bujnej wyobraźni: a obok tego tkliwa, szlachetna i obdarzona duchem wyższego poświęcenia, matka moja była pomiędzy czworgiem dzieci ową gwiazdką, ku której się częściej miłosne wejrzenie babki mojej zwracało. Dla czego zaś tak było? z tego ani babka moja ani matka zdać sobie sprawy niemogła. Dość na tém, iż te dwie istoty pomimo różnic charakteru, rozumiały się a może trafiły na punkt bliższej z sobą harmonii, lub się też wzajemnie dopełniały.

w sercu rozpaczy.—Kiedy moja matka w rozrzewnieniu nieutulona coraz więcej marzyła o bolesnej chwili rozłączenia, wszedł mój ojciec, a odgadłszy z łatwością powód łez i smutku, stanął w środku pokoju i zdawał się chwilowo namyślać, czyli ma się do téj sceny między matką a córką wnieść udziałem w żalu lub pociechę, lub też szanując ścisłość ich stosunków zachować się neutralnie i przemawiać dopiero w chwili więcej stanowczej, lub obrąć stosowniejszą ku temu porę. Lecz babka moja sama go zaczęła, mówiąc: „Mój drogi Ignasiu, nie gorsz się łzami twój żony, które zamiast uwłaczać jej ku tobie miłości są raczej skazówką uczuć, jakie się w jej sercu dla Ciebie rozwina, w miarę wspólnego waszego pożycia i wzajemnego nawyknienia. Szczep ten młody od konarów życia mojego odcięty, zanim się na nową swą posadzie przyjmie i samodzielnie wyrośnie musi jakiś czas odecierpieć: ale w miłosierdziu Boskiem mam nadzieję, iż się to wszystko jak najlepiej ku waszemu szczęściu ułoży.

Ojciec mój, obok przymiotów serca, posiadał umysł podniosły a co rzadsze wolny od wszelkiej zazdrości. Te zalety zjednywały mu powszechny w kraju szacunek i przyjaźń, bo któż nie wie iż zazdrość pochodząca z samolubstwa, najczęściej towarzyszką roztrąca jedność. Mój ojciec zaś, któremu i wrodzone zdolności i głęboka nauka a razem zyskane stanowisko wspo-

łeczeństwie, nadawały prawo do pewnego znaczenia, tak był skromnym i pełnym ducha wyrzeczenia się, iż przekładał spokojne i ciche na wsi życie od wszelkich dostojęństw do których byłby łatwo doszedł drogą użytecznej pracy i zasługi. Nie lękam się zaprzeczenia ze strony współczesnych a żyjących dotąd świadków, gdy powiem, iż niebyło nikogo w Polsce, któryby w życiu mego ojca dostrzegł nietylko złą ale choćby najmniej naganną stronę—a więc był to w całym znaczeniu tego wyrazu człowiek *uczciwy*, czyli zasługujący na cześć ludzką. Gdy więc moja babka wytlomaczyła mu powód żalu i rozrzewnienia, ojciec ucałowałszy jej rękę z tkliwością się do niej odezwał.

— Między przymiotami, które wysoko wżonnie mojej oceniam, pierwszym zapewne jest, iż jest dobrą córką. Ta cnota będąc dla mnie błogosławieństwem Boskiego rękojmnia, jest też wspólnego naszego szczęścia wróżbą i zaręczeniem. Niemożę podzielać egoistycznego mniemania niektórych mężów, którzy żonę za własność rzeczową, uważając zazdrośni są wszelkiego z rodziną a co więcej z rodzicami stosunku, i zrywają najświętsze a naturalne związki, które Bóg prawem swym potwierdził i długoletnością wynagrodzić przyrzekł. — Bóg sam, który ma wyłączne prawo posiadania całej i niepodzielnej naszej miłości, podzielił się nią z ludźmi nakazując nam kochać bliźnich naszych. Jeżeli więc Stwórca nie jest zazdrośnym naszej dla ludzi przyja-

żni, jakżebym ja miał zazdrościć miłości, jaką żona ma słusznie dla najlepszej z matek—przywiązanie to nie-tylko dzielam, ale jedyny może dla mnie powód do zazdrości byłby w tém właśnie: gdybym przypuszczał, iż córka więcej Mamę odemnie kocha. Lecz w tym uczuciu stawiam się z moją żoną zupełnie na równi, i zdaje mi się, iż jeśli ona swój przywilój gruntuje na prawach przyrodzonych, to i ja mój opieram na związku bliskiego pokrewieństwa, na głębokiem uszanowaniu, i na wdzięczności, którą zaciągnąłem względem Ciebie ukochana matko, jako Twój wychowaniec.

— Babka i matka moja otoczywszy mego ojca tkliwemi uściskami, radeby były odplacić mu te szlachetne uczucia dowodami najtkliwszej miłości, i jakoż przywiązanie obu spotęgowane do wdzięczności, wynagradzało memu ojcu to szlachetne ustąpienie od prawa mężowskiego samodziernstwa.

— W końcu dodał mój Ojciec: Spodziewam się iż nas droga Matko tak prędko opuścić nie zechcesz, a przez zimę w żadnym razie o wyjeździe niepomyślisz; gdyby zaś ta smutna nadejść miała chwila, to cie droga Matko samotną niezostawimy, ale się zapraszamy najpierwsi w gościnę do Proszówek.

V.

Odwiedziny pana Zielińskiego.

Okolo stajni z muru przeszło sto łokci dłużej, szła droga do pałacu i nią zwykle zajeżdżali goście, chociaż była i inna przez groblą, wśród ogrodów i stawów.

Tą pierwszą jednak obrał pan Zieliński sąsiad i przyjaciel, który zjechał w odwiedziny czwórką z konia prowadzoną przez zręcznego furmana, bywalca na jarmarkach w Łęczny i Dąbrowie. Furman chcąc wedle zwyczaju uczcić godnie dom przed który zajeżdżał, powtarzanemi razy trząsał z bicia i tym sposobem ostrzegał państwa razem służbę i kucharza, iż goście jadą. Pan Zieliński, chociaż liczył przeszło lat sześćdziesiąt, zręcznie z bryki zeskoczył, i zwróciwszy się do furmana, dał mu rozkaz aby wyprzeżał. I słusznie, bo kiedy sąsiad dawniej do kogo przyjeżdżał, to nie na kwadrans jakby na żarty wedle dzisiejszej mody, ale chciał użyć sąsiedztwa, i co najmniej wybrał się na obiad, ale w danym razie mógł był i za-

nocować. Dla tego opuszczając dom swój dał podstarościeму stósowne rozkazy i zostawił mu jakby testament swój ostatniej woli, pod względem urządzeń gospodarskich i następstwa pracy.

Pan Zieliński wstępując w progi domu, zarzucił w tył wyloty od zielonego kontusza, pasa poprawił, a zdjawszy z głowy białą czworograniastą czapkę, palcami rozczesał czuprynę a potem ją dłonią ułaskał — karabełę przy boku równo z tokiem lewej nogi urządził, krząknął, splunął i wasa poprawił; później zaś dźwigał się po schodach na pierwsze piętro pomrukując, że wysoko. Na ostatnim schodzie nieco zasapany, odetchnął i dmuchnął, raz jeszcze głośno odkrząknął, a służba tém ostrzeżona drzwi mu otworzyła.

— Dobrze — dobrze mój kochanku rzecze on do hajduka, jak się masz, zdrówes dobrze? a państwo czy zdrowi?

— Dziękować Bogu, odrzeknie Hajduk. — Dawno nas też Wielmożny Pan nieodwiedził.

— Prawda kochanku, prawda, ale bo i droga przez niziny niegodziwa. Gdzież siedzą Państwo?

— Tu prosto Wielmożny panie.

— Tak, tak, dobrze, — Bóg zapłać!

Posuwisto nieco bokiem najprzód w lewą, potem w prawą wchodziło się dawniej, — czapkę trzymało się w lewej ręce blisko piersi, a prawa była wolną, aby prosić dam o rękę do pocałowania, lub też uściśnąć

kolana osób poważnych. Wchodzić z tupaniem nie było wolno, ale poszastać się było niezbędnem i w powszechnym obyczaju. Tak też postąpił i pan Zieliński, który skłoniwszy się do kolan mojej babce, wasa potem do góry podwinął a z układną grzecznością sięgnawszy po rękę méj matki, pocałował, później zaś ojca mego w ramie jedno i drugie uściśnawszy, czapkę sobie zręcznie pod lewą pachę zarzucił, usiadł, o zdrowie zapytał. A po zadowolniającej odpowiedzi dodał.

— Chwała Bogu, — cieszę się mocno, iż zdrowych państwa moich zastaję, bo gdy zdrowia niema, to na cóż się wszystko przyda? Zdrowie to grunt, — przy zdrowiu to zaraz jest i wesołość i animusz i dobra ochota. O, ja tego doświadczyłem, bo gdy mi się (pamiętam) przed trzydziesto laty, przyplątała febra, to byłem jak z krzyża zdięty. Co też to w ówczas nieboszczka moja żona miała zemną kłopotu, Boże świeć nad jęj duszą!! Ani ja jeść ani spać, ani nawet do wina nie miałem smaku. Jednak pocziwy Doktor Zarczyński, w kilka dni mnie wyleczył i to gruntownie, bo od tego czasu niechorowałem.

— A Szanowny sąsiad o tem zapomniałes ileś cierpiał na rękę, w którą cię niepocziwy J.... ugodził w sprawie śp. mego męża, rzecze moja babka.

— Tego się nie rachuje Mościa Starościno Dobrod. bo takie cierpienia to lepsze od zdrowia, gdyż było

spełnieniem obowiązku przyjaźni i szkolnego jeszcze koleżeństwa.

— Jakże to było? zapyta mój ojciec, bo szczegóły tego wypadku nie są mi wiadome?

— Niewiele o tem i mówić, rzecze pan Zieliński, bo się rozprawa wkrótce skończyła i długośmy się nie zabawili. Oto przy głosowaniu na sejmiku podało się kilku kandydatów na poselskie krzesło — między temi podano i śp. pana Starostę Olszańskiego a godnego teścia Waszmość Dobrodzieja, co widząc inni zaraz się wycofali nie chcąc dzielić głosów. Tém czasem pan J..... uparł się przy swym kandydacie i dalejże nurtować i myskwować między szlachtą a vota sobie przychylnie zbierać. Działo się to zaś wszystko w refektarzu OO. Reformatów. Ja do niego mówię łagodnie, jak do brata szlachcica, aby próżnych nie czynił zabiegów, gdy się jednomyślność za JWym Starostą oświadcza.—Ale J.... zawierucha, ani pytał tylko robi swoje. Mnie się też cierpliwości przebrało, i tak mu do ucha szepnę: „Albo Wasze przestań Mości J.... krętymi drogami chodzić, albo Waszci zaraz prostą drogę pokażę. Na to, on chwycił za karabelę, a ja do boku za moją!—Prędko się rzecz zrobiła, bo ledwo zabłysły ostrza, a zaraz ciach, ciach, na krzyż, na podbitkę, i jam J..... u policzek przeorał a on mi sam koniec łokcia u ręki z żupanem i kawałkiem kości odciał jakby brzytwą. Szlachta się między nas rzu-

ciła — J....go wzięto zaraz do celi ojca kanafarza i posłali po żyda cyrulika aby mu gębę zhaftował, a ja zostałem w refektarzu między szlachtą, tamując krew która się z łokcia obficie sączyła. W tém ja rzekłem do szlachty: Panowie bracia, tu nie o mnie chodzi, ale o rzecz publiczną. Chciejcież mi powiedzieć czy będzie zgoda na pana Starostę? Zgoda!! wykrzykną wszyscy, Starosta Olszański niechaj będzie posłem!— A więc wiwat wykrzyknę, i ani łokcia mojego ani krwi nie żałuję.—I na tem koniec.—Potemeśmy już winem tę krew splukali, i piło się nie żartem, ale co J....i to biedak musiał pościć, a upiekł mu się też obiad który dawał pan Starosta, chociaż niezważając na prywatę i jego był zaprosił.

— Racz być Szanowny sąsiedzie pewnym, rzecze mój ojciec, iż odziedziczyliśmy obowiązek szczerój dla Wépana Dobrodz. wdzięczności za ten dowód przyjaźni i poświęcenia.

— Nie ma zaco — nie warto, bo rzecz mała; cóż tam na demechy i to bez szwanku; a o ten kawałek kości u łokcia, to mniejsza, bo śmierć wkrótce wszystko zabierze, a nie podziękuje ani przeprosi. Leez do tego się mówi, że nieżałowałby nikt i życia za pana Starostę. — Bo cóż to był za człowiek! jaki obywatel, ojciec, mąż, sąsiad, przyjaciel.—Poszukać takiego, i daleko! Co to za godność, powaga, a jaki piękny mężczyzna, odwołuję się do Jejmość pani Sta-

rościny. Pamiętam, kiedy raz z panią Podstoliną Sołtykową stanął do polskiego, to ją wodził z pół godziny a nikt mu odbijać nieśmiało, bo każdy rad się był przypatrywać téj parze co płynęła jakby Wisła w różne labirynta, to tędy to owędy, i zdawałoby się że niechodzą po podłodze, ale jak para jaskółek nad stawem, muskali tylko skrzydłami powierzchnią. Ej moi państwo! już przyszło pokolenie tak nie będzie umiało tańcować, bo inne czasy a inne i obyczaje, i mówiąc też prawdę, to sobie wykrzywiają nogi temi nowemi Anglezami i Sztayerami. Wszystko to jest jakby w ostatnich podrygach a niema w tém ani wdzięku ani powagi. Proszono było widzieć Starostę, kiedy zaczynał taniec. Ledwo zagrzmiała kapela; a pan Starosta w środku grona zbierał się w miejscu jakby do lotu. Spojrzał po ławach i krzesłach, a upatrzwszy tanecznice, poważnie sunął się ku niéj, chyląc się z lekka z boku na bok, aże przed nią stanął. Wówczas lewą ręką poprawiwszy karabeli i obiema pasa, grzecznie nogę na przód wysunął, czapkę przerzucił w lewą rękę, a potem podniosłszy ją w górę, dał znak aby iść za nim. Ruszyli też inni a stanęli w parach. Dopiero pan Starosta przeczekawszy aby muzykanci w grę się dobrze wdroszyli, zatoczył zgrabnie ręką i najprzód w miejscu damę swą obrócił, a potem już szedł w taniec jakby płynął, piersią naprzód, wzrok na prawo w tanecznicy utopiwszy. — Idą, idą

aże szumi, szastu, szustu; w tém Starosta niby się rzekomo rozłącza od damy, puszcza jęj rękę lecz z oczów nie traci i zręcznie w około obchodzi. Ona za nim spogląda, zesli się spojrzeniem, i jakby po chwili gniewu, znowu pogodzeni, płyną razem jak strumienie, dopóki się znowu w około nie zawrócą a Starosta zręcznie nie podbiegnie, aby prawicę swą wjażący sygnet ozdobną podać tanecznicy. Za zwrotami Starosty, wszystkie dają pary, jakby jednego łańcucha ogniwa, wężykiem się zwracają, przeginają, snują, aż w końcu pan Starosta raz jeszcze w półkole obróciwszy się z damą ku krzesłu ją wiedzie, a ręki pocałunkiem odwdzięczywszy trudy, cofańcem się wysuwa i znów w tłumie tonie. I mówię śmiało, że nie było i nie prędko urodzi się taki człowiek jak pan Starosta: a chociaż uwłaczać niechęć godnemu zięciowi i owszem przewiduję iż w wantecessora i Stryja a razem teścia wstąpi ślady, to przecież, kiedy do Zborowa dojeżdżam, lży mi się do ócz cisną, bo myślę sobie; niema cię panie Józefie, Starosto, przyjacielu, kondysecypule i dobrodzieju mój! niema cię czoło szlachty prawdziwie szlacheckiej, coto choć niewyodzi w rodzie samych Senatorów, ale. aż mchem od starości szlactwa porasta. Cóż też to było z nim za życie! Ale wszystko przepadło jak kamień w wodę wrócił. Ja teraz to mało gdzie i wyjadę, chyba tu, aby Jej-

mość Staroście i jej godnej konsolacyi złożyć moje uszanowanie jako stary przyjaciel domu.

— Mamy nadzieję, iż Wépan Dobrodziej będziesz łaskaw częściej nas odwiedzać przerwał mój ojciec, a przez pamięć na dawne stosunki z ojcem zachowasz względy i dzieciom.

— Z całego serca, rzekł pan Zieliński, byle mi zdrowie służyło i czas pozwalał. Ale ja to już stary, oho jużem nie ten com był wczoraj. Za młodu to bywałem hulaka, a teraz to gdy cały dzień na szłapaku poherauję, albo z hartami się przejadę, to wieczór kości mnie już bolą. I nie dziw bo też to ósmy dziesiątek—latka idą! —

— A o Proszówkach też niech pan Dobrodz. nie zapomina, bardzo się o to upominam — dodała moja babka.

— Mościa Dobrodziejko! Choćby też w pław przez Wisłę tobym się stawił na rozkaz Jejmość pani Dobrodziejki; jak mi Bóg miły! — Przecież ja to dawny sługa i podnozek państwa. — Ale kiedyż się to Jejmość Dobrodziejka wybiera, czy w króćce?

— Oj w króćce, w króćce rzecze babka z westchnieniem....

Matka moja na wspomnienie wyjazdu znowu się łzami zalała, co dostrzegłszy pan Zieliński, rzekł pomięszany.

— Moja miła pani, nie płacz proszę — chociaż je-

stem z rycerskiego stanu to i ja serce mam miękie, a łez u mnie niekupić; lecz tego niemam ze siebie tylko z nieboszki matki, na którą gdyby był Ojciec mój palcem zakrzywił zaraz płakała! No, no, no, niepojedzie, Jejmość, nie pojedzie! Uspokójże się miła pani, bo to w tym stanie błogosławionym to lada co zaszkodzi. Oto dla rozweselenia opowiem państwu jakąśmy-to mieli uciechę z Księdzem Proboszczem ze Swiniar, będzie temu dwa tygodnie... Xiądz proboszcz a mój łaskawca pisał do mnie, abyśmy zapolowali na zająca w Rzegocińskich polach, gdzie zyskał od dziedzica osobliwe na to pozwolenie. Dzień był piękny więc odpowiedziałem, iż go czekam na Soleckiej granicy. Kazałem zesmyczyć mego Tatarą i Lotkę, a jeszcze niedojechałem do mety, kiedy widzę że Xiądz Proboszcz szczuje swojemi, ale zając umyka przez rolę i już się tak odsadził, że co-co niewpadnie w wikle. Ja dopiero mojemu Tatarowi pokazuję a wołam herco! Sobaka strzyżąc uszami na dwóch łapach się podniosła — jakoż zobaczył, a ja zawołam hejże go!! Powiadam państwu Dobrodziejstwu, że ruszył jak kula, w jednej chwili się zrównał; w tém zając dał kominka, chart podskoczył i zgłupiał, bo zając w bok sunął; ale zoczywszy go napowrót, jakby strzała dalej za nim, środkiem brózd za nim, za nim, aż na drodze łaps. W ten czas jak mego szłapaka w poprzek roli puszczyć, to jak wiatr gonilem, (bo Tatar psuje zwierza.)

Krzyczę harap, harap! alem nieuważał, że była przykopa, więc mnie koń z siodła wysadził, i w rowie mię jak długiego położył, sam zaś aż do zajęcia czwałował, bo jest do hartów włożony. Ksiądz Proboszcz też dojeżdżał i widzi konia a nie widzi jeźdźca. Co u licha rzecze, czy teraz p. Zieliński samego szłapaka na polowanie wysyła?... Aż tu ja, zbieram się jak potłuczone graty z rowu i piechotę zdążam na plac pobojowiska. Uśmialiśmy się porządnie, napiliśmy się na oblewkę i dalejże na Rzegocińskie, — gdzie uszczuliśmy sześciu zajęcy, a wszędzie mój Tatar prym trzymał. Dopiero wracając, mówi mi Ksiądz Proboszcz, czylibym niefacycendował z nim na mojego Tatara, i że mi daje za niego do wyboru jedną ze swoich klaczy siwych. Ja mu na to: Mości księżu Proboszczu! Pan Bóg stworzył jarmarki a diabeł frymarki. Ja od Waszmości kobyły nie wezmę, ale kiedyś się tak do mego Tatara zapalił, to go przyjmij odemnie w podarunku, chociaż to psina nieoceniona i już się takiego niedochowam. Ksiądz Proboszcz wzdrygał się przyjąc, ale w końcu zgodził się na to i z owego polowania zamiast do domu musiałem jechać na probostwo, gdzieśmy się późno w noc zabawiali.

— Mnie się zdaje, rzecze mój Ojciec iż kanony kościelne zakazują kopląnom polować?

— Tak to ma być w istocie, odpowie p. Zieliński, ale kanony tylko zakazują głośnego polowania

z trąbami i sieciami albo w wielkiej kompanii, lecz tak cichaczem sobie na zajęczka, to podobno nieszkodzi, i da się to zrobić bez grzechu.—Wreszcie to jedyna dusza ten ksiądz Świniarski, i byłby już nawet został kanonikiem, ale jak to w świecie bywa, uszył mu ktoś przez zazdrość u biskupa buty. Nie jest on wprawdzie taki skrupulat jak ksiądz Jaszczurowski, który jak mól siedzi w łacińskich foliałach, ale bo też na dwoje ludzie się dziela: jeden jest do Boga a drugi zaś do ludzi — a ten tylko wygra, o którymby rzec można że i do Boga i do ludzi. Ho, ho, ksiądz Jaszczurowski to kapłan mądry, ale cóż kiedy ma więcej oleju w głowie jak wina w piwnicy, a i wino potrzebne do przyjaźni i wesołości ad charitatem et hilaritatem.

— Podzielał zdanie twoje szanowny sąsiedzie rzekł mój Ojciec, ale z pewnem ograniczeniem; co zaś do księdza Jaszczurowskiego, to wyznam, iż równie znakomitego i godnego niewidziałem kapłana. Cóż to za wzorowy Proboszcz, jaki uczony, a jak sprawiedliwy i roztropny.

— Nieujmuję mu honoru odpowie p. Zieliński, ale od czasu jak się ze szkół Jezuickich wydobyłem, to już tym Ojcom ani w oczy zajrzę; bo cóż oni mnie to namęczyli przy książce, a ileż ja to pokut odprawiłem, i dyscyplin dostałem, toby najlepiej śp. Starosta zaświadczył.—Śp. panu Józefowi to jakoś szło

gładko, a w retoryce innych przesadzał, ale ja, to zagrząłem w infimie i ani rusz! W czém tylko górowałem nad innemi to w palcacie! Już to w téj grze na rekracyach ja znowu prym trzymałem, a tak kondyscypułom piłką zbiłem łapy, że im aż dłonie popuchły. Śpiewałem też w kościele głośniej od wszystkich, i ile razy przy *gloria* wziąłem nótę, to aż ją w niebie było słyhać. Śmiano się też zemnie mówiąc: „Oho! Zieliński smyczy gloriom, na swojej altówce. Otóż tak było zemną u Jezuitów.

— Już to ja bardzo cenię i szanuję ten zakon, rzekł mój Ojciec, bo byłem świadkiem ich poświęcenia na białej Rusi, Żmudzi i Litwie. Cóż to za gorliwość w nauczaniu, jaka pobożność i starunek o dusz zbawienie. Ileż tam cnót ukrytych, zapoznanych lub fałszywie przez świat sądzonych i krzywo przedstawianych. Iluż wreszcie wielkich ludzi przysporzył nam ten zakon!!

— Ja zaś Mości Dobrodzieju, rzekł pan Zieliński wolałbym aby byli wielu małych a dobrych ludzi przysporzyli jak kilku wielkich. Bo cóż mi z tych wielkich ludzi, co są nibyto jak dęby, a gdy runą to i same się połamią i młódź przygniotą tak że rosnąć nie może.

— Właśnie też (przerwał mój Ojciec) iż nikt im nie dowiedzie, aby mężowie których oni wydali, szkodliwemi byli dla społeczeństwa. Niechęć przytaczać

nazwisk, ale przekonałbym, iż uczniowie Jezuitów, nigdy się zbrodniami głównymi nie splamili. Wreszcie przyjedzie tu na obiad Ksiądz Jaszczurowski, to panowie będziecie mogli odbyć dysputę.

— Oh broń Boże! Proszę Waszmości Dobrodzieja, nie zdradzajże mnie, bo chociaż ksiądz Jaszczurowski jest ex-Jezuitą, to on tam zawsze trzyma się ich za jedną poję. Ja zaś wyznaję, iż z Jezuitami niechęć zadziarać—dałbym sobie, dał!—O, uchowaj mnie Boże—tu tylko tak się mówi gwoli pogawędy i to poufniej.

— To jeszcze się Wópan Dobrodziej boisz dyscypliny? przerwał z uśmiechem mój Ojciec.

— Nie o to weale chodzi,... jednak nie życzę nikomu żartować z Jezuitami, bo ci Patres mają Partes, i zaczępno jednego, a cały rój się na ciebie wysypie.

— To dobrze, widać iż jest między niemi jedność, takiejby to potrzeba i między szlachtą, a niestety daleko od tego jesteśmy.

— Oh zapewne żeby trzeba, ale cóż na to poradzić?... lecz zmieńmy rozmowę na inną, bo jeśli się nie mylę, ks. Proboszcz zajechał, a ja bym niechciał,... broń mnie Boże! na starość zadziarać, gdzie mi stanąć wypadnie przed sądem Boskim!..... trzeba ostrożnie z księżmi.... Jakże gospodarstwo? czy darzy się w nowém dziedzictwie, pszeniczka czy sypie?...

— Nieźle plonuje w tym roku, ale jarzyny słabe.

— No proszę? słabe, jużto jak wszędzie,... bo i u mnie więcej słomy jak ziarna.

VI.

Obiad w Zborowie.

Zwykle na obiad do Zborowa przyjeżdżał ksiądz Jaszczurowski Proboszcz Solecki: jakoż zajechał podczas odwiedzin pana Zielińskiego. Pokłoniwszy się wszystkim uprzejmie, powitał z przyjaźnią mego Ojca, i zasiadł jak zwykle na kanapie przy babce mojej, a po kilku wymienionych słowach, zwróciwszy się do p. Zielińskiego grzecznie mu wymawiał, iż od dawna nie był ani w Zborowie ani w Solcu.

— Prawda, księżo Kanoniku rzecze p. Zieliński, mam na sumieniu tę zwłokę, ale czas, zdrowie, wiek i okoliczności mnie wyłomacza. Gospodarstwo kłopotarstwo; trzeba doglądać, bo co niedojrzysz okiem to dołożysz workiem, a tém bardziej kto ma tak małą jak ja substancją.

— Dobry to kawałek, rzecze proboszcz i jeżeli mniej ma obszaru, to za to wynagradza płodnością,

tém więcéj gdy jest pod zarządem tak sławnego gospodarza.

— Pokornie dziękuję JMci księdzu Kanonikowi za tę pochwałę, chociaż na nią nie zasługuję, bo ja sobie tak po staroświecku gospodarzę i trzymam się tylko reguły, i podpieraj a zbieraj; ale i to nie zawsze się udaje, bo *np.* tego roku źle wyszedłem z jarzynami, które od panujących ciągle deszczów w słomę wyburzyły, a w ziarnie cienkie i mało plonu obiecuja.

— Takiemu to losowi (odrzecze ks. Proboszcz) podlegają gospodarze. Słoty im wymoczą, spieki wysuszą lub ogień spali, i zawsze to co na ziemi nie jest ani nasze ani pewne, a jedynie to nam się zostaje co w zasługach uzbieramy ku wiecznemu życiu. Ileż-to ludzkich zabiegów za pamięci mojej spelzło na nicém, ileż nawet wysileń ogólnych nieodniosło pożądanego skutku!

— (P. Zieliński westchnąwszy odrzekł) Oj, tak!...

— Widziałem młodzież rycerską ubiegającą się za wieńcami chwały lub za sławą w innych gałęziach służby Widziałem statecznych mężów, wdzierających się na stopnie dostojęństw, widziałem sędziwych ludzi łakomo zbierających majątek; widziałem libertynów goniących za rozpustą, i zapominających o Bgu, a wszyscy przeszli i niemasz ich. Wieńce zwiedły, szczeble dostojęństw połamały się pod nogą która się na nie wspinała—pieniądze złodziej ukradł—rozpusta wyczerp-

nęła siły życia, a z tego wszystkiego nic nie zostało, prócz zgryzot i wyrzutów sumienia.

— (P. Zieliński westchnąwszy jeszcze głębiej dodał) Oj tak, tak, dobrze Jegomość ksiądz kanonik mówi że wszystko próżnością na tym świecie.—I przypominam sobie jakby dzisiaj kazanie które miał do nas Ojciec Jezuita w szkołach, w czasie wielkiego postu, mówiąc według psalmu Dawida iż dopóki *pan* niezbuduje domu, próżno buduje, który go chce zbudować. Otóż ksiądz Proboszcz z Biechowa, gdzie się rodziłem i byłem chrzczonym, chciał koniecznie przestawić starą plebaniją, i wezwał nas parafian abyśmy się na to składali materyałem, pomocą rączną i pieniędzmi. Ja tedy zważywszy iż gorsze mieszkanie ma Proboszcz w Świniarach, a przecież w nim siedzi, Boga chwali i na odpusty całą szlachtę sprasza, odmówiłem mojej pomocy. Ksiądz Pleban z góry na mnie żem heretyk, a ja ułożywszy się jako na posłuszną i wierną przystoi owieczkę, przytoczyłem Psalm *Nisi Dominus* na co ksiądz Pleban Biechowski dowodzi, iż ten Psalm nie odnosi się do jego plebanii, ale że to powiedziane było do żydów. Wdaliśmy się w długą dysputę, której konkluzya była taką, iż ksiądz Proboszcz z Biechowa siedzi w starym domu, i czeka dopóki mu *pan* nowego nie zbuduje. — Jakżeby Illustrissimus tę rzecz rozsądził?

— Zupełnie zgodnie ze zdaniem Waszmości Do-

brodzieja, odpowie ks. Jaszczurowski: albowiem, dopóki Bóg niezbuduje sere parafian, i nieskłoni ich ku spełnieniu obowiązków, dopóty i plebanija w Biechowie nie stanie, kościół upadnie, a tylko karczma jedna się ostoi. Zbudować dom w znaczeniu mistycznym, jest to zbudować społeczeństwo Boże, obudzić sumienia ku dobremu i ku poznaniu prawdy, a do tego trzeba nietylko woli człowieka, ale i łaski Bożej.

No proszę, (odpowie p. Zieliński) jako Jegomość ksiądz Kanonik pięknie tę rzecz wyprowadził! Nibyto był z początku za mną a tak zakończył, iż na mnie wina leży. Tak też czynił i śp. Ojciec Morełowski S. J. który głaskając mnie zwykł był mawiać: *moje dziecko, mój kochanku, mój synku, połóż się i odbierz zasłużoną karę.* Wdajże się tu teraz w dysputę z teologami!!

Otworzono drzwi do sali jadalnej — Babka moja z księdzem Jaszczurowskim poszła przodem, za niemi prowadził p. Zieliński moją matkę a Ojciec mój na końcu, uśmiechając się postępował, bo z upodobaniem słuchał rozmowy księdza Jaszczurowskiego i rad był, iż nowy gość poda ku temu sposobność.

Ksiądz Jaszczurowski zmówiwszy pacierz i pobłogosławiwszy strawę, zasiadł wedle praktykowanego w tym domu zwyczaju na pierwszym miejscu. Przy nim babka moja. Pan Zieliński obok, a z drugiej stro-

ny rodzice moi. Ksiądz Proboszcz zważając na sług obecność, niechciał przedłużać teologicznej rozmowy, w obawie, aby p. Zieliński niewystrzelił jakimś mniemaniem trafnym pisma wykładem, ale rozmawia o Samuelu Zborowskim i dowodził, iż to była wielka dusza, ale Luteranizmem zwichrzona: twierdził, oraz iż zdolność przyrodzona jest tylko siłą która jeśli jest dobrze skierowaną i pożądnie użytą do nieba prowadzi, lub też gdy fałszywy przyjmie kierunek to w piekło popycha. Ojciec mój podzielał to zdanie i popierał go przykładami nawet współczesnymi, ale p. Zieliński, twierdził: że wszystkiemu natura winna, dowodząc, że słyszał mówiących: *„Jakim mnie Panie stworzyłeś takim mnie masz”* albo także *„natura wilka ciągnie do lasa”* — *„nieurodzi sowa sokoła tylko takiego jak i ona”* i t. d. — Ksiądz Jaszczurowski na to zwyczajko odpowiadał, przytaczając łacińskich i greckich autorów, a także i przysłowia np. *„czem skorupka za młodu nawre, tém na starość trąci”* — z kim kto przestaje, takim się sam staje i t. d. Lecz p. Zieliński nieprzekonany zwrócił się do księdza Jaszczurowskiego mówiąc: próżno Illustrius lejesz młode wino w stary mój statek. Na co ksiądz Proboszcz: — Starsze wino od statku. Mości Zieliński, starsza prawda od człowieka. Na to mój Ojciec: Doskonale! jednak kiedy o winie mowa, to proszę za kieliszkami bo to dukat wyjęty z kieszeni doktora... Pan Zieliński usłuchał rady, a ksiądz Proboszcz usta

tylko umaczał, na co się też pan Zieliński krzywo spojrział, mrugając na mego Ojca, na znak zaskarżenia. Mój Ojciec nie lubił jak to mawiano *„przynuki”* więc się tylko uśmiechnął a napełniwszy kieliszek p. Zielińskiemu, zapytał czy mu to wino smakuje!

— Weale dobre, odpowie p. Zieliński, — ma gorczyzkę, kolor ładny, i coraz będzie lepsze; ale to *śp.* Starosta miał winko, któreśmy przypadkiem w Dąbrowej kupili, to było osobliwe, zaraz opowiem jak się stało. Pojechaliśmy razem na jarmark, bo nieboszczyk szczególny był mój łaskawca i zawsze brał mnie z sobą. — Przyjeżdżamy więc, a kogo najprzód na rynku spotykamy?... Oto pana Antoniego Chwaliboga ze Szczucina, krewnego *śp.* pana Starosty przez Sędzimirów. On tedy ucałowałszy go w rękę jako swego Wuję, mówi: panie Wuju, koni tu jeszcze mało, bo święta żydowskie i nieprzybyli dotąd kupcy z Łęcznej, ale co tu jest lepszego, oto wino które Węgry przywieźli na jarmark, wypadłoby go obejrzyć, za nim szlachta zjedzie. Pan Starosta który był dobrej tuszy i chodzić dużo nie lubił, mówi do mnie, proszę cię mój Jasieńku, wyświadczyć mi przyjaźń, a przekonaj się co warte owa polewka którą Antos stręczy? Bryki z winem stały za miastem na piaskach. — Poszliśmy z panem Antonim, a Węgry uciągnąwszy lewarkiem to z tej to z owej beczki, napełniali kufle dając nam próbować. Co skosztuje?... dobre..... a na dzień kufła je-

szcze lepsze!—Antoś też choć młodzieniaszek, nie dał mi się wyprzedzać. Napiliśmy tego moszczu więcej jak potrzeba, ale z przytomnością zupełną umysłu. Dopiero gdy jednakowego wina upatrzyłem dziesięć beczek, pytam Węgrów wiele za to? Sześćdziesiąt czerwonych złotych odrzeknie właściciel.—Targ, w targ, kupiłem za pięćdziesiąt, i w dodatku baryłkę słodkiego. Wracamy do p. Starosty rozpowiadając o kupnie, ale ja zaraz dodałem, iż jeśli go p. Starosta niewźmie, to ja go dla siebie zatrzymam.—Wcale nie mój Jasięku rzekł on, biorę go na niewidziane skoro go wybrałeś, a ty go u mnie wypijesz, bo będzie w twoim guście; kaźcie go tu zatoczyć a ja wypłacę. Cóż się też to za wino zrobiło!!! Ani pół roku w szkle nie stało a traciło myszką, bo tylko na granicy Tokajskiej takie wino rośnie!—Wątpię, aby tu co z niego po *śp.* Staroście pozostało?... Gdzież tam miało zostać po tak gościnnym panisku!! on byłby krwi własnej gościowi nieszczędził. Oho! już to-tam takiego poszukać,... ale i próżno szukać!

— Niech Waszmość Dobrodz. nierozpacza, odrzekł ksiądz Jaszczurowski bo w narodzie naszym tak jak i w tej rodzinie gościnność jest tradycyjną.

— Nieuwłaczam, broń Boże nikomu, ale wolno żałować przyjaciela z którym się tyle przeżyło, tyle beczek soli zjadło, a co prawda to nie grzech, i tyle

wypiło, i to w różnych okazjach. Mój Boże gdyby te ściany umiały mówić?!

Obiad się skończył i powrócono do bawialnego pokoju w tym samym co i pierwój porządku, a gdy zasiadło już grono, ksiądz Jaszczurowski zapytał mój babki, czyli miała w tych dniach wiadomość o panu Szambelanie Badenim i o panu Stanisławie Regencie Koronnym?

— Właśnie dzisiaj odebrałam od mego brata Stanisława obietnicę, iż niebawem przyjedzie tu do Zborowa. —

— To wielka będzie dla Jejmość Dobrodziejki pociecha rzecze p. Zieliński. Bo to pan Regent, to wdług mnie jest jedna z pereł rodziny. — Jakieżto serce złote u tego pana, a jaka miłość względem rodzeństwa i dla wszystkich uprzejmość; jaka charakteru łagodność a umysłu wzniosłość! Ho ho, pan Regent to nie mała figura chociaż wzrostem nie wielki.—Znali go u królewskiego dworu i wiedziano jakim tehnął animuszem, poznała go i Szlachta, a proszę widzieć jakiego używa od wszystkich respektu! Gdy tylko wejdzie w jakie zgromadzenie, zaraz wszyscy powstają ze czcią go witając, a nawet w obcym kościele to pierwój do niego idzie po mszy *śp.* ksiądz z pateną jak nawet do kolatora, bo też tak przystoi uhonorować dostojnego kraju urzędnika! Byłem ja nieraz z panem Regentem w kompanii to powiem, że gdy

się rozbawi, to taki wesoły, miły i przyjemny że aż każdemu serce rośnie.—Żadnej dumy w nim się nie-dopatrzysz, chociaż miałby do niej prawo z samego już dostojęstwa.

Babka moja doznawszy od pana Marcina Badeniego, wiele dowodów opieki a razem szczególnego zajęcia się losem wszystkich jej dzieci, szanowała niejako w tym starszym bracie ojcowską powagę, i obok wdzięcznej miłości, okazywała mu pewne uszanowanie i uległość; wszakże z młodszym swym bratem panem Regentem była w stosunkach poufalszych, bo łączyła ich tkliwa zażyłość, w której serce nieoblicza się z obowiązkiem ale oddaje się całe, w zamian za każdy dowód współczucia i przyjaźni. Otóż pochwały p. Zielińskiego trafiły mój babce do gustu, bo często wśród rozmowy potwierdzała skinieniem głowy wyrzeczone zdanie.

— Podzielałam zdanie Jegomości Dobrodzieja w sprawiedliwym ocenieniu cnót i zasług pana Regenta, rzekł ksiądz Jaszczurowski, ale przyznam, iż na mnie dziwny także wywiera urok pan Szambelan Badeni, który jest może dzisiaj jednym z najniepospolitszych w kraju naszym mężów. Szczególne to jest zjawisko, aby w jednym człowieku spotkał się tak bystry dowcip z głęboką logiką i trafnością sądu. Dowcip bywa często grą wyobraźni i połyskiem płytszej wiedzy, jest on nieraz blichтром pokrywającym wiele niedoskona-

łości wewnętrznych. Ale u pana Szambelana dowcip jest zręcznie wyciągniętą treścią z logicznego zdania i z myśli głębokiej, jest on tylko iż tak powiem okrasą wielkich prawd, które ten przenikliwy pojmuje umysł. Gdyby trafne odpowiedzi, porównania i sentencye które z tej bogato uposażonej głowy płyną, dały się zebrać, razem zestawzić i w pewien ciąg uporządkować, tobyśmy mieli gotową polską filozofią, bo tylko w Senecce czasem napotykać można taką głębokość zdań i pomysłów. Twarz mego Ojca widocznie się rozjaśniała, słuchając tak wiernego opisu postaci pana Marcina Badeniego. Bo mój Ojciec znowu, który wszystko był winien panu Szambelanowi, kochał go uczuciem synowskim, a znał go najbliżej bo i przy królu i potem na Żmudzi nieodstępny był towarzyszem swego krewnego a razem i opiekona. Zbliżył się więc mój Ojciec do księdza Jaszczurowskiego i pocałował go w ramię, powinszował mu takiej znajomości ludzi a razem podziękował za słuszne ocenienie tego znakomitego męża, który się równie krajowi zasłużył jak całej rodziny swój stał się dźwignią i dobrodziejem.

Potem mówiono już o różnych wypadkach bieżących, gdy zaś dzień miał się ku schyłkowi,—czwórka p. Zielińskiego stanęła przed pałacem, i gość ten miły chociaż czasem sprzeczny, odjechał przyrzekając powtórzyć bytność swą w Zborowie a pewnie w Proszówkach.

VII.

Przygotowanie do odjazdu mojej Babki ze Zborowa.

Niezwykły się ruch w pałacu Zborowskim objawiał — panna Tuchowska tchnąc całemi płucami, to do góry to z góry przebiegała po schodach, a w tajną z moją babką zawiązana konferencyą, odnosiła do niej raporta i brała rozkazy. Bo jak jest dzisiaj, tak było i dawniej, iż u ludzi służących każdy szczegół choćby jak komar mały wyrasta w Wielbłąda, a w najmniejszych trudnościach odnoszą się do państwa, mniej dla oświecenia się w działaniu, jak raczej dla okazania niezmiernej czynności i trudów jakie ponoszą. — Moja Babka, która anielską posiadała cierpliwość, znosiła natrętne panny Tuchowskiej zapytania i rady, ale o jedno ją tylko prosiła, iżby ruchliwością swoją i hałasem, niezwróciła uwagi mojej matki na bliskie przygotowania do wyjazdu. Lecz to właśnie było najtrudniejszym, bo najprzód ukryć sprzętów znoszonych

nie było możności, a później dość spojrzeć na pannę Tuchowską aby odgadnąć, że już jak ptak wędrowny, rozszerza skrzydła do lotu. Czepiec na bakier z pod którego kasztanowate wnieładzie opadały loki świadczył zajęcie umysłu ważnemi sprawami; duża chustka tkana ze skubanki a w trójkąt złożona, nieschodziła się już szczelnie na piersiach ani była przymocowaną igłą przeplecioną jedwabiem, ale spadała na dwa boki i marcowego wiatru stała się igrzyskiem; wreszcie kij panny Tuchowskiej, wierny jej towarzysz, podpora jej kalectwa i groźba dla dziewczek, przyspieszone po posadzce i schodach wybijał takty, a jej głos niby to przytłumiony, zdradzał tajemnicę, która się gwałtownie na wierzech wydobyć pragnęła.

Nieuszło więc wiadomości mojej Matki, iż się zbliża epoka bolesnego rozłączenia. Ale Ojciec mój najdelikatniejszy z mężów, słowem mąż wedle dawnego obyczaju, który nietylko w żonie swój kochał wybraną życia towarzyszkę, ale szanował niewiastę, starał się osładzać ten cios dotkliwy dla serec rozpieszczonej córki, to przyrzekając odprowadzić babkę moją do Proszówek, to znowu urządzać jej gospodarstwo. Tak więc matka moja pocieszona myślą, iż odprowadzając matkę swą do Proszówek dłużej przy niej zabawi, poddała się smutnej konieczności rozdziału a schroniwszy się do narożnego w pałacu pokoju, chciała

przynajmniej oszczędzić sobie bolesnego widoku podróżnych przygotowań.

Ojciec mój przywołałszy wieczorem swego rządcę Boruckiego, i a razem ekonoma z Proszówek Kalicińskiego, tak do nich mówił: Zwołałem tu ichmościów, aby się z wami naradzić, eoby ku zupełnej wygodzie a razem i korzyści Jejmość pani Starościny w Proszówkach uskutecznić się dało? Teraz nadchodzi wiosenna pora, przeto i siewy jarzynne. Trzeba ziarno odmienić: niechaj więc Kaliciński wypisze ile tylko uzna aby mu się przydać mogło, a Waszmość panie Borucki każesz odmierzyć i odstawić do Proszówek, nie wszakże o tem Jejmość pani Starościny nienadmieniając. Także w magazynie wybierzesz z gospodarskich sprzętów ile potrzeba a razem odstawisz. Cztery moje kłaczki Litwinki z całą uprzężą niechaj w Proszówkach zostaną, aby Jejmość starsza mogła pewnymi końmi jeździć do Zborowa. W Bochni na mój koszt umówić malarza, aby pokoje w wesołych kolorach odmalował, z medalionami na każdej ścianie, z pisma świętego lub dziejów naszych wziętymi. Kaplica ma być także cała odnowiona, ławki pokostowane, a co z resztą wypadnie poprawić, dokuścić lub sprawić, niechaj Wny ksiądz Proboszcz Ząbieński wskazać raczy, a sprawimy, iżby nic na chwalebę Boską niebrakowało. Zresztą cały dom i oficynę do porządnego przyprowadzić stanu. Pisarz JMpan Bo-

ratyński przodem do Proszówek zjedzie, aby te polecenia spełnił i onych wykonania dopilnował, tak aby gdy Jejmość pani Starościna przybędzie, wszystko w porządku i schludnie zastała. Zapomniałem dodać: aby z Olszanój wizerunki i malowidła przodków wyobrażające do Proszówek sprowadzić, i takowe lat porządkiem na ścianach sali jadalnej porozwieszać. Ma się także rozumieć, iż ze Zborowskiego ogrodu każe pan Borucki ukopać krzewiów i kwiatów, iżby je w koło domu rozsadzić i co tylko ku ozdobie przyczynić się może uskutecznić. Mości Kaliciński, rzecze dalej mój Ojciec, proszę mnie nieoszczędzać, bo dzieci się nie ubożą ale wzbogacają, gdy się rodzicom serdeczną wywdzięczają ofiarą. Co zaś do innych domu mobilijów oraz sprzętów, to osobne wydam dyspozycje.

Borucki i Kaliciński skłoniwszy się wyszli, a idąc razem schodami naradzali się nad spełnieniem odebranych rozkazów, kiedy panna Tuchowska utykając po sieni zaraz ich pyta: Cóż za długa sesya, chociaż to nie jest niedziela?— Pan Borucki minął ją zbywszy kilką słowy, lecz Kaliciński uniesiony radością, iż jęczmień, groch i owies odmieni do siewu, rozpowiadał rzecz ze szczegółami.

— Bardzo się cieszę rzekła panna Tuchowska, że nam taką sutą obiecali wyprawę, jednakby trzeba pro-

się o zapasy do spiżarni, bo przewiduję, że do Proszówek to się zjeżdżać będą jakby na procesyą.

— Obiecał pan dać jeszcze dyspozycyę odrzekł Kaliciński, to pewno i o spiżarni nie zapomni. — Dobra noc pannie.

— Spijcie z Bogiem panie Kaliciński, odpowiedziała tkliwie panna Tuchowska.

Wkrótce poszły ładowne sprzętami fury do Proszówek, Kaliciński pojechał uskutecznić siewy, a tam go z niecierpliwionym czekał Boratyński. Już wyjechała praczka, chłopiec kredensowy, a wyjazd mojej Babki od dnia na dzień schodził, bo co który wyznaczono termin, to znowu moi rodzice uprosili ją aby została, aż w końcu uradzono że przed Śtym Stanisławem na dni kilka mieli się wszyscy do Proszówek zjechać, dla przyjęcia na nowej siedzibie ukochanego brata mojej Babki pana Regenta Badeniego, który w ten dzień obchodził swoje imieniny. W skutek takiej narady, przed dwudziestym Kwietnia dano rozkazy aby konie były okute, powozy obejrzone, i bryka pod kucharza przygotowana a przyzwoicie do popasu w wiktuały zaopatrzona.

W wiliż wyjazdu zatoczono już przed pałac karetę poszóstną mojej babki, która zawieszona na pasach zlewających się pod pudło zprostpadłych resorów, leżała na nich jak arka Noego na falach potopu. Koła jej wysokie i czerwono pomalowane, przyczyniały jej

wzrostu i wspaniałości. Pudło samo, w około szlakiem w różne figurki ozdobne, stanowiło jakby ruchomą dla widzów wystawę. Na samym wierzchu była galerijka misternej rzeźby, a kozioł w środku wygięty, przedstawiał jakby wkleśłą przestrzeń między dwoma garbami wielbłąda. Okna w karecie były małe, ale zastąpić się mogły wysuwaniem żaluzjami, albo zasłonić firanką. Stopnie u karety z dziesięć razy się rozkładające stanowiły wygodne acz bystre schody do tego podróżnego statku. Nakoniec zwierciadło, w środku stolik wysuwany, komodka ukryta i za ruchem sprężyny tajemnicze szufladki zdradzająca, kończyły umeblowanie karety, wzbogacone jeszcze nieobliczoną ilością kieszeni na przodzie z tyłu i z boku.

Za karetą mój Babki, szedł powóz Matki mojej Dąglowskiej w Warszawie fabryki, wyglądał on przy karecie, jak upadłe nasze pokolenie przy wielkości przodków. Był nibyto modny, filgranowego składu i świadczył o zagranicznym smaku, ale zamiast być podobnym do Arki, wyglądał on raczej jak łódka przy okręcie, z którego się osada na inny już brzeg przeprawiać miała.

Następnie zatoczono kolaskę, a potem brykę pod kuchnią i fury pod łomoki słomą i sianem wysłane. Zaczęto od tych ostatnich i nawet z wieczora już ładowano kufry pańskie i skrzynie służących. Pożno w noc uwijał się Rzepecki, jako wódz czeladzi, a

panna Tuchowska w miejscu się kręciła, straciwszy pamięć od nawału myśli. Wszystkiego się dotknęła i znów położyła, i wybiegła przed pałac chcąc wydać rozkazy, ale na próżno, bo zapomniała co było już na końcu języka. Jój stroju nie-opiszę, bo gdy duch w rozbieciu, to któż tam i pomyśli o ciała ozdobie, dość, że nieco podobną była do kobiety miotanej rozpaczą, trochę do rozkochanej, a także i do pokutnicy. Zawadzała jednak panu Marszałkowi, a to podwójnie, bo moralnie i fizycznie; najprzód iż uwłaczała niepodzielnemu jego naczelnictwu, a powtóre iż jako kulawa niedosć prędko mu się usuwała z drogi — ztąd sprzeczka, której skutkiem łzy panny Tuchowskiej ścianom spiżarni powierzone, owęj spiżarni z półkami, które były pod wyłączną jój komendą.

Nazajutrz służba o trzeciej już wstała dla dokończenia ładunku. Kucharz ruszył o czwartej aby w słońmianem Brzesku popas przygotował, fury za nim spieszą, a oprócz tłomoków wiozą kawiarke i dwie pokojowe proste dziewczęta, które jakby sroczki na wierzchu stodół, chwieją się na furze całą kibicią i siedzą tylko sztuką równowagi. O piątej z rana wstała moja Babka, ale w długiej i rzewnej zatopiona modlitwie, do ósmej klęcząc z Bogiem rozmawiała. Ileż to tam uczuciów przez tę wybraną przewinęło się duszę?!.. To dziękczynień za opatrzność nad nią i nad dziećmi opiekę,—to modłów za duszę męża, to prośb

o szczęśliwe córki rozwiązanie, to błagalnych westchnień o pomyślność dla Zborowa i jego mieszkańców, to znowu życzeń, aby sąsiadom i dobrym przyjaciółom Bóg błogosławił, to iżby podróż tę bez szwanku zdrowia córki i bez wypadku śmierci nagłej lub czyjzego kalectwa odbyć jój pozwolił, aż w końcu, aby i ją też Bóg na nowej nieopuścił siedzibie, ale dopomógł jój do prowadzenia życia zgodnego z wolą i przykazaniami Bożemi. Ojciec mój parę razy drzwi zwolna uchylwszy zaglądał, ale nie miał odwagi przerwać tych świątobliwych serca afektów ani przeszkodzić rzewnej modlitwie, sam więc łzami zalany, przyglądał się matce z wiarą, że Bóg jój prośby słucha.

Po ósmej zajechał ksiądz Jaszczurowski, który ofiarował się babce towarzyszyć w tej podróży, a turkot bryczki przerwał święte jój rozmyślenia. Spojrzała na srebrny zegar podróżny, który jak-to w ówczas robiono, miał trzy koperty i był wielkości bochenka chleba; widząc zaś że już minęła ósma, potrzykroć się przeżegnała, a krzyż Śty na sercu zrobiwszy wstała i do zwykłego na ziemi życia obudzona, wróciła jakby drugim na świat powrotem z krainy wyższej zjednoczenia duszy z Bogiem, do jedności z ludźmi która jest pierwszej warunkiem.

Ksiądz Jaszczurowski z Ojcem moim uradził, aby podróż do Proszówek podzielić na dwa dni i zanocować w Słomianem Brzesku. Raz, iż podróż jest daleka

rzecz ksiądz Jaszczurowski, a potem, iż jechać w no-
cy niebezpiecznie; — przewóz zły pod Sierosławicami,
a przytem obiedwie panie po takim afekcie wypocząć
potrzebują.

Przy kawie zeszli się podróżni. Babka moja w wy-
razie swój twarzy przedsaćwiała zwycięstwo boleści
przez siłę modlitwy. Smutek jój był słodki a dusza
wyższej woli poddana, niosła w łagodnym uśmiechu
pociechę obecnym którzy łyzy połykali, lub niemogąc
się wstrzymać, łkaniem przytłumionem żal swój zdra-
dzali. Matka moja napróżno gwałt sobie zadając chcia-
łaby łyzy swe utaić, Ojciec mój także oczy co chwila
ocierał, a ksiądz Jaszczurowski obracając sygnet na
palcu, chciał mechanicznym zajęciem, duszę od głó-
wnego przedmiotu odwrócić.

Czyli ta kawa komu smakowała, każdy łatwo poj-
mie, ale ks. Jaszczurowski wymagał aby się nią panie
posiliły dla samego już zdrowia. Zaledwie skończono,
a wnet powszechny płacz się rozpoczął tak państwa
jak służących i całej czeladzi, a długo odbijał się echem
po schodach, sieni i kuchni.

VIII.

Chwila wyjazdu, — i przyjazd do Proszówek.

Trzy czwórki prowadzone przez dzielnych krakow-
skich fornali a para na przyprzążkę do karety méj
Babki stanęły na podworcu. Litwinki chociaż młode i
żywe ale ujeżdżone i z szlachetnego miotu, same idą
do dyszla; grają wprawdzie wędzidłem, jednak zaprzę-
gać się dadzą. Druga czwórka w powozie, chociaż
z tak wybornego niepochodzi stada, jest jednak zu-
chwalsza i ledwo przymusem da się skłonić do cią-
gu, a nie dziw, bo też i między ludźmi często wi-
dzimy, że narowy trzymają się tych właśnie którzy
się wypaśli lecz nie wychowali. Trzecia czwórka naj-
mniejsza, gładka, grubopłaska, staje przy kolasce: jest
to prosta fornalka, która chociaż do pługa i bron
przeznaczona, służy i do powozu w niedzielę na Sum-
mę, a także do podróży bywa używaną. W tej czwór-

ce każdy widzi nałóg do pracy i cierpliwość w ucisku,—Siodłowy łeb zwiesiwszy przyjmuje naszelnik i nareczni kark schyla pod jarzmo przeznaczeń, a licowe westchnąwszy pomyślały sobie, pójdziemy gdzie nam każą, w nadziei popasu. Gdy wszystko już było gotowe Michał czwałem wypuścił na myszaty koniu, stanął na czele orszaku, poprawił się na siodle, cugle w rękę zrównał i dał znać Rzepeckiemu, iż państwo już siadać mogą, a Rzepecki też zaraz odniósł dane mu poselstwo. Babka moja nie przez cały ciąg życia niezaniebdywała cokolwiek nam kościół Boży nakazuje, a nawet i tego, co nam radzi lub co było w prawowiernych Chrześcian obyczaju: dla tego w chwili odjazdu prosiła ks. Jaszczurowskiego o błogosławieństwo na podróż dla siebie, dzieci i służących, do czego też ks. Proboszcz w roztropnym przewidzeniu wszystko przygotował, to jest stół, książkę i święconą wodę. Zwołano wszystkich ludzi, a Babka oraz rodzice moi padłszy na kolana, wśród kłęczącej czeładki, w kornym ciała układzie i z głową schyloną łączyli się w intencji z modlitwą kapłana, który górując postawą, czytał drżącym i rozrzewnionym głosem łaciński exorcyzm ku tej okoliczności w książce (zwanej Agenda) umieszczony. Potem przeżegnawszy obecnych wodą święconą, w cztery strony pokropił, i dodał po polsku: błogosławieństwo Boże, niechaj będzie nad Wami, a Pan nasz i Zbawiciel Jezus Chrystus nie-

chaj stanie się siłą Waszą, pociechą, światłem, drogą, i nagrodą waszą.

W tenczas znowu oboje Rodzice rzucili się do nóg mojej Babki, a oblewając je łzami prosili o macierzyńskie błogosławieństwo. — Babka ze łzami błogosławiąc, dźwigała swe dzieci, aby je uściskać, upieścić, przy sercu utulić, ale siłami wydołać nie mogła, więc ks. Jaszczurowski Ojca mego podźwignął a Matkę moją panna Szadurska z Tuchowską. Lecz nie tu koniec, bo znowu cała służba razem i kolejno płacząc rozpaczliwie i do nóg méj Babki rzucona, utulić się nie dała: a na schody, sień i podworzec zbiegła się gromada, żegnać swą panią nad którą lepszej nie znajdują. Niebyłoby i końca temu rozczuleniu, lecz ks. Jaszczurowski wziął pod rękę matkę Babkę i na dół sprowadziwszy, w karecie umieścił, gdzie obok niej moja Matka siadła. W drugim powozie usiadł mój Ojciec z ks. Proboszczem, kolaską zaś, panna Szadurska stołowa panna mojej babki, Tuchowska i Wojciech Rzepecki jechali. Gdy zaś hajduk za karetą na ogromnym tłumoku pokrytym skórą z dzika wygodnie się ugnieździł, — koniuszy strzelił po dwa kroć z harapu i ruszył na przód klósem, a za nim powozy.

Nieuszło i godziny, a już nasi podróżni stanęli za nowym miastem Korczynem nad Nidą, która jakby niebieską wstęgą opasywała czoło staroświeckiego grodu ów przepyszny kościół Bernardynów, który teraz

niestety upada, tak jak i wszystko na świecie co stare a święte. Michał koniuszy zawołał przewoźników, przystań urządził, dopilnował przewozu, a w cztery godziny później do Słomianego Brzeska za dnia dojechano.

Nazajutrz po Mszy Świętej którą ks. Jaszczurowski w kościele Brzeskim odprawił, udano się w dalszą podróż. W krótko do Sierosławie zdążyli podróżni, gdzie ich przez Wisłę czekała przeprawa. Na drugim brzegu już stał Boratyński pisarz z Proszówek, i ledwo zdaleka powozy zobaczył, zdjął czapkę, kurtkę poprawił i na pram wyskoczył. Holuj przedź! zawołał on na przewoźników, bo już JWżna Starościna jedzie z Zborowskim Państwem! dalejże do wiosel! górą, górą, niespuszczaj na dół, bo nas prąd uniesie! Dobrze, tak, tak, jeno przedź aby państwo nie czekało! — Teraz prosto do przystani, kieruj rudlem, chwytaj linę a dobrze ją zwiąż u pała. — Wy zaś chłopcy do osęków! podeprzeście pram u spodu, aby ani drgnął. Wykonano, ... Łódź przybiła, a Hajduk i Boratyński na pomoście z stron obydwu, powóz méj Babki trzymają.

U przewozu Boratyński powitawszy moją Babkę, zaraz wrócił do swojej komendy, i znów krzyczy Spuszczaj wolno, i nieżałuj tam ramienia! Cóż to znaczy, pram nie idzie? może stoi na mieliznie? Wy cofajcie a wy bokiem pram kierujcie. Nuże wszyscy! dalej

razem! od téj strony, dalej, dalej. — Ho! już dobrze! płynmy z Bogiem.

— Cóż tam słyhać Boratyński? zapytała się moja Babka.

— Wszystko dobrze Jaśnie Pani, tylko długośmy czekali na Jaśnie Państwa, aż nam było tęskno, ale chwała Bogu kiedy państwo zdrowi i razem jadą, będzie nam weselej, i zaraz w Proszówkach wszystko się odmieni.

— Jak się ma Kaliciński? znów Babka zapyta.

— Zdrow Bogu dzięki, a cóżby mu było? Zasiał Zborowski owies i groch ze Zborowa, a teraz ma siał jęczmień także ten Zborowski, i malarz już wykończył, kaplica gotowa, z Krakowa przysły wszystkie aparata, i kapelan przyjechał Jaśnie Wielmożnej Pani ks. od Marków, pocziwy staruszek!

— Zkądże to wszystko? rzeknie moja Babka to już Ignas kochany tę mi zgotował pociechę. Niech mu Bóg płaci! Uściskawszy więc z rozrzewnieniem Matkę moją, dopytywała się jak i kiedy to wszystko dało się uskutecznić? Lecz Matka moja nie wiele szczegółów dodawszy, zeznała tylko, iż się tém jéj mąż z synowską zajmował troskliwością.

Pram szczęśliwie przybił do brzegu. Powóz toczył się już cesarskim ku Bochni gościńcem, przez ukośny skrawek Niepołomskiej puszczy, a za półtoréj godziny stanął przed nową siedzibą méj Babki.

Przed domem pod wystawą stał ksiądz Żabiński Proboszcz z Krzyżanowic, a obok niego ks. Adrian kapelan, przy którym Filaczyński Mandataryusz, za nimi zaś Kaliciński z żoną i dziećmi, Mikołaj karbowy, Widła, który był kuchcią w Zborowie a w Proszówkach się ożenił, i był jak nazywano gruntowym kucharzem. Podworzec pełnym był wiejskiego ludu, życzliwie dziedziczkę swoją witającego. Gdy zaś ksiądz Żabiński jako miejscowy Proboszcz podróżnych u progu domu przywitał, Organista z nagotowanych odpustowych moździerzy potrójną salwę wypalił, która nieposzła w smak Litwinkom, bo pomimo iż były zmęczone podróżą, w bok skoczyły i strzygły uszami, chrapiąc, parskając i nogą ziemię grzebiąc. Dobięgl więc koniuszy, a uprosił Organistę iżby drugi wiwat zachował na czas obiadu. — Ksiądz Żabiński podawszy rękę méj Babce do bawialnego pokoju ją zaprowadził, a tam pokłoniwszy się wszystkim odezwał się uroczyście.

Jaśnie Wielmożna Starościno! Gdy świata przeznaczeń taka jest kolój, iż jako pory roku jedne po drugich następują, tak się i wypadki oraz ludzkie zmieniają losy, przeto po smutnej zimie która Cię w żalu po stracie czcigodnego męża spotkała, przyszła też wiosna pociechy jaką przysparzają dzieci cnót twoich nieodrodne dziedzice. Porzuciłaś obszerniejszego majątku posiadanie, dla uposażenia Cór i Synów

swoich a zamykasz się w skromnem w prawdzie ale miłem Proszówce ustroniu. Przyjmuje cię z radością nasza okolica, którą budować będziesz przymiotów duszy wzniosłością, i zład możesz być JWna Starościno przekonana, iż dni Twoje w gronie wiernych a szanujących cię przyjaciół płynąc, nie będą frasunków obciążone brzemieniem, ale ci słodko schodzić będą, dopóki Bóg wiecznej korony zapłata onych mienagrodzi. — Jutro w Krzyżanowicach na intencją pomyślności Twojej odprawimy solenne nabożeństwo, do którego na Celebransą Wgo Księdza Proboszcza Soleckiego zapraszając, asystować mu wraz z księdzem Kapelanem O. Adrianem będę.

Ksiądz Adrian mało dotąd Babce méj znany przystąpił, a ręce w dwóch szerokich rękawach zatopiwszy tak się wyraził:

Z polecenia moich przełożonych zakonu Śgo Romualda, na kapelana tutaj przeznaczony, mam zaszczyt przedstawić się Jejmości Pani Starościnie Dobrodziejce jako niegodny sługa Boży i Bogomódlca. Niewiem dla czego na mnie najmniej na względy zasługującego, ten zaszczytny a miły przypadek obowiązek, skoro inni Patres więcej nauki i sił do pracy na chwałę Bożą posiadający, lepiejby temu odpowiedzieli. Gdy jednak taka była wola moich przełożonych i życzenie zacnego zięcia JWój Pani, to racz łaskawie cierpieć w swym domu starca, który przy codziennéj ofierze Mszy Stój

i przy pacierzach kapłańskich za Jaśnie Wną Panią i jój rodzinę modlić się będzie.

Babka moja podziękowawszy z czułością i uszanowaniem księdzu Proboszczowi z Krzyżanowic, również jak i księdzu Adryanowi, uderzoną była świątobliwą prostotą drugiego, i tkliwie spojrzawszy na mego Ojca, chciała mu oczami wyrazić wdzięczność za tak trafny wybór kapelana.

Wkrótce potem odeszły panie do bocznej komnaty aby się przebrać z podróży i w domu urządzić—księża rozmawiali z sobą, a Ojciec mój Kalicińskiego słuchając raportów, dopytywał się troskliwie o szczegóły gospodarstwa i o potrzebne dla Proszówek zasoby.

IX.

Proszówki.

Jeżeli w naszym kraju niema równego miast przepychu jaki za granicą podziwiamy, i jeśli ani przemysłowym ani fabrycznym nie odznaczamy się ruchem, to wzamian wsie nasze i sioła tak są piękne, iż podobnemi nie poszczyci się lada ziemia. Bo wieś nasza to prawdziwie cząstka przyrody zachowanej w pierwotnych zarysach. Ręka ludzka jakby témczasowe rozbiwszy namioty, nie zbudowała sobie w uroczyci okolicach wiecznego mieszkania, ale w pochodzie ku wyższemu światu, zatrzymała się w tym nieba przed-sionku, aby dorabiać wątka życia na precudnym warstacie żyźnej roli Bożej, ustrojonej łąk kobiercem, wieńcami lasów i zwierciadłami rzek, jezior i strumieni. W liczbie włości zdobiących nadwiślańskie wybrzeża, słusznie pomieścimy Proszówki, położone nad Rąbą blisko jój ujścia w Wisłę, graniczące z miastem Bochnią (sławném z kopalni soli) a zasłonięte od pół-

nocy ścianą wiekowych dębów Niepołomskiej puszczy. Wioska ta rozesłana po dwóch stronach rzeki, uzniona jęj namulem, ale zagrożona ciągle wylewami, podobną jest do urodziwego młodzieńca który obok zewnętrznych wdzięków nosi zaród choroby i zawczesnej śmierci. Ile razy majowe słońce pobudzi zasiane zboża do bujnej roślinności, to rolnik w połowie się tylko cieszy nadzieją bogatych zbiorów, bo wie, iż zwykle Śty Jan ulewą płacze *) a Raba te łzy gorzkie po niwach rozleje. Ale rolnik pomimo wróżb tak smutnych, ciągle ziemię uprawia i ziarnem obsiewa, licząc, iż kiedyś będzie mu wzajemną i odwzięczy pracę jego bogatą płodnością.

Bo też w istocie rolnik w osobnym stoi z Bogiem i ziemią rachunku, a w dwóch słowach zamyka liczbę strat i korzyści: *„Bóg dał, Bóg wziął”*. Gdy go więc jaka spotka szkoda, to tylko przestawi wyrazy, i pocieszy się nadzieją, że, *„Bóg wziął dzisiaj a jutro da”* i ożywiony tą myślą, znowu orze i sieje nieoglądając się na piętrzące rzeki fale.

Co więcj: mieszkaniec Proszówek lubi tę rzekę psotnicę i tęskniłby za nią, gdyby zmieniwszy koryto, oddaliła się od jego pola. Jakiś tajemny węzeł łączy bieg jego życia z prądem wody. Raba płynie do Wisły a tonie z nią w głębi morza. Człowiek wpływa

*) Znane proroctwo rolników, iż jeśli Maj jest pogodny, to około Śgo Jana ciągle padają deszcze i tworzą rzek wylewy.

przez życie w wielkie morze wieczności. Otóż między niemi ten stosunek jest jakby małżeństwo, w którym przechodnie i chwilowe burze, niezrywają trwałości ślubu ani wspólności przeznaczeń.

W środku pól stanowiących dworską w Proszówkach własność, stał za życia méj Babki stary dom mieszkalny, czyli jak zwykle nazywano dwór, który acz w pierwotnym zarysie był małym, jednak rozrósł się późnięj różnemi przystawkami w miarę przybywającej rodziny. Część jego zajmowała moja Babka, a resztę, goście, rezydentki, ks. kapelan i domownicy.

Kaplica ośmioboczna na przeciwko okien bawialnego pokoju zbudowana, a tajemniczo w kępach rodzajnych drzew ukryta, tę przedstawiała dogodność, iż gdy stan zdrowia méj Babki niepozwalał jęj z domu wychodzić, mogła i z pokoju Mszy Świętęj słuchać i ołtarz widzieć. Dzwonek zaś na wierzchu zwany sygnaturką, ogłaszał wiernym chwilę nabożeństwa a razem po trzykroć wyzywał do modlitwy na Anioł Pański; w końcu zaś w każdy piątek tygodnia zwiastował ubogim chwilę rozdania powszechnęj jałmużny. Nieco dalej w dziedzińcu za studnią, stał budynek zwany oficyną który różne miał przeznaczenia. Był on razem i gmachem rządowym mandataryalnej władzy, i mieszkaniem Sędziego, a razem kuchnią i piekarnią. Tam się też mieścił kuchmistrz, kucharz i kuchciki, tam i karbowy łoże swe za piecem urządził, a

w izdebce gdzie była magiel spoczywały dziewczki, rygłem na noc zasunięte.

Na przeciwko oficyny — po drugiej stronie, były stajnie, wozownie i spichlerz, a o podał za ogrodem stodoly; niżej za drugą bramą browar piwny i gorzałczany, a przy nim dobudowanych kilka gościnnych pokoi.

Zaraz za dworem długo i szeroko rozścielał się ogród, a w nim był las gruszek, śliwek i jabłoni; w nimto łutowe wiśnie, tereśnie morawskie, białe i czerwone. W nim szpalery z dereni i niższa podsada zagrestu i pożyczek. Bliżej zaś okien były rabaty czyli starannie uprawione grzędy, na których swobodnie bujały truskawki, w granicach wszakże szlaków bukszpanowych. Dalej przy płocie najeżonym cierniem, który stanowił granicę ogrodu, apteczne sadzono rośliny, jakoto: bożedrzewko i miętę, barwinek, józefek, włoski rumianek i ślaz ogrodowy. Znowu idąc szpalerem w środek ogrodu, spotykano okrągłą przestrzeń wolną od drzew i zarośli. Tam się rozwijał namiot wśród skwarne go lata, a w nim kawę pijano, również też zastawiono podwieczorek, a często nawet obiad. Panowie zaś którzy do Proszówek tłumnie się zjeżdżali, wychodzili zwykle do namiotu na fajki i pogadankę. Treści ich rozmowy niebardzobym śmiało przytoczyć, bo czasem osnutą była na zbyt wesołych zdarzeniach.

Lecz ogród był swoją drogą a sad znowu obszerny był za oficyną (po drugiej stronie drogi) — nazywano go winnicą, chociaż zamiast winnych latorośli, sadzono w nim kapustę, marchew i inne jarzyny kuchenne. W środku tego sadu była piwnica dużych rozmiarów; świadczyła ona o znacznych zapasach i o dawniej ochocie. Ale za rządów mojej babki była ona pustą, bo wiemy, że się kobiety na tem mało znają i boją się sposobić w ten materyał palny. Niedaleko od dworu przy drodze prowadzącej do cesarskiego gościeńca, ciągnęły się aż do rzeki dwa szereg chat włościańskich w pośród lasu wierzb i nadwiślańskich topoli.

Idąc w prostym kierunku, natrafiało się na dawne koryto Raby zwane Rabiskiem, gęstą trzečiną i tatarakiem zarosłe, ale tak głębokie, iż tam olbrzymie wyrastały ryby i mnożył się też narybek, trzebiony dzikiego ptastwa stadami i łakomą wydrą. Ślady tego zwierza widywał na śniegu Boratynski pisarz prowentowy, lecz mimo iż się na niego po księżycu przez kilka nocy zasadzał, i chciał wydrę na czapkę upolować, nigdy jej podejść nie mógł, i za całe myto, zmarznięty z pustą torbą do domu powracał.

Za Rabiskiem i Rabą poniżej płynącą, Krzyżanowice na płaskiej zaległy przestrzeni, w środku zaś wsi wznosił się kościół parafialny ze strzelistą wieżą, która piętrzyła ku niebu, jakby modlitwa z prostej duszy

płynąca, która jedna bywa wysoka wśród myśli poziomych. Do tego więc kościoła jechało się na Sumnę, a po nabożeństwie nie jedną chwilę przyjemną spędzało się w towarzystwie gościnnego i wesołego ks. Proboszcza.

Otóż się i kończy opis Proszówek, a byłoby zbyt zbytecznym więcej mówić o wiosce, która tém tylko i wdzieczna i piękna że w niej wszystko Bóg stworzył a człowiek jeszcze nie zepsuł. Kiedy zaś mówię: iż człowiek nie zepsuł, to niechęć przez to rozumieć ulepszeń i ozdób jakimi praca ludzka wzbogaca przyrodę, lecz spustoszenia, któremi swawola i nieogłędność ją uboży.

Chcę potępić owo lekkomyślne lasów wyniszczenie, ogrodów zdziczałość, pól i łąk zaniebanie, których smutne przykłady zbyt często widzimy.

Wielu właścicieli zapomina, że ich wieś jest częścią kraju dla którego synowskie mają zachować uczucie, — a przeto pustosząc wieś, szarpią i niszczą kraj w jego częściach, tamują źródła ogólnej pomyślności, i ubożąc przyrodę, sami nędzieją i wpadać koniecznie muszą w stan upodlenia i smutnej zależności.

X.

Pierwszy dzień w Proszówkach.

Pierwszy dzień przyjazdu do nowej siedziby, tak zajął umysły natłokiem wrażeń, że nikt z podróżnych niezdawał sobie sprawy, że zmian jakie zaszły w stosunkach rodzinnych i domowych. Zdawało się, iż zajechano tylko do Proszówek w gościnę, ale z rychłym do Zborowa powrotem. — Babka moja ucieszona kaplicą i Kapelanem, który jak Symeon z upodobaniem tam przesiadywał i brewiarz odmawiał, mniej się troszczyła o własne wygody, widząc iż Chrystusowi Panu przyzwoicie odnowiono małą ale schludną Świątynię. Matka moja ucieszona odświeżeniem domu, obchodziła pokoje, tworząc plany najstósowniejszego umieszczenia. Tuchowska jednak, pragnąc absolutne w Proszówkach rozpościerać rządy, szła w trop za moją Matką pomrukując przeciwne zamiary i pomawiając z cicha, zdania jej myśli przeciwne. — Poczciwa Szadurska panna stołowa mej babki, przyjęła

odrazu i bez szemrania naznaczony jej kącik i już nad swoim łóżkiem przybijała gwoździe, na święte okrazki, a także trochę dalej na angielską gitarę i tamborek do haftów. — Jój pokoik narożni przyklepiony do domu jak jaskółki gniazdo, tę przedstawiał dogodność, iż miał dwa wejścia, jedno do sypialnej komnaty méj babki a drugie do sionki prowadzącej przez podwórze do kuchni. Tędy więc żelazka do prasowania, tędy i wodę noszono, tędy i dziewczęta wchodziły, a jakto dalej zobaczymy, tędy i miłość weszła do serca panny Szardurskiej, ale miłość czysta jak czystą była dusza téj pobożnej i poczciwej panny, oraz jej przyszłego kochanka a później małżonka. — Rzepecki zaraz się w sali jadalnej rozgościł, i w szafach stołowe sprzęty poukładał, a z szedłszy się z kredensowym swoim adjutantem, stanoweze w swym oddziale wydawał rozkazy. — W sieni atletycznie rozparty hajduk, kolanem ładowne rozpiął łomoki, a dziewczęta pokojowe, stały przed gankiem, niewiedząc co czynić? czy znosić pudełka lub w nowej ojezyźnie się rozpatrywać? W tém nadeszła Tuchowska, a jak przed jastrzębiem drobne ptaki się kryją, tak dziewczęta na widok klucznicy uciekają gdzie która może, ta niosąc pudło, tamta zawiniątko. Tuchowska już wszędzie była: na strychu, w piwnicy, w kuchni, w ogrodzie, w chlewach i krowiarni, wszędzie coś nagaśniała, obiecała zmianę i to niebawem, bo nowe jój

rzędy, bez koniecznej reformy obejść się nie mogły. Zmęczona tą lustracją usiadła przed gankiem; w tém idzie Kaliciński więc zaraz do niego się odzywa: — Hej Mości Kaliciński, proszę tutaj Waszei, bo się też rozmówimy, —

— Niemam czasu odrzeknie, mam wydać obroki, — Ale choć na dwa słowa, bo zkimże pomówić? wszyscy służący nam powartogłowieli! — nikt mnie nie słuca — biegają — kręcą się, a to na nic taka sprawa, z tego nic nie będzie, tu trzeba zupełnie inaczej rozpocząć, i fundamentnie zabrać się do rzeczy.

— Dobrze, dobrze, odrzeknie z śmiechem Kaliciński — i poszedł w swoją stronę, lecz za nim Tuchowska śledzi okiem: wargi jój się trzęsą, a dźwignawszy się z ławki postąpiła dwa kroki, i mówi sama z sobą: — Oto mi pan Rządca, Ekonom Plenipotent, który niedawno krowy pasał, a dzisiaj że za moją radą na tę funkę został wyniesiony, już mówić niechce; — poczekaj Kalito! ja ci przystawię stołka u pani Starościny, bo co panna Tuchowska to nie Kalita! czy tam Kaliciński, jak się przezwąć raczył. —

Słońce już do zachodu poczęło się chylić — w krótko po nim zmierzch przyszedł, i dano wieczerzą, lecz mało kto jadł, bo już z dnia jasnością, zniknęły pierwsze wrażenia, a przychodziło duszy oddziaływanie. —

Po wieczerzy, Babka moja więcej o zdrowie córki jak o swoje baczna, chciała ją na wcześniejszy wy-

prawić spoczynek, więc mówi: moje dzieci, już czas odpocząć, — spróbujmy na tej nowej siedzibie noclegu — szczęśliwą będę gdy przebudziwszy się jutro, pomyślę sobie iż moje kochane dzieci posiadam w gościnie, pod moim dachem u mego stołu, i przy mojm sercu. — Idźcie spocząć, niechaj was Boscy aniołowie strzegą. — Matka moja znowu płacząc, ucałowała kolana swj matki, ojciec jěj ręce, a babka jak zawsze, krzyż kładąc na ich czole i cichą zmówiwszy modlitwę, którą tylko znał Bóg i ona, uściśkała swe dzieci, i poszła do siebie gdzie ją moi rodzice odprowadzili, i raz jeszcze ze łzami pożegnali.

— I cóż dobra Szardusiu, rzecze moja babka, jakże ci się tu podoba, czy myślisz że ci tu będzie dobrze nie będzie ci tęskno? —

— Oh droga pani! choćym za morza i na kraj świata z panią pojechała, toby mi wszędzie dobrze było. — A wreszcie tu bardzo wesoło i jeszcze weselėj jak w Zborowie.

— To wszystko winniśmy staraniu mego zięcia. — Jakiż-to szlachetny człowiek!... I mnie się zdaje że nam tu będzie dobrze. Jest kaplica!... domek wygodny..... Tylko że od dzieci będę daleko!!... Wisła nas dzieli a gdy wody zbiorą jakże się tam dostać?.... Wszystkie moje dzieci za Wisłą, a ja jedna tylko po tēj stronie rzeki!... I o tem myśląc łzami się zalała, ale w jednej chwili zwrot myśli ku Bogu ją uspokoił;

uknęła do pacierza i długo w noc to na książce to myślnie odprawiała modlitwy, a potem w stronę gdzie spoczywały dzieci, i wtę gdzie inne mieszkaly, żegnając ręką oraz relikwiami, do snu się ułożyła, i spoczęła pod strażą aniołów. —

O trzeciej z rana kogut piał przed oficyną i pobudził domowe ptastwo. Gęsi zamknięte na noc, odpowiedziały mu chórem, kaczki chrapliwem głosem robiły mu wyrzuty, iż zbyt wczesnie hałasuje. Lecz kogut piał jak najęty lub jak stróż na wieży, głosząc na niebie bliskie już słońca pożary. — Jeszcze dzień niezaczęło, a już Szadurska w pruchno ogień krzesala i umaczanym w siarce papilotem, gonila po skorupie przebiegające iskierki — światło błysło w pokoju, a Babka moja przebudziwszy się, krzyż święty na czole ustach i piersiach położyła a myślom oddając się, dumala, że dom ten w jēj wdowieństwie jest już przedsiönkiem grobu, że tu zepewne ostatni akt życia odegranym będzie; iż samotna większą część dnia poświęci tęsknym o dzieciach myślom, że wreszcie ograniczy się w wydatkach i odmówi sobie jedynėj może pociechy w chojnym podjęciu przyjaciół. — Oddając jednak te myśli Boskiemu rozrządzeniu, zakończyła zwykłą ducha swojego zwrotką: Panie, niechaj w tēm jak i we wszystkiēm wola się Twoja dzieje. I to najlepszy finał każdej naszej myśli i wszystkich naszych zamiarów; bo Bóg najlepiej wie co dla człowieka jest zba-

wienném. Jakoż w obecnym nawet przypadku Bóg inaczej rozrządził niżeli Babka moja myślała, bo tę piękną duszę wyprowadziwszy z zacisza domowego, postawił na widni wśród miejskiego życia, ku większemu może ludzi zbudowaniu. —

Już zegar czwartą wybił, a promienie wschodzącego słońca, w serece okiennicy sypialnego pokoju méj babki, uderzały. — Nowy ten widok zajął ją, i cieszyła się, że pierwsze w Proszówkach światło dnia w ten sposób ją powitało. — Daj Boże rzekła sama w sobie, aby i moje serece Bóg promieniami niebieskiego światła oświecał! Przywołała Szadurskiej, i zwracając jej uwagę na okiennicę, rzekła: patrz jaki piękny promień, serecem w téj okiennicy na nas zagłada, musi być niebo pogodne?.,

— W istocie pogodne, a to wróży szczęście, wierze mi Jaśnie Pani! bo gdyby niebo było dzisiaj pochmurne, toby znaczyło smutek, a gdyby deszcz padał, toby oznaczało dzy. Lecz na niebie niema ani jednej chmurki a rosa jest obfita, to więc znaczy błogosławieństwo i plon. —

— Moja Szadursiu, jakże się to zgadza z twoją wiarą, budować przyszłość na takich zabobonach?

— To nie zabobony, odrzekła Szadurska, najstarsi ludzie i ludzie pobożni mogliby to potwierdzić. — Ja słyszałam to od mojej matki, a moja matka dużo wiedziała takich rzeczy, od mego ojca, który pochodził z Ukrainy, gdzie wszystko umieją wytłomaczyć i wy-

wróżyć. — To jest więc pewne, i może się pani nawet Xiędza proboszcza albo Xdza Kapelana spytać.

— Dzięki Bogu rzecze babka za tę wróżbę, czy pewną lub nie pewną, bo i promyczek słońca będąc od Boga, przynosi jakieś dla duszy wesele. — Czy dzieci moje śpią jeszcze? —

— Sama pani śpi (odrzeknie Szadurska) ale pan już chodzi, i rozmawia z Xiędzem Kapelanem — JWa pani wie, iż pan nigdy później od słońca nie wstaje. Lecz czemu się to JWa pani tak wcześnie obudziła? Czy nie dobrze było spać? Może złe łóżko usłane; może zmiana miejsca? Niech jeszcze JWa pani wypocznie, bo i podróż panią znużyła, i rozczulenie zmęczyło, a wreszcie myśli pani ciągle o rozłączeniu się z dziećmi, a mnie się zdaje, że tu pani młodszą słabość swą odbędzie i wnuczkiem panią udaruje, i pani Teofila Gostkowska tu zjedzie i pan Kacper często będzie bywał, a i pana Stefana wkrótce się doczekamy, i wszystko będzie dobrze!

— Moja pocziwa Szadursiu, odpowie moja babka, czy ci te wszystkie pociechy promyczek w okiennicy wywróżył? —

— JWa pani żartuje z promyczka, odpowie Szadurska, a ręczę iż się to wszystko sprawdzi! —

Teraz przysuń mi stoliczek z książkami.

— Stoliczek?... rzecze Szadurska — przecież został w Zborowie.

— Ah prawda!..., powie z westchnieniem moja babka; zapomniałam że już jesteśmy gdzieindziej.— Otwórz okiennicę, abym się oswoiła z tém nowém moim mieszkaniem. —

— Niedziw, — tyle lat, ale i tu się przyzwyczaję, mam nadzieję że nam będzie swobodnie w Proszówkach — zobacz która godzina?

— Po piątej dopiero, czy JWa pani nie zaśnie?

— O, nie, moja Szadursiu, pojedziemy na Mszą Śtą do Krzyżanowic a zanim zmówię ranne modlitwy i do słuchania Mszy Świętej się przygotuję to i czas zejdzie.

Jakoż zajęła się Babka moja odmawianiem zwykłych modlitw swoich które gdy zaledwie skończyła, dała się słyszeć na podworecu muzyka Górników z Bochni, którzy wedle uprzejmego zwyczaju przyszli grać na dzień dobry najprzód marsza, potem poloneza, a później Mazurki i Krakowiaki, aż zakończyli symphoniją.

— Cała służba wybiegła, a wszyscy się zgodzili, iż doskonale grają! — Kaliciński tylko który też sam rzempolił na skrzypcach z towarzyszeniem Boratyńskiego na basetli, chciał krytykować, ale zakrzyczany, umilkł, i tylko jako znawca nogą takt wytupywał. — Zupełnie inne wrażenie robiła ta muzyka na psie *Bukiecie*, który najżałośniej wył i skuczał, a przy Symfonii już się w żalu utulić nie dał. — Bardzo to pannę Szadurską martwiło, gdyż wycie psa według prze-

powiedni które po ojcu odziedziczyła, wróżyło śmierć albo wojnę. — Poszła więc zwierzyć się smutnych przeczuciów Xdzu Adryanowi stojącemu pod gankiem, ale staruszek się oburzył, zbywając ją krótko: Bóg wiara, Mościa panno!... Po zgromadzeniu się rodziny w bawialnym pokoju, zaszyły powozy, bryczki i półfurki, które zawiozły państwa i całą służbę na mszą Śtą do Krzyżanowic — Za powozami jechali konno, p. Kaliciński, Michał Koniuszy i Boratyński. — Że zaś panu Filaczyńskiemu Mandataryuszowi klacz okulała, więc siadł na bryczkę obok panny Szadurskiej, a to pierwsze zbliżenie, stało się zadatkem rozleglejszych i tkliwszych na później stosunków. — Po summie odwiedzone Xiędza Żabieńskiego proboszcza Krzyżanowic, który damy słodkim winem traktował, mego ojca i Xięży śliwowicą węgierską a resztę wódeczką, ofiarując podwójną przekąskę z tataraku w cukrze smarzonego i pierniczków na opłatkach, których mu po-bożna życzliwość zakonnice Staniąteckich dostarczała. Moja babka prosiła go na obiad, i wróciła z całym orszakiem do Proszówek, w myśli weselszej i z uczuciem pewnej wewnętrznej pociechy.

XI.

Węgry z towarami.

Gdy orszak wracający z kościoła przed dom zajędział, pies *Bukiet* który i sercem i dziwnym zmysłem nad psim rodem górował, stał już przed gankiem, a ucieszony, to w miejscu podskakiwał, to znowu na przednich łapach przychyliwszy się do ziemi, rzucał z pod oka tkliwe umizgi. Z pomiędzy osób które wysiadły z powozów, odszukał mojej babki i pyskiem za róg szalu wzięwszy, ostrożnie do bawialnego pokoju prowadził. — Jakoż: to było nader w tym psie zadziwiającem, iż z pomiędzy gości przybywających do Proszówek umiał zawsze odszukać najwyższej postawionej hierarhicznie czy z wieku czy ze znaczenia osoby, i tę wzięwszy za połę od sukni, z sieni aż do pokoju odprowadzał. — Świadome tego obyczaju osoby, poddawały się tym oznakom psiej nawet w Proszówkach gościnności, ale inne które fałszywie przesądzały zamiary *bukieta*, niemałego nabawiały się strachu:

Zaledwie się rozgoszczono, odezwał się *bukiet* na podwórce w groźném usposobieniu. Kaliciński który znał pociągi i wstępy *bukieta*, odgadł zaraz, że żydy lub węgry z pudłami zbliżać się muszą, gdyż z temi dwoma rodzajami ludzi, *bukiet* nigdy niezawierał sojuszu. W istocie byli to Węgrzy, którzy łokciem który służył razem i za laskę broniąc się *bukietowi*, do dworu się zbliżali. —

Moja Babka rada była tym gościom, bo serce jęj potrzebowało rozlać się i w podarunkach dla ludzi którzy ją otaczali: — Ona sobie umiała wszystkiego odmówić, ale największą było dla nięj pociechą obdarzać drugich. Wygodny ku temu środek przedstawiali Węgrzy, którzy w ogromnych pudłach, wszelkiego rodzaju i na wszelkie ceny towar roznosili. — Postacie to były ciekawe i malownicze! — Słowak taki węgierski pleczystej budowy, w kurcie węgierskiej bez rękawów, z włosami długimi w tył zaczesanemi a przytrzymanemi grzebieniem okrągłym z przodu głowy osadzonym, dzwigał na barkach swoich pudło w worku zawiązane, do dwóch cetnarów ważące. Chodząc z tym swoim skarbem po całym Bożym świecie, zbierał do skórzanęj kalety, w mosiężne centki strojnęj, a przez ramie przewieszonęj, skromne korzyści swęj pracy i mozolnęj podróży. Podpierał się laską ozdobną w mosiężną siekierkę, a w nięj miał razem łokieć wiedeński i polski, i broń przeciwko ludz-

kiej i zwierząt napaści. — Zwykle chodziło ich po dwóch razem, a jeden z nich był starszym i przybierał powagę kupca, drugi zaś był czeladnikiem lub w nauce przy starszym. — Otóż takichto dwóch wprowadzono do bawialnego pokoju. A że przybycie Węgrów z towarami było pożądanem dla wszystkich zjawiskiem, i niosło państwu zabawę, dzieciom radość, a szczęście służącym, przeto Babka moja kazała cały dwór swój zwołać, aby wspólnie z nią przypatrzeli się towarom, a dali jój poznać z wyboru, coby im się najwięcej podobało.

Węgrzy wchodząc w dom, pochwalili pana Jezusa, a gdy im stósownie odpowiedziano, złożyli pudła na ziemi — rozwiązali sznurki, i dalejże na wieku pudeł rozkładać towar w porządku! Najprzód szły sztuki piękne... obrazy!

•Nech kupia co z obrazów (rzecze majster). Cesara •naszego lebo i jeho małżonku, — A téż swiatego •Nepomuka, co sem jest w Praze. Ja se zgodim byle •predaty, bo droha zła, a newela se predaje. — Milczenie ogólne wskazało kupcowi iż sztuki piękne nie znajdują lubowników. Potem szły chustki duże czerwono-żółte dla kobiet wiejskich na głowę. —

•Może Jejmostia kupiu taketo chustki na gostińce •dla newest, ony su wszeckie z wiedzkiej fabryki.

Dziewczęta i Praczka po sobie spojrzwały i o krok się zbliżyły, patrząc z boku jak kurczęta na ziarno,

któreby pokosztować rade. — Moja babka ten wyraz zrozumiała i kazała im sobie wziąć po chustce. — Ale tu sęk, jakby trafić na szczęśliwy wybór?... Odwołano się do panny Szadurskiej, której Tuchowska swiatłą radą przysła natychmiast w pomoc, i przerzuciwszy każdą sztukę, uradziła kupić trzy do siebie podobne gatunkiem i kolorem, aby nie było zazdrości.

— Wieleż za to? pyta się moja Babka.

— Po piat ryńskich edna, odpowie pokornie Węgier

— Co zaś znowu pięć ryńskich, podskoczy Tuchowska, chyba za wszystkie trzy pięć ryńskich.

— Ne mohu widia Boh, odpowie kupiec, mne we Wedniu sameho więcej kosztuje.

— Więc po dwa reńskie jedna, rzecze Tuchowska.

— Ani po try ne bude. — Radaby dusziczka do raju, ale jój grechy nepuskaju — i ja nemożem predaty ze stratu. — Ale nechaj toż zostane na konec, to sia z Welgomożną Jejmosticzką pogodimy, a teraz co z ptyfenów! — sukienki biele, i różowe, dla panielki, lebo i dla mężatki, bo to wszecko edno komu sia prida.

Panna Szadurska niechcąc się pokazać cheiwą podarku, cofnęła się za pannę Tuchowską, która obejrawszy towar rzekła: •Słabe, i mało warte, •Lecz panna Szadurska z po za ramienia klucznicy, inszym okiem na ten towar patrzyła. — Moja Babka spotkawszy się z jój wzrokiem, wywołała ją z ukrycia i kazała wy-

brać sobie suknię wedle jej upodobania. — Jakoż na różowej rękę najprzód położywszy, zapytała się wiele kosztuje?

— Dwatset ryńskich odpowie Węgier.

— A ta biała w muszki? zapyta Szadurska.

— Petnatst, bo ta est tansza, rzekł Węgra czeladnik. —

— To tę białą wzięłabym, jeżeli łaska Jaśnie pani, rzecze Szadurska. —

— Mnie się zaś więcej różowa podoba, odrzekła moja babka, i jeżeli się na mój wybór spuszczasz, to weź różową moja Szadursiu.

— Kiedy pani pozwala, to i owszem, ale niech ją panna Tuchowska ztarguje.

— Coż to długo mówić odrzeknie Tuchowska, tylko krakowskim targiem połowę mu zapłacić, .. wszak to pajęczyna! —

— Were moja Jejmost, to ne est skóra z byczka lebo z krowy, ale est ptyfun, lecz pere se jak płatno, — to sem odłożym na bok. — Tu su znowu perkale na suknie i syce na szlafreki, może se upodobaju, żadny z iech ne puska farby. — Edna taka sztuczka cela, petnatst ryńskich.

— Ho, ho, znowu pietnaście ryńskich? odrzeknie nibyto zgorzona Tuchowska, przecież to bawełna.

— Were bawełna, odrzeknie Węgier i dla teho też drogsza, nech raczu uważyt że co bawełna to ne

konopie lebo len, bo to sprowadzaju z zahranicy a est duża od tego oplata. — Ale nech bude za dwanatset, na początek.

— Czy ten syc w groszki na jedną jest cenę? — zapyta Tuchowska.

— Wszystko na ednu cenu, raczu wyberat co sia upodoba. —

Babka moja widząc iż w ten skarb włożyła Tuchowska serce swoje, rzekła do Węgra, aby i tę sztuczkę sycu na bok odłożył i dodała, iż to będzie dla Tuchowskiej.

— Tu Welgomożna Jejmosticzka, nechaj raczu uwidyt, ten ryps hedwabem prerabiany, co se predaje na żupany pod kontusz, to jest sem feiny towar! Were Boh, niemial sem od dawna takeho! Bez targu po trzy ryńskie łoket! — Nech ubaczu jaki towar! Tu sem tylko resztecza, bo prodało sia po dworach, może bude wszeckiego petnatst łokci, na trzy żupany.

To prawie odrzeknie babka dla Kalicińskiego, Boratyńskiego i Michała a więc odłóż mój kupcze.

— Dobre — dobre, uniżenie prosim Jejmosti, odłożym jeno premierim. A tu su znowu, chusteczki do nosa w czyrwonu kratu dla pana Plebana lebo dla Parocha, lebo znów dla inneho kniża. Po ryńskiemu edna a est ich dwanatst, cely tuzin. —

— I to odłóż, doda moja babka — ale cóż tu dla lokajów? —

— Nech se Jmosticzka ne frasuje, bude tu co feineho — Nankiny, co se perą, a towar sem neprežy-ty, bo est na lato, jak sukno na zimu. Teho potreba piat łokti na ednego, a po dwa ryńskie łokiet! —

Dobrze więc, odrzekła moja babka, więc i tego pietnaście łokci albo i dwadzieścia. —

— A dziewuszkom, mentaliki, kryżyki na hedwabnych wstążeczkach i małe husteczki, ja se zgodim. A także nożyczki, naparstki, nożyki druty i igły, a nici do szytia i hedwab we wszeckich farbách — i potem nechaj Welgomożna pani kupiu też preolejki, z róży, z gozdika, i berhamotu, — te su najfajniejsze. —

— Medaliki kupiła moja babka w dużej ilości dla dzieci, lecz preolejki nieznały lubownika, i zaczęto obliczanie. —

— Bude trytsta ryńskich jeno bez trynastu, rzekł Węgier, zliczywszy na palcach. — Kaliciński wedle cen sprawdził ołówkiem i zgodziło się — Lecz po targu zredukowano na 250 ryńskich, które Kaliciński z rozkazu méj babki odliczył.

— Prosim teraz piękne (rzekł Węgier) Wielgomożnej Jejmosti o kubek palanki pro mne i meho kam-rata, a też z łokiet sianiny, i bochenek świętego chle-buszka — a ja za to podarujem małych obrazeczków, aby im Bóh błogosławił na wszyckim. —

Babka rozdawszy zakupione dary, kazała uczęsto-wać Węgrów i na drogę w żywność opatrzeć, a bukiet

już czekał, aby mógł pomścić się rabunku Węgrów, pokoszowaniem ich łydy. Dla tego sto razy odpędzany, powracał z zażarciem, dopóki Węgrzy za bramą z oczów mu nie zesli.

Mój Ojciec nie kupił, bo chociaż był hojnym w wynagradzaniu sług, to jednak wolał podarki da-wać w gotowiźnie, jak sprawiać tak nazwane przez niego fatałaszk. Ale zbyt był delikatnym iżby méj łabce najmniejsze pod tym względem czynił uwagi dla tego z zajęciem przyglądał się kupionym towarom.

W krótcie zajechał Xiądz Proboszcz Żabiński z Xię-dzem Jaszczurowskim, który zapewne dla towarzystwa kolegi został na Plebanii, a może też i dla rozmowie-nia się samnasam z pasterzem o odstąpionych mu owiecz-kach. — Gdy obiad dano, długie przy stole były tar-gi kto pierwsze zajmie miejsce, czy Xiądz proboszcz Żabiński, czy Xdz Jaszczurowski? Xdz Jaszczurowski dowodził, że wedle kanonów przy pasterzu miejsco-wym jest ordynaryat, ale Xdz Żabiński przekonywał, iż wedle zwyczaju Celebrans przy Mszy, celebryje też i u stołu, i że tak bywa zawsze na odpustach. Gdy walka trwała długo, Xdz Jaszczurowski chcąc rzecz po-godzić, uprosił Xdza Adryana iżby jako najstarszy wie-kiem zasiadł na pierwszém miejscu. — Staruszek do posłuszeństwa nawykły, nie sprzeciwiał się, ale po łaci-nie całą modlitwę dawniej w refektarzu odmawiana z nabożeństwem odprawił; i między dwoma proboszcza-

mi zasiadł, — Babka moja, tak była swoim kapelanem ucieszona, iż na każdy jego ruch wyuczony w zakonném życiu zwracała uwagę, i budowała się pokorą jego i prostotą, niedomyślając się jeszcze, iż posiada w domu swoim jednego z najuczestniejszych teologów i człowieka w dziejach bardzo biegłego i czytanego. —

W ciągu obiadu, mówił Xdz Żabieński o składzie Cyrkularnej w Bochni władzy, i słusznie oddając pochwały Baronowi Baumowi który pod-ówczas był Kreiskapitanem w Bochni, przypominał mojej Babce, zażyłe dawniej pożycie jój męża z tym urzędnikiem.

— To bardzo jest szczęśliwe, odrzekł mój Ojciec, a skoro znasz pana Kreiskapitana Mości proboszczu, to cię będę prosił, iżbyś mnie dzisiaj jeszcze przedstawił panu Baronowi, abym jego opiece mógł polecić naszą matkę. —

— Dziękuję ci mój Ignasiu i za ten dowód troskliwości, rzecze Babka, ale jeżeli pojedziesz, to chciej pana Kreiskapitana prosić jutro na obiad.

Gdy więc postanowiono jechać do Bochni, mój Ojciec który w ówczas jeszcze nosił się po polsku, ubrał się w biały atlasowy żupan i w granatowy kontusz, zapiał brylantową szpinkę i także do rękawów guziki — a okręciwszy się w pas złoto-lity fabryki Łuckiej, pod którym na kamelerowanych sznurach zawieszana była karabela, przywdział czerwone buty,

i białą czapkę z kasztanowatym barankiem, a tak ustrojony, siadł po lewej stronie w kolasie, zostawiając prawą Xdzu Żabieńskiemu. — Niewyszło dwudziestu minut a kolaska stanęła w Bochni przed gmachem Cyrkularnym gdzie pan Kreiskapitan mieszkał. —

XII.

Wizyta mego Ojca u P. Kreiskapitana w Bochni.

X. Żabiński świadomy miejscowości zaprowadził mego Ojca aż do pokoju p. Kreiskapitana, który służąca, zręczna i ładna Niemieczka otworzyła, i miłym szczebiotaniem zapraszała do pokoju dodając, iż p. Baron jest w biurze swém przydyalnym, ale zaraz nadejdzie skoro zostanie zawiadomionym. — Z tego pokoju otworzono drzwi do bawialnego pokoju, gdzie rozwieszono obrazy znakomych mistrzów, zwracały uwagę mego Ojca — Zegar zaś malowany w złotych ramach, nader ważny w tój epoce wynalazek, albowiem za biciem każdego kwadransa poruszał figurki do tańca, był wyłącznym przedmiotem podziwu X. Żabińskiego — „Niechno Jegomość Dobrodziej spojrzy, co to za osobliwa sztuka ten zegar!“ mówił on do mego ojca.

Czegotéżto ludzie niepotrafią wymyślić, rzecz on w zadumaniu! Co téż to Jegomość Dobrodz. na tamte „staroświecczyny patrzysz! dodał zniecierpliwiony — „W tém wszedł p. Kreiskapitan.

Urzędnik ten liczył około lat pięciudziesiąt; był dość wysokiego wzrostu i dobrej tuszy a nader łagodnego wyrazu twarzy i rzadkiej uprzejmości. — Całe z resztą obejście się jego świadczyło o staranném domowém wychowaniu. — Mówił poprawnie po polsku, zatrącając wszakże Morawskim narzeczem. — X. Żabiński poszastawszy się w ukłonach i przybierając nadętą powagę, przedstawił panu Kreiskapitanowi mego Ojca, a rozwodząc się długo nad jego przymiotami, dawnością rodu i zasługą, wprawiał obu tych panów w kłopot, który zrzędzają zwykle przesadne a zbyt długie pochwały. — Ten bowiem który jest onych przedmiotem, ani wie czy się ma do nich przyznawać lub zaprzeczać, a drugi, który ich słucha, radby potwierdzić, ale przy piérwszém poznaniu, nieznajduje ku temu punktu wyjścia. Obadwaj przeto spuściwszy oczy czekali, aż przychylność X. Proboszcza niewyczerpnie całego zapasu pochlebnych wyrazów; wreszcie przerwał p. Kreiskapitan mówiąc: —

— Szczyłem się bliską znajomością p. starosty Olszańskiego, i znam całą rodzinę Wielogłowskich, która jest gniazdową szlachtą Sandeckiego i Bocheńskiego, miło mi jest przeto poznać zięcia mego da-

wnego przyjaciela. . . . Czy już pani Starościna przy-
była tu na stałe mieszkanie? . . .

— Tak jest Mości Baronie odrzekł mój Ojciec,
i obok chęci złożenia naczelnikowi tój części kraju
mojego uszanowania, przychodzę również polecić jego
protekcji matkę naszą, która pod berło J. C. Mości
powróciła. —

— Niech W. p. Dobrodziej będzie pod tym wzglę-
dem spokojnym, rzekł p. Kreiskapitan, bo nietylko
osobiście mam wysoki dla tój godnej pani szacunek,
ale wyznać muszę, iż jest w ogólnych zamiarach rządu,
aby szlachta polska poddana berłu J. C. K. Apostol-
skiej Mości, używała wszelkich względów i swobód
ze strony władzy. — Te swobody zaręcza panom i
słowo Cesarzkie i wspaniałomyślny charakter szczęśli-
wie nam panującego Monarchy. Wreszcie Rząd Mo-
narchiczny opiera się z ufnością na tój silnej podstawie
jaką mu w kraju warstwa uprzywilejowana przed-
stawia, bo najczęściej tylko w szlachcie znajdowało
dotąd państwo stałego i współinteresowanego sprzy-
mierzeńca. — Bądźcie więc panowie pewni poparcia
rządu, a co zaś do pani Starościny, to chętnie starać
się będziemy uprzyjemnić jej tu pobyt, a ułatwiać
trudności w sposób wymaganiom władzy odpowiedni
a dla pani starościny najmniej uciążliwy. —

— Już to przyznać można, rzecze X. Żabiński,
ż Rząd nasz jest dotąd prawdziwie Ojcowski: zamiary

Cesarza Jegomości są najlepsze, a dowodem tego, jest
wybór urzędników, między którymi za jednego znaj-
lepszych liczymy naszego czcigodnego Kreiskapitana. —

— Cieszę się bardzo, mówił p. Baron Baum, iż
łaskawe zamiary mego najmiłościwszego Monarchy tak
życzliwie są przez panów oceniane, co zaś do uprzej-
mego o mnie zdania, to wyznam, iż sprawowanie urzędu
staje mi się łatwym i przyjemnym, bo wiele w pa-
niach znajduję dla siebie przychylności i zaufania. To
więcej jest raczej panów a nie moja zasługa. —

— Obowspólna wtém jest zasługa panie Baronie,
odrzekł mój Ojciec, albowiem uprzejmość dla oby-
wateli i życzliwość dla kraju ze strony urzędników,
zjednywa im nasze zaufanie i wdzięczność naszą
a razem, zapewnia tronowi wierność poddanych. —

— Pan Kreiskapitan niechciał tój rozmowy przedłu-
żać, bo są materye delikatne w których nie należy
szukać stanowczego rozwiązania, lecz je lepiej zosta-
wić w ogólnikach. — Nadawszy przeto inny tok roz-
mowie, zapytał, czyli moja babka i rodzice szczęśliwie
podróż odbyli, i czyli pani Starościna nietęskni za
dawną w Zborowie siedzibą? —

— Podróż odbyliśmy pomyślnie, odrzekł mój Ojciec,
a co do naszej matki, to łatwo pojąć, że ją tyle
wspomnień wiązało do Zborowa, iż zmiana siedziby
wywiera na nią pewien wpływ smutny, który o tyle
da się jej mniej uczuć, o ile przyjaciele i najbliżsi

sąsiedzi raczą go życzliwością osładzać. — Dla tego matka nasza uprasza przezemnie JWgo Barona, abyś raczył zaszczyścić nas jutro swoją bytnością na mały obiadek.

— Bardzo chętnie, odpowie p. Kreiskapitan, miło mi będzie odnowić dawne moje i zażyłe z domem państwa stosunki.

— X. Żabiński uradowany był z tego przyjęcia i dobrych stosunków między Bochnią a Proszówkami, i wychodząc rzekł memu Ojcu półgłosem: „To doskonale . . . wyśmienicie . . . Zawsze lepsza jest chuda zgoda od tłustej wojny! . . . Na co się to przyda drzyć koty z władzą? . . . Wszak to bardzo dobry, szlachetny i przyzwoity człowiek nasz p. Kreiskapitan! Jakże się panu Dobrod. podobał? . . .

— Bardzo mi się podobał, rzeknie mój Ojciec, jest szczerze uprzejmy, roztropny, i wyższego wykształcenia.

— Oh tak, to jedyny człowiek, rzekł X. Żabiński — Serce ma jak na dłoni, a będzie się tu panią starością opiekował w każdym zdarzeniu. — Już ja za to ręczę! . . . Lecz kiedy tu już w Bochni jesteśmy, może chciałby pan Dobrod. zrobić znajomość z panem Kreisfyzikiem, który jest Doktorem doskonałym i człowiekiem bardzo przyjacielskim, rzekł dalej X. Żabiński? Mówi się do niego „Panie Kreisfyzyku, ale nazwisko jego jest Kanka. — Ma córkę panią He-

dliczkową bardzo uczoną osobę, bo nietylko po niemiecku i po polsku, ale też mówi i po francuzku; ręczę, iż godnej małżonce W. p. Dobrodz. przypadnie do smaku. — On tu mieszka niedaleko, w tym domu winogranem obsadzonym.

— Chętnie pójde, rzecze mój Ojciec, gdyż to bardzo jest znajomość potrzebna. — Poszli więc nasi dwaj panowie do Doktora Kanki, który właśnie wchodził do swego domu. — Był to człowiek liczący przeszło lat sześćdziesiąt, niskiego wzrostu, łysy, ale resztę zachowanych włosów zwił w hacapf zakrzywiający się z okrągła w górę na wysokim od fraka kołnierzu. — Nosił trzewiki a wysokie aż do kolan pończochy, kamizelkę białą długą i sztadskleid. —

— Z resztą twarz jego była miłą, nos orli i oczy wypukłe, których ogień zdradzał bystrość umysłu i dweip. — Mówił nieznośnie po polsku, i chociaż był z charakteru łagodnym, jednakże sądząc, iż głosem podniesionym wynagrodzi brak słów i znajomość składni, krzyczał tak, jakby się ustawicznie gniewał lub z głuchemi rozmawiał. — Mój Ojciec przedstawivszy mu się, polecał mu razem zdrowie méj Babki i mieszkańców Proszówek. —

— No — ja! — odrzeknie Doktor Kanka, — całem sercem, ale teraz są wszeccy zdrowi. —

— Dzięki Bogu rzecze mój Ojciec, matka nasza teraz zdrowa, ale na przypadek słabości czyjéj kolwiek,

to sobie łaskę pana Konsyliarza zamawiamy i polecamy się jego opiece. —

— Ja — ja z utiechem, będę radil jak co przyde ale prosim naprzęd nechaj kartofli ne jedzą bo te kartofeln to jak Arsenik — Jak ja bym ziadl jednego kartofel, to tak się na żolondek poloży iż musi z Emetykiem heraus mit ihm. — Te wszeckie gastridi, skrofoli to ja klade na kartofel, który nosi Acidum prussicum, swie sie berliner blau, to że jest gift! — A teras czy możem służyć panom kiliszek wina? — „Pepil zawała Dr. Kanka na służącą „bring uns drei glaeser und ein Wein“ Jak dawno pribila w te tu strony? — zapyta mego Ojca Dr. Kanka.

— Od trzech dni przybyliśmy tu znaszą matką Starością do Proszówek, która tu już stale zamieszka.

— Gut snam—snam— Starostina i Starosta.— Wdzielem ich w Olszany i w Dombrowie, ale Starosta pomierl za Wislu, bil piękny chłop! und ein gebildeter Mann. — Żalujem co pomierl! —

— Mnie się zdaje rzeczce X. Żabiński iż panowie dobrzeście się znali z panem Starostą, bo chociaż tu w Proszówkach niemieszkał, to często dojeżdżał.

— No, — ja — ja — ja, — snali i mlówili z sobu gdiż miał dużo rozuma, a był poważna persona. — . . . No ja teras będę pil za sdrowie panów. —

— Wzajemnie,.. zdrowie pana Kreisfizyka! odrzekną mój Ojciec i X. Żabiński. —

— Dienkujem, ale niech panowie zostanu siedzieć z wigodą. — rzeczce pan Dr. Kanka — Po trzech powtórzonych kieliszkach, skończyła się wizyta u pana Kreisfizyka, który odprowadzając do drzwi, rzekł memu Ojcu. —

— Ja teraz żegnam na zobaczenie, a mój komplement dla pani Starostiny, i dla pańskiej małżonka.— Jak moja córka będzie zdrów, to znią pojediem do Proszówek, bo nema dó ich z Bochni jako jedna czwarta mila. — „ergebenster! ergebenster!..“

X. Żabiński wsiadając do kolaski rzekł do mego Ojca: poczciwa dusza ten Dr. Kanka, bo to człowiek tak gościnny, iżby krwi własnej dla przyjaciół nie żałował. —

— Ani też krwi przyjaciół nieszczędził, dodał mój Ojciec, gdy upuszczenia onęj widzi potrzebę.

— O nie, odpowie X. Żabiński, on nie lubi krwi puszczać, tylko samemi środkami domowemi lub zupełnie niewinnemi leczy. — Już to najwięcej zapisuje wiedeńskiego trunku. — Cóż ja téż tego wypilem w zeszyłym roku, to aż niemiło wspomnieć. — Teleżeński Aptékarz z Bochni, cebrami musiał przyprawiać te leki, bo gdzie tylko kto zachorował, musiał zażywać trunek wiedeński.

— Dla czegoż on, zapyta się mój Ojciec, takim jest nieprzyjacielem ziemniaków?

— O co się tego tycze, odpowie X. Żabiński, to ani mu wspomnieć o ziemniakach, gdyż on wszystkie choroby używaniu ich przypisuje, a piérwsze zapytanie jakie zwykł zadawać choremu jest zawsze: „Czy nie jadł kartofli?“ trzeba jeść przed nim w sekrecie i nigdy się nieprzyznawać, bo zaraz daje emetyk a potem Wiédeński trunek. —

Litwinki w wyciągniętym kłósie zdążyły ku domowi — kolaska na zwirem posypanym gościńcu toczyła się z hałasem, i niepozwałała rozmawiać podróżnym; wkrótce panowie przybyli do domu, rozpowiadając o pomysłnym skutku odwiedzin. —

XIII.

Miła niespodzianka.

Zmierzch się robił a w szarój godzinie rozmowa toczyła się wolniej a czasem ustając, czekała nowego myśli przyplwy. W tém przed ganek srokata zajechała czwórka, a fernal Prószowiak szarpie jednym licem aby najbliżej stanąć u przystani — wszyscy biegną do okna a poznają z radością, Opatkowską uprząż, która przywiozła panią Teofilę Gostkowską, siostrę mojej matki. —

Jeżeli słuszne jest przysłowie: „że jabłko niedaleko pada od jabłoni,“ to porównywając charakter mój babki z usposobieniem duszy młodziej jej córki Teofili, rzecby sprawiedliwie można, iż między pnem a gałązką zachodziła tylko różnica, wieku. — Taż sama łagodność i słodycz, taż sama pobożność i prostota ducha stanowiły główne tych dwóch pań przymioty — Niebyło też nikogo z bliższych lub dalszych w rodzinie, i sąsiedztwie, którzyby nieotaczali pani Teofili Gost-

kowskiej czią i przyjaźnią. Miała ona taki dar ujmowania sobie serc i zjednywania szacunku, iż kiedy moja matka każdego wdziękiem postaci i dowcipu zachwycała, to pani Teofila słodyczą go zniewoliła i w przyjaciela sobie zamienić umiała. Matkę téż moją i panią Teofilę łączyła najściślejsza przyjaźń, i wyznam iż w życiu mojem nie zdarzyło mi się napotkać bliższego między rodzeństwem stosunku. Różność wrodzonych przymiotów i usposobień w tych dwóch siostrach, zamiast stać się powodem do różnego rzeczy widzenia, postugiwały raczej ku wzajemnemu dopełnieniu się w tém, na czém której z nich zbywać mogło. —

Bo téż nie piękniejszego na świecie jak miłująca się i zgodna rodzina. Wniej jest pojedynczych członków pomyślność, potężna dźwignia w chwilach prób jakie Opatrzność na człowieka zsyła; w niej téż społeczeństwa spojność i narodów potęga. — Napróžno szukalibyśmy innego między ludźmi zlepu w jakiej oderwaniej lub sztucznie wymarzonej zasadzie: nie nie potrafi zastąpić owych naturalnych związków które Bóg uświęcił, i w które społeczeństwo jakby włancuch z wielu ogniw wzajemnie od siebie zawisłych powiązał. — Język nasz dobitnie to stopniowanie rodzinnych związków oznacza, w wyrazach: *rodzeństwo*, *pokrewieństwo* i *powinnowactwo*. — Pierwszy stopień wyobraża niejako gałęzie z jednego pnia wyrosłe, między którymi zachodzi zupełna jednolitość i przyrodzona wspólność. Drugi wy-

obraża jednogatunkowość rozrodzonego na wiele drzew szczepu, które wspólną zachowały przyrodę i nazwę chociaż się każde z nich samodzielnie rozwija i wznasta. — Trzeci stopień powinnowactwa, wiąże ludzi stosunkiem wzajemnych powinności, czyli długiem kolligacyi ze związków małżeńskich wynikłym; słowem, jest to ogniwo pośrednie, łączące nie już członków jednej rodziny, ale raczej dwóch lub kilku rodów, zobowiązanych wzajem względem siebie. — Wyraz bliźni, oznacza owe dwa końce wielkiego łańcucha którym ludzie ziemię opasali, strzegąc wspólnego dziedzictwa, bezpieczeństwa i szczęścia.

Takito dzięki Bogu stosunek wzajemnej miłości opartej na krwi związkach, jedności duchowej a także na zgodzie w głównych zasadach życia, łączył naszą rodzinę. — Stosunku tego strzegło prawo Boże, pilnowali starsi, a babka moja spajała klejem macierzyńskiego uczucia.

— Dwie siostry przez wspólność myśli i uczucia stanowiły doskonałą jedność, szukały przecież we wzajemnym zwierzeniu się téj pociechy, jakiej się zwykle doznaje, gdy dwie dusze czynią sobie udział radości i smutku, nadziei i trosków. — Bo rozmowa jest kombinacją dopełniających się wzajemnie myśli; jest to zamiana polubowna produkeyi duchowych. — Więc téż z rozkoszą zasiadły do poufnej rozmowy, i na próżno zęgar głosząc początek dnia następnego przypo-

minał spóźnioną porę spoczynku: napróżno kukułka umieszczona nad zegarem w sieni, wywoływała jedną po drugiej godzinie; napróżno wreszcie panna służąca spoczywając na łomoku, krząkała, ziewała, aż potem w chrapliwym śnie całemi nozdrzami chwytiała powietrze: Siostry mówiły ciągle, mówiły czasem kolejno ale częściej obie razem, bo każda z nich czytała naprzód w duszy drugiej to, co ona miała powiedzieć. Gdy już główne uczyniono sobie zwierzenia, pozostało jeszcze mnóstwo szczegółów, które tłoczyły się natrętnie do pamięci, jednak przez wzgląd na znużenie sług, postanowiły spocząć i jakoż razem się pomodliwszy do snu się ułożyły. Ale zasnąć ani sposób, i próżno głowę do poduszki tulać, bo duch rozbudzony ukołysać się tak łatwo nie da. — A więc mówią znowu, mówią aż do rana, czasem się popłaczą a zawsze się w jednych myślach i życzeniach zgodzą. — Między przedmiotami poufnej rozmowy, najważniejszym był starunek o uprzyjemnienie życia matce. — postanowiły one tak się urządzić, aby Babkę swoją nigdy w osamotnieniu niezostawiać, i albo ją kolejno odwiedzać, lub też do siebie zapraszać. Łatwo im było układać takie zamiary, bo ich mężowie też same dzielili uczucia, też same objawiali życzenia i w dopełnieniu onych żadnej niestawiali przeszkody. — Nie wiele jest w tym wieku córek pod tym względem równie szczęśliwych, bo kiedy pan młody zaraz po ślubie pocztowym

wózkiem lub wagonem kolei żelaznej żonę swą uwięzić, i jakby z wykradzioną gdzieś w cieplice lub do Paryża pędzi, to biedni rodzice śladów nawet po swjej córce dopatrzeć się nie mogą, i pytają sami siebie, czy w istocie gołębica ta odleciała aby ślać nowe gniazdko, czyli ją też jakiś jastrząb porwał?

— O ósmej z rana dzwonek kaplicy zwiastował mieszkańcom Proszówek odbyć się mającą mszą świętą. — Państwo i słudzy spieszą z pobożnymi książkami a ze wsi także ciągnie ludę i szpalerem w kaplicę i przed kaplicą ukłęką. — Dusze zestrzelone w jednym ognisku wiary, serca ku Bogu wniesione, gotowe były jakby stós ofiarny do rozplomienienia się ogniem miłości, za danym od kapłana hasłem. — X. Adryan obsłużony przez Boratyńskiego, wstępuje na stopnie ołtarza i zaczyna sprawować Ś. tajemnice. — W tém na podworcu daje się słyszyć trąbka pocztowa... Każdy drgnął w miejscu, lecz się nikt z miejsca nie ruszył, gdyż wiadano podówczas, że nad wszystkie sprawy ważniejszą jest chwała Boża, i że byłoby grzesznie i nieprzyzwoicie odbiegać Mszy Świętej dla dogodzenia próżnej ciekawości. — Tuchowska jednak która wrodzonej kobiecie nie mogła zwyciężyć pokusy, zwróciła wzrok ku dworowi, a poznawszy pana Kacpra syna mojej babki który wysiadał z powozu, podplezła się na kolanach ku ławce gdzie panie klęczały, i szepnęła tajemniczo: „pan Kaeper przyjechał!“ — Ta wia-

domość niosąca mojej babce pociechę ale i rozerwanie myśli, takie sprawiła uczucie, jak kiedy doraźne przebudzenie przez miłą wiadomość, przerywa błogich snów wątek. — W pierwszej chwili niewiadomo, czyli żałować ulatującego marzenia, czy się cieszyć nowiną która go zastępuje. — Uradowana przybyciem syna ale zaniepokojona w modlitwie, nieumiała zebrać na nowo rozprószonego ducha, dla tego tworząc wewnętrzne Akty skruchy, stawiała się przed Bogiem jako słabe naczynie, które lada przeszkoda roztrąci. — Moja matka już mszalne i dodatkowe odbyła modlitwy, a X. Adryan dopiero „*Agnus Dei*“ odmawiał, bo on mszy świętej na rzadki nie puszczał pytel, ale każde słowo z wiarą brał do serca a mękę Pańską pobożnie rozważał. — Wkrótce i Pan Kacper pospieszył do kaplicy, a chociaż stanął za filarem aby matce i siostrze nieczynić w modlitwie przeszkody, to go jednak serca przeczuły, a matka moja korzystała najpierwsza z „*ite missa est*,“ aby serdecznym spojrzeniem powitać swego brata. — Po Ewangeliu nikt placu nie dotrzymał i ruszono tłumnie, aby zaraz przed kaplicą uściskać pana Kacpra całej rodziny ulubieńca. —

Bo też to był człowiek w którym się szczęśliwie zbiegły wszystkie dobre przymioty duszy i serca, rozumu, dowcipu, żywości i wdzięku. A wtémże o nim sądząc odwołuję się do świadectwa współczesnych którzy jeszcze żyjąc czytać mnie będą, odwołuję się do tych którzy

razem z nim trudniej służby krajowej sprawowali urząd, i do obywateli pod jego rządami, — a pytam wszystkich czyli nie potwierdzą mojego o nim zdania?

Ś. p. Kacper Wielogłowski ze zdolności mu wrodzonych i z nauki ku temu skierowanej, przeznaczonym był od młodu do służenia krajowi w szerszym zakresie prac Administracyjnych; dla tego doszedłszy przez hierarchiczne stopnie do godności prefekta Departamentowego a później Prezesa komisji Województwa Krakowskiego, mianowany radeą stanu królestwa, oraz Senatorem Kasztelanem, skończył czterdziestoletni zawód służby publicznej jako Prezes Senatu Rzeczypospolitej Krakowskiej. — O szczegółach jego życia, a tém mniej o śmierci nie czas jest pisać, lecz w naszej rodzinie wolno się cieszyć i Bogu dziękować, za tę rodu okrasę i za tę pochodnię, która nam świeci wielkich cnót przykładem.

Babka moja trojgiem już najukochańszych dzieci otoczona, wodziła po nich kolejno wzrok pełen miłości, a serce jej wyrabiało uczucia pociechy, które dzielili obecni; i znać to było po twarzach rezweselonych, po głośniejszej rozmowie, a nawet po rezolutnych ruchach domowników. — Bo nieprzestanę powtarzać, iż dawniej domownicy zaraz w drugim szeregu stali po rodzinie i wspólnie z nią dzielili pociechę i smutek. — Że zaś rzadkie bywały wyjątki, aby kto służbę zmieniał, lecz domownictwo było prawie ślubem i

każdy ze służących był jakoby braciszkiem lub teryczem w zakonie rodzinnym, przeto szczęście méj babki zaświeciło odblaskiem radości na czołach dobrych sług domu.

X. Jaszczurowski, którego uproszono iżby został aż do dnia Imienin pana Regenta, mówił o ważnych w świecie sprawach z panem Kacprem, a X. Adryan bacznie nadsluchując, często skinieniem głowy potwierdzał, lub gdy zdania jakiego wprost podzielać nie mógł, spuścił w dół oczy i zażył tabaczki. —

Między innemi, mówiono o rewolucyi Francuzkiej której krwawe przytaczano dzieje. — W tenczas już X. Adryan, raz pđ raz tabakę zażywał, a otrzepując ją z palców odezwał się: „Uchowaj nas Boże, od takiego Francuzkiego braterstwa kaimowego, i od wolności która upoważnia do pełnienia zbrodni, a szczególnie od téj równości przykrawającej ludzi na miarę ścierniska. — Dziwna rzecz, mówił on dalej, jak zażliwym jest jad kłamstwa, kiedy cały naród katolicki napiwszy się fałszu, oszalał w jednej chwili, i z krzyżów poburzonych zrobił dla siebie przegierze i szubienice. — Cały ten wewnętrzny we Francyi rozbój jest skutkiem Wolteryjskiej zarazy, rozwleczonój po ziemi ze zbutwiałych bagien protestantyzmu. — Wiara Moćpanie, na pochyłości się nieutrzyma i w pół drogi się nie ostoi. — Jój miejsce właściwe jest na szczytach, bo ona górować nad wszystkiém powinna. Dla

tego kto ją ze szczytu sprowadza a chce wchodzić z nią w tranzakcyę, to Moćpanie już w téj samej chwili w przepaść się potoczył. — Mówią mi na to Farmazońskie adepty, iż Bóg we Francyi tę nawałność ku epuracyi świata dopuścił, i że to była bolesna ale konieczna operacya raka. — Jużto zapewne nic się nie dzieje bez dopuszczenia Boskiego, ale cóż oni to nazywają rakiem, a co zwią epuracyą? — Oto, owi balbierze Francuzcy, właśnie raka zostawili a zdrowe ciało powykrawali, bo dość było wierzyć w pana Boga i w ustanowiony od Niego porządek, aby być pod nóż wziętym. Cóż to? ileż zginęło duchowieństwa, zabito kapłanów! Oh szataństwo Mścp. szaleństwo!

X. Jaszczurowski bardzo to zdanie podzielał, ale dodał, iż w tém była i straszna kara i pokuta dla upadłego w ówczas duchowieństwa Francuzkiego, które podzielało swawolą możnych panów, zaniedbywało obowiązki swego powoła nia, i w dworactwie zatopione, odbiegło od właściwych sobie przeznaczeń. Dbając tylko o dochody i zbytki światowe, o kościele i o posłudze wiernych nie wiedziéć nie chcieli, a nie wiem czy wielu z nich nawet mszą świętą odprawiało. — Mięszali się do intryg dworskich i do spraw politycznych, wspinali się po kruchych szczeblach świeckiego dostojęstwa do różnych godności; połykali opactw zakonnych fundusze, i wiele złego przypisać im można. Ich téż to w części ta ogromna plaga Boska dotknęła. —

— Nie usprawiedliwiam Moćpanie, ani w ludziach świeckich ani w księdzu grzechu, odrzeknie X. Adryan, ale czy to gminowi sądzić i karać pastérzy? Czy nad Xiędzem nie stoi Biskup i Apostolska stolica? czy nie stoją prawa? Jakiby to był na świecie porządek, gdyby przed uliczną zgraję władzę czy świecką czy duchowną wodzono, i aby tam przez czterech szewców i jednego garbarza osądzona, stawała się pastwą rozkiełzanéj zbrodni. — Przecież czytamy w prawie kanoniczném exkomunię na tego który ściągnie rękę na kapłana, a cóż dopiero, kiedy mu głowę namaszczonej Świętymi olejami zetnie! Nieuchodzi Moćpanie, nie uchodzi!...

— Ja wiem że nie uchodzi, (odpowie z uśmiechem X. Jaszczurowski) i nieujdzie téż to bezkarnie, bo się Bóg krzywdy swojej pomści, ale to co było dla francuzkiego duchowieństwa straszną karą a dla narodu plamą, to dla wszystkich staje się przestrożą, i niepozostanie bez zbawiennego wpływu na przyszłe pokolenia. — Najprzód poznają, iż owocem wyuzdanéj wolności jest zwykle niewola, a powtóre, iż zbytki wyradzają nędzę swawola upadek, i że Bóg wyzuwa z majątku i swobód tych właśnie, którzy go na złe używali lub darów Bożych na jakiejbądź drodze nadużyli. —

P. Kacper rzecz pogodził, twierdząc, iż rewolucya sama w sobie była absolutnie złą, bezbożną i dziełem szatana, ale Bóg ze złego nawet może dobre wypro-

wadzić następstwa, które przecież ani zbrodni ludzkiej nie tłumacza, ani onéj nie usprawiedliwiają. —

Obadwaj Szanowni kapłani zgodziwszy się na tę konkluzyę, zamknęli rozmowę która tyle smutnych nastrożczała wspomnień.

Pan Kacper poszedł do matki a zostali tylko dwaj kapłani, do nich zaś wkrótce przyłączył się X. Ząbieński, który przed chwilą nadjechał. — X. Adryan z toku rozmowy z panem Kacprem powziął tak wysokie o nim wyobrażenie, iż wychwalając jego rozum i przekonywającą a świetną wymowę, rzekł w uniesieniu.

— To mi człowiek Moćpanie, bo ma i serce mądre i złotousty w mowie. — No proszę!... świecki człowiek a jak rozumuje, i jak się zna na distinkcyach! Wiele zdań które przytaczał, w Ojcach kościoła czytałem i dziwi mnie iż taką ma znajomość teologii. — Cóż Jegom. X. Kanonik Dobrodziej na to mówisz?

— O, znam ja tego pana od dawna, rzecze X. kanonik i zawsze w nim podziwiałem bystrość umysłu i wzniosłość uczuć. Jest to rozum na tle katolickim rozwinięty, dla tego posiada siłę jaką daje prawda, a okrasy użycza mu wrodzona zdolność, którą Bóg tak hojnie umysł jego obdarzył. — Człowiek ten przeznaczonym jest, oddać znakomite krajowi usługi, i kto doczeka zobaczy, jak on daleko na téj drodze zajdzie.

— Tak, Mości kanoniku, jeżeli ku temu będzie u nas sposobność?...

— Ale czy uważały wasze Rewerencye, doda X. Żabieński jakie jest podobieństwo między panem Kacprem a panią Ignacową. Taż sama żywość, dowcip, łatwość w rozmowie, a nawet z twarzy są do siebie podobni; — to też się oboje bardzo kochają. — Ale mówiąc prawdę, to w tej rodzinie ani kto pozna które z nich ma więcej ku sobie pociągu bo jedno za drugie duszę by dało, a wszyscy znowu w tym samym stopniu kochają Badénich i Popielów. — Muszę powiedzieć, że z temi Sandeckimi Wielogłowskiemi nieco są zimniéj, choć i z nimi się godzą, jednak już nie tak samo jak z Badeniemi. — Zobaczycie panowie, że gdy tu przyjedzie pan Regent albo pan Szambelan, to ani jednego z zawiślańskich nie braknie i wszyscy się zjadą, bo te domy oraz rodzina Gostkowskich idą z sobą przeszło od stu lat zawsze ręka w rękę. —

— Słusznie twierdzi X. Jaszczurowski, bo uważałem, że nawet mój pan Ignacy ze szwagrami ściślej jest połączony, jak z rodzoną bracią. — I nie dziw, bo ze szwagrami się wychował i łączy ich tażsamość myśli i rzeczy widzenia. Jednego z nich nieznam, pana Hieronima, czy on tu będzie?

— Zdaje się iż przybędzie; odpowie X. Żabieński. To godny jest człowiek Staropolskiego kroju, uczciwy, szczodry i dusza szlachetna, ale nieco jest ciężki, więc

się na wsi zakopał, w tém gorzystém Rybiu, w którym ziemia jałowa nieodwdzięcza pracy. — Żonę ma najgodniejszą, córkę podczaszyny Sandeckiej, która u nich mieszka, a obie te panie jak mogą zabiegają, ażeby z téj skały wydobyć pożytek. — Ale im twardo idzie i jak to mówią „z kamienia,“ cóż zrobić? Bóg nie równo swe dary między dzieci rozdzielił, ale każdy z tych darów właściwie użyty, posłużyć zarówno może do zbawienia.

— Mądrą powiedziałaś sentencyą Xięże proboszczu, przerwał X. Adryan, bo czytamy w ojcach o nierównym podziale darów opatrności. — Według nich każdy na téj ziemi otrzymuje stósowny warsztat ku wyrobieniu na nim zbawienia swój duszy. — Jeden na ubóstwie sadowi nadzieje przyszłego szczęścia i na dobrym buduje fundamencie; drugiemu pan Bóg oddał ku szafarstwu bogactwa ziemi, a i ten zyska niebo jeśli ku Bożej chwale tych darów używa. W rozliczny sposób pracują ludzie, to rękami, to sercem, głową lub zabiegiem, a wszelka praca zarówno jest zbawienną, byle w niej był duch ofiary i wola ku wiecznym celom skierowana. — Ale jakżeto Moćpanie trudno jest pojąć ludziom ducha ofiary! Ubogi którego przymiotem być powinna cierpliwość i pokora, złorzeczy, zazdrości a w łachmanach swoich zuchwały, dyszy zemstą, i chce znaleźć na drogach zbrodni, czego nie szukał na drodze pracy i zasługi. — Bogaty

zaś, którego przymiotem być winno miłosierdzie i wspa-
niała hojność, zbiera doczesne skarby, skąpi je i ściska,
a co mu grozi jako w szkatule przybędzie, to w za-
mian szkodliwych skarby łask Bożych utraci. — Nie mówi
się zaś Moćpanie, aby niewolno było ludziom przyrabiać
majątku: owszem, ale przyrabiając niechaj w bogactwie
widzą tylko środek służenia Bogu i bliźniemu a nie
cel wyłącznego posiadania, i przedmiot swój osobliwej
miłości. — Tu Moćpaństwo, cały leży sekret, ale źle
mówię, bo to nie sekret, gdyż jawna i znana prawda,
którą kościół zawsze i wszędzie głosi, iż majątek jest
środkiem a nie celem. — Lecz cóż na to poradzić,
że ludzie mają uszy a nie słyszą i słysząc niechcą,
a słuchać jeszcze mniej pragną. —

— Oh prawda! wielka prawda! rzekł X. Jaszczu-
rowski, i właśnie w dzisiejszych medytacjach według
naszego ś. Ojca Ignacego, znajduję zdanie, o świą-
tobliwej obojętności, na ubóstwo i majątek, zdrowie
i chorobę, śmierć i życie, ludzkie pochwały i nagany:
od którejto obojętności zależy pokój wewnętrzny,
wolność ducha, a tem samem bliższe połączenie się
z Bogiem. —

— To święta prawda! dodał Xiądz Żabiński, ale
w wykonaniu wcale nie jest łatwa! czasem nędra
albo boleść ciała lub też niesłuszna obmowa tak czło-
wieka rozdrażni, tak dojmie i rozburzy, iż trudno wten-

czas przywozić na pamięć radę świętego Ignacego
Doświadczyłem ja niedawno obrazy, której szczegóły
dość są zajmujące, bo malują usposobienie adeptów
masońskich względem duchowieństwa. Jeżeli Wasze
Rewereneyce sprawy téj są ciekawe, to ją opowiem, ale
może będzie lepiej przejść się po ogrodzie, bo tego
w kilku słowach określić się nieda.

XIV.

Pan Filaczyński i panna Szadurska.

Panna Szadurska hebanowe loki, w drobne kręci papiloty, — a biała perkalowa suknia, niby śniegowa zamieć na łóżku jęj leży, i przy stolku nowe trzewiki z kozłej skóry bronzowej świadczą, iż ubiór panny Szadurskiej wąpliwym jęj wdziękom sztucznej ma dodać okrasy. Czyliby te przygotowania policzyć na karb gromadzących się gości? Może!... bo panna Szadurska jest panną stołową, i siada przy stole. — Jednak siadała i dawniej, bywali też goście i bywało ich więcej, a przecież, niemaściła tak włosów pomadą zaprawną różannym olejkiem, ani tak troskliwie nie pielegnowała w szklance piwonii która wyglądać ma z pod jęj warkocza. — Jest coś w tém! a domyślić się można serdecznej kozery, bo gdy od czasu do czasu w swoje zwierciadelko na ramach okien zawieszone

spojrzy, to téż ciekawem oczkiem i przez szybę w tę stronę zagląda gdzie w oficynie mieszka Filaczyński. No, i prawdę mówiąc, niema w tém grzechu, bo miłość pocziwa zawsze się tak zaczyna, iż jedno za drugim najprzód goni myślą, wspomnieniem, duchem a potem wzrokiem, i coraz częściej czułem ściga spojrzeniem, które ma strzelistą własność, bo zaledwie z jednej wybiegnie źrenicy, już jest w sercu drugiego. Naturalnie... bo i miłość ma swój telegraf duchowy, który śle iskry po uczuć promieniu.

Ale w tych pierwszych chwilach gdy się miłość budzi, to panny lubią chować tajemnicę, — oh i bardzo głęboką, bo same przed sobą nawet przyznać się niechęcą, iż połknęły wędkę. — Coś im się niby stało, nibyto ból głowy, éj gdzie tam ból głowy!! jakaś miła nuda zaległa im w piersi. — Dziwna rzecz, iż to co ich przed chwilą bawiło...nie bawi,... O jednej rzeczy niemogą długo myśleć!... są roztargnione, ale i to nie,... prędzéj rozmarzone, jakimś słodkim marzeniem... Lecz gdy to marzenie w obraz żywy się zamienia, to się go boją i jakby ogniki przed nim uciekają... i to naturalne, bo wąplią —... albo się lękają złudzenia i odczarowania, inaczejby nieuciekaly przed obrazem który im się wdzięcznie przedstawia i w kolorach tak czystych i jasnych jak pierwszy zarys duchowej miłości. — Tak też i panna Szadurska tafiła przed sobą iż pan Filaczyński weale się jęj

podobał — a powiem nawet, że jęj się podobał du-
 żo więćej od innych: ale może myślała iż p. Filaczyń-
 ski kocha już inną w Bochni, i że tamta szczęśliwa
 pójdzie za niego. Czasem znowu myślała, że jest ba-
 lamut, a wtenczas rozsądek przywołałszy ku straży,
 zrymała się na siebie a więćej na niego, i jakies
 stanowcze brała postanowienia. Ale takie posądzenie
 •to grzech• odrzekła sama sobie: •dla czego ma być
 balamutem?• więć znowu zgoda rozsądku z uczuciem!
 zgoda.. ale pod warunkiem wielkiego sekretu o tém
 wszystkim co serce mówi i myśli przywodzą. — Po
 takiej wewnętrznej uczuć z rozsądkiem naradzie, już
 śmielęj spojrzy w okienko, a tu jakby błyskawica prze-
 sunęła się jęj przed oczy postać pana Filaczyńskiego
 który z domu wychodząc dawał Sottysom rozkazy. —
 Jeszcze się więćej pannie Szadurskiej w tęg chwili po-
 dobał, bo mówiąc z urzędu, przybrał tę powagę męż-
 ką i tę siłę woli, na którą chociaż się to niby nasze
 niewiasty skarżą, zwiąc ją despotyzmem, to ją cenia
 i ma ona dziwny dla nich urok. — Rzadko kiedy ko-
 bieta lubi wypieszczonego mężczyznę, i w tém nie-
 wiasty mają słusność — bo też to do niczego taki
 mężczyzna! to nie cały człowiek, ale płaz lub owad,
 mający tylko kształty ludzkie, — oto po prostu mąż
 taki, to tylko kruche bawidelko, do ustawienia na go-
 towalni, flaszeczka z pachnidłami, które wywietrzeją!
 Dobrze więć robią, iż do takich jasełkowych mężów

nie mają pociągu, ale przekładają w rozsądnym wy-
 borze, ludzi pracowitych, dzielnych, odważnych, a choe-
 by nawet i trochę surowych. — Nigdy one na takim
 wyborze nie tracą!.. — Otóż i panna Szadurska,
 wzrokiem, jakby smyczkiem po uczuć nastroju, cią-
 gnąc za Filaczyńskim, czuła, że im dalęj za nim okiem
 ściga, tém głóśniej miłość przemawia w jęj sercu —
 Oh, w tenczas-to już promień co serce przeniknął
 zaczyna być i ciepłym, a gorętszym od myśli która
 powątpiewaniem jeszcze studzi uczucia — ale i myśl
 nie długo broni się serca napaści, — Oh nie, ulegnie
 ona i potoczy się wkrótee za pędem nadziei. Tak
 też się działo i z panną Szadurską, która rozmarzona
 patrząc w kaplicę stojącą przed jęj oknami, tak so-
 bie myślała: •Mój Boże! jeśli Twoja wola, to niechby
 i tak było jak mi się marzy! wszak nie jest grze-
 chem kochać?... Bóg pozwala, a mnie się zdaje że
 mi się p. Filaczyński bardzo podoba! — Gdybym i ja
 się mu podobać mogła, to byłoby i dobrze przy po-
 mocy Boskiej,... ale niech się tam dzieje wyższa
 wola!... Trzeba dla pani suknie nagotować!... ale
 którą?... Dziwny ten Filaczyński, jak mi ciągle na
 myśli!... choć na niego nie patrzę to go zawsze wi-
 dzę. Ciekawam jak się to dzieje?... Ha, tak Pan Bóg
 urządził... Lecz kiedy tak marzy panna Szadurska, przy-
 bywa Tuchowska i zwykłym odezwie się impetem:

Panna sobie siedzi, a Pani nieubrana — Obiad już gotowy, i tylko czekają na pana Kreiskapitana. — Ja nie wiem prawdziwie co się tu dzieje w tym domu? Trzeba za każdym chodząc, każdemu przypominać, nużyć, i nikt nie pełni swoich obowiązków. Cóż panna się tak dziś stroi, jakby na wesele? tyle rogów na głowie, do czego, do czego?... Jakaż to dzisiaj ma być solennizacya?... Biała suknia!... no proszę, jakby na Zielone Świątki do Kościoła. —

— Ey, tak, sama niewiem dla czego tę suknię wyjęłam, odrzeknie Szadurska. —

— No, moja panno, różże z siebie świątka, rzeknie panna Tuchowska, mnie tam nie do tego, ale trzeba się spieszyć, bo któż przyjmie pana Kreiskapitana gdy zajędzie?

— Przecież są młodsze panie, odpowie Szadurska.

— Co tam młodsze panie! one tu są gośćmi, panią zaś i gospodynią oraz dziedziczką Proszówek jest nasza pani, pani Starościna, i jój się przyjąć godzi dostojnego urzędnika który w dom zajędza.

— Już dobrze, dobrze, odrzeknie Szadurska, tylko niech mi panna Tuchowska nie huczy nad głową, bo aż pamięć tracę i niewiem co przygotować.... Kamlotowa zielona?... mało strojna. — Sycowa w duże kwiaty?... ej, co ja też mówię!... wszakże to szlafroczek na rano... Jedwabna popielata?... dobrze

będzie prawie... Już wiem, tylko niech mi panna Tuchowska teraz nie przeszkadza. —

— Nieprzeszkadzam bynajmniej, odchodzę i usuwam się skoro mam być przeszkodą. — W Zborowie, to sama panna do mnie przychodziła, to po chleb z masłem, to po chleb z powidłami, to po różne przysmaczki jakich się zachciało — i w ten czas nieprzeszkadzałam, ale tu przeszkadzam, dla tego że jeszcze w spiżarni takich niema zapasów. — Dobrze, dobrze, popamiętam sobie... doczeka się świeczka wieczora.

Panna Szadurska zebrała myśli i oddając się znowu powinnościom służby, dobywała kolejno to suknię ze szafy, to czepec z pudła, to puszkę z pudrem, to wreszcie flaszkę z wodą różaną, — a gdy to wszystko już było zebrane, niosła do pokoju i prędko a zrecznie swą panią ubrała. — Potem znowu o sobie musiała pomyśleć i być gotową na chwilę obiadu, ale gdy powróciła do swego pokoju, tak się uczuła rozbita na duchu, iż żadnej nie miała ochoty pięknie się stroić, i zamiast białej sukni, chciała wiaść ciemną jak zwykle, i włosy w dwa pukle rozczesać, — bo panna Tuchowska prozaiczną napaścią, straciła ją z toru marzeń i jak wichher rozwiała miłe złudzenia. Nie niema sprzeczniejszego z miłością jak proza życia, i te zwykłe nasze kłopoty, które niezważając na połot uczuciów, chodzą zawsze po nizinach świata krokiem jednostajnym, wlokąc za sobą więzienną kulę naszych

fizycznych potrzeb i towarzyskich obowiązków. — Każda albo i każdy co umie kochać i prawdziwie kocha, radby się zmienić w abstrakcyę, i w tym świecie ideału żyć tylko miłością, oddychać miłością, spłonąć miłością. Sen i pożywienie zdaje się rzeczą zbyteczną, przeszkodą, katuszą, bo sprowadza myśl skojarzoną w obłokach z nadziemskimi istotami, na ziemski nasz padół, kędy się zwierz — człowiek wypasa, spoczywa, kłopotce, trudzi. Oh, gdyby w pierwszych chwilach rozbudzenia się czystej miłości, duch się ludzki ulotnił, pozbył więzów ciała, toby niezawodnie wyleciał aniołem, bo cóż robią innego anioły?... kochają bezcieleśnie!... Panna Szadurska otworzyła już szafę aby dla siebie ciemną wydobyć suknię, kiedy jej niewinna próżność kobieca, (owa doradczyni miłości) szepce aby przymierzyła białej! — Dwukrotnie przeto szafę otwiera, zamyka, aż w końcu ulega wewnętrznym podszeptom, i w białą suknię się stroi — Lecz o kwiatku nie myśli, bo tego byłoby nadto, sądzono-by może iż się chce komu podobać!... broń Boże! ona tylko samą cnotą chce błyszczyć. — Jednak loki już zrobione, przypiekane żelazkiem, cóż z niemi począć? trzeba już stósownie ubrać i głowę kiedy suknią strój wykwinny zdradza. — Ale co kwiatka to może nie weźmie?... Czy tak? Ej wątpię!... mnie się zdaje że weźmie!... Jakoż zgadłem, bo gdy już loki spadają w wisiorach, a gruby warkocz turbanem głowę

opasał, czegoś mu niedostaje: zwierciadło zaś radzi, iżby brunetka podniosła lustr hebanowych splotów czerwonym kwiatem lub wstążką, gdyż te dwa kolory, tak mile grają w oku, że nawet płeć trochę brunatna bielszą się przy nich wydaje. — Otóż panna Szadurska świadoma tajemnicy, wzięła w dwa palce piwoniją i dalej ją przymierzać, to z boku, to znów z przodu, aż wreszcie trafiła na punkt perspektywiczny, i pod warkoczem tak ją zawiesiła, iż pączek niby ukryty pod dwóch liści cieniem, wyglądał z tła ciemnego włosów, jak zorza poranna z czarnego tła nocy. — Był też wtém obrazek uczuć panny Szadurskiej, która niechciała dać poznać swęj miłości panu Filaczyńskiemu, ale-by może pragnęła, iżby ją trochę posądził o skłonność szczeręj ku niemu życzliwości. — Tak ubrana, radaby się pokazać, ale niewypada bez żadnego powodu iść do oficyny! a więc wychodzi przed drzwi korytarza i cichym głosem woła na dziewczynę 'Kasiu!' i znowu później trochę głośniej 'Kasiu!!' aż wreszcie nibyto zniecierpliwiona, biegnie sama do kuchni i burczy dziewczynę, iż nieprzychodzi sprzątać pokojów. — Dziewczyna nie zwykłym połajana tonem, jakby z prócy rzucona, pobiegła do dworu, a panna Szadurska wolniej za nią idzie, a powiem nawet, iż idąc tak czuła, jakto we śnie, co się czasem marzy iż człowiek radbybiegnać, a ruszyć się nie może. — Dziwnato ta miłość w swo-

ich objawach! — ... No dość na tém, że fortel udał się zupełnie, bo gdy panna Szadurska z kuchni wracała, nadchodził Filaczyński, i tak się na czas zesłi, iż p. Mandataryusz mógł powiedzieć „Dzień dobry pannie” ale z zająknięciem, które było podobne do wziętego *tremendo* na stronie od lutni. Miłość jest tak misterną iż trzeba znać jęj tajemnice i wszystkie odcienia, aby ją umieć podchwycić w jedném spojrzeniu, w jedném nieraz słówku, które w innym razie i bez szczególnej inflexyi głosu nicby nie znaczyło. My mężczyźni mniej jesteśmy dowcipni w odgadnieniu tych tajemnic, bo gruba powłoka naszego jestestwa a twardej nastroj nerwów, lekkiego brzmienia uczuć nie odnosi do duszy. — Musimy się więc uczyć tęg duchowej muzyki, w której celują anioły a po nich niewiasty. — Ale one, chcę mówić nasze ziemskie anioły, to Mistrze w tęg sztuce. — Gdyby się w nich nawet motylek pokochał, toby umiały zgadnąć jego uczucia po skrzydełek brzęku, a tęg bardziej też, kiedy taki wąsacz Filaczyński, który jak grzmot huczy nad gromadą, drżącym, nieśmiałym głosem ledwie wydzwoni „Dzień dobry” Dzień dobry odpowiedziało z cicha jakieś wdzięczne echo, które w tym razie nieodbiło się o skałę, ale o drżące serduszko panny Szadurskiej. I tyle było całej rozmowy... Czy mało?... Mnie się zdaje iż dosyć, bo wszystko się w tęg mieściło co sobie powiedzieć chciano do łaskawego stron obu zrozumienia. — Pan-

na Szadurska wróciwszy do siebie w dziwnym znalazła się wzruszeniu. — Przecież niedaleko chodziła bo tylko do kuchni, a drżą pod nią nogi, i słyszy serca bicie, serca, które kiedyindziej spokojnie i bez naszej wiedzy w piersiach sobie kołacze. — Dreszcz ją przebiega i jakby zamróz wychodzi z jęg ciała... Oh, dziwne-tężto objawy miłości!! — Wreszcie siada i pragnie przywrócić ducha równowagę, a spoglądając po ścianach jak w chwilach pierwszego ze snu przebudzenia, wzrok jęg spoczął na angielskiej gitarze, i ku niej się wyteżył, bo miłość szuka dla siebie wyrazu w Artyzmie, tak dalece, iż nasze wieśniaczki, tak jako i słowiki które za cały artystyczny narząd, mają gardziołek, nucą sobie i śpiewają w chwilach kiedy ich zajmie kochanie. —

Ale niestety, w podróży ze Zborowa wszystkie prawe w gitarze popękały strony a innych niema pod ręką... Znajdą się w Bochni, a możemy zaręczyć, iż ich p. Mandataryusz dostarczy, bo przez trzecią osobę dójdzie do wiadomości pana Filaczyńskiego, iż czystej duszy rozmowa, chce się wyrażać w wdzięcznej muzycznej harmonii. — I pan Filaczyński także grywał na flecie, ale zaniedbał, bo także skówki spadły z instrumentu i klapy się popsuły: ile razy więc tchnieniem chce uczucie wyrazić, tyle razy sfałszuje, i twardo zapiszczy — a przecież tegu mu nie braknie, bo płuca w piersi Filaczyńskiego jak miechy. Fletu więc wi-

na, który także do Bochni pojedzie do naprawy. Panna Szadurska, patrząc na gitarę, w myśli sobie nuciła jakąś piosnkę znaną, o ile mi się zdaje ową: „Już Xieżyce zaszedł psy się pośpiły, a ktoś tam klaszcze za górą” itd. a w tym turkot pojazdu pana Kreiskapitana spłoszył jęj marzenia, i przerwał ciąg harmonii, podobnie jak kiedy stróna w ówczas pięknie, gdy się ma jeden ton spłynąć z drugim tonem w zgodnym akkordzie, i mimo różności, brzmieć jedną pieśnią i wdzięczną i tkliwą. — Więc znowu przebudzona do rzeczywistości, wstała i w zwierciadle raz jeszcze przejrzała swój ubranie, jakby artysta, który na wystawę oddając swój obraz, jeszcze w ostatniej chwili lepszych dotyka cieniów i półcieniów.

Dano obiad, a przy stole zasiadło całe goście grono — po prawej ręce méj babki siadł p. Kreiskapitan, po lewej Xdz kanonik Jaszczurowski, a później porządkiem hierarhicznym i wieku i stopni wszyscy się umieścili. — Na końcu zaś dwa puste zostały miejsca. — Kazano zawołać pana Filaczyńskiego i dać znać panie Szadurskiej. — Pan Mandataryusz pierwszy się stawił, a przy drzwiach pokłoniwszy się państwu i panu Kreiskapitanowi, zajął jedno z miejsc wolnych, na drugim zaś usiadła panna Szadurska nieco pomieszana, bo to bliskie sąsiedztwo w obec tylu osób, acz w miłym lecz w bardzo trudnym stawiało ją położeniu. — Mój Wuj pan Kacper, który czytał w du-

szach jak w otwartej księdze, spojrzawszy na tę parę, mile się uśmiechnął, i szepnął coś do ucha Xdzu, Żabińskiego, który też rzuciwszy okiem w tę stronę stołu, z cicha coś przemówił do pana Kacpra. — Panna Szadurska, która ledwie parę łyżek zupy pokosztowała, domyśliła się powodów zwróconej na siebie uwagi, i zapłoniona oczy w dół spuściwszy z chleba pod stołem kręciła gałeczki; — pan Filaczyński zaś który niewiedział iż na niego patrzą, zmiatał spokojnie zupę z pulpetami. —

Zaczęto mówić, a gwar obiadowy, zmiana talerzy, brzęk sreber, kieliszków podzwonne, zagłuszyło wrażenie jakiego doznała panna Szadurska. — Jednak mało jadła a tylko ze szklanego dzbanka, nalewając wody, piła szklanka po szklance... Biedaczka!.. myślała, że i taki ogień da się wodą ugasić!!! Bajka!.. choćby wypła wody Oceanu, toby nic niepomogło, bo miłość to jest ogień co się pali na niebie, na chmurach, na ziemi i w wodzie, a nawet gdy się na ziemi smołą zabrudzi grzechową, to się pali i pod ziemią w piekielnych otchłaniach i nie go niezadmuchnie, nie go nie ugasi. — Na ziemi więc, przy miłości pożarach, jedyną strażą ogniową jest cnota, i to cnota na wierze oparta. — Zresztą ani Doktorzy, ani filozofy nie na to nie pomogą. — Pan Filaczyński odważniejszej myśli, a twardszego sumienia, spoglądał owszem z boku na swoją sąsiadkę, a każde takie spojrzenie

jakby kolka pod sercem w pannie się odezwało, bo ona niechciała aby się jój przyglądał w obec gości i zdradzał przez to ów pociąg wzajemny, który jakby skarb serca niepuszczony w obieg, leży dopiero w głębinie przecucia. — Obiad więc cały był dla niój katuszą, i gdy już z piramidy rozbierano ciasta liczyła z radością chwile bliskiego swego wybawienia. — Ale przy ciastach zaczęły się zdrowia. — Pan Kreiskapitan a za nim wszyscy pili zdrowie mojej babki; mój Ojciec znowu wniósł zdrowie pana Kreiskapitana — potem szło zdrowie dam, później duchownego stanu. Xdz Jaszczurowski wniósł toast konsolacyi pani Starościny, a p. Kacper nalawszy trochę wina w kieliszek, cichaczem się zwrócił w stronę gdzie siedział Filaczyński i panna Szadurska, a półgłosem wypił zdrowie przyszłych państwa młodych. — Pan Mandataryusz wdzięcznie żart ten przyjął i uprzejmie dziękował ze stołka powstawszy, ale panna Szadurska, nie przyjmując do siebie pana Kacpra przymówki, raptem głowę w bok odwróciła i czerwienią od piwonii zdobiącej jój warkocz, szukała upuszczonej nibyto pod stołem serwety. — Pan Filaczyński z mężką prostodusznością sądząc, iż w rzeczy samój co na ziemię upadło, chciał być grzecznym i także pod stół głowę zniżył, aby damie z należąną pospieszyć usługą: a tym sposobem pod fałdami obrusa dwie głowy się spotkały. Oczywiście iż panna Szadurska z głową swoją ucieka,

ale źle odmierzywszy stołowe rozmiary, tak w krawędź trąciła, iż wszyscy oczy na nią zwrócili. Nikt niewiedział w jakiego mruczka gra tam szary koniec, ale p. Kacper, którego uwagi nie ujść nie mogło, jeden tę scenę rozumiał i śmiał się serdecznie, chociaż sprawy nie tłumaczył, bojąc się zrobić pannie Szadurskiej przykrości. — Obiad się skończył, ruszyły się stołki, p. Kreiskapitan Babkę, mój Ojciec panną Teofilę wiedzie, pan Kacper moją matkę i śmiejąc się mówi jój po drodze o pannie Szadurskiej i panu Filaczyńskim. — Xdz Żabiński w trop spiesząc domyślił się sprawy i gdy przechodził blisko panny Szadurskiej, rzekł jój półgłosem: chwala Bogu, będziemy stół wiazać. Zaledwo państwo w drzwiach się przesunęli, panna Szadurska jak sarna spłoszona, wybiegła z sali a gęstemi kroki do swego pokoiku spieszy, i tam we łzach tonie. — Dla czegoż, i zkąd te łzy? Czy już przestała kochać Filaczyńskiego? ale gdzież tam, nie o to ona płacze — a więc o cóż? Może iż pod stołem tak się z nim blisko spotkała?... Ale nie! wszak to się nieumyślnie stało! — Więc o cóż w końcu te łzy? Zapewne o to, iż jój tajemnie odgadniono uczucia, a świat pierwsze ziarno wschodzącej dopiero miłości, już wziął na pytel żartu i tém się bawił, co dla niój było świętem na polu jój czystego ideału. — Biedna miłości! na ileż ty prób bywasz narażoną!!

XV.

Zjazd familijny w Proszówkach na dzień Śgo Stanisława.

Częste méj babki z Kalicińskim narady a także kilkakrotne do Bochni posёлki, świadczyły, iż się gotują potrzebne zapasy do przyjęcia gości. — Kucharz Wojciechowski poszedł umyślnie do miasta. po cukrowy maczek w różnych kolorach i po alkiermas do strojenia ciast a razem zaprawienia galarety na barwę pożyczkową. — Xdz Żabiński jako znawca, pojechał obrać wina; Boratyński kwatermistrz generalny obmyślał środki pomieszczenia gości. — Do Filaczyńskiego należał ogólny dozór porządku, oraz część estetyczna, to jest dekoracyia, a panna Tuchowska arcy-klucznicą i minister policyi co do obyczajów, miała przestrzegać obrazy Bożej i strzedz niewinności. — W tak podzielonej pracy szło wszystko jak z płatka, i w jednéj chwili browar się zamienił w gościnne mieszkanie; dom Kalicińskiego zewnątrz wybielony błyszczał

na tle zieloném Niepołomskiej puszczy — Boratyński swe łoże przeniósł do kucharza — Filaczyński z aktami w kąć jeden się schronił, gotując dla panów posciel usłaną pokotem. Młodszy na strychu a inni w próżnych już na wiosnę sąsiedkach spoczywać mają. Córki domu równie się też chronią do małego gabinetu, odstepując pokoju państwu Regentostwu, którzy niebawem przyjadą. — *Widła* podkuchmistrz miał kilka urzędów: był on masarzem, kucharzem a razem i ogrodnikiem. — Trudny więc na niego przypadł obowiązek podolania różnym gałęziom pracy. — Stróż mu w prawdzie pomagał, ale stróż jak wszędzie, choć od jednego płatny jest pana, służyć musi wszystkim, więc raz go wołał kuchmistrz, znowu *Widła* ogrodnik, to *Rzepecki* marszałek, to *Filaczyński*, a *Tuchowska* też ciągle bębni mu nad uchem, i natrętnie ujeżdża do wszelkiej posługi. — Słowem biedny *Franciszek*, *Figaro* Proszówek, tu i owdzie się kręci, pracy nieodmawia, ale wolałby orać, młócić i kamień łamać, albo na *Rabie* pod wodę halować, jak być porwanym w ten wirwar usługi, w której on jeden ciągnął a furmanili wszyscy. —

Filaczyński co czynnie kręcił się i biegał, szybko wyszedłszy z kuchni zamknął się u siebie: nie widać go już długo i każdy spostrzega, iż go musiała zająć jakaś ważna praca, skoro już parę godzin w kancelaryi trawi. — *Panna Szadurska* siedząc przy tam-

borku, co zrobi kilka ściągów zaczętego haftu, to w okno spojrzy, a jój ulubieńca jak niema tak niema! W tém wychodzi Filaczyński z arkuszem papieru, na którym narysował dla pana Kuchmistrza, *caput operis* — Cyfrę na piramidzie z ciasta — *Vivat S. B.* a na wierzchu koronę, pod spodem zaś esy i floresy. — Bardzo się podobało panu Kuchmistrzowi to dzieło sztuki pisarskiej a razem i rysunkowej i dodał, że cyfrę polukruje różowo, a koronę da żółtą, esy zaś amaranthem przeciągnie, aby odbijało. — Piramida w trzy granie z szeroką podstawą silnie karmelem zlepią, leżąc będzie na placu biskoptowym, który cały półmisek zakryje. — Lecz aby piramida znalazła podpore, będzie wielkimi wstrzymana esami, i półkołami i półxiężycami, także na karmelu z sobą złączonemi, na którym też i z gorzkich migdałów będą makaroniki w koło przylepione. — Słowem do tego dzieła już nie braknie, tak się przynajmniej zdaje panu Kuchmistrzowi, a to zdanie potwierdza i pan Filaczyński!

A pan Rzepecki co robi? czyli w ogólnym ruchu nie bierze udziału? gdzież tam!... ma on co robić: On marszczy serwety w różne drzewa i liście. — On ładuje obrusy tak szerokie i długie, iżby niemi cały dom Proszówek nakryć można. — On wydobywa srebra ze skórzanych puzder, po Sędzimirach i po pani Gruszeckiej, i po rodzicach śp. Starosty. — On czyści kosze misternej roboty i blaty zwierciadlane w ko-

ło srebrem kute i na lwich łapach stojące; on kieliszki kolejne w półce kredensowej stawia porządkiem tak jak idą zdrowia, wedle starszeństwa i względnej godności, a kulawkę *) ostrożnie odkłada na boku, bo ten kieliszek bez nogi, podetnie je na końcu wszystkim biesiadnikom, i po nim się już żadna kolej nie należy, chyba w parę godzin później, gdy pierwsze wino wyszumi i obiad utęchnie. —

A więc dobrze, — już wszystko gotowe, — i może kto chce przyjechać będziemy mu radzi! — radzi mówię po staropolsku, to jest całym sercem, a przyjmujemy ucziwie tém, co dom posiada. — Nie długo czekać, już jedzie z Nieszkowa syn mojej Babki pan Stefan Wielogłowski, co ma Popielownę, dobrą, ładną i posażną żonę. — Jedzie z nim Szwagier jego p. Michał Gostkowski mąż pani Teofli, a syn Generała dziedzica Kromołowa. — Za niemi toczy się powóz sławną zaprzężoną czwórką gniadych klaczy, a w nim pani Stefanowa z bliską swoją krewną Marysią Popielowną. — Za przybyciem tych gości wszystkim sercem miłych, cała rodzina wychodzi, wita się, zwija w jeden kłębek i znowu wstępują rozwija i znów się wiąże w uściskach, aż tonie w głębi domu, aby tam powtórnie powitać się, rozgościć i spocząć. —

*) Tak się zwał kieliszek z utraconą podstawą, którego postawić niemożna było, ale się go duszkiem wychylało. — Zwykle pijano nim zdrowie „Kochajmy się.“

Ale trudno to spocząć, bo znowu za bramą trzaska z bicza jakiś Krakowiak ochoczy! — Wszyscy biegają do okna... poczciwy pan Andrzej Wielogłowski stryjeczny brat mego Ojca toczy się z Gruszowa. — To gość podwójnie miły, najprzód iż sławny z cnót obywatelskich, z poświęcenia bez granic, z prawości bez plamy i skazy, a powtóre iż on prawdziwą uczynił ofiarę odbywając tę podróż nader uciążliwą ze względu na tuszę jego więcej jak półtoraczną. — Kto wie czy w całej Polsce był człowiek równie otyły, bo dość jest powiedzieć, iż gdy w szerokim powozie sam tylko siedział, to zaledwie przy sobie laskę mógł pomieścić. Prawdziwe też-to było kalectwo; a tylko najwyższy szacunek dla jego cnót i zasług mógł obcych wstrzymać od śmiechu, gdy do pokoju obie połowy drzwi mu odmykano, aby mógł bokiem swój tułów przesunąć, który ze siedm łokci miał obwodu.

Niedługo potem, Góralską uprzeżą, małemi końmi i niską kolasą do podróży w górach sposobną, nadjechał pan Tomasz Wielogłowski, z Owieczki, z sąsiedztwa Swidnika a tuż pod Tatrami, — Szlachciec to był jak polskich Tytanów potomek, bo o ile p. Andrzej tuszą się odznaczał, o tyle pan Tomasz wzrostem i siłą swój atletycznój budowy. — Chromał on nieco na nogę, a ztąd na bok się pochylał, jak wieża Kościoła Śgo Szczepana, ale z resztą potężny mógł żubra wziąć na rękę i ze lwem się mierzyć. — Nie-

odrodny wnuk Michała co zbił Rakoczego czekał tylko kozery, aby złożyć dowody równej odwagi, ochoty i siły. — Głos jego piersi to jak echo grzmotu, co się o skały Tatrów ponuro odbija; uścisk serdeczny to jak uduszenie w niedźwiedziach łapach, a kto by się zaś odważył iść z nim na przepiecie, to niech by najprzód w Dunajcu wodę na wino zamienił i rzeki koryto przez gardło pana Tomasza przepuścił. Takito był pan Tomasz, a chociaż *de jure* słabszym był od wielu, to wiem iż *de hajda* nikt go nieprzesadził. Drżeli przed nim sąsiedzi, bali się i inni, bo cóż tu począć z tym synem Krepaku *) którego kości ze skały odkute, usta jak wrota jaskini, porywezość jak prąd wodospadu, a upór woli jak głębia morskiego oka! **) Gdy zajechał pan Tomasz, uśmieł się serdecznie, widząc swoich przed gankiem, a śmiech ten tętnił mu długo w piersi a rozlegał się po wnętrzu. — Potem oparty na ramieniu fornala jakby na lasce, wysiadł z kolaski i ręce rozłożywszy tak idzie do braci, aby odrazu po kilku uściskać. — Witajcie, witajcie panowie Bracia, rzekł p. Tomasz, no jak widzę jesteście tu wszyscy, chwała Bogu, będzie *ut sic* zabawa!

•A gdzież Stryjanka Jejmość starościna, niechże ją pójde powitać!! a państwo Regentostwo czy już przy-

*) Góra w Tatrach około Kościelisk.

**) Jezioro w Tatrach.

jechało?... Jeszcze nie rzekł mój Ojciec. To dobrze bo tak być powinno, abyśmy raczej na nich jak oni na nas czekali.

No, prowadźże mnie panie Bracie do Jejmości, iżbym się jój skłonił, a także i paniom siostram, żonom Waszendziejów, ukłon oddał.

Wszedł pan Tomasz schyliwszy się w odrzwiach trójkątem, wita mą babkę, kłania się na wsze strony, a głową w lustro trąciwszy, zabrzęczał szkiełkami rżniętymi w wisioriki, które w kształcie gierlandy zdobiły lustra świeczniki. —

— Byłbym zaraz sporządził te cacka w pajaku! rzecze pan Tomasz, ale bo też i głową sięgam do sufitu. Bieda z temi gnatami, co ich niepomieścisz w lada którym kącie.

— Gorzej mnie z moją tuszą, odpowie p. Andrzej.

— Ej, co tam panu Bratu: owszem, z tém wygoda, bo dusza jak w pierzynie!... Oho! jakaś nowina, bo śpieszy Boratyński! — Wistocie wpadł nagle Boratyński donosząc, że powozy państwa Regentostwa są niedaleko i już wieś mijają, a ciągną blisko winnicy. —

Wszyscy powstali; — Babka moja przodem wychodzi przed ganek, a za nią całe rodzinne grono na prawo i lewo, szeregami się ustawia. Po chwili wjeżdża w bramę masztalerz, który poprzedza karete sześciami kołmi ciągnioną nie tak może dla parady, jak z koniecz-

ności, bo droga z Rożnowa zła jest i górzysta. — Konie są wszystkie kare, a szory czyli raczej szle rzemieńne z cynową ozdobą kluczków i sprzączek i ciężkich kantarów z okularami, stanowią ubiór poszóstnego cugu. Na przedniej szóstej siedzi forys w rzemieśle swym biegły, a co chwila zwracając oczy na stangreta, zgodnie z nim ruch miarkuje, albo go przyspiesza lub zmienia kierunek. Masztalerz, jako jazdy naczelnik, to głową to znów głosem obiema zarządza, każe kolój omijać, zwolnić ruch przy bramie, przyciąć koni, podjechać zręcznie pod ganek, i stanąć. — Pan Regent, który sercem wybiegł ku rodzinie za nim go konie zawiozły, — głowę już przez okno od karety chyli, a woła: „Jak się masz Józiu? — ... Jak się macie dzieci, — oho! jest tu i Ignacy, ten złociarz, co mnie nie odwiedził. Zajechali już państwo, a ledwo stanęli, dwadzieścia rąk za kłankę od karety chwyta, i lokaj ani się ku tej posłudze docisnąć nie może. — Zniżają stopnie wysadzają dzieci, Michasia *) co już liczył lat jedenaście i maleńką Józie, **) córkę najmłodszą państwa Regentostwa. — Wreszcie podają rękę pani Regentowój, co z domu Hr. Stadnicka, siostra p. Antoniego z Wielkiej Wsi, i później panu Re-

*) Pan Michał Badeni, który odbywszy później kampanię 1812, był znowu Kapitanem Artylerii w Wojsku kr. pol. później dowodzącą półką a dzisiaj prezesem Tow. Agr. Krakowsk.

**) Poszła za pana Michała Walewskiego z Kobylnik † 1855.

gentowi, który już wysiadając, najbliżej siebie będących uściska, ale przed tłumem do siostry dostać się nie może, bo wszyscy go witają, całują po rękach, ramionach, i kolanach. — Wreszcie zrobiono lukę, a dopiero z siostrą się powitali, i trochę popłakali, ot tak, i z radości, i z miłości, a najwięcej, z pociechy iż znowu się widzą na nowej siedzibie, a wreszcie i z tego rozczulenia, które dawniej rozumiano, gdy się w jedno grono cała rodzina zebrała. — Pan Kacper podał rękę pani Regentowej, a pan Regent już swojej siostry się nie puszczał, mówiąc:

— Będiesz tu moja Józio mieć nas podostatkiem, bo zięć mój Starowiejski z Elżusią tu zjedzie, a również i Stanisław Stadnicki przybyć ma z Apolonją. Syn mój Antoni nie chybi, a może i Ignacy z Kaziem tu przybędą. — Jak nas pomieścisz? w tém będzie twój kłopot, ale przyznaj żeś temu sama winna, boś nieprzyjęła mojego zaproszenia do Rożnowa.

Dom już był pełnym gości i zmierzch się też robił, błysły woskowe świece w świecznikach od lustra a srebrne szabaśniki o dwóch ramiennych lichtarzach, ozdobne łańcuszkami ustawił Rzepecki, mówiąc wedle zwyczaju gdy się światło wносиło: Niech będzie pochwalonym Jezus Chrystus. Lecz grono z każdą chwilą coraz się zwiększało, gdyż rodzina późno nawet wieczorem z wszech stron przybywała. Rozmowa była tłumna, gwarna i wesola; pan Regent ją ożywiał

serdeczną otuchą, — babka zaś moja była w swoim żywiole, bo otoczona drogiemi osobami rodziny. —

Pan Kacper tak się rozbawił, iż całe społeczeństwo dowcipnemi żarty do śmiechu pobudzał, gdy pana Tomaszka niedoszle rozpowiadał miłości; ten się zaś wypierał i tłumaczył jak z ciężkiego grzechu. Tém czasem wszyscy świadczyli za panem Kacprem, a wreszcie przypominali p. Tomaszowi iż o Baronównę Gostkowską już się miał oświadczyć, kiedy mu w dzień dwuosobów brakło odwagi. —

— To jedno tylko prawda z tego co mówicie, ... rzecze pan Tomasz, ... tego się nie wypieram! — Ale cóż w tém dziwnego, żem się tych miłosnych prześlakł ceregielów! — Mówiono mi, iż podobno trzeba kłękać przed panną, a rodzicom i ciotkom nadskakiwać, jednych za kolana ścisnąć, drugich muskać po rękach; więc też pomyślałem sobie: to nie dla ciebie ta sprawa panie Tomasz, bo ciebie pan Bóg na fireyka nie stworzył. — Wolalbym się o pannę wyrębać lub przez mury się do niej przełamywać, jak zrobić z siebie wiercipiętę. — Bo cóż u licha! ja przecież pięć sched nabywałem, w czém mnie zaświadczy pan Andrzej, a tyle korowodów nierobiłem co o jedną żonę! — Mimo tego chciałem już jechać, gdyż panna była gładka, przytem Gostkowska, herbu Gostdawa, a więc mi dość przystawała. — Brykę kazałem wyładować, konie okuć i wszystko było gotowe.

Aley kied przyszło siadać, znowu mi przychodzi na myśl, jak ja to zacząć mówić o tém kochaniu? ... Jużci *kocham Wacpannę*,... Ale to może nie dość? trzeba jakoś gładszniej tę rzecz ubrać... Myślę, myślę, ale ani w ząb! powiadam Wacpaństwu, że żaden mi koncept do głowy nie przyszedł... po chwili cośto niby gładszego złożyłem, a więc ucieszony kazałem zaprzęgać, a tém czasem w domu wydałem dyspozycye. — Lecz gdy bryka już zaszła i mam siadać, cały mi koncept wyszedł z pamięci. — Klecę, klecę, ale nie mogę nic zestósować... Ey! pal cię licho! rzekłem: jeszczebym gotów strzelić bąka; lepiej nie jechać! Dali Bóg lepiej, bo co mi po żonie? Lat przeszło czterdzieści przeżyłem bez żony, to i na dal się obejdę. Więc kazałem wyprzęgać, brykę wtoczono do szopy, konie wysłałem po drzewo do lasu i na tem się moje kochanie skończyło. —

— Szkoda panie Tomaszu, rzeknie pan Kaeper, byłbyś miał żonkę, dzieci, wygodę, pociechę; byłaby cię jójmość kochała, głaskała i uprzejmniała twoją samotność.

— O to wszystko mniejsza panie Bracie, odpowie pan Tomasz, boby się bez tego głaskania obeszło, ale mów raczej, iżbym był za posag odkupił Wielogłowy pod Sączem. — To mi majątek! ziemia dobra, i lasu kawał — a nad Dunajcem, wreszcie nasze gniazdo. Ey, serdecznie mi żal, iż to w obcych rękach! — Ja

niewiem czemu tego pan Starosta nie kupił, albo który z was nienabędzie? — Aleć i Wielopole także w cudzém ręku, a przecież tym panom niebraknie pieniędzy na kupno.

— Możesz się jeszcze ożenić panie Tomaszu, dodał pan Michał Gostkowski, i kupisz Wielogłowy, ja cię sam chętnie wyswatam.

— Panie Boże zapłać, mój panie Michale! — Jużem za stary na te obertasy. — Gdyby mi sama w dom przyjechała jaka poważna wdówka a dobra gospodyni, to niechby tam i była dla samego zarządu, ale jeździć w konkury, to pal diable!... już się kościska zastały!

Gdy tak mówią panowie, a panie z téj rozmowy śmieją się do woli, dał się znowu słyszeć turkot na podworce, a w krótee wszedł p. Józef Wielogłowski Dziedzic Limanowój w Sandeckim. — Powitawszy wszystkich po starszeństwie, opowiadał przygody swojej podróży, które chociaż nie mogły być ważne, na przestrzeni pięciu mil, dla tego są ciekawe, iż malują osobne piętno człowieka. Pan Józef Wielogłowski, (ów Sandecki, z Limanowój), był jednym z owój szlachty, która chwile swego życia rozdzieliła między uciechy z sąsiadami a myśliwstwo. — Dobra jego składające się z intratnego miasteczka i kilku folwarków w lasy i niezłe grunta bogatych, pozwalały mu

dogadzać mniej użytecznym zapewne, jak niewinnym upodobaniom. — Trąbiono u niego z rana w myśliwskie rogi, trąbiono wieczorem w butelkę, a ta muzyka przeciągłym echem to o las to o ściany sąsiednie się odbijała. —

Pan Józef kochanym był przez szlachtę, bo miał ten przymiot serdeczności, dla którego wiele innych wad się przebacza. — A więc *czapka—papką*, zniewalał sobie sąsiadów i wyrobił między nimi pewien rodzaj przewodztwa. — Bez rady pana Józefa nic nie czyniono, ale że radzić nie zawsze umiał, więc potwierdził co uradzono albo też postanowienia Węgrzy-nem przyspieszał i ułatwiał. Słowem był to człowiek u którego polubowność zastępowała wiele innych szacowniejszych zalet, którychby na próżno w nim szukano. — Wychowany w pośród zgrai przesądnych myśliwców, otaczał się w codziennym życiu takimi, co dzielnie strzelali i pili, w wyborze przeto towarzys-zów mniej był wybrednym i od nich nabył pewnych przesądów, do których rzeczywiście przywiązywał wia-rę — poznamy to z jego opisu podróży do Proszówek.

— Wyjechawszy od siebie, rzecze pan Józef, (po dobrém śniadaniu,) jadę przez miasto,*^{*)} a tu baba niesie wodę w konewkach — furman mój splunął, a i ja byłbym wolał pierwszego spotkać żyda jak babę, bo

^{)} Miasto Limanowa.

doświadczyłem tego na polowaniu, iż żyd przynosi szczęście. Ale to nie!... Dopiero jedziemy dalej, a tu na przykopie siedzi wrona i kracze! Znowu mój furman splunął, a ja sobie myślę, że tego to już nadto!.. wołam, stój!... łap za dubeltówkę — mierzę, mierzę... pszytk;... spaliło na panewce, wrona poleciała. — Oh źle, myślę sobie, będzie kozera i powiadam furmanowi, jedź ostrożnie, bo nam gotowa która klacz porzucić. — Zjeżdżamy z góry, od Koszar **^{*)} do Piekiełka ***^{*)} a tam droga zbujecka, kamienie jak głowy, wyboje, dziury. Jak uderzy powóz o kamień, zaraz pękła rafa na kole i dzwono wypadło. Posłałem do dworu, a sam siedzę i myślę, że to nie jest przesąd co mówią ludzie o babie z wodą, która jak ma przy-tém złe oczy, to zawsze jest pewny wypadek czy w podróży czy na łowach. — Z Piekiełka wkrótce po mnie przyjechało, powóz mój na drągu wleki do kowala, a my sobie gadu—gadu, przytem był napitek i jakoś zeszło do wieczora, a więc też dla tego póź-niej tu przyjechałem.

— A czy była brzydka ta baba? zapyta p. Tomasz.

— Jakieś tam babsko, — nieuważałem, ale nie musiała być piękna, odpowie p. Józef.

— Wierzę mój panie Bracie, doda p. Tomasz, bo Waszec się tam nie każdej baby tak lękasz uroków,

^{*)} Wieś Koszary p. Pieniążków. *^{*)} Wieś Piekiełko Dunikowskich.

i wcale nie spluwasz jak ci kiedy piękna zajdzie w drogę.

— Niedogaduj mi pan Brat, odrzeknie pan Józef, bo powiem... a skrećisz się Wasze!...

— Powiedz-że, powiedz mój panie Józefie zawołają wszyscy. —

— Czy powiedzieć, jak było na kuligu? zapytał p. Józef.

— Nie waż się, panie Bracie, odrzekł p. Tomasz, bo plotka jesteś; trzeba przecież wiedzieć, gdzie co mówić i przy kim. — Jakże u ciebie w domu, czy zdrowi wszyscy?...

— Coś pan Tomasz zagaduje, dodał z uśmiechem pan Kacper.

— Ja znam ten wypadek, odrzeknie mój Ojciec i nie znajduję, aby mógł być powtórzonym, acz popiera zdanie mego szwagra Michała, iż musimy ożenić Pana Tomasza.

— Dobrze — dobrze — ożęcie, przerwie p. Tomasz tylko niech na tém będzie koniec, i mówmy o czém inszém.

Dano później wieszczę a Xdz Jaszczurowski wniósł zdrowie in vesperis, solenizanta jutrzejszego, które wszyscy powstawszy wypili z zapalem. Po wieszczę Boratyński rozprawdzał gości, naznaczając każdemu

właściwą kwatere a babka moja z córkami i resztą dzieci odprowadziła państwa Regentowstwa, do ich pokoju, który wedle zwyczaju wykadzano bursztynem, i przygotowano lampkę, która się zwykła świecić przez noc całą. —

XVI.

Dzień Imienin P. Regenta.

Jednym z warunków wesołości powszechnej przy tak uroczystym na wsi zjeździe jest pogoda, bo gdy na świecie słońce, wiatr lub deszcz, to czas taki dziwnie wpływa na usposobienie ducha, stojącego wkończnej zawisłości od ciała. — Jednemu się spać chce i ziewa, drugiemu zastarzałe blizny dokuczają, tamten podagryczne napady zaledwie utaić zdoła; innemu duszno w pokoju. — Chce wyjść, ani sposób, gdyż nawet przed gankiem deszcz zacina, a przez źle opatrzoną powałę w facyacie, krople po kropkach na nos mu spadają. W pokoju ciągle rozmawiać?.. przebierze się!... grać w karty? uprzykrzy się; czasem się więc robi ogólna cisza, wśród której słychać tylko świst wiatru i ciurkiem spływającą z rynien do beczek wodę. — Oh skoro się gospodarstwu taki dzień wydarzy na większy zjazd gości, to powiem że niezabawnie; a gdy jeszcze wieczór, ci goście mają iść

do browaru i do oficyny przez błoto i kałużę, i pierwój wziąć kąpiel powszechną za nim na niewygodnym posłaniu spoczną, — to powiem, że nie jest przyjemnie; a gdy jeszcze poślizgnąwszy się, które z nich upadnie i odbije się w płaskorzeźbie na gliniastym błocie, to wyznać muszę, iż przychodzi do rozpacz. — Ale nie ten był wypadek w Proszówkach dnia 8 Maja w dzień Śgo Stanisława. — Owszem wiosna w tym roku wcześniejsza i ciepleja, ustroiła już drzewa w majową odzież: łąki wdzieczą się kwieciami, a ptaszki się kwilą miłośnie. — Słowik w winnicy ciągnie długie jęki, żaląc się, iż jego żonka zostawszy matką, o niego niedba, nie kocha go więcej, Dzwoniec podzwania, przepiór w łące wabi swoją samczkę: pójdz do mnie, pójdz do mnie. Derkacz na jawie chrapi a przed oborami wróble się czubią o nieprawie związki. — Wszystko żyje i rośnie pod słońca zagrzewką, wszystko się rusza pod wiatru podmuchem, a trawka co płakała kropelkami rosy, suszy ży przy promieniu, zwija się w obrączki — pieścąc serdeczny zaród swojego plemienia, pączek, co się rozwinie, dojrzeje — obsieje.

Państwo śpią jeszcze, bo wezas, czwarta dopiero z rana, ale służący dawno się już kręcą w podworcu, Jeden z nich trzepie żupan na płocie, drugi na gruszy kontusz rozwiesił i czyści miotelką, tamci do panny Tuchowskiej poszli w odwiedziny, i kromę chleba

z sérem wynoszą na pierwsze śniadanie. Pokojówki przebiegają z rannemi szlafrokami, ta w ową stronę, ta w inną. — Furmani cugi poją, a tamci zgrzebłami czyszczą. Xdz Adryan z brewiarzem idzie ku stodołom i tam odmawia pacierze, bo rosy niema w téj stronie. — Pierwszą mszą świętą będzie on miał po szóstej, a drugą ma odprawić o ósmej Xdz Jaszczurowski. — Przed szóstą już muzyka górników ustawiła się przed domem, a niepytając czy kogo przebudzi, jękla na trąbach, zarzęła na strónach, a w niebo grzmiała polonezem. — Ah, któż się nie przebudzi na taką przymówkę, w grobiebym się poruszył gdyby mi zagrano z tego tonu!.. Tak się też prawie stało, bo ci panowie z łóżek, a owi z bałrogu wyskoczyli i dać do okien i do drzwi, w czém kto był odziany. — Tylko biedny pan Andrzej, który więcej od innych znał się na téj muzyce, ruszyć się niemógł, ale się rozczulał, i co muzycanci trio w mol uderzą, tak on zapłacze, bo był lubownikiem! — Czy muzyki? — Ey nie... poloneza!! —

Grają ciągle górnicy, a słuchają goście, dwoje dziewcząt tańcuje cichaczem po sieni, Tuchowska wódkę niesie i chleb na przekąskę, a Filaczyński w przestankach mówi z kapelmistrzem, i zapewne muzykę na cały dzień godzi, gdyż się potem zmawiają i skinieniem głowy stwierdzili wodza układy. — Lokaj pana Regenta zbliżył się do bandy i od swego pana

wręczył kapelmistrzowi dwa czerwone złote. Prymier się uśmiechnął, przyjął, podziękował a dawszy znak towarzyszom, jak nadmie policzki a utnie Krakowiaka, to aż z serca do pięty każdemu poszło. — Pan Tomasz niemógł się już wstrzymać, ale tak sobie zaśpiewał:

Niechaj grzmi kapela, i święci zabawa!

Gdy dziś obchodzimy pana Stanisława!

Ja za Jego zdrowie Antalek wypiję

Niechaj nam p. Regent, jak najdłużej żyje! Wiwat!!

— Dobrze! — doskonale, rzecz p. Józef musisz to panie Bracie powtórzyć u stołu przy kieliszku: —

— Powtórzę i dotrzymam odpowie p. Tomasz, ale nie wiem, czy tu jest ten kielich z obrączkami, co w nim ma być kilka bardyówek. — Ja się z nim długo nie bawię i na obrączki nie patrzę, ale duszkiem go przechylę. Ej co tam, niema nawet poczem i krząknąć! Musi tu być ten kielich, bo któżby tam w Zborowie umiał z niego pijać?! — Pan Ignacy?.. to już półdworak — fuszer!.. pan Kacper? to kurecze!.. pan Stefan? — flegmatyk! — Nie, nie, niema czém trząsnąć; żaden z nich nieposiada już owego zacięcia do kielicha. — My to tu jeszcze panie Bracie ile tyle sławę przodków podtrzymujemy, i niewyrodziliśmy się jak te zawiślaki. —

Muzyka grać jeszcze chciała, ale dzwonek kapliczny w inną stronę powoływał ducha i przypomniał, iż

przed polonezem, idzie chwała Boża. Kto był ubrany spieszyl, a ci co się opóźnili, na drugą mszę poczekali. — Babka moja obu mszy słuchała, bo dzień Ś. Stanisława, podwójnie ohodziła; jako Patrona kraju i Patrona brata. — Na mszy świętej byli wszyscy słudzy, a po ostatniej św. Ewangelii, podawał X. Adryan przytomnym do pocałowania relikwije Śgo Stanisława.

Później do oficyny zaczęli się sציagać ze wszzech stron koczownicy, i tak było pełno, że każdy musiał siedzieć lub stać, bo chodzić nie miał gdzie. Kolejno ubierano się w sąsiedniej komórce, i gdy wszyscy byli już gotowi wysypali się na podworzec jakby oblawa lub pospolite ruszenie. —

Pan Tomasz który w tym gronie wyglądał jak dąb w śród leszczyny, rozprawiał coś z animuszem, a na potężnej lasce z sękami oparty, szedł ku bramie aby pokazać na wrotach jak jego pojedyńka gęsto i ostro bije, gdy przed dwoma laty, będąc tu na polowaniu, założył się z leśniczym rządowym, iż o 120 kroków trafi w centrum loftkami, i jakoż prawda, trzy loftki uwięził w środkowym kółku. — Podziwiano i strzelca i strzelbę, a on się cieszył i śmiał grubym głosem.

Stali panowie w bramie rozmawiając, kiedy między wierzbnami powóz im się mignie, i znów go z oczów utracą. — Kto to jedzie? pytają się wzajem! Mój Ojciec poznał, i zawołał: to nasz Konstancy pocz-

ciwy. — Tak, jest, Popielowie jadą z Ludwisią Badenianką.

— Prawda, prawda, to oni każdy się odezwie, krzyczmy im Wiwat! Jak krzyknie pan Tomasz, to się zdawało w pokojach, że grzmot się po jakiej rozlega jaskini. — Pan Kacper w lot podskoczył, zawołał kapeli i czém prędzej grać kazał na przyjęcie gości, i jakoś się na czas zebrali, bo marszem witając, szli przodem, a powóz za nimi zbliżał się przed ganek. — Pani Zofia Popielowa, z domu Badenianka, była jedną z dwóch córek pana Szambelana, a drugą zaś była panna Ludwika, która potem poszła za Pana Byszewskiego adjutanta Cesarza Napoleona. — Nie świeża to już przyjaźń Wielogłowskich z Popielami, bo wiekowe i ścisłe stosunki krwi i zażyłości łączą te dwa domy. — I znak w tém, iż umiemy robić wybór między ludźmi, kiedy Popielów kochamy, bo to jest ród poczciwy, szlachetny i tęgi, a niezawiedzie cię w żadnej potrzebie. Po przywitaniu i wzajemnych uściskach poszli państwo Popielowie powitać babkę moją, a ciotkę ich rodzoną. — Pan Regent wkrótce wyszedł i w bawialnym pokoju przyjmował od całej rodziny życzenia. — Że zaś panią Zofiją i pannę Ludwikę z matką moją i panią Teofilą bliskie pokrewieństwo i serdeczna łączyła przyjaźń, bo także i co do wieku były rówieśnicami, więc też zaraz do ich gabinetu poszły i tam już dla siebie główną obrały

kwatere. — Że sobie były rade, że się ugadały, uśmieły, ucieszyły, to próżnobym dodawał, bo kiedyż piękne, młode i wesołe kobiety smucą się, albo i milczą gdy się razem zejdą? — Na wyścigi więc mówią, bo tyle jest przedmiotów a czas krótki do poufanéj rozmowy. — W nocy mówić nie można, bo państwo Regentowstwo w podłe mieszkają, więc by się ich budziło. Serdeczne przeto zwierzenia na młynek szybkiej rozmowy rzucone, zaledwie zesrotowane, niemożły w téj chwili dopuścić ani wszechstronnego rozbioru ani wniosków. Ale cóż robić? trzeba się pośpieszać gdyż dzwonek kaplicy, woła już drugą warstwę gości na na mszę św. — Więc jeszcze jedno słowo, a przez drogę reszta, jeszcze u drzwi kaplicy dokończenie sensu — aż potem milczenie — modlitwa i skupienie ducha!...

Po mszy świętej śniadanie. — kawa, czekolada — polewka winna, bulion i kaszka częstochowska na mleku. — Wszystko było co kto chciał, przytem ciasta, chrust, placki, grzanecki i bułeczki na maśle i strucle Bocheńskie! — Państwo Regentostwo pili czekoladę, która w piankę rozbita, raczej już do powietrza jak do rodzaju płynów należała. — Mężczyzni pili to polewkę winną to kawę, a kaszka na mleku nie znalazła lubowników. Wreszcie o to śniadanie mało komu chodziło, gdyż to dopiero przegrawka do prawdziwego śniadania o jedynastéj które jest z szynkami, ozorem,

auszpikami, bigosem, pieczenią, wódkami, likierami, porterem i winem, to się téż zwykle zastawiało w sali jadalnej, i do tamtego warto się było przypytać. Na tamto téż czekał p. Tomasz, który wypiszy dwie szklanki winnej polewki, opowiadał że go mdli, bo nie lubi zabijanego jajem wina tylko czyste. — Poszedł więc na salę i kazał sobie podać kieliszek mocnej gorzałki, aby wypłukać gardło i żołądek z téj winnej polewki. — Babka moja zbliżywszy się do pana Konstantego Popiela, mówiła mu ile żałuje iż niema pana Marcina, chociaż go tłómaczy zwykłem jego zajęciem. Pan Konstanty, wymawiał swego teścia, ale w taki sposób, iż kto znał pana Konstantego a wiedział ile mu trudno udać albo co zataić, poznał po uśmiechu i pewnym ust układzie, a zębach w poprzek ściśniętych, że chowa tajemnicę nie swoją, a więc dotrzymaną. — Babka tego niedostrzegła, ale p. Kacper odgadł w jednéj chwili, iż się gotuje miła niespodzianka, i dla tego przeszedłszy około pana Konstantego, szepnął mu do ucha „Wuj Marcin przyjdzie.

— Niewiem — niewiem, odrzeknie prędko p. Konstanty, nie mi o tém Jegomość niemówił. Może być ale niewiem, i rozśmiał się a zaraz odszedł, niechcąc się zdradzić. —

Dano drugie śniadanie, a z niem prędki był koniec, bo téż gęsta była do niego ręka. — Po śniadaniu zaś damy poszły się ubierać, a X. Jaszczurowski, mój Oj-

ciec, pan Michał Gostkowski, pan Stefan i pan Konstanty, zostali z panem Regentem. Inni panowie wyszli przed ganek, tamci do ogrodu, a pan Andrzej który chodził z trudnością usiadł na ławce z Xiędzem Adrianem, i jak się zdaje z zajęciem go słuchał. — Nadjechał X. Żabiński, później pan Kreiskapitan (Baron Baum) a w końcu Dr. Kanka z córką panią Herliczkową. — Po przywitaniu się i złożeniu życzeń, panu Badeniu, przedstawili p. Kreiskapitanowi niektórych z panów dotąd mu nieznanych, a potem się wesoło toczyła rozmowa, bo pan Regent Badeni miał te formy dworskie, które z uprzejmością łączyły powagę, a nie ciężąc nikomu pychą dostojności, uniał sobie zjednać wszystkich poważanie. — Pan Kreiskapitan szczególnie był kontent ze zbliżenia się z panem Regentem, bo urząd i zasługa w tym lub owym położona kraju, i służba publiczna pod tym lub owym rządem, wyciska zawsze piętno, które zarówno jest wszędzie uznane, i ogólny zjednywa szacunek. To się łatwo pojmuje, bo aby rządzić drugimi, trzeba mieć rozum, i aby rządząc zasłużyć sobie na miłość rządzonych i na ufność władzy, to trzeba mieć wyższe serca i duszy przymioty. — Dla tego gdy tym dwom warunkom odpowiedział pan Regent, miał też prawo do szacunku ze strony urzędu, który losów kolejną znowu nad nim stanął.

Damy weszły, a pan Kreiskapitan prosił pana Regenta aby go paniom przedstawił. — Gdy zaś kolej przyszła na pannę Ludwikę i pan Baron się jęj skłonił i przypatrzył, osłupiał, gdyż jak potem do ucha memu Ojcu się zwierzył, nigdy jeszcze niewidział podobnej piękności! — I bardzo wierzę, bo mało kto widział, a może już nie zobaczy równie urodziwej panny. — Wzrost jęj okazały a kibić wysmukła przy szerokich ramionach toczysto pulchném ciałem zaokrąglonych, dźwigała na ślicznej i białej szyi, główkę najdoskonalszych rozmiarów. — Krucze włosy a lśniące zwierciadlanym blaskiem, spadały z po za ucha na dwie strony łabędziej szyi, lecz twarzy one niezasłaniały i słusznie, bo pocóż zasłaniać taką twarzyczkę i mieć najmniejszy szczegół uroczych wdzięków sztucznymi przybory? — Czoło miała wysokie, lecz wedle miary seisłych piękności prawideł, a na czole dwa łuki brwi, jakby ręką mistrza odmalowane. — Oczy czarne i wielkie, kryjące się wstydliwie pod grubych rzęsów zasłoną. — Były to oczy dziwnych przymiotów, a stu ludzi mnie zaświadczy co znało pannę Ludwikę, iż gdy na kogo spojrzała, to mu się w oczach zaemiło, a w duszy rozwidniało. — Nosek niby to Rzymski, niby coś przypominał znanego w areydzielach sztuki, a jednak o ile pamiętam miał właściwe wdzięki, bo gdy się panna Ludwika uśmiechnąć raczyła, to się tak mile kurezył i zwolna nadymał, iż się zdawało że tym noskiem

jak biała gołębicą zacznie wabić i gruchać. Teraz przejdźmy do ustek... W pospolitej mowie, a nawet w pisanych obrazach, zawsze poeci do morza sięgają po korale, aby z nich naszym pięknościom usteczka wyźłobić. — Ja w morzu niechęć szukać, lecz w głębinach ziemi wyszukam dwa rubiny i na miód je spoję, i będę się przyglądał, ażaliż podobne do ustek panny Ludwiki? — Jeszcze mało a przeto czytelnika odsyłam do nieba, a tam niech spojrzy na aniołki, które usteczkami dzwonią modlitwę, lub się naradzają nad którą na tej ziemi czuwać mają kolebą, a to są kształty ust panny Ludwiki. — Lecz bróda może duża? bo zwykle się dzieje, że chociaż jedna wada znajdzie się w piękności, aby pokazać światu, iż nie bezwzględna na ziemi niema, pierwowzór bowiem nie jest z tego świata. — Ale gdzież tam duża?... Mała, okrągła i z wdziękiem pośrodku, a pod nią druga co łączy gardziołek z brodą. — Ej, dajmy już pokój, bo podobnej istoty niewidziałem na świecie! Przepraszam, pomnę iż widziałem,.. zupełnie podobną!...

Czas mile płynął, pan Kacper damy kolejno zabawił, jednak przyznać muszę, iż przy ciotecznej siostrze pannie Ludwice dłużej się zatrzymywał, bo p. Kacper był znawca, amator, i serce miał kochliwe. — Mówiono mi, iż gdy przesłicznej pannie Żurowskiej obie-

cał, że do Sącza na kulig przybędzie, aby z nią stanąć w parze, to się wydarzyło, iż właśnie wtenczas puścił Dunajec, i kra mocno płynęła. — Pan Kacper na koniu stanął u przewozu, i miał się przepawić. — Przewoźniki ani chcą o tém słyszeć, twierdząc, iż nie mają życia na stracenie. — Pan Kacper obiecuje pięć czerwonych złotych, aby go łódką przewieźli. — Ani za dziesięć odpowie stary rybak, świadomy niebezpieczeństwa. — Ja muszę jechać, rzecze pan Kacper. — Próżno pan musi, chyba że ptakiem przeleci, rzecze przewoźnik i odszedł do domu. — Pan Kacper okiem rozmierzywszy brzegi, cugle równa w ręce, i dobrze w siodle osiada; — a potem w Imię Ojca i Syna i Ducha buch w wodę i płynie a płynie. — Kra go potraça; on płynie;... nurt go unosi i konia skręca... On płynie. — Koń uszy tuli bo woda pluszcze; parscha, bo walczy i z krą i z wodą — ale mu drogi ubywa i płynie. — Hop na brzeg, już przepłynął, pogłasnął gniadosza, otrząsł się i z kry i z wody a kłosem śpieszy do Sącza. — Panna Żurowska ani już myślała aby z nią mógł w parze stanąć: ale pan Kacper na próżno nie daje słowa! — On szlachcic polski, herbu Starykoń, a godłem jego „*nunquam retrorsum*“ (nigdy się nie cofam) lepiej więc umrzyć jak stehórzyc! — Taki to był pan Kacper. — Ale też za to gdy się naziębił i zmoczył, niebyło miary w tkliwych podziękach ze strony pięknej pani. —

*) X. H. S. — w G. . . pod T. . .

Pan Kreiskapitan słuchał pana Regenta, ale co chwila bokiem spoglądał na pannę Ludwikę: lecz mnie to nie dziwi, bo chciał się nasycić widokiem jęj wdzięków. Przyznam zaś, iż wileczy człowieka głód porywa, gdy się patrzy na piękność, która wkrótce odjedzie, której się już może nigdy nie zobaczyć! Chciałoby się więc obrazek ładnej kobiety wytłoczyć w pamięci i cały zmieścić w duszy, przez przyrzał źrenicy.

— Rzepecki zwiastował, że obiad na stole, dwie poły drzwi się otwarły. Wszyscy powstali, a p. Kreiskapitan ma już prowadzić panią Regentową, kiedy czwórka pocztowa pędzi i na trąbce oznajmia przybycie spóźnionego gościa. — Któż jedzie? kto przyjechał? ciekawość się wzmaga. — Jedni biegną do okna a drudzy przed ganek „*Pan Szambelan*“ powszechny rozległ się odgłos. Tak jest pan Szambelan przyjechał z panem Sebastyanem. — Idzie babka na przeciw, tłoczy się rodzina, biegną córki, zięć spieszy i mój Ojciec zdąża. W sieni już powitania, w pokoju uściski braci, siostr, i krewnych, i obcych ukłony. — Pater familias, najstarszy z rodziny i człowiek wielkich zasług, to nie mały wypadek ale szczęście prawdziwe mieć go pod swoim dachem. —

Pan Kreiskapitan chciał zabrać znajomość z dostojnym gościem, więc mu się przedstawił, a gdy się p. Marcin ze wszystkimi powitał i obejrzał w koło,

rzekł do méj babki: „Już podobno na stole, więc idźmy.“

W sali jadalnej dwa były stoły, w drugim zaś pokoju trzeci. Przy pierwszym zasiadła sama prawie starszyzna, duchowieństwo i damy, przy drugim młodsza rodzina, przy trzecim panny służące i officjaliści; i jeśli przy pierwszym stole więcej było honoru, to przy drugim więcej wesołości rozmowy i wina, a przy trzecim więcej miłości, umizgów, małych intryg i uczuć zazdrosnych, a w końcu żalów i gorzkich wymówek, które téż opiszemy w ciągu.

Po pierwszych potrawach wniesiono najprzód zdrowie pana Regenta, potem wniósł p. Szambelan toast uprzejmego gościa pana Kreiskapitana, który pił znowu zdrowie gospodyni, a X. Jaszczurowski pana Szambelana. — Dalej szło dam zdrowie i zaraz duchowieństwa a później stan Rycerski, a dalej i dalej piło się każdego z osobna, aż wreszcie niech żyje zgoda rodzinna, miłość, przyjaźń staropolska. Ochota była dobra, kolój szła bez przerwy, a za każdym toastem muzyka na trąbach w górę podniesionych, grzmiała wiwaty!

Pan Kreiskapitan siedząc obok pana Szambelana, rzucał okiem na rozwieszone po ścianach obrazy, i o niektóre pytał. —

— Któż jest naprzykład, ten Rycerz w staroświeckiej zbroi? zapyta p. Baron.

— To jeden z braci Toporeczyków, przodek Wielogłowskich, którzy się pisali Hrabiami z Sieciechowic jeszcze w trzynastym wieku. — Wszakże tak jest, panie Tomaszu?

— Tak, Mości Szambelanie Dobrodz. odpowie pan Tomasz, ale oto mniejsza jak się pisali, tylko jak się bili? a wiadomo każdemu iż bili się tego! bo już kilka wieków ród nasz służy rycersko Bogu i krajowi, a dzięki najwyższemu na tarczy herbowej niema żadnej plamy, chyba z krwi Tatarskiej!...

— Moglibyście teraz panowie legitymować się z dawnych waszych tytułów rzecz p. Kreiskapitan. —

— Cóż nam z tego przyjdzie? odpowie p. Andrzej, wolimy pieć żołędzi na dębowym wieńcu, jak dziewięć dętek na wierzbie.

— A któż jest ta piękna dama w kołpaku na głowie? (zapytał p. Baron).

— To Maryanna Wielogłowska najprzód podczaszego koronnego żona, a voto secundo była za Hieronimem księciem Czetwertyńskim.

— A te dwie zakonnice? jeśli panów nie nudzę tyłą pytaniami?

— To perły naszego rodu, Helena i Agnieszka zakonnice Sandeckie (odpowie mój Ojciec) poślubione duchowo Królowi Królów, Chrystusowi panu.

— A ten Prałat potężny i tuszą i wzrostem?

— To szufran przemyski, krakowski Kanonik, który za Sasów był Dygnitarzem dworu, Kustoszem koronnym od roku 1758 aż do 1763, po nim zaś przyszedł Franciszek Czerny. —

— A ten Rycerz na mieczu oparty, który tak groźno spogląda? (zapyta p. Baron).

— To ów jest właśnie Stefan, odrzeknie p. Tomasz, co taką kurtę uciał Rakoczemu: bo przybywszy z swoimi na odsiecz Krakowa, trupami buntowników zapełnił okopy miasta. — Ten nie żartował, jak o tém dobitnie świadczy Otfinowski, ale co tnie to powali; co rąbnie to głowę jak kapustę od pniaka oddzieli, czy trafi w hełm czy w pancierz, to mu wszystko jedno, bo miecz jego z Damaszku, srebrem w dziwier kuty, chwyta żelazo a stal nawet kruszy! —

— To są piękne wspomnienia rodzinne! rzecz p. Kreiskapitan. —

— Oh i piękne i drogie, odrzeknie mój Ojciec, ale ten wątek zasług każde pokolenia musi ofiarą przedłużać, bo gdy się raz nic przerwie, to kłębek się potoczy w przepaść zapomnienia i cała zasługa przodków przepada. — Szlachectwo, to jak obciążone dziedzictwo wiecznym kraju długiem, a Dziad go wnukowi swemu pod ciężkimi przekazuje warunkami. Dla tego jeśli młode pokolenie obowiązki swoje zaniedba, a samém prawem tylko się zasłania, to go Bóg

wydziedziczy, żydy zlicytują, i nie na tarczy zginie, lecz zgnije pod tarczą. —

— Oh wielka prawda!... rzekł X. Jaszczurowski.

— Dobrze panie Ignacy! dodał z miłym uśmiechem pan Szambelan; bo cieszył się że jego wychowaniec, takim tchnie uczuciem. —

Rzeczywiście mój Ojciec przy zwykłej powadze, żywił w tym dniu rozmawiał i z większą ochotą, a nawet uważano iż był w złotym humorze. — Tę jego wesołość przypisywano obecności pana Szambelana, którego on kochał i szanował jak Ojca i dla którego miał obowiązki wdzięczności, a wreszcie którego był długo towarzyszem w różnych życia kolejach.

Już piramida z ciasta jak zdobyta twierdza runęła pod ręką biesiadników, a szanowców ułamki, na talerzach, na stole, i pod stołem leżą; już w biszkoptowym zrębie wyłom uczyniono, kiedy pan Szambelan podniósł ostatni toast, pomyślności pani Starościny na nowój siedzibie. — Kielich przeszedł kolejno a każdy go spełnił, lecz gdy przeszedł do pana Tomasz, na bok go odstawił, mówiąc, że to nie do takiego zdrowia ten mały kielich, w którym się tyle wina zmieści co i w ampułce. — Przyniesiono więc inny — spojrzął i wzruszył ramionami, a znowu na bok odstawił mówiąc, iż to naparsztek. — Nareszcie Rzepecki podał kulawkę, ale i to się na nic nie zdało, bo rzekł pan Tomasz, iż to do jego kulawej no-

gi przymówka. — Jakiż więc?... „Oto ten z obrączkami, co miarę trzyma!... Muszę go odpakować od-
odpowie Rzepecki: a prędko się zwinąwszy, przynosi kielich jak poczware, które paszczą otwartą, zdaje się chcieć pochłonąć nie tylko trzeźwość, lecz z trzeźwością życie. —

— Ten sam! rzecze p. Tomasz, (z serdecznym uśmiechem). — Ten sam rzecze on, biorąc go w obie dłonie — Jak się masz przyjacielu? dawno cię niewidziałem — niechże cię powitam! —

Wszyscy zadrżeli, Baron Baum osłupiał i obiema rękami bierze się za głowę, a pyta sąsiadów, czyli p. Tomasz żartuje, lub też chce w tym kielichu zdrowie swe utopić? —

— Panie Tomasz, zaszkodzi Waszeci! mówi mój Ojciec, wszak już się dużo piło!

— Nie trzeba mu przeszkadzać w uczciwej ochocie, tłumaczy go pan Józef. — Pij Bracie nie zważaj, wszak ci to nie pierwsza! — Leją więc słudzy wino, leją ze stron obu, leją z kilku butelek a gdy napełnili, wstał pan Tomasz i rzeknie:

Jejmości pani Starościnej, a naszej szanownej krewniej i Dobrodziejki zdrowie „Niechaj nam żyje w długie lata, a na nas będzie łaskawa!

I wzięwszy w obie dłonie kielich, głęboko odetchnął, a potem do ust poniósłszy najprzód połykał małemi chaustami, później większemi, a potem coraz

gładziej, aż od połowy lał w gardło jak w otchłań, dopóki niewychylił aż do dna i ostatniej kropelki na paznokciu nie wysączył. —

— Trzyma miarę! rzekł pan Tomasz, ale jeden to fraszka, zaledwie doprowadzi ad hilaritatem. —

Oh herr Jezus! rzekł Dr. Kanka, to wielki excusus on będzie miał bicia krwi na głowę. —

— Co pan Konsyliarz prawi? rzeknie pan Tomasz, to dla mnie lekarstwo, i dla tego że co dzień taki wypiję kieliszek, albo dwa lub czasem trzy, to nigdy nie choruję, i ani wiem co Doktor i Apteka.

— Holl ihm der Teufel! pomruknął z cicha Konsyliarz. — Obiad się skończył, goście powstali, muzyka marsza zagrała, a dawnym porządkiem każdy prowadził od obiadu swoją damę, — i potem się rozsypano po pokojach i podworecu, po ogrodzie, i wszęch stronach, a tylko sama starszyzna w bawialnym została pokoju. —

Pan Kacper z panem Sebastyanem Badenim szli na fajki do namiotu, kiedy szpalerem w ogrodzie, szereg się panien służących przechadzał. — Była tam Rózia pani Stefanowej i panna Krzęcieska pani Teofli i innych już nie pomnę. — Obydwaj ci panowie młodzi a weseli, lat dziecinnych towarzysze a różnych psót wspólnicy, przyczaili się za drzewem jak koty na myszki: — Panny idą w podrygach, nieświadome zdrady — robią sobie zwierzenia z obiadowych sprawek. — Je-

dna mówi, że na nią tkliwie spoglądał Kapelmeister od górniczej muzyki. Druga znowu chwali się iż przez cały obiad patrzył na nią miłosnym okiem Filaczyński, a inna się dziwiła że panna Szadurska tak była smutną i że jak mruk zaperzona, niewyrzekła słowa. Tak mówiąc, gdy się do drzewa zbliżyły gdzie się panowie ukryli, ci z nagła wypadłszy, jak splotą sarneczki, i jak zaczęły je straszyć i rękami klaskać, tyle im napędzili strachu a tyle wywołali i krzyku i wrzawy, iż na ten ogłos, śmiechu i kwiku, zadyszana wybiega Tuchowska a widząc o co chodzi, tak ich z góry gromi. —

— Co to zaś panny robią? to mi dopiero pięknie, ślicznie, niema co mówić, a nawet skrupulatnie, gonić się po szpalerze z męzkim rodem. — Opowiem ja to paniom — a najprzód pani Stefanowej, pani Teofli pani Stadnickiej i innym paniom — proszę? gonić się po ciemnym szpalerze?!!

— Cóż my temu winny?.. To panowie wybiegli i tak nas zestraszili, My nic niewiedziały kto stoi za drzewem, odrzeknie Rózia.

— Proszę, .. niewiedziały ... rzecze Tuchowska, jakie mi niewinniątka! gziły się nieumyślnie z panami! niby ja temu wierzę! najlepiej siedzieć w domu, lub do panny Szadurskiej iść i tam się bawić w elbe-cwelbe *)

*) Gra w karty eilfe-zwölfe.

a i ja tam pójdę, i z pannami grać będę po grajcarze w szejnach.

Na tę rozmowę nadeszli panowie i zapytali o co im tak chodzi?

— Oto panna Tuchowska jest taka niedobra, (rzecze Rózia) że nas posądza, łaje i do domu pędzi, a na dworze tak pięknie. —

— O cóż je łajesz moja dobra Tuchosiu? zapyta pan Kacper, one nie nie winny, i szły sobie spokojnie, a my je spłoszyli, dla żartu a nie w złej myśli. Niechże sobie chodzą i niech się bawią w domu swojej matki!

— Panna Tuchowska, na stronę wzięwszy panów, tak rzecz swą przekłada. — Widzicie panowie, że to są młode dziewczęta więc głupie, i z tém nie można żartować, bo zaraz do głowy sobie coś przyberą i zęby szczérzą. — Niemówię aby nie pożartować z kim innym co ma rozum i co się zna na żartach, ale to są niedorostki i wnet by się rozgziły! Niech panowie przyznają coby się tu działo, gdybym nieskarciała! Oh! Boskiej obrazę byłoby dosyć! ale ja zawsze patrzę, i oczy mam na wszystko. — Ani jedno się nie ruszy abym niewiedziała, gdzie idzie i po co? z kim mówi i oczém? Oh bo na to pani Staroscina, niech Bóg broni!... Jak nawet o mnie w Zborowie starał się Organista, to zawsze gdy on przyszedł, była Walenta i nigdy sam na sam z nim nie zostałam. —

Żadnych zaś śmiechów i gzów nie było. Oh broń mnie Boże, co tego, to nigdy u mnie niebywało, nigdy, przenigdy!

— Dobrze moja Tuchosiu, odrzeknie pan Kacper, jesteś prawdziwą westalką.

— Jak JW. pan mówi? zapyta Tuchowska:

— Oto że jesteś Westalką — odpowie p. Kacper.

— Niby ja? . . . to być może, ale przynaję, że tego nigdy u mnie nie bywało, broń mnie Boże.

XVII.

Serdeczne kłopoty i żale panny Szadurskiej.

Wszyscy wesoło się bawią — rozmawiają tłumnie, gwarno i sadzą się na koncepta! — Pan Tomasz podochocony, musiał śpiewać o kwiczołach, co je w sidła ptasznik łowi. Ruch w pokoju jakby w ulu, ci wychodzą, tamci wchodzą. — I wszystkie twarze w promieniach, a pogodne tak jak niebo. — Żadna chmurka niećmi ich czoła, żaden fałsz niewiezi ducha, co na myśli to i w słowie, ale wszystko jest przystojne. — Wśród tej powszechnej radości, jest przecież ktoś co się smuci — jest ktoś co wyrabia żale wewnątrz serca, oh, i ciężkie bardzo żale! — Bo przypomnę, czytelnikowi, iż przy trzecim stole gdzie siedział pan Filaczyński i panny służące, coś zaszło bolesnego dla serca panny Szadurskiej. — Ta Różia pani Stefanowej, to zalotny trzpiotek, a przytem ładna, policzki ma jak dwie jagody a oczka jak dwie tarczki. — Więc

bałamut Filaczyński, zamiast na pannę Szadurską spoglądać, nią się wyłącznie zająć, o niej pamiętać, i jęj służyć ciągle się patrzył na Różię, uśmiechał, wesał pokrecał — ale co najgorsze; iż podobno wzdychał. — „Oho! to zły znak; bo dopóki żarty to żarty, ale westchnienia to już nie są żarty. — Zna to panna Szadurska, tak, jak znają wszystkie panny, iż czułe spojrzenie, głębokie westchnienie“ są gońcami miłości. — Wróciła przeto panna Szadurska do swego pokoiku i zamiast bawić koleżanki, poczęła się dąsać i kwasić! — Wchodzi do niej jedna z panien i pyta, czemu taka smutna? „głowa mnie strasznie boli“ odpowie panna Szadurska. Przychodzi druga i chce rozweselić, zaczyna z różnych beczek, czeka odpowiedzi, ale na próżno. — Przychodzi trzecia i na spacer namawia, ale i to bez skutku. — Wpada więc Różia i trzepiocząc się i szczebiocząc, podskakując piosnkę nucąc, chce rozbawić pannę Szadurską, rozwiać posępne jęj myśli. — Niewie coby ją bawiło, więc mówi o Filaczyńskim. —

— Ładny chłopiec Filaczyński (rzecze Różia) wąż ma czarny,.. gdyby mnie chciał tobym poszła — dla czego nie?... Kto wie?... może zechce, bo mi się tak dziś przyglądał, tak się uśmiechał i wzdychał i ciągle mną był zajęтым. —

— A niepięknie panno Rozalijo! odpowie panna Szadurska, z zaiskrzonym okiem. — Bardzo niepięknie na młodą panienkę w cudzym domu mężczyzna bała-

mucić. — Ja tyle razy byłam w Nieszkowie i w Raclawicach, a czy przyjmowałam od kogo komplementa? Choć się na mnie spojrzal pan pisarz z Raclawic i nie raz ale sto razy, to oczy na dół spuściłam i unikałam go nawet, bo tak na panienkę uczciwą przystoi. — Niespodziewałam się nigdy po panie Rozalii. — A wreszcie cóż mi tam do tego, p. Filaczyński mnie nieobchodzi, bo się ma nawet żenić z jakąś ładną i bogatą panną w Bochni. —

— Czy tak?... więc kiedy się żeni to mniejsza o niego: lecz cóż to znowu za historia o pisarzu z Raclawic?... to mi się podoba?... niewiedziałam téż tego i pierwszy raz słyszę? To on się tak na pannę patrzy?... proszę!... Oh, dziś chciałabym wrócić!... choć mi jest obojętnym, bo cóż mi to pisarz?... stu się takich trafi!... ale zawsze niecnota! — I o niego mniejsza, a jeśli mu się panna Szadurska podoba, to go sama namówię aby się ożenił — . . . Owszem, . . . bardzo dobrze. —

— Niepotrzebuję swatów — dziękuję panie bardzo. — A gdy zecheć, to się sama wyswatam, odpowie cierpko panna Szadurska. —

— Ale bo i ja niewiem czy téż to pięknie, iżby na jeden dzień przybyć do Raclawic, i zaraz romanować?... (rzeknie Rózia). —

— Ja się w żadne nie wdaję romansy! odpowie panna Szadurska, o to mnie panna Rozalija, niemoże

posądzać i proszę się schować z takimi mowami. Więcej konfidencyi jak znajomości!

— A kiedy tak odrzeknie obrażona Rózia, to już żegnam pannę i ani słowa do niej nie przemówię. —

— Jak się podoba, odpowie Szadurska. —

Nie okropniejszego jak zazdrość miłosna u panien służących. Bo to jest robak który w wyobraźni zakłada siedlisko, i tam się wije w głębi, a wszystkich czepia pozorów. On nędzi ducha, drażni uczucia, a suszy ciało. W mózgu nurtuje, émi rozum, prawdę, i tak ofiarę zaślepia, że nie widzi krom czarnej zemsty i nie słyszy krom świadectw fałszu; i nie czuje krom żalu. — A próżno miłość i próżno nadzieja, chcą żal osłodzić, ukoić boleście, zazdrość przedź usłucha kłamstwa i da się w przepaść potraćić, niżeli prawdzie uwierzy, i pokój duszy daruje. —

Rozgniewana Rózia wybiega z pokoju i spotyka Tuchowską, która myśląc iż panny wszystkie są już zgromadzone, ciągnie na elbę cwelbę, trzymając w ręku zatłuszczone karty.

— Gdzież panna tak ucieka? zapyta Tuchowska. —

— Idę do gabinetu mojej pani i ani się ruszę, bo ja niezwyčajna takich słuchać rzeczy. — Panna Szadurska za nadto sobie pozwala.

— Ale o cóż chodzi?

— O kawalera odpowie Rózia.

— Jak to?... o kawalera?... odrzeknie z przerażeniem Tuchowska. O kawalera?... I cóż to takiego? mówże mi panno prędjiej bo ja muszę wiedzieć.— Jak tylko o taką rzecz chodzi, to wszystkiemu poradzę! — słucham, jakże się stało?...

— Oto panna Szadurska, bałamuci pisarza z Raclawic, który mnie kocha i nawet po świętym Janie obiecał się żenić.— (rzecze Rózia ze smutkiem)

— Bałamuci pisarza?... Co zaś panna mówi?... To mi dopiero stromota!... i to panna Szadurska?... no proszę?... świętoszek!... co to pani starościna powie na taki postępek, bardzom ciekawa?... Na pannę Szadurską dotąd ani słowa nikt powiedzieć nie mógł, takie miała łaski! — No, chwała Bogu, że się coś wykryje!... Wkrótce wszystko się wyda!... A więc bałamuci? powiedz mi panna wszystko, co do słówka.

— Tak niezawodnie, bałamuci pisarza, i sama mi się przed chwilą przyznała, (odpowie Rózia) że on na nią patrzy. —

— Przyznała się sama?... odrzeknie Tuchowska, że on na nią patrzy?... to na cóż więcej dowodów?, reszty się można domyślić!... Dobrze panienko, dobrze, ja zrobię sprawiedliwość, ja temu poradzę,... niech tylko panienka nie smuci się i będzie spokojną. —

— Oddaję się i polecam pannie Tuchowskiej jakby rodzoną matkę (rzecze Rózia).

— No, nie smuć się moja Róziu, moje dziecko, wszystko będzie dobrze, odpowie rozczulona Tuchowska.

Łaską najprzód a później nogami, wchodzi panna Tuchowska do pokoju Szadurskiej, a odetchnawszy i minę nastroiwszy, tak się do niej odezwie:

— Piękne się tu rzeczy wydają na pannę, że aż mi włosy powstają na głowie! bo jak świat światem tego niebywało co się teraz w naszym domu dzieje. Jaby się prędjiej śmierci spodziewała, jak takiej sprawy. — No proszę,... ktoby był sądził!...

— Cóż tam nowego? (zapyta nieco pomieszana Szadurska).

— Niby to panna nie wie. O to prawda, iż panna o niczem nie słyszy, z nikim nie mówi, i nie wdaje się w żadne interesa, tylko swego pilnuje. — Panna Szadurska nie cierpi mężczyzny, i wszystkich unika.— To wszystko miało być prawdą a jest udaniem, bo już się rzecz wydała, wiem dokumentnie.

— Cóż to za nowe głupstwa? zapyta znowu Szadurska. —

— Głupstwa, nie głupstwa, już wiemy kto bałamucił pisarza w Raclawicach, kto z nim,... dość natem iż się wszystko wydało.—

— A przecież Rózia pani Stefanowej ma iść za niego, rzecze Szadurska i to po świętym Janie, ale pierwój jeszcze chce zbałamucić Pana Filaczyńskiego aby dwóch kochanków mieć do wyboru.—

— Co zaś panna mówisz? rzecze Tuchowska, to być niemoże, ja temu nie wierzę.

— Wolno nie wierzyć, odpowie Szadurska, ale Rózia dopiero zład wyszła i sama się przyznała, że ją pisarz kocha a ona Filaczyńskiego. —

— O, co za sromota! ja już głowę stracę między temi pannami! Pan Filaczyński gdyby chciał, toby i tu znalazł kogoś poważniejszego jak Rózię.

To kiedy tak, więc bardzo przepraszam pannę Szadurską żem ją posądziła. Już zgoda między nami, proszę nie pamiętać, bo mnie chodzi o cnotę i o honor panny, a tak się zmartwiłam jak mi powiadano tyle bajek na pannie, ... no proszę? mieliśmy grać w elbę ewelbę aby się zabawić, ale już niemam czasu, bo niewiem gdzie się znowu dziewczęta podziały?... Jedna szła ku winnicy, ... po co?... może jakie schadzki!

Wyszła panna Tuchowska, a żal przytłumiony, rzęsiстых łez potokiem wyrażał się na białych policzkach panny Szadurskiej. — Jakże ja nieszczęśliwa! rzecze sama do siebie — Już tak wszystko było dobrze, i licho przyniosło tę pokusę nieznośną tę Rózię, która więcej do pokrzywy jak do róży podobna. — Bo to nie panna, ale ordynaryjna pokojówka, która ani krawiecczyni ani haftów nie umie.

Ja nie wiem jak może Filaczyński patrzeć się na tę malowaną lalkę?... Gdybym była mężczyzną, toby się najprzód o cnotę w pannie pytała, o wychowanie

i o talenta... Niechwałac się, to wszystkie te panny razem, mnie jednę nie wartę!... Widziałam też dzierganie, tej panny Rozalii, to jakby szył szpagatem rymarską robotę, a jak pościągane, i jak zabrudzone, to aż pfe!! I to kochanka pana Filaczyńskiego, Mandataryusza i Plenipotenta pani Starościny!!!... Cóż robić?! wola Boska!... I może lepiej, ... bo kiedy tak ma być, to bezpieczniej że teraz jak potem. — ... Ale ja niewiem czyli on na nią patrzył, czy ona na niego?... Bo on patrzył i na mnie... Ja nie jestem pewna, jak to było?... Ale po cóż się ludzi!... Rózia sama wyznała, iż na nią spoglądał, uśmiechał się a ja słyszałam jak wzdychał. —

Niema już o czém myśleć! — Jeszcze trochę posłużę a potem pójdę do zakonu. — Dopiero będzie Filaczyński żałował, rozpaczał, a tu już amen, klamka zapadła. Już chodzę w welonie i w czarnym habicie śpiewam na chórze, a potem może będę przełożoną i panną matką. On jedzie do Sącza, i na mszę ś. spieszy do klasztoru! upatruje mnie a nie widzi, a ja go widzę z za kraty. Stało się mój panie! dobrze ci tak, niebyło na Rózię spoglądać. — Żegnam pana! życzę szczęścia... bo ja się obejdę bez męża!... Ale na cóż się zda już naprzód takie tworzyć zamiary?... będzie dość czasu jak do tego przyjdzie!... Rózia jutro odjedzie a ja też zobaczą jak za nią będzie tęsknił?... On tak będzie smutny, ... i tak będzie cierpiał, ... a ja się będę cieszyć! —

będę wesoła, i tak będę śpiewać, tak będę chodzić, kręcić się i biegać, iż się przekonam że mnie nieobchodzi, i że go nienawidzę!... Doskonale!... tak zrobię!... Tak!... ale czy będę mogła?... A gdy on znowu zagra na fleciku, a gdy on znowu spotka mnie przed kuchnią i z nieśmiałością i upokorzony drżącym głosem powie „Dzień dobry pannie,“? Boże mój Boże,... ja nie wiem co pocznę?... nic nie odpowiem!... Ale to niegrzecznie: więc się uklonię i powiem odchodząc „dzień dobry panu“ — A gdy on na to,... czy się pani gniewa, iż tak ucieka?... to cóż ja odpowiem? Ej, nic nieodpowiem, albo téż rzeknę: — „dziwne zapytanie“ A jak on potem na mnie rozżalony, cały dzień smucić się będzie, i błądzić po podwórku, szukając mnie wzrokiem? To cóż ja na to? czy wcale nie wyjdę z mego pokoiku, ani na krok jeden, ani się pokażę aby go pocieszyć?... Oh któż to zgadnie? ja może wtenczas wyjdę choć na jedną chwilę! — A gdy on westchnie, westchnie tak głęboko, jak ja rozumiem, cóż ja wtenczas zrobię?... Podobno i ja westchnę, ale nie tak głośno, tylko po cichu, aby się więcej domyślił jak słyszał. —

Tak sobie panna Szadurska marzyła, a tem czasem Tuchowska poszła do Filaczyńskiego robić mu gorzkie wyrzuty, iż przy obiedzie patrzył na Rózię, a Rózia na niego. —

— Czy sobie z palca panna Tuchowska wysssała tę całą ramotę? zapyta Filaczyński. —

— Nie z palca panie Sędzio, ale wiem z dowodami (odpowie Tuchowska) bo panna Szadurska pana oskarżyła, mówiąc, że wszystko Rózia przed nią wyznała.

— To babskie plotki, rzecze Filaczyński, odczep się panna Tuchowska odemnie. — Wolno mi patrzeć i wolno nie patrzeć — wolno mi kochać, żenić się nie żenić, to do mnie tylko należy a nie do panny Tuchowskiej — patrz sobie dziewcząt, kawiarek i dziewek, bo to jest twój wydział, ale proszę z daleka od mojej osoby!... Tegoby brakowało, iżby mandataryusz był pod dozorem klucznicy! —

— Czy tak pan mówi? odrzeknie wybladła Tuchowska, tak mi pan odpowiada? to dobrze — będę wiedzieć, ale proszę pana, abyś się swych słów nie wypierał... ja znajdę sprawiedliwość!!

Biegnie Tuchowska, a płucami robi, biegnie z raportem do panny Szadurskiej i o szafę oparta, przerywanym głosem tak do niej prawi. —

— O moja panienko! muszę opowiedzieć o panu Filaczyńskim, ale niech odpocznę, bo tak jestem zmęczona, tak zła i tak mnie dusi, iż gdyby się człowiek niewstrzymywał i nierządził rozsądkiem, to niewiem co bym z nim poczęła. — Wystaw sobie panienska, ja idę do niego i reflektuję iż się tak niegodzi, patrzyć na Rózię — a on się zapiera. — Ja na to odpowia-

dam iż mam świadków, i że nawet panna Szadurska o tem mi mówiła. —

— Ah, pocóż było mówić, przerwała Szadurska.

— A dla czegoż nie mówić? owszem niech prawda jak oliwa na wierzch wyjdzie; gdy mu więc to rzekłam, on się rozgniewał i powiedział iż to są plotki babskie, iż wolno mu się żenić i nie żenić i same takie prawil mi zuchwalstwa.

— Ah, Panno Tuchowska, co téż to panna zrobiła, on się gotów pogniewać i wszystko przepadnie!

— Cóż przepadnie? zapyta Tuchowska

— Co przepadnie?... ja niewiem! odpowie Szadurska. — Przepadnie, czy nieprzepadnie,... wszak ja tego nie mówię. — Ale ja tylko mówię, to com myślała, bo ja mam w téj chwili co innego na myśli! —

— Co téż to panna mówi, jakby nie do rzeczy, gotowam znowu wierzyć że pannie pisarz na myśli. Bo co do tego że się pogniewał na mnie Filaczyński, to więcej moja strata, gdyż mi się coś zdaje, iż miał względem mnie jakieś poczeiwe zamiary. — Bo ile razy kurom wyniosłam posładu, to zawsze p. Filaczyński na oknie oparty, patrzył się na mnie, i tak mnie podrzyżniał, jakby mnie chciał zaczepiać, wołając: tiu, tiu, tiu. — Tylko znowu jak grochu dawałam gołębiom, to już nie mówił, duś, duś, duś. Więc téż często gołębie cały dzień nie jadły, bo sobie pomyślałam iż pewno p. Filaczyński nie lubi gołębi. —

— I mnie się tak zdawało, odpowie Szadurska, iż p. Filaczyński z zajęciem na pannę Tuchowską spoglądał, więc mi żal iż go obraziła a może na wieki! Będę ja się starała jako tę rzecz naprawić, inaczej wytłómaczyć i wszystko pogodzić — tylko mi nie trzeba przeszkadzać, bo z nim sprawa trudna. —

— Dobrze moja panienko, kochana, serdeczna, to dobrze mój kanaczku, zrobię tak, a ja ci wiecznie będę wdzięczną. — A jeżeli kiedy zechcesz bułeczki na masle lub chleba z powidłami, zaraz ci ukroję. —

XVIII.

Sceny tego Wieczoru.

Każde towarzystwo wiąże się najprzód w jeden powszechny łańcuch, jakby koło tańczących w Mazurze, gdzie najprzód wszystkie pary łączą się rąk ogniwaniami w ogólny wieniec, a potem się rozłamują w figury i odrębne grona. — Tak było po obiedzie w domu mojej babki. — Najpierw toczyła się rozmowa ogólna i gwarna, a każdy w niej dowcipów wybijał hołupce, i cały układ tak był harmonijny, iż się myśli zbiegały w jednym przyjaźni ognisku. Później, gdy już ten wielki koncert, jakby uwertura, przebrzmiał i zbliżył zgodniejsze umysły, zaczęły się duety, tercety, kwartety i jeden mówił z drugim o wojennych wróżbach, tamten o gospodarstwie, ten znowu o przeszłości, a inni o przyszłych kolejach — kto zaś nie był wymownym, albo chciał zmienić zabawę, ten do stolika trzech graczy zwerbował, i zasiadł do Drużbarta. Gra to była szczególna, bo między kartami tylko sam

król czerwieny panował. — On sam wojnę wydawał, zawierał sojusze, odmierzał zyski, wskazywał na koszta. Inni królowie przy nim bledli na tronach i szli jak jeńcy za królem czerwienym. — Po królu szła ósemka winna, którą nazywano *Dolą*, potem dziewiątka żółędna, której ulegali Tuzy i Pamfile. — Dama przed niżnikami zawsze prym trzymała, i czasem przebaczyła puszczać ich płazem, a czasem wlekła ich za swojej potęgi rydwanem. Szóstek w grze nie liczone, bo ta karta gminna, która jeszcze niema wewnętrznej wartości, o tyle jest przydatną, o ile ją można zamienić na niżnika. — Kto przegrywał w Drużbarta, i wyszedł bez łupu, ten jak mówiono był *Kotem*, czyli dostał *Kota*. — Inny co miał dwie lewy, dostał *okulary* a inny z *biczem* wyszedł, to jest, trzymał się obronnie. — Pan Stefan, jak Batory królował w Drużbarcie, pan Andrzej potrzebował często *okularów*, bo też w istocie krótkiego był wzroku, pan Józef jakotako *biczem* się opędzał, ale co mój pan Tomasz wiecznie miewał *Kota*. — Ciągłe więc, *kyci, kyci* wołano na niego, a on się tak zapalał i na los swój srożył, że w karty dmuchał, tasował, przemieniał, a tu nie niepomogło, bo co weźmie karty, to kot siedzi na nim jak gdyby na myszy. —

Przy innym stole grano Maryasza: — Xiądz Adryan z Xiędzem Żabińskim. — Ze dwudziestu czerwieni, zadał Xdz Żabiński, ale biją dziesiątką i zadają

Tuza; — z drugich dwudziestu dzwonki, mówi Xiądz Proboszcz, to czterdzieści, i z umysłu odrzuca, czając się na ostatnią, gdzie się spodziewał obłowu. — Ale niestety! Xdz Adryan obliczył, iż będzie na ręce, jakoż zabił kozera i złapał pamfila. — „To ja bez czterdziestu, zapraszam Jegomości!... któż pamfila prze- może? a teraz tuza, i obca i znowu kozera, i ostatnia, to dziesięć a dziesięć to dwadzieścia. — Rachuj, a samój gry sto trzydzieści i oko!“ Lepsza nasza, bez marysza! rzeknie Xdz Adryan, i wygra! —

Na kanapie przy oknie siedział pan Szambelan z panem Kreiskapitanem, a po drugiej stronie mój Ojciec, pan Ignacy Badeni i Xiądz Jaszczurowski. — Rzecz się toczyła o Warszawie zkąd właśnie przybywał pan Marcin Badeni, a razem mówiono o rządzie Pruskim. Pan Kreiskapitan był nader ciekawym wiedzieć, jak tam idą rzeczy i jak sobie rząd radzi? — Pan Szambelan przyznawał wysokie zdolności wysłanym urzędnikom Pruskim do Warszawy, i twierdził, iż najlepsze do zarządu król przeznaczył głowy. Chwalił bardzo porządek, ustawy szczegółowe i logikę prawa — w ogólności jednak był takiego zdania: iż każda ustawa, która w teoryi zdaje się dobrą i logiczną, nie zawsze w zastósowaniu skuteczną się okaże. — Zbytek form więzi ale nie rozwija, mrozi i ścisła lecz nie daje życia, i dla tego bezpieczniej jest zwolna naginać, jak zadawnione obyczaje łamać. Tutaj u panów

w Austrii jest więcej swobody, prawa są łagodniejsze, nie kępują woli — obyczaj szanowany i rząd więcej się zbliża do patryarchatu. I niedziw, stara monarchija, wieków doświadczeniem wprawiona do władzy. A to nie mała jest tajemnica, wiedzieć iż w Króla ojcowskiej potędze, dwa się ważą przymioty; jeden sprawiedliwości, a drugi miłości! — Jeżeli surowość prawa potrzebną jest w narodzie, to tém potrzebniejszą jest miłość, która pierwszą łagodzi, a punkt gdzie się one z sobą równoważą jest punktem prawdy. Potem mówiono i o innych sprawach... ale nie pamiętam.

Pan Kacper i p. Sebastyan zabawiali damy, pan Regent z moją babką chodząc w drugim pokoju, różne braterskie czynili sobie zwierzenia, a gdy w zebranych gronach żwawo toczy się rozmowa, słyhać trzask na podworcu! Może ze stu biczów razem furmani strzelają, na wiwat Solennizantowi i gościom. — Była to zwykła przymówka do szczodrośliwości biesiadników. I jakoż, zebrano duże poczęsne, gdyż padły na stół i sztuki złota. — Ledwo to się skończyło a znowu kapela zaczyna swoje, i na dobranoc jakąś kaleczy sonatę. — Szkoda tylko iż niemoże dojść do zgody. — Trąba inną wzięła nótę — jak klarynet, a najmniejsza pikolina, o cały takt się zmyliła, dość, że każdy z gości do kieszeni sięga, aby się prędzej muzyce wywdzięczyć a sonaty nie dosłuchać. Sowi- cie zapłacona Bocheńska kapela za te ostatnie hoł-

dy, — już idzie ku bramie, kiedy dworscy ją dogonią i bardzo uprzejmie proszą, aby wstąpiła do karczmy na minutkę, jeśli łaska? — Kapelmistrz grzeczny człowiek, a inni też zgodni, chętnie przystają na dworskich żądanie, idą do karczmy, grając już po drodze (chociaż omackiem) mazura od ucha. — Za kapelą się ciągnie orszak dworskich ludzi, wybiegają dziewczęta chyłkiem ku austeryi, wychodzą chłopcy z domów, a jeden spieszy po czapkę do izby, tamten zaś biegnie bez czapki. — Także wieśniaczki zdążają w te tropy i karczma się napełnia, szynkarz się raduje. „Piwa dla kapeli“ woła jeden „Wódki“ woła drugi. — „Tu przynieś kwartę miodu“ zarządzają lokaje. — Sami tylko dworacy dzisiaj potańcują, rzekł *Wojciech Kopicik* pomocnik kucharza. — My tylko sami dworscy tańcować będziemy, odezwą się głosy. —

— A czy to Waćpanów karczma? ozwią się wieśniacy. — W kościele i w karczmie każdy sobie panem, rzeknie jakiś zawadyak i my będziemy tańcować.

— Nasza jest kapela, odpowie kredenserz.

— Nie wasza, tylko najprzód Boska, a potem górników co sól kopią w Bochni, odrzekną chłopci — a my ją zapłacimy i nam też grać musi. —

— Nie musi, rzekł kredenserz, ja was tu nauczę przekłete Chamy! — Dalej panowie dworscy! wypchnijmy ich za drzwi, tylko dziewczki zostawić.

— Co ty tu będziesz gadał Pański oberwusie? kogo będziesz wypychał?... Jak Cię pięścią lunę, to ci łba nakręcę. —

— Kto?... ty mnie?

— Ja ciebie najprzód, a potem zobaczę kogo więcej. Więc łup, cup, łupu cupu, i już w jednej chwili, jakby węzeł zawiązał, tak splotły się bary, nogi i ręce — Już czupryny się mierzwią i spadają runem, już paznokciami zorane policzki, sączą krew jak brózdny wodę po nawalnej burzy. — Już są koszule w strzępkach i kurty w łachmanach. — Już ryczą baby i pragnąc rozbroić, oberwią guza w ogólnej zamieszce. Wszystko wre zemstą, a każdy sady się na odwagę. W tém dworscy się rzekomo cofają do ściany, lecz szeregi ściskają a jak krzykną: „dalej razem“ i jak w tłum uderzą, tak drzwi wyparli a przez drzwi prą chłopów. — Już górę wzięli, zagnali do sieni, niektórych przewrócili na progu z przyciesi, i czempredzją na skóbel zamykając izbę, kapeli grać każą. — Muzykanci nie śmieją, proszą się, wymawiają, obiecują w dzień inny grać darmo noc całą, ale nie niepomocze, są bowiem wypadki, gdzie nawet siła burdy, albo nierozważnego wzburzenia umysłów, taki strach wywiera, i tak porywa dusze, nie zapalem szlachetnym lecz oczarowaniem, że i ludzie rozsądni, spokojni, a nawet znamienici, wkręceni w zawieruchę jak liść w wietrzną trąbę, niby się burzą zewnątrz, udają za-

pał i odwagę, chociaż wewnątrz i z cicha klną burdzie i ztrwożeni w duchu, dla tego tylko należą do sprawy, iż tchórzą. — Otóż i muzykanci, widząc że już dworscy chłopów zwalczyli i że są przy władzy, radzi nie radzi słuchają rozkazów i zająkliwie grają krakowiaka. — Ale krakowiak to straszna potęga — ale muzyka to ducha podnieta, więc jeśli w dworskich rozbudza ochotę, to też i w chłopach wściekłą budzi zemstę.

— Dalej chłopcy! zawoła najtęższy z gromady, z kręgielni brać balasy a z płotu brać kołki, gdy zaś krzyknę hurra! sypać się oknem i drzwiami. — Tylko cicho — najciszej — nie robić hałasu! —

I jakoż w jednej chwili uzbrojona banda, na hasło dane, tłoczy się oknami; ramy pękają, szyby zadzwoniły i prysnęły w kawałki. — Dworscy się spostrzegli ale za późno.... dalejże do ławek i dalej do stołków, lecz obrona licha. — Już pałka gwizdże nad uchem, i kości łomie, ciało w mierzwę młóci, — światło gaśnie na stole, a w nocy ciemnościach jeden bije drugiego, niepytając w co i w kogo trafi! — Kredenszer zwinny chłopak rozbraja a bije, lecz znów rozbrojony wyrwał z rąk muzykanta fagot, i nim chłopów gromi, lecz i ten w rękę pęka, a z tyłu uderzony, runął na podłogę. —

Córka szynkarza pobiegła do dworu i z przerażeniem opowiada sprawę, twierdząc, że wszystkich za-

bito już dworskich, i że się już teraz sami chłopci biją. —

Pan Filaczyński z swojego urzędu, biegnie z latarnią, z papierem i piórem aby srogich wypadków spisywać protokół. Za nim się reszta dworskich sypie. Kaliciński wziął pałasz, Boratyński rożen, Wojciechowski pogrzebacz, a Stróż wziął osękę, reszta zaś zbrojna w drągi, widły, grabie, na sukkurs spieszy. Lecz pan Kreiskapitan, chcąc rzecz krócej ukończyć, napisał słów parę, i przez swego furmana posłał do Bochni rozkazy. —

Przybiega Filaczyński do karczmy z latarnią, lecz się dostać przed tłumem nie może. — Głos jego ginie w wrzawie, gdzie przeciągłe jęki, miészają się ze wściekłym rykiem, i bab piskiem. Sukkurs dworski nadbiega.... Zmiarkowały chłopci, i przez okna zmykają gromadząc się na moście — lecz tam ich dworscy gonia, i znów się walka poczyna okropna, a krew spływa w Raby nurt. — W tem słyhać bębny i krokiem podwójnym nadciąga wojsko z Bochni. — Zbrojna interwencya zmiészada szyki walczących, i chłopci nie wiedzą w którą zmykać stronę. — Tu wojsko... a tu dworscy. — Na próżno więc dwukrotnie, chcą się przebić ku karczynie i ku wsi, — odparci w tył się cofają a oficer kolumnę dzieląc w dwa szeregi, oskrzydla chłopów i już ich ma w matni. Walka się skończyła, a jeńcy idą wśród szpaleru najeżonych bagnetów.

Karczma która nie dawno była placem boju, staje się izbą sądową. — Filaczyński zasiada, wśród ruin i złamów, a summarycznie dochodząc téj sprawy, najwinniejszych tak z dworskich jako i z gromady, każe brać do aresztu, moeno rannych do Bocheńskiego odsyła szpitala, a reszcie rozejść się każe, z zastrzeżeniem, iż w dalszym téj sprawy rozwoju, dostawią się do sądu, czy jako zbrodni współnicy, lub jako świadkowie. — Cisza powraca, a tą samą drogą, gdzie pierwój biegła wesoła drużyna, smutnie się wleka i dworscy i chłopci, miotani wewnętrznym przecuciem, iż po skończonej walce cięższa czeka kara, to jest niewola i surowość prawa. —

We dworze przerażenie! — Stoją panowie przed gankiem, a babka w swoim pokoju modli się klęcząc — Pan Kreiskapitan ufny w posłane rozkazy, uspokaja strwożonych, i z panem Szambelanem po cichu rozmawia. — Xiądz Adryan boleje nad Boga obrażają pan Tomasz jeden cieszy, ręcząc na swój honor, iż to niewielkie rzeczy. A mówi: „upili się, wybili się — upiją się, pogodzą się.“ —

Ale kto też najwięcej cierpi z pozostałych w domu?.. Oto panna Tuchowska, która się zanosz od płaczu, myśląc iż Filaczyński zginie w téj zamieszce. — Oh Boże! (mówi ze łkaniem), ledwom go poznała i on mnie poznał, i kto wie czyby co niebyło z tego, a tu nieszczęście!... pewno go już kto w głowę uderzył,

trafił w same skronie, i zabił od razu! — Oh biedny Filaczyński, już ciebie nie zobaczę więcéj! Już cię Xdz Proboszcz pogrzebie, a ja w każdą niedzielę, (da pan Bóg doczekać,) gdy pojedę na sumę, płakać będę na twym grobie.

Kiedy tak lamentuje, jakiś głos przed bramą odezwał się: „już wszyscy wracają i pan Filaczyński idzie przodem z latarnią. —

— Wracają! — powtórzyli panowie przed gankiem, chwala Bogu wszystko się skończyło, trzeba Jójmość zaspokoić i paniom dobrą zwiastować nowinę, bo są nieco spłoszone.

— Tuchowska zobaczywszy już na własne oczy iż żyje Filaczyński, z niewymowną wita go radością, rozpowiadając obawy, jakie miała o jego życie i zdrowie.

— Daj mi panna pokój, odpowie gniewnie Filaczyński, myśl o sobie nie o mnie. — Nie lubię kiedy się kto wtrąca w moje sprawy. —

— Czy tak? (srogo dotknięta odpowie Tuchowska). To dla pana lzy moje są niczém?... Gdyby Różia płakała, toby się pan kwilił. — Dobrze mi matka mówiła, że każdy mężczyzna jest jako bazyli szek. —

— Odczep się odemnie pokuso, (rzekł Filaczyński i daj mi święty pokój, bo znowu mnie moja matka mówiła, iż „w starym piecu diabeł pali.“

— Proszę?... to mi dopiero koncept z kalendarza! odpowie Tuchowska. Żałuję teraz na prawdę iż chłopu panu Mandataryuszowi, gruszek z głowy nienatrzęśli.

— Cicho Mości panno, bo to buntem pachnie (rzecze obrażony w urzędzie Mandataryusz) za takie mowy można iść do kozy.

— Pan by i w kozie siedział chętnie byle z Rózią, ale z tego nic nie będzie. — Już ja temu poradzę, i powiem zaraz pani Stefanowej, panu Stefanowi i wszystkim do których należy. Idę zaraz, — tak idę odrazu, a co teraz, to już nie będzie pardonu, a pierwój pójdę do mojej przyjaciółki od serca panny Szadurskiej i wszystko jęj opowiem od słowa do słowa, co ja mówiłam i co pan mówił i cośmy wspólnie mówili.

— Idź, idź panna, a prędko, a na jednej nodze, a spieszże się; jeszcześ to tu, placek ci ostygnie, nieszże go póki gorący!

— Na złość idę, odpowie Tuchowska. —

— Idź na złość ale prędzęj, niech cię bierze лихо!

— Niewdzięczny Bazyliszku, odpowie Tuchowska, byłbyś był szczęśliwym, a tak figa — nie z tego nie będzie, wolę panną zostać.

XIX.

W kilka dni później.

W parę dni po świętym Stanisławie rozjechali się goście, a nawet Ojciec mój z Xiędzem Jaszczurowskim wrócił do Zborowa. Została tylko w Proszówkach moja matka, która wedle rady Dra Kanki tam słabość swoją odbyć miała. — Babka moja znalazła się na raz jeden osamotnioną i cierpiała na tém, bo chociaż Bóg jęj sercu pobożnemu wystarczał a obecność córki wszystko jęj słodziła, to jednak nagła zmiana życia uprzyjemnionego licznym towarzystwem drogich osób rodziny, na ciszę i widok pustych ścian domu, nieco na nią wpływała. Dziwne też to było usposobienie duszy mojej babki?... Ona rzeczywiście nie lubiła świata, to jest nie była osobą światową i szukającą w gwarze licznego towarzystwa rozrywek, zabaw i plotek, ale kochała w świecie wszystkich ludzi, kochała ich dla nich samych a nie dla siebie. Gościnność jęj nosiła cechę jakiejś ogólnej przychylności, ale w nięj nikt się

niedopatrzył nawet cienia próżności albo samolubstwa. Szczęśliwą była gdy w domu swoim mogła gościom służyć, uprzyjemniać im pobyt, otaczać troskliwością, ale niewymagała aby ją gość bawił, i nudy jej rozrywał wyuczonymi zwrotami dowcipu, lub zdaniem sprawy z dziejów, uwłaczających czyjejś dobrej sławie o którą więcej jak o własną zaraz się upominała. — Przy obiedzie, jak również podczas wieczerzy, usadziwszy gości u stołu, sama wstała i chodząc na około, każdemu uprzejmie powiedziała słowo, prosiła aby jedli, pilnowała iżby komu czego nie zabrakło, sama zaś mało co kiedy jadła, i na cały dzień filiżanka kawy z grzaneczką i pół kotleta lub kaszka z sosem jej wystarczały. — Dla tego pan Tomasz zwykł mawiać „iż gdyby jego ptak ulubiony tyle tylko jadł co pani starościna, toby już był od dawna przestał mówić „szpasiu, pójdź do Tomasza“!! Trzy główne przymioty uwieńczone tklivą ale cichą pobożnością stanowiły główne tło charakteru mojej Babki: wielka szlachetność duszy, miłość dla bliźnich a przytem szczerza i głęboka pokora. Te trzy ważne cnoty przewiodła babka moja przez całe swoje życie, i wedle nich każdy krok mierzyła; dla tego słynna jej gościnność, nacechowana równą i niezmienną dla odwiedzających życzliwością, jednała jej wszystkich serca, a budziła nieograniczony dla niej szacunek i współczucie. — Każdy jechał do Proszówek jakby w dom

ukochanej matki, każdy opuszczał Proszówki, jakby wyjeżdżał z domu rodzicielskiego. Wielu, którzy znali moją Babkę, żyją jeszcze Bogu dzięki, a więc do ich świadectwa się odwołując, pewnym jestem, że mnie nawet o przesadę w tym opisie pomawiać nie będą.

Pan Tomasz Wielogłowski wyjeżdżając z Proszówek zwierzył się Babce mojej, iż siostra jego panna Tekla Wielogłowska, zwana powszechnie z posiadania przez Ojca tytułu, panną Podśędkowną, nudzi się na wsi, zrzędzi, bo latka płyną a ona jeszcze panną, i pragnęłaby wypłynąć z pod Tatrzańskich stoków na szerokie wody świata, i przytulić się do jakiego większego domu. — Moja babka nienamysłając się ani chwili, zaraz jej dom swój ofiarowała, znajdując przyzwyczajoną, aby się przy niej jako krewniej umieściła. — Tego też właśnie pragnął p. Tomasz, który jako stary kawaler niechęący się żenić, niemógł sobie dać rady ze starą panną, któraby owszem chciała iść za mąż. —

— A czy łagodna jest Teklusia? zapytała babka moja p. Tomasza.

— Ej, Mościa Dobrodziejko, odpowie p. Tomasz, już-to najprzód nie Teklusia ale cała Tekla, a co do jej łagodności, to jest zwyczajnie, jak każda stara panna, która się o to gniewa, iż ludzie wołają piękniejszą, młodsze i posażniejszą. — Niechcę Jejmość oszukiwać i powiem, że moja siostra to stworzenie niepo-

czesne, ale z resztą wielkich w niej wad nie upatruję. Może tu się rozweseli to przynajmniej się dom zapełni. — Ma też procent swój od posagu, więc ciężarem nie będzie. —

— Co do posagu to niech sobie od niego procenta składa, bo ja o tym wiedzieć niechcę i biorę ją na mój koszt, ale czy pobożna? zapyta moja babka.

— Ej, co tam o to, rzeknie p. Tomasz, zwyczajnie jak każda stara panna co się raz wybiera do klasztoru, a gdy jej znowu w głowie kawaler lub nadzieja kawalera zaświta, to już spać nie może, ale o tym tylko myśli. — Lecz musi ona tam być i pobożną, bo nie mało na dzień pacierzy naklepie i z książki i znowu widzę że i wargami rusza, ale o co pana Boga prosi?... tego nie wiem.

— To dobrze panie Tomaszu, odrzeknie moja Babka, chciejże mi ją tu przywieść. —

— Oh, zaraz przywiozę — Bóg zapłać Jejmości! rzecze p. Tomasz, bo ja wyznam szczerze, iż chociaż ją kocham jako brat starszy, to mi w domu zawadza. Bo gdyby mi o to chodziło aby mieć ten kłopot, to bym też wolał młodą żonę jak starą siostrę, a tym bardziej pannę znudzoną.

Każdy po takim opisie byłby się namyslał, czy ma ten familijny sprzęt do domu przyjąć. Ale moja babka nie o tem myślała ale czyli jej będzie miłe niezajomiej krewnej towarzystwo?... lecz czy pannie Tekli

będzie u niej wygodnie? Wystawiała sobie, iż panna mieszkająca u brata kawalera, który albo poluje albo gospodarzy, lub też sąsiadów obficie częstuje, niemożę miłego pędzić żywota, a tem mniej korzystnego doczekać się zameżcia; — więc troskliwie już losem p. Tekli zajęta, byłaby chciała w jedynę chwili mieć ją u siebie, otoczyć opieką, wygod przysporzyć i los jej osłodzić. Kazała natychmiast jeden z gabinetów dla niej przygotować i czekała na jej przyjazd! — jakoż... nie czekała długo! — Czwartego dnia po pożegnaniu, znów p. Tomasz wita, przedstawiając siostrę swoją pannę Podsędkownę. — ... Opisywać jej nie będę, bo to przecież krewna a co więcej dama — wolę przeto szukać w niej dobrej strony a o złej zamilczyć. — Wreszcie złej strony nie miała ona, tylko tę, że była bardzo nieładna, a pretensjonalna — p. Tomasz jej brat rodzony tak ją dobrze mój Babce opisał, iż do tego obrazu nic już nie dodaje.

— Masz Jejmość Dobrodziejka, czegoś sama chciała, rzecze p. Tomasz. Moja siostra co zwykle nawet do kościoła wybiera się tak długo jak gdyby za morze, teraz tak mi się zakreśliła z całym swym pakunkiem, że nazajutrz była już gotowa. —

— Bardzom ci wdzięczna panie Tomaszu, a również tobie kuzynko, rzecze moja babka, iż tak spieszyliście. — Pragnę, aby ci dobrze w moim domu było, a łatwo mi pojąć, że często w Owieczce

nudzić się musiałaś, będąc tak samotną, — brat często wyjeżdżał, wreszcie zajęty!...

— Tak jest!... odpowie panna Tekla.

— Czy ci się podoba tutejsza okolica,? pyta moja babka.

— Takteż, ... odpowie panna Tekla. —

Widocznie biedna panna była pomieszana, a że przytem nie mile szepteniła i ł niewymawiała, a głosik miała chrapliwy, więc i słowo w sobie zamknęła na tym pierwszym wstępie. — Ale nieturbujmy się, bo wkrótce gdy się rozgości, to się ję język rozwiąże. Moja babka litośnie spojrzała na moją matkę, jakby chciała wypraszać u nię pobłażanie dla nowego gościa, i z tym anielskim uśmiechem który Bóg składa na usta wybranych, znówu się zapytała panny Tekli, czyli ją podróż nie utrudziła?

— Nie bardzo; odpowie panna Tekla.

Pan Tomasz widząc iż jego towar mógłby najmniej wybrednego kupca odstręczyć bał się, iżby mu go nieprzyrzuciono, dla tego w zastępstwie siostry, zabawia panie jak może. Przywodzi na pamięć miły w Proszówkach pobyt w dzień Śgo Stanisława, zaręcza na końcu, iż gdy się jego siostra rozpozna i oswoi, to nie jedną przegada i wszystkich zabawi. Chwali ją z rządu, z talentów muzycznych a nawet z tańców, słowem sztukuje o ile się da, skąpy udział przyrodzonych darów jakie na jego siostrę przypadły. —

Jedzie furka z rzeczami panny Tekli, i na furce *finek* piesek czarny, faworyt — nieznośne stworzenie, karzełek psiego rodu, mieszaniec z mopsa i suki kundlicy. Moja babka lubiła *bukieta*, ale na podworeu, gdzie jego miejsce, ale finka ciągle mieć w pokoju mniej sobie życzyła. — Lecz że moja Babka wołałaby w dom całą przyjąć menażeryą, jak komukolwiek najmniejszą przykrość zrobić, przeto wchodząc w życzenia panny Tekli, jużby była *finкови* chciała dać gościnność. — Lecz Matka moja mniej pobłażająca, odrazu rzecz skończyła, prosząc pana Tomasza, aby zabrał z sobą tę psinę, która niemoże być w pokoju „gdyż mama tego nie lubi“ — Babce mojej przykro, tłumaczy więc, iż dawniej nie lubiła, ale teraz to jest ję obojętném. — Panna Tekla, kłania się i dyga za swoim *finkiem*, ale wyrok stanął: finek pojedzie!... pan Tomasz zrozumiał, iż dość już samęj panny Tekli.

— On jest porządny i on zemną sypia, rzekła panna Tekla. —

— Tem gorzej, odpowie moja matka, to brzydki obyczaj z psami sypiać! —

Panna Tekla się krzywo na mą matkę spojrzała, i zamilkła, ale na ję śniadęj twarzy, żółte wystąpiły plamy, i łzy pociekły. — Babka moja co w nieczyjém oku łzy bez współczucia widzieć nie mogła, prosi za finkiem, a moją matkę całuje i pieści. Lecz p. Tomasz uwziął się stanowczo aby psa z sobą zabrać. — Na

to postanowienie, rzecze panna Tekla, że i ona z bratem swoim wróci, a z finkiem się nie rozłączy. Łamią się już szyki, i może by się były szczęśliwie złączyły, ale straszny wypadek rozstrzyga tę sprawę. — Finek co w obcym domu nie był jeszcze nigdy, z pokojem się wymyka i biegnie do firy, którą przyjechał. W tym bukiet niecnota, który rywala żadnego nieznosił, już za jednym podskokiem na finku siedzi. — Finek pod furę, bukiet go dogoni, i jak za kark chwyci, jak nim zatrząsie i o koło uderzy, o ziemię ciśnie, i zdusi i stłamsi, tak w jednej chwili finek już bez życia, ani już piśnie, lecz nóżkami grzebie. — Widzi Rzepecki i chciałby obronić, usłyszała albo też przeczuła i panna Tekla, wybiega na ganek — ale już późno!... Już było po finku! Płacz panny Tekli głośno się rozlega a wkrótce potem nastąpiły mdłości. Babce mój przykro i z kolońską wodą spieszy do panny Tekli. — Tuchowska na ten alarm przybywa i octem siedmiu złodziei nos pannie naciera, a rękę lewą po nad łokciem wiąże. — Prowadzą wreszcie pannę Teklę na łóżko, i tam jej dopiero pokój duszy wrócił, a reszty czas, ów wielki lekarz na cierpienie ducha, dokończył. — Po takim wstępie, można by sumiennie słowo swe cofnąć, i pannę odesłać w góry z kąd przybyła. — Ale moja Babka tém bardziej czuła się w obowiązku zostawić ją u siebie, aby jej wynagrodzić stratę, pocieszyć, osłodzić, i podać

właśnie rękę istocie, która dla nikogo niemogła mieć uroku. — Pan Tomasz pomięczany i zmartwiony takimi scenami, szczerze już chciał wiaść swój krzyż na ramie i z panną Teklą resztę życia pędzić, może też tego zdania była i moja matka, pomimo najszlachetniejszych swęj duszy przymiotów. — Ale nie... Babka moja wierna przyrzeczeniu, stanowczo postanawia, iż pannę zatrzyma, i tak się stało... panna Podśędkowna, aż do śmierci męj Babki przy niej pozostała. — Pan Tomasz ani wiedział jak wdzięczność wyrazić, i on, który nigdy jednej łzy nie zronił, przecież wymęczył z oka łzę wdzięczności, i uściskawszy rękę mojęj Babki, rzekł w rozczuleniu: — „przysięgam Jejmości, że Jejmość Anioł a nie kobiéta. — Dalibóg Anioł, bo takięj kobiety jeszcze niewidziałem!

XX.

Podejrzenia panny Tuchowskiej.

Podejrzliwość jest główną wadą starych panien, mających jeszcze pretensyje do zamężcia. Stawiam to jako ogólne prawidło: jeśli zaś na wyjątki pozwolę, to tylko przez grzeczność, bo przyznam, iż ich nigdzie nie spotkałem. — Panna co się sama wydać niemoże, podejrzywa namiętnie swoje koleżanki; tworzy wnioski, ciągle coś odgaduje, domyśla się nietylko tego co jest, ale i tego czego niema, a stoi na straży wszelkiego miłosnego ruchu, jaki się w okolicy, w mieście, lub w domu objawia. — Niemoże żaden kawaler przyjechać do miasta, a nawet przejechać, aby go nieposądzano o zamiary starania się o rękę tej lub owój panny. Ztąd przypuszczenia, wnioski i plotki, które dzisiaj nazywać chcą ludzie z francuzka: *komerażem*. Często udaje się tym starym pannom, zawierującą się w istocie parę spłoszyć, i przez obmowę rozstrącić, bo zazdrosne ich dziewictwo nie znosi

szczęścia rywalek, — Posunie się więc stara panna czasem aż do potwarzy, aby się pomścić na odbiegającej ją miłości. —

Od téj wady niebyła wolną enotliwa zkąd inną Tuchowska. — Oko jój wyteżone w stronę miłosnych spostrzeżeń a słuch jój wprawny do podejścia szep-tów, dziwnie posługiwały téj namiętności. — Dla tego zadziwiona że p. Filaczyński tę samą piosnkę wygrywa na flecie, którą też na gitarze brząka panna Szadurska, zaczyna się niepokoić i częściej chodzi po podworec, a z daleka przez okno wgląd pokoju pana Filaczyńskiego zagląda. — Miewa ona także częstsze interesa do panny Szadurskiej, a chociaż pomna na dawne układy, słodyczą zaprawia wszelki z nią stósunek, to jednak czuć jakos, że ten miodek już jest kwaśny, i że się weń wmięszała kropelka octu, która mimowolnie usta jój wykrzywia — Ale dowodów bliższych ku poparciu podejrzeń dotąd jeszcze niema, i dopiero cień się jój jakiś przed oczami snuje. W parę dni później gdy zwykła posółka do Bochni, zapasy kuchenne przywiozła, panna Tuchowska robiąc pierwsza przegląd towarów w koszyku, dostrzegła suche figi nawleczone na łyeczko, w tak zwany *wianek*. — Pyta więc ciekawie, kto je kupić kazał, dla kogo, po co, po czemu i od kogo? — Chłopiec robiący sprawunki, wyznał, iż p. Mandataryusz dał na nie pieniądze, i że są dla niego — Co zaś, figi? myśli sobie

panna Tuchowska. — Figi, dla pana Filaczyńskiego? to rzecz dziwna! Jest w tém tajemnica, a ja jęj dojść muszę! — Czyliby p. Filaczyński lubił figi? i dał takie łakocie dość przecież kosztowne? bo dał na nie dwadzieścia pięć duków, ... to być nie może!... Jest coś w tém.... Oh, już wiem. — Pamiętam, iż gdy się na niego pogniwałam, to mu powiedziałam iż „będzie z tego figa.“ — On sobie to przypomniał nieboraczek, i chcąc rzecz złagodzić, chce mi dać pewno na przeproszenie te figi! — poczciwy! ale dla czego się też to szkodzi!... ja o tém już zapomniałam, a on pamięta! — Bo też prawdę mówiąc, mógł się na mnie zniecierpliwic gdy mu byłam natrętną w chwili, kiedy on z swego urzędu, rokosz chłopski uśmierzał! Mój Boże, iż się też to człowiek do śmierci rozumu nie nauczy, a przecież wiem ja dobrze, iż nigdy do mężczyzny nie trzeba mówić, kiedy zły lub zajęty, bo w ten czas jest nieprzystępnym; ale trzeba przeczekać aż ochłonie, a znów wszystko z nim dokażesz! Tak też i teraz, gdybym się z tą czułością do niego zbliżyła, toby on jak wosk topniał od mojej miłości. — Poczciwy Filaczyński!... już go dwadzieścia pięć duków kosztuję, a ja mu też żadnego jeszcze nie dałam podarku, i ani wiem czémby mu odwdzieczyć?... Gdybym *np.* zrobiła mu kapiuszek z samych kawałeczków sycowych?... Ej nie, bo on ma już ładniejszy z koralików!... A gdyby

półkołnierzyk z białego perkalu?... Toby nie złe było, ale niepolityczne. A tombakowy łańcuszek do zegarka?... To już lepiej!... Ale pocóż daleko szukać?... wiem co mu podaruję!... Sygnet po moim Ojcu z krwawnikiem; a chociaż na nim jest cyfra wyróżniona J. T., to jest Jan Tuchowski, jednak nada się i jemu, bo mu jest Jozef, a tylko jedno T. bruździ, lecz to mała różnica, bo o lichą kreskę w środku!..

Takimi ukofysana i pocieszona myślami, wyszukała panna Tuchowska w pudełku owego sygnetu a obwinawszy go jedwabiem i oblepiwszy lakiem (gdyż był za przestronny,) włożyła go na palec i z nim się często do kuchni przechadza, aby i panu Filaczyńskiemu i sobie nastęrczyć sposobność spotkania się w sieni, na owym neutralnym dla obojga gruncie. — Lecz spotykali się często, a p. Filaczyński fig nie ofiaruje. — Dziwi to pannę Tuchowską a nawet niecierpliwi. — Trzeba go ośmielić,... pomyślała sobie, bo on nieboraczek niemoże się zebrać na odwagę i co wyjdzie do sieni, to gdy mnie zobaczy, wraca czempredzją do swego pokoju. — Poczekam tu więc w sieni nibyto na dziewczki.

Nie długo też czekała, bo Filaczyński wyszedł do sieni i już ją miał minąć, kiedy ona go zaczepi:

— Kochany panie, właśnie chciałam powiedzieć, że niepotrzebnie szkodzi się pan na takie drogie podarki — ja tego niewymagam. —

— Jakie podarki?... zapyta zimno Filaczyński. —

— Jakie?... pan wiesz najlepiej — ten wianek fig suchych, któremi chcesz osłodzić małe owe gniewy co między nami zaszyły. —

— Ani o tém myślałem, moja śliczna panno! figi są dla mnie, a dla ciebie mam tylko jedną, to jest figę z palca. —

— Zbladła Tuchowska i nogi pod nią zadrżały, ale gdy zebrała myśli, rzecze w uniesieniu: Kiedy tak to kwita z nami na zawsze, a ten sygnet który na palcu noszę i który panu ofiarować miałam, pójdzie nazad do pudełka jako najdroższa po ojcu pamiątka! Zajadaj sobie pan teraz sam figi — ja ich nawet nie lubię, i wcale bym ich nie jadła. —

Odszedł Filaczyński wrzuszając ramionami, a panna Tuchowska w miejscu się kręciła; bo gdy kto raptem spadnie z górnego ideału na padół rzeczywistości, to się tak potłucze, iż nieprędko powstanie na nogi, i do dalszego pochodu braknie mu siły. — Nie wiedziała więc w którą iść stronę? do kuchni? źle, boby może poznano jęj widoczne wzruszenie. Na podworec? jeszcze gorzej, bo spotkać Filaczyńskiego może. — Trzeba przeczekać chwilę!... W tém biedna dziewczka folwarczna, niesie konwie z wodą i nieumyślnie pannę Tuchowską trąciła. Na nięj się więc skrupiło, i spadł na nią grzmot obelg a może co więcej. — Teraz więc śmiało idzie Tuchowska do kuchni, bo

jest już niby jęj gniew wytlomaczony, i każdy pojmie że dla tego błada, iż się tak bardzo na dziewczkę zgniewała. — Jeżeli wszakże panna Tuchowska umiała miłość cudzą szpiegować, to kucheik również nie był w ciemę bitym, i podsłuchawszy dawniejszję rozmowy z panem Filaczyńskim, powierzył ją kuchmistrzowi, kuchmistrz Rzepeckiemu, i cała służba wiedziała że pannie Tuchowskiej w głowie się przewraca, a serce jęj miłosna dręczy pokusa. — Około południa dziewczyna pokojowa często przebiegając, parę słów wymieniła z panem Filaczyńskim, klucznica to spostrzegła i wtrop za nią goni, a pyta surowo, co z panem sędzią mówiła? — Nic, rzecze dziewczyna. Jaktó nie kiedy widziałam, iż mówił do ciebie. — Mówił, ale ja niesłyszałam — a ty coś mu mówiła? zapyta Tuchowska. — Mówiłam, iż nie słyszę. A cóż on na to? On na to odpowiedział żem głucha. —

— Proszę, rzecze klucznica, aby mi żadnych rozmów z mężczyzną nie prowadzić, bo każdy mężczyzna jest jak wąż.

Kiedy kogo szalona namiętność oślepi a niepokój wewnętrzny opanuje duszę, to się coś szatańskiego do serca przyczepia, tak, iż człowiek jest w ciągłej walce z myślą swojęj marą, która jak cień jest zawsze z człowiekiem! Gdy ją chce gonić, to ona ucieka, gdy on ucieka, to go ona goni, i chodzą jak dwa więźnie do siebiep rzykuci, których w współnictwie

zbrodni łączy wspólna kara, tak, iżby jeden drugiemu był kulą więzienną. — Więc i Tuchowska miotana rozpaczliwym żalem, pragnie dochodzić swych cierpień przyczyny, i dla tego, szuka, biega, pyta się i śledzi, aby doszedłszy tylu cierpień wątką, cięższy jeszcze dla siebie przysposobiła smutek. — Rozszedłszy się z dziewczyną poszła do panny Szadurskiej, aby opowiedzieć jej nowe zgorzenie, które ją uderzyło w rozmowie pana Filaczyńskiego z dziewczyną pokojową. Pozory te nastęrczały jej pole do wielu uwag i domniemań, lecz kiedy się nad tém szeroko rozwodzi, spostrzega na stole... co?... szypułkę od figi!.. Czémprędzej więc ogryzek, we dwa palce chwyta, i stawiając dokument tak niezaprzeczony przed oczy panny Szadurskiej, pragnie wiedzieć z kąd się wziął u niej owoc zakazany? prawdziwy owoc z zaklętego drzewa. Panna Szadurska, jąka się i krztusi, tak jakby jej ogryzek sztorcem w gardle stanął, — niewie co mówić, — nieumie zaprzeczyć a niechce przyznać — więc udaje, że niewie! —

— Niewie panna? odpowie zjadliwie Tuchowska, niewie panna, że figi dla mnie przeznaczone, porwała mi wraz z sercem tego co mnie kochał? — To panna która nas miała godzić, łagodzić, uśmierzać, dzisiaj nas różni a dla siebie godzi, i zjada moje figi? Pięknie to tak? ucziwie?... szlachetnie?... Ale dość tego, dowód ten już przy mnie zostanie, zawinę go

w papierek i schowam, a gdy czas przyjdzie złożę na świadectwo zgorzeń które się dzieją, i miłosnych schadzek, między panną a panem Mandataryuszem. — Ja, co wiekiem od panny jestem nieco starszą, unikam zawsze każdego mężczyzny, i oczy spuszczaam gdy się na mnie patrzy, a panna, jakby nieprzymierzając druga Ewa w raju, przyjmujesz owoc podany od węża? — To jest grzech Mościa panno, wstydz się, krusz i żałuj. —

— Panna Szadurska głucha na wyrzuty zazdrośnej Klucznicy inną się myślą trapiła, to jest, iż z swych uczuciów szczerego zwierzania nie zrobiła mojej babce. — Jakoż w tém był grzech cały, gdyż dobrze wiedziała, że tak dobrej pani, trzeba było najprzód serce swe otworzyć, rady zasięgnąć i jej się polecić, a potem już otwarcie, jawnie i pocziwie, rzecz tę prowadzić wedle woli Bożej. — Umyśliła więc zaraz całą rzecz naprawić, i rzucić się do nóg pani, przyznać się do błędu, i nic nie zakrywać. — Czekala tylko aby rychlój wyszła panna Tuchowska. —

Panna Tuchowska, chcąc z tego odkrycia szeroką wytoczyć sprawę, poszła do Xiędza Adryana, i jemu zwierza wielką tajemnicę wysledzonych stosunków, między panną Szadurską a panem Filaczyńskim. Dowodzi mu, iż on jako miejscowy kapłan i kapelan dworu, jeden może i powinien ukrócić swawolę; zakazać tych schadzek bałamuctw miłosnych i raz na zawsze

położyć tamę zgorszeniu! — W pierwszej chwili X. Adryan przeraził się tym wypadkiem, ale jako kapłan doświadczony, uważał iż w żarliwości z jaką panna Tuchowska przeciw zgorszeniom powstaje, mieści się namiętność, zawiść, i przesada, dlatego też powątpiewał aby duch czysty i Boży natchnął ją do wytoczenia téj skargi. — Obiecuje więc sprawdzić i dochodzić sprawy, ale i jęj téż radzi ukojenie ducha, twierdząc, iż żarliwość pozbawiona miłości ani bywa skuteczną, ani nam może przysparzać zasługi. Trzeba grzech nienawidzić, mówił X. Adryan, ale dla grzesznika należy mieć miłosierdzie. — Panna Tuchowska z boleścią widziała, iż X. Adryan zimno rzecz tę bierze, i dowodziła, jak wielka obraza Boża ztąd wyniknąć mogła, i jak dalece pani Starościna cierpieć nad tém będzie, gdy rzeczy téj surowy Xiądz Adryana nie potępi wyrok. —

— To mnie samemu proszę zostawić, odpowie X. Adryan, do nas tylko kapłanów taki sąd należy, ostrzedz nas można, lecz powiększać winy, obciążać bliźniego a nieraz przez udaną żarliwość chcieć wpływać na nasz wyrok, to się i niegodzi i nie jest szlachetném. Niechaj Waćpanna idzie do swéj pracy, a ja tu sam zaradzę, i sprawę rozsądzę. —

Wyszła Tuchowska a X. Kapelan niechcąc, iżby ta rzecz puszczoną w odwłokę, dała powód do plotek, które są nieraz większą obrazą Bożą jak samże po-

wód który je wywołał, kazał do siebie poprosić Filaczyńskiego i złagodnością, (pobożnemu i doświadczonemu kapłanowi właściwą,) zapytał poufnie i po przyjacielsku jakie zachodzą stosunki między nim a panną Szadurską. —

— Bardzo proste, niewinne i czyste, odrzeknie Filaczyński. — Wiem, iż panna Szadurska jest uczciwą, dobrą sługą, wierną i do swojej pani szczerze przywiązaną. — Te przymioty zniewalają mnie dla niej, wreszcie podoba mi się, i dlatego chcę się z nią żenić, jeśli taka będzie wola Boża, a pani Starościna która jęj matkę zastępuje i brat jęj w Bejskach na to pozwolą. — Cheiałem pierwéj wymiarkować czy ja się podobać mogę, i pod tym względem mam już pewne nadzieje, przeto umyśliłem wtych dniach prosić o jęj rękę pani Starościny i rzecz tę jawną uczynić, kiedy mnie zazdrość panny Tuchowskiej w téj jawności wyprzedziła. —

— Jak to zazdrość? mówisz Waćpan, zapyta zdziwiony zakonnik, czyliżby panna Tuchowska, miała jaki powód do zazdrości. —

— Zdaje się rzekł Filaczyński iż niebogę na starość opętała pokusa małżeństwa, a że ja jeden we dworze jestem wolnego stanu, więc na mnie z biedy padł jęj wybór. —

— Trzeba mieć pobłażanie Moćpanie Filaczyński dla téj biednej Tuchowskiej,... to choroba... to przejdzie,

i Bóg ją uwolni od téj pokusy. — O ile ją poznałem, to w gruncie jest poczciwa niewiasta, ale mimo wieku, każdą rzecz czuje żywo!... A więc jój nie dokuczajcie, bo ja już sam złemu zaradzę. — Co się zaś tycze twoich zamiarów względem panny Szadurskiej to się podejmuję popierać je u pani Starościny. —

Filaczyński pocałowawszy w rękę X. Adryana wyszedł, a X. Kapelan udał się zaraz do mojej babki, gdzie już zastał pannę Szadurską zalaną łzami, ale w jój rozczuleniu przebijają się i radość.

— Oho! rzecze X. Adryan, to już widzę sprawa moja przeszła do najwyższego sądu, kiedy tu u Jejmość pani Starościny delinkwentkę zastaje. — Dopiero co wysłuchałem zeznania głównego winowajcy i przychodzę wstawić się za nim w drodze łaski, ale z warunkiem, iż gdy Waćpani Dobrod. zezwolisz na ten związek i przyszłej parze pobłogosławisz, aby nastąpiła ze strony obojga zgoda z panną Tuchowską, z którą się w tych dniach ostatnich pokrzywiły stosunki.

— Niewiedziałam nic o tém, że była niezgoda, rzecze moja babka, o cóż takiego poszło? powiedz mi Szadursiu. —

— O nic Jaśnie pani, tylko o suszoną figę którą mi dał p. Filaczyński, a której panna Tuchowska nosi w kieszeni szypułkę. —

— Nie o figę chodziło, rzecze X. Adryan, ale cokolwiek zaszło z powodu téj figi, niech idzie w za-

pomnienie a zgoda i miłość Chrześcijańska niech was jednoczy.

Na wyraz *miłość* uśmiechnęła się panna Szadurska, bo się z nim od jakiegoś czasu bliżej oswoiła.

Babka moja kazała przywołać Filaczyńskiego, a gdy po zobowiązanych wyznaniach, ta młoda para upadła do nóg méj babki, ona ich pobłogosławiła, na związek przyszły pozwalając. — Potem ta sama scena powtórzyła się u nóg mojej matki i X. Adryana, który po łacinie wyrzekł, Deus Vos benedicat. — Dla załatwienia zaś zupełnego sprawy, przywołano i pannę Tuchowską która sądząc iż przychodzi jako świadek zeznawać w procesie, składa zaraz przed babką papierek z szypułką i już wprowadza skargę, gdy X. Adryan jój przerwał, mówiąc:

— Na dowód iż się panna Tuchowska cieszysz szczęściem bliźnich a tem bardziej przyjaciół z którymi łączą cię stosunki domownictwa, u pani, którą tak szlusznie szanujecie wszyscy i kochacie, proszę panny, abyś także jako najstarsza sługa domu, pobłogosławiła parze tu obecnej, i serdecznie a szczerze z panem Filaczyńskim i panną Szadurską się pogodziła. —

W pierwszej chwili zdziwiona, osłupiała, blada, zapomniała języka w ustach biedna Tuchosia, ale że w gruncie duszy była dobrą, przeto jakby przemienił Bóg cudownie uczucia jój serca, rzewnie się rozplakała,

i to nie z niechęci, lecz raczej z tliwości, a wyciągając dwie kościste ręce, błogosławiła parze, życząc wszelkiej Boga łaski i opieki. Potem uściskawszy pannę Szadurską, ukloniła się panu Filaczyńskiemu, który ją zobowiązał i bardzo rozczulił, gdyż ją w rękę pocałował. — Od tego czasu najściślejsza przyjaźń łączyła ich z sobą. — Panna Tuchowska, matczyła niejako Szadurskiej, i była obecną, gdy on przychodził do pokoju swjej narzeczonej, lub gdy szli oboje razem do ogrodu zbierać truskawki. Bo chociaż przyszłe stadło ze względu obyczajów było enót wzorowych, a religija gruntowna strzegła ich od upadku, to jednak „diabeł nie śpi“ mówiła Tuchowska, a wreszcie dla samjej przyzwoitości chciała niezbędną rozciągać opiekę. — Termin ślubu na święty Michał już był naznaczony, — i już moja Babka nakazała w górach kupić płócien, a w Krakowie potrzebne do wyprawy uskutecznić sprawunki, wtém Ojciec Filaczyńskiego, leśniczy rządowy, umarł wskutek zapalnej choroby, więc téż z powodu żałoby ślub się przeciągnął aż do przyszłej wiosny. Tém czasem przyszłe stadło czekając cierpliwie, podwajało ochoty, poświęceń i pracy w służbie u mojej babki, i nie dziw, bo téż ta pobożna pani, matką sług swoich była, i nie uważała ich za niewolników w jarzmo swoje wprzężonych, ale za uboższych przyjaciół, wnoszących pracę zamiast

kapitału do majątkowej wspólki, w której pomysłność od tego zależy, aby ją każdy podpierał ramieniem, a wiedział, iż gdy się w niej dopuszcza grabieży, łupieztwa i oszustwa, to okradając pana, własne osusza źródła, i nakarmiwszy się ukradzionym chlebem, za jeden dzień sytości, cały wiek mrze głodem. —

XXI.

Zakonnice Bernardynki i pani kapitanowa Usielska.

Xiędz Adryan w miarę bliższego poznania méj babki co raz wyżej ją cenił, a nieraz Xiędzu Żabińskiemu zwierzał się podziwu, w jaki go cnoty pani Starości-ny wprawiały. — „Dużo słyszałem o téj pani, mówił on, ale w połowie temu wierzyłem, bo świat zawsze przesadza, czy to w pochvale czy w naganie. Zaledwie kto zabłyśnie cnotą pobożności, uczęszcza do kościoła i da grosz jałmużny, lub téż o rzeczach Bożych żarliwiej rozmawia, zaraz jest *świętym* lub *świętą*, chociaż w domowém życiu wiele, oh, bardzo wiele byłoby do poprawy. — Nieraz kiedy kto Xiędza w rękę pocałuje, już sławią go z pokory i z prawowierności, tém czasem się nam to wtedy pycha ludzka łasi, pragnąc abyśmy ją nawzajem uczcili. — Ileżto razy widzimy ludzi surowych w sądach o drugich, cierpiących nad zgorszeniem, grzech potępiających, i

którzy z dala mijając grzesznika, kamień na niego rzuca lub pluną z pogardą: — kto by myślał, iż ludzie ci wolni są od grzechu? Oh Boże mój!... najczęściej piekło noszą w duszy i błyszcżą tylko na tym biednym świecie zmysłonemi cnoty. — Ileż to znowu razy widzimy grzeszników upadłych pod żądzą jednej namiętności, z której się może dotąd podnieść niezdolali a którzy zresztą wszystkie posiadają cnoty i Bóg tylko czeka na jeden akt woli, aby z tych kamieni stworzył syny Abrahamowe. — Dla mnie, rzecz Xdz Adryan, miarą wartości duchowej człowieka jest miłość płynąca z wiary i na wierze oparta. — Miłość pobłażająca osobom i pragnąca podnieść nawet upadłych, choćby z narażeniem swojej własnej sławy i w świecie wziętości. — Miłość z wiary płynąca, jest ognio-trwałą i przejdzie bezpiecznie przez czysca upały aby z niego bliźnich swych dusze wyratować. — Miłość z wiary płynąca jest jednostajną i płynie jak rzeka, i nie szumi płoną obietnicą, ani głośnie do ofiar stręczy się gotowością, ale się cicho poświęca i spełnia dzieło ofiary. — Miłość z wiary płynąca, chociaż się stowarzysza ku dźwignieniu nędzy, to wtenczas tylko cudzej przyzywa pomocy, gdy sama unieść ciężaru nie może, ale do złotój swój skarby nie żebrze jałmużny, aby cudzą ofiarą podnieść się w świecie z cnoty miłosierdzia. — Z takiéjto strony chrześciańskiej doskonałości znał moją babkę X. Adryan,

i szlusznie mógł twierdzić, iż Bóg szczególni łaskami tę duszę obdarzył, i często ją za środek swój dla ubogich opatrności używał. — Jakoż gdy raz Xiądz Adryan mówił przy mojej babce o dwóch zakonnicach w klasztorze ś. Józefa o siostrze Dydyńskiej i pannie T... jakoby im z powodu wieku i piersiowej słabości doktor na wieś wyjechać kazał, Babka upomniała się natychmiast o szczęście posiadania ich w domu swoim, i uprosiwszy Xiędza Adryana aby jej tę łaskę u matki przełożonej wyjednał, sprowadziła obie te zakonnice do Proszówek i otoczyła najtroskliwszą opieką. — Że się zaś zdrowie ich niepolepszało, a podeszły wiek je przyciskał, przeto lat kilka u siebie je zatrzymała. —

Pan Szambelan nie wiedząc, że już Babka moja posiada w domu trzy rezydentki, obawiał się iżby samotnienie niebyło jej przykrém, dla tego umyślił przedstawić jej na damę do towarzystwa, wdowę po zasłużonym kapitanie Usielskim konfederacie, osobę doletnią, powszechnie z cnót znaną a z rodziny Grotów spokrewnionych ze świątobliwym niegdyś biskupem krakowskim, dalszém także powinowactwem z Wielogłowskiemi złączonych. — Babka moja z pociechą przyjęła radę p. Szambelana Badeniego, i napisawszy list najuprzejmiejszy do pani Usielskiej, prosiła ją aby w Proszówkach osiadła, i podzielała z nią samotność oraz wygodę życia, jakie skromny majątek mój Babki

mógł jej zaręczać. — Pani kapitanowa Usielska przyjęła chętnie tę ofiarę i wkrótce się też na stałą do Proszówek rezydentką przeniosła. — W niej jednak Bóg wynagrodził mój Babce tę niewyczerpaną gościnność, któraby jej ostatni kęs chleba podzielić z bliźnim doradziła, bo pani Usielska ze wszech miar szanowna i uprzejma pani, osładzała przez łagodność charakteru niemile obejście się a twardy i surowy układ jaki raził każdego w pannie podsędkownie. — Te dwie rezydentki przeznaczone będąc aby żyć pod jednym dachem, zupełnie do siebie niebyły podobne a więc też zgadzać się z sobą nie mogły. — Pani Usielska jako osoba dobrego wychowania, a razem cierpliwa i dobra, miała dla panny Tekli pewne pobłażanie, tém bardziej, iż nazwisko mój babki nosiła; Nieraz jednak, łzami się zalewała, tyle napaść panny Tekli stawała się jej nieznośną. — Panna Tekla zaś oparta na bliższych stosunkach pokrewieństwa, wstępnym bojem na nią uderzała, i dziwnie zazdrosną była swojej rywalki. —

— „Jakież tu pani kapitanowa masz znaczenie w tym domu? co za urząd piastujesz, pytała panna Tekla. Ja to co innego, bo jestem kuzynka, a przytem, pani Starościna ma zamiar wydać mnie za mąż a brata mego zaręczyła że się losem moim zajmie. — Ale pani kapitanowa, która jesteś już w wieku, to powin-

naś w jakim większym mieście osiądziesz na dewocyi n. p. w Sączu lub w Bochni. —

— Niech się panna podsędkowna nie mnie o moje znaczenie tutaj pyta, ale pani Starościны, która raczyła dom mi swój ofiarować, i wcale mi nie daje dotąd uczuć abym jej była ciężarem. —

— Bo też moja kuzynka, odpowie panna Tekla, jest dobra aż powiem do słabości, gdyż ledwie usłyszy o jakiej biednej, toby ją zaraz chciała w dom wprowadzić. — Alboż tutaj potrzebne owe zakonnice, dla których umyślnie sporządzono na górze pokoiki? Nie nie robią staruszki, tylko po całych dniach i nocach po łacinie śpiewają, albo się modlą i kaszlą. Albo i ta Szadurska, co się tylko kocha i wzdycha?... Czyliżbynto niewolała mieć jaką pannę, coby się zajmowała szyciem i praniem a nie kochaniem. — Lub też i ten X. Adryan, co mu tydzień do śmierci, cóż z niego za pożytek? Gdybym ja zarządzała, tobym to wszystko najprzód rozpędziła. —

— Niech się panna podsędkowna w te rzędy niewdaje rzeczy pani Usielska, bo nam nie wypada sprzeciwiać się zamiarom dobroczynnym pani Starościны, za które Bogu należy dziękować. Obie tu używając miłej gościnności, winnyśmy znać onej warunki, i nie mieszać się w sprawy które do nas nie należą. —

— Do pani nienależą, bo jesteś obcą, ale ja jestem kuzyną i mam prawo powiedzieć co złego widzę. —

A kto też to słyszał, aby tyle gości bywało w domu? Czy to Proszówki na to wystarczą? — Nie mówię żeby jeszcze krewny albo przyjemny gość jaki zajechał, to już jest i dla kogo wystąpić, i to się oplaci, ale codzień Xdz proboszcz Żabiński, codzień Dr. Kanka, to dom nasz wygląda jakby szpital!...

— Cicho już cicho, bo słuchać nie chcę téj mowy która świadczy o grubej niewdzięczności. —

— Jaka mi skrupulatna pani kapitanowa, odrzeknie panna Tekla, chce sobie przez pochlebstwa łaski Jejmości zaskarbić!

Matka moja wiedziała o zajściach panny Tekli z panią Usielską, ale niechcąc zasmucać méj babki, dla której każda niezgoda w domu była bardzo bolesną, starała się sama załatwić sprawę, gromiąc pannę Podsędkownę i upokarzając ją w dumie niczém nieusprawiedliwionęj. — Lecz panna Tekla była niepoprawną, a dnia niebyło, iżby nie była powodem nowego w domu zakłócenia. — Nie znalazła więc moja matka innego sposobu, jak puścić na nią Tuchowską, upoważniając ją, aby w każdym danym razie, rogów jej przytarła. — Tuchowska zrozumiała tę konieczność, polubiła swoją rolę, i wzięwszy na kiel, tém doskonałej się z danego jej polecenia wywiązywała, iż miała za sobą rozkaz méj matki, i zyskiwała poklaski wszystkich domowników bardzo przeciwko pannie Tekli zniechęconych. —

Raz, gdy gość jakiś przed dom zajechał, panna Tekla pyta się Tuchowskiej „kogo znowu pan Bóg przyniósł na obiad?“

— Śliczny jakiś mężczyzna przyjechał, ale go nie znam, musi być z pod Tarnowa, kto wie czy nie zajeżdża o pannę Podsędkownę?...

— Może to być, odrzeknie panna Tekla, sznurując w ustach grube dość wargi, bo mi mój brat mówił, że mi się tu zapewne jaki kawaler trafi — ale ja wątpię aby w tym partykularzu co się znalazło. —

— O zapewne, odpowie Tuchowska, może się kto trafi, ale musi być śelpym a bardzo bogatym.

— Cóż to za mowa do mnie? Czy wiesz kto ja jestem? Ja jestem Podsędkowna — kuzyna twojej pani, i jeżeli tu siedzę, to jęj robię łaskę — bo ona sama się o to mego brata prosiła, a ja niechciałam, bo ja się obejdem, mając schedę w Owieczce i będąc dziedziczką — panią mojej wioski. — A ty jesteś klucznicą w służbie, w obowiązkach, twoje prawo krów pilnować i nam służyć — rozumiesz teraz? — słyszałaś?...

— Słyszałam, — i wiem że gdyby tę Owieczkę na schedy podzielił, toby się z nięj pannie dziedzicce dostało kopytko. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, rzeknie Tuchowska. — Na próżno się panna tak sady i nadyma, bo cały dom wie, iż panna uboga, ale o to byłoby mniejsza, lecz panna zła więc nikt

panny nie lubi. — Dla czegoż tu wszyscy w takiem poważaniu mają panią Usielską? bo jest godna pani, szanowna, jest kapitanową i żoną zasłużonego męża, a dla każdego grzeczna, nikomu nie zawadzi, nikogo nie obrazi, widać że się przecież między ludźmi chowała. — A panna Podsędkowna, to tylko nibyto coś z nazwiska, a więcej nie! —

— Widzisz ją, śmiałkę! odpowie pomieszana p. Tekla, a mała to jest rzecz nazwisko? znasz się ty na tém? i czy wiesz iż „co pan Kozłowski, to nie pan Baranowski?“

— Oh wiem doskonale, odpowie Tuchowska, bo i ja jestem szlachcianką, że zaś zubożała służyć dzisiaj muszę, to mniej mię krzywdzi, jak pannę, która jesteś ciężarem w domu i cały dzień próżnując, pychą się nadymasz, i drugim stajesz się nieznośną.

— Kiedy tak,... to zaraz idę do mojej kuzyny pani Starościny, i kładę jęj warunek, iżby, albo ciebie dziś jeszcze odpędziła, lub ja dziś odjadę — zobaczysz?...

— Nie boję się wcale, bo prędzej będzie drugie jak pierwsze. — I ja też dwór cały zwołuję i idziemy zaraz do pani Starościny, oświadczając, iż z panną Podsędkowną nie możemy wytrzymać, a więc prosimy, aby, albo nas wszystkich pani Starościna oddaliła, albo pannę Podsędkownę odesłała nazad do Owieczki na żentycę. —

— Wierzę, chcielibyście tego — otóż na złość nie pójde do mojej kuzyny i nie pojedę, tylko tu zostanie, aby was pilnować, doglądać i wam rozkazywać! (rzeknie panna Tekla). —

— Dobrze panna zrobi (powie Tuchowska) bo się doczeka aż Doktor Kanka owdowieje i pójdzie wtenczas za niego. — Oh! będziemy też to hulać na weselu!! bywaj panna zdrowa. —

Łatwo sobie wystawić, jakie uczucia miotają panną Teklą i co się jej działo po takiej rozmowie, w której pycha jej srogo była obrażoną.... Zagęśla krew panińska, wypełniła żółtą tkaninę płci niepowabnej, a trzęsące się ręce, tykając wszystkich przedmiotów, dzwoniły to nożyczkami, to znów rozlewały wodę ze szklanki w której zawiędły chodował się bukiet. — Chciała dla roztargnienia myśli wziąć jaką robotę i dziergać kołnierzyk, ale niemożna, bo ręce biegały nieswornie i spazm nerwowy je kureczył. — Wreszcie łzy z ocz pociekły!... Oh łzy, to są jak upust, którym zbytek uczucia i żalu odpływa, lecz jak wody upustu nie zawsze są czyste, tak i łza, kiedy płynie ze źródła miłości to spada z oka kryształem, a kiedy płynie z kałuży zawiści, to żółcią zmacona, pławi brud ducha i pali policzki. — Płacz jest jednym z nader ciekawych objawów naszego organizmu, i jak rozmaite są jego powody, tak też wyciska on różne piętna na twarzach. — Można-

by powiedzieć, iż w płaczu podobnym, zbliżyć się może człowiek do anioła albo do szatana; — uduchowieć się, upięknąć i zachwyty w drugich obudzić, lub też w tak brzydką zamienić się poczwarę, iż nawet pięknej twarzy nikt rysów nie pozna. — Weźmy *n. p.* postać urodnej i czystej dziewicy, kiedy w kościele przed *Maryi* obrazem modli się gorąco, i oczy łez pełne, zwraca ku Matce wszelkiego miłosierdzia. Twarz jej natchniona, zamiast się krzywić i ściągać namiętnie, duchowi się i opromienia, tak, że aniołki z górnych obłoków spieszą, aby każdą uronioną łezką skrzętnie wyzbierać i Niebo niemi jak perełkami ustroić. Weźmy też młodą matkę, która nad kolebką swego dziecięcia pochyla się, nad słuchując każdego tchnienia, a rozczulona poleca owoc miłości i szczęścia w małżeństwie, opiece Bożej. — I ona płacze, ale owe łzy tak piękne uczucie z ocz jej wyciska, że są jak krople rosy, które spadają na kwiatka zawiązek. — Dziwny się w ten czas robi układ twarzy, bo czoło rozjaśnione, i uśmiech na ustach, twarz obłana radością, a tylko oczy świecą blaskiem łez kryształowych.

Zobaczmy także sędziwego Ojca, który jedynaka spieszącego na boje żegna i błogosławi. — Wszak i on płacze, a w duszy jego odbywa się walka miłości oraz uczuć zachowawczych, z szlachetnym poświęceniem. — On Ojciec ziemski, do Ojca na niebie łzawy wzrok obrócił, i przez te łzy jakby przez światła so-

czewki, ściąga i pije promienie łask Bożych. — Twarz jego jakby skała, wąż jak drzewa boru, wśród których potok płynie, lecz ich nie uszkadza. —

Weźmy znowu kochanków, których rozłączenie ma już być niepowrotne. Stanęli przed sobą a nie mówić nie mogą, bo im słowo w przepelnionej boleścią piersi uwięzło. — Patrzą na siebie jakoby dwie gwiazdy, które zawsze blisko ale nigdy razem obieg życia spełniać mają. — Patrzą na siebie lecz patrzą przez łez osłone tak jak gwiazdy przez dzielący je obłoczek. W tém spojrzeniu i wtój łzie, całe dzieje ich miłości, całe dzieje ich boleści, a tylko jedna jest ciemna strona, to jest strona ich nadziei!

Lecz się znowu przypatrzmy łzom które budzi namiętność: Weźmy n. p. szpetną niewiastę miotaną pychą lub zazdrością, która swych mściwych zamiarów skutecznie niemożła. Płacze i ona, ale płacze ze złości. — Łza jęj żółci się w oku na tle nabrzęklęgo bilma, krwią powieki naszłe, odkryły wierzchnią tęczę, w chwili, kiedy pod ciężarem mętnych łez powodzi, spodnia powieka opada. — Kilka zmarszczków głębokich brwi przy nosie łączą, przy nosie, który się nadyma przedłuża i puchnie, a usta rozszerzone spadają w kącikach, jak dwie suche gałęzie u płaczącej wierzby. Głos jęj piersi chrapliwy jak w czasie konania, ruchy jęj ciała, jak zwijanie się zdrażnionę węża, a ręce konwulsyjnie ściśnione w dwóch dłoniach, trupia si-

ność pokrywa: z warg zaś odwróconę, grubęch i wilgotnęch, spieniona się toczy ślina, i spływa obficie po skurczonęj brodzie. —

— Otóż to są mnięj więcęj znamiona po których poznajemy, azaliż łzy z czystęgo lub mętnęgo uczuć źródła płyną — w pierwszým razie powiększają one urok, a w drugim ochyde. — Pośrodku tych ostatecznęch kończyn, są jeszcze odcienia, któreby się ująć dały, ale je sobie czytelnik łatwo dopełni. —

Zapłakana panna Tekla, ma iść do pokoju, bo ją wołają, a wreszcie ciekawa tego młodego gościa który miał zajechać. — Patrzy więc w zwierciadło: ale przyjaciel, który ją zwykłe oszukiwał i zawsze jęj wdzięki chwalił, tą razą prawdę mówi, prawdę zbyt surową! — „Oczy masz czerwone.“ Prawda odpowie panna Tekla iż trochę czerwone. — „Masz nos napuchnięty, rzeknie zwierciadło.“ — To fałsz, odpowie panna Tekla, bo to są nabrzękłości ze zbytńięgo rozczulenia. —

— „Usta masz sine, a buraczkowe policzki.“ — Kłamca jesteś, odpowie panna Tekla, usta są barwy koralowęj, a twarz różowa. — „Włosy ci wiszą na chudęj szyi, jak włosiany ogon na chełmie.“ Prawda iż się rozkręciły, rzecze panna Tekla, ale je zaraz poprawię. „Plec zbyt masz śniadą rzecze zwierciadło.“ — bajka, bo mam gors biały jak łabędzia szyja, odpowie panna Tekla. — „Twarz twoja jest skwaszona,

oczy pryskają ogniem nienawiści., To nie, oczy wychucham chustką batystową, a wodą różaną twarz sobie obmyję. „Kiedy niechcesz mnie słuchać odpowie zwierciadło, to prawdy ci niepowiem, a chcąc cię w błąd wprowadzić powiem, ci żeś ładna, żeś jest jak biała gołębicą, na żer dla jastrzębia!“

Oh prawda! odpowie z westchnieniem panna Tekla.

„Jesteś jak kapłanka strzegąca świętego ognia, któryby ludzie zagasić chcieli.“ Oh prawda odrzeknie panna Tekla, ale niechaj gaszą! — „Jesteś jak sarneczka za którą samczyk skacze przez krzewiny, a ona się w gęstwi kryje, tak i ty tutaj siedzisz, a tam rzeka pan młody!“ Oh prawda, prawda odpowie panna Tekla, więc idę! — spieszę! biegnę!... Bywaj zdrów przyjacielu! — Do zobaczenia!! I poszła panna Tekla do pokoju oglądać przybyłego w dom mężczyznę. —

XXII.

Rozmowa z niemową.

Miłość chrześcijańska jest pojętną i przewidującą: a nie tylko dźwiga nędzę która się jęj skarży, ale ją odszuka, wyrozumie i pierwsza się ku niej skłoni. Takim uczuciem wyższej miłości obdarzył Bóg Babkę moją, a ten dar rozwijał się w jęj sercu przez modlitwę i medytacyę. Było parę dni w tygodniu, w których dla wszystkich ubogich z Proszówek i okolic przeznaczoną była jałmużna, a rozdawał ją Rzepecki z Tuchowską. — Ubodzy rzędem ustawieni odbierali przeznaczony im zasilek, wedle wieku, względnych ich potrzeb i stopni kalectwa. — W każdy zaś piątek, jako w dzień przypominający mękę Chrystusową, większe dawano jałmużny, i więcej też schodziło się ubogich. — Pewnego piątku przysła dziewczyna w łachmanach, licząca może lat piętnaście, a niestanąwszy z innemi w szeregu, oparła się o drzewo, po wysłuchanej mszy świętej, tak, jakby na kogo oczekiwała.

Przychodzi do niej Rzepecki pytając, dla czego nie ustawia się w szereg i nie bierze jałmużny? Dziewczyna pokazuje na migi, iż jej nie o pieniądze chodzi. — Nadchodzi Tuchowska i ciągnąc ją za rękaw do szeregu stawia po odebraniu części dla niej przeznaczonej: ale dziewczyna nie ulega tej mustrze i na bok się usuwa. — Moja Babka patrząc oknem na tę scenę, zrozumiała, iż uboga inne ma żądanie, wysłała więc przed ganek i kazała ją przywołać. — Biegnie dziewczyna a upadłszy do nóg mej babki, pokazuje iż właśnie sobie życzyła aby się z nią samą rozmówić. — Poniosła rękę ku ustom, wskazując że jest niemową, ale razem wyciągnęła atletycznie obie ręce na przód i poruszała nimi, jakoby na znak, iż ma ręce silne do pracy i że ziemię kopać może, ze studni wodę ciągnąć i sierpem trawę zbierać. — Po takim wstępie w koło się obraca, wskazując na świat cały, a w górę ręce wzniosłszy patrzy w obłoki, i znów na ziemię się kładzie, i udaje że zasypia. — W końcu, wskazuje palcem oficynę a głowę do snu ułożoną na ręce opiera, wskazując iż potrzebuje przytulku.

Moja Babka zrozumiała prawie każdy znak dany przez niemowę i przywoławszy Tuchowskiej odezwała się do niej łagodnie:

— Moja Tuchosiu, Bóg nam powierza tę biedną kalekę, która o ile zrozumiałam, skarży się, iż niema przytulku a chciałaby pracować. Miejże o niej stara-

nie, — daję ci ją do twoich usług i spodziewam się, iż będziesz dla niej łagodną i wyrozumiałą na jej kalectwo. —

— Co też to JWej pani po takim próżniaku, ani to mówi, ani ma siły do pracy. — Próżny wydatek na okrycie i wyżywienie, — bo kiedy mamy wzięść, to już coś porządnego!

— Gdyby ona też nie była kaleką i słabą, (rzecze moja babka) toby ją przyjął każdy do pracy i niebyłaby żebraczką. — Poszłaby za męża, albo w służbę do miasta; ale właśnie iż jej nikt niechce, więc my ją przyjąć powinniśmy, bo pan Bóg dla tego tylko daje większy udział majątku, aby włożyć na obdarzonego większe obowiązki miłosierdzia i współuczucia dla nędzy. — A więc moja Tuchosiu wystaw sobie, iż pan Bóg twojej opiece oddaje tę biedną dziewczynę.

— Kiedy JWa pani każe, to dobrze, niech tam próżniak siedzi w kuchni, znajdzie się i dla niej jaka robotą!

Biedna niemowa spoglądała w czasie tej rozmowy, to na babkę swoją to na pannę Tuchowską, a nie słysząc, chciałaby była odgadnąć jak jej sprawa stoi? — Miarkowała jednak, że zachodzą trudności, bo miłosiernie patrzyła się na swoją babkę i błagała wzrokiem, aby się nie dała odwieść od przychylnych dla niej zamiarów. — W końcu zbliżyła się do panny Tuchowskiej i do nóg się jej skłoniła. —

Panna Tuchowska ujęta i rozbrojona tym hołdem, uśmiechnęła się i wskazała jęj kuchnię. — Niemowa rozsmiała się dzikim śmiechem radości, i rzuciwszy się do nóg męj babki, łzami się zalała, a klęząc wznosiła obie ręce ku niebu, na znak dziękczyńię Bogu za tę nad nią opiekę. — Spojrzawszy w końcu na babkę, założyła palec na palec na znak ślubu i przysięgi, któręj w istocie dotrzymała, bo aż do śmierci była u męj babki a najwiernięj i pracowicie służbę wypełniała. — Tuchowska bardzo ją później polubiła i umiała się z nią rozmawiać, w trudniejszych zaś razach szła niemowa do mojęj babki i tam się tłumaczyła. I tak gdy raz w niedzielę, podczas nabożeństwa, wszyscy prawie do Krzyżanowic na sumnę poszli, niemowa sama została. W tēm cygany zakradli się do obory i już otworzywszy, mieli z nięj jaką sztukę bydlę wyprowadzić, kiedy niemowa, chytkiem się około parchanu przesunęła i drzwi z zewnątrz na skōbel zamknąwszy, złodziei w oborze tak długo trzymała, dopóki niewrócili ludzie z Krzyżanowic i nie ujęli zamkniętych cyganów. — Całą tę scenę migami tłumaczy męj babce, która znowu Filaczyńskiego o sprawie objaśniała. — Kiedy pierwszy raz sprawiono niemowie porządniejszą odzież z drelichu w pasy czerwone, i kiedy te suknie wdziała, to biedna dziewczyna takim zapalem radośnym była uniesioną, iż ryczała tak głośno, że myslano na dworze, iż biedną niemowę

jaki straszny spotkał wypadek, lub że srogą odbiera karę. — Temczasem wybiegła ona na podworzec w koło się obracając, za nią Tuchowska i czeladź kuchenna, a taki był gwar i taka uciecha, śmiech podziw i szczęście, jak kiedy w ostatni wtorek, do czeladnęj izby przebrany za dziada przychodzi parobek i dziewczki płoszy, a fernalów drażni. —

Jeżeli nasza niemowa kochała moją babkę jakby opatrną matkę i za każdęm jęj spotkaniem ryknęła głosem rozczulenia i zadrzała w całym ciele z radości że ją widzi, to znowu Xdza Adryana szanowała jako świętego i gdy go spotkała, biła się w piersi, a skoro ją mijał to dotykała się jego szaty, robiąc ręką znak krzyża świętego. — Czasem jednak w służbie była uporną i od zaczętej roboty oderwać się nie dała, a w tenczas dość jęj było wskazać okno pokoju w którym Xdz Adryan mieszkał, aby ją zaraz do posłuszeństwa skłonic — przepraszała ona zaraz, błagając, aby jęj nieoskarżać. Jakoż w razie powtarzającego się częścicęj uporu, gdy jęj tylko Xdz Adryan pogroził, utulic się w żalu nie mogła i często sama naznaczała sobie pokutę, czołgając się na klęczkach od kuchni aż pod okna sędziwego kapłana. Nie za długo niemowa pozyskała sobie przyjaźń wszystkich służących; a nawet Rzepecki, który zbyt tkliwym nie był, ułamki ciast dla nięj chował, mówiąc „niech tam i to nieme stworzenie pokosztuje dobrych rzeczy, bo

też to nieużyło żadnej radości na tym świecie.“ Niemowa zaś nigdy sama tych przysmaczków nie jadła, ale po kawałku między folwarczną służbę rozdzielała, ciesząc się nadzwyczajnie gdy jej dziewczki skinieniem głowy przyświadczyły że im smakuje. —

Gdy siostry zakonne już w Proszówkach na stałe prawie osiadły mieszkanie, niemowa wyłącznie do usług ich przeznaczona, wyuczyła się różnych robót: wyszywała szkaplerze, piórka do zębów opłatała jedwabiem i szychem, robiła z nimi relikwiarzyki, a Bóg wynagradzając jej ciężkie kalectwo, uzdolnił ją tak do robót ręcznych, iż potem byłaby mogła sama już sobie na chleb zapracować. Lecz czyli to człowiek żyje samym chlebem, i czyli dobrobyt wszystko zaspokoić zdoła? . . . Nie zaiste, bo jeżeli komu, to właśnie kalece i ubogiemu potrzeba téj jałmużny współczucia, i owéj miłości która go łączy ze światem, gdzie się już czuje odosobioną sierotą. — Nigdy groszem z góry rzuconym ani hojniejszym nawet datkiem, nie ulży się tak skutecznie bliźnich nieszczęściu, jak kiedy się ich duchowo podźwignie i zamrożone rozpaczą nadzieje ociepli iskierką szlachetnego współczucia. — Niedosć więc głód czyj nasycić, ale i zapełnić pocięchą i udziałem w troskach ową wielką pustkę upadłego ducha, i dać poczuć ubogiemu, iż pomimo różnic względnego położenia, jest ogniwo które nieszczęśliwego z całym światem łączy, a tym ogniwem jest miłość, płynąca ze współ-

nych przeznaczeń, i z wymiany zasług, do których zaskarżenia, Bóg zarówno szczęśliwym jak i upośledzonym docześnie nastrecza sposobność, — Pytają nieraz ludzie, czyli bogaty za dar swój jałmużny kupuje sobie wdzięczność ubogiego? . . . i wnet odpowiadają tyciłem przykładów, iż sobie kupił niewdzięcznika! Ztąd też powszechny wniosek, iż nie warto być dobroczynnym. — Zapewne, że jeśli bogaty chce sobie za datek w jałmużnie kupić ubogiego razem z jego duchem i uległością, to źle swój kapitał mieści; jeżeli zaś daje ubogiemu, aby sobie zniewolić Boga, to dar swój na korzystną umieszcza lichwę. — W tém oznaczeniu leży cała różnica pogańskiej a chrześcijańskiej jałmużny; filantropii światowéj, a miłości płynącej z wiary; tak dalece, że lichwa którą Bóg w łaskach i błogosławieństwie za jałmużnę odpłaca, idzie w stosunku odwrotnym do wdzięczności ludzkiej, a zasługa pomnaża się w miarę bezwarunkowéj człowieka ofiary. — Często jednak wynagradza Bóg miłosierdzie dla ludzi, przez ludzi, w taki sposób, iż ten który w szafarstwie powierzonym mu na mniejsze rozmiary odpowiedział celom opatrności, odbiera ze składu darów doczesnych pomnożone zapasy, a to co dał jedną ręką ubogiemu, wraca mu ziemia w obfitych owocach, lub bogatsi ludzie w pomocy i hojnym wynagrodzeniu.

Niezaprzeczone tych prawd dowody widziałem w życiu méj Babki, a pozostanie i dla mnie i dla wielu, którzy ją znali niezbadaną tajemnicą, jak szczupły majątek pozwalał jój czynić tyle ofiar i spełniać tyle dzieł miłosierdzia. — Rządca Proszówek Kaliciński, acz był dobrym rolnikiem a wiernym i poczciwym sługą, nieposiadał wszakże żadnych zdolności przemysłowych. Siał po staremu, zbierał co Bóg przymnożył, i na tém się zabiegi jego kończyły. — To jednak pewne, iż rejestra Proszówek wykrywały czystej intraty 24,000 Złotych polskich, a dzierżawca p. Maszewski płacił czynszu rocznego za życia mej babki 20,000, kiedy zaraz po jój śmierci, zaledwie 8,000 Złp: z tej wioski płacono. — Otóż to zapewne gościnność dla chorych siost zakonnych, dla biednej niemowy, i dla panny Tekli, odpłacał Bóg mej babce pośrednio, przez nadzwyczajną ziemi płodność, i przez nadmiar niezwykłych korzyści, które ludzie nazywają *szczęściem, powodzeniem*, a co w duchu wiary nazywa się *prostu, błogosławieństwem* Bożem w przymnożeniu darów doczesnych. —

Gdyby, (jako bywało dawniej), domy zamożne i klasztory dawały przytułek ubóstwu i podzieliły się ciężarem nędz ludzkich, to mniejby potrzeba zakładów dobroczynnych, na które łożą koszta ci sami, którzy ten ciężar z barków zrzucili. — Dawniej sierota, niemowa, kaleka, żywili się okruszynami spadającymi ze

stołu zamożniejszych panów: przywiezywali się do domu i jakątą wywdzięczali się pracą albo modlitwą. — W nich każdy płacił Bogu należną dziesięcinę od darów opatrności a oprócz tego, miał opiekę nad prowadzeniem się moralném sieroty, strzegł jój obyczajów, wychowywał ją i wcielał w swoje domownictwo i niemal w rodzinę. — Dzisiaj nikt w domu nie jest rad sierocie i kalece: ona zawadza, psuje estetyczny dobór służby domowej. — Woli więc każdy spędzić ubóstwo w dom jeden, daleki od niego, daleki od jego oka i serca, i tam żywić, okrywać, ale ani kochać, ani znać, ani przy domowém ognisku utulić! — Woli każdy na chleb dla sierót tańcować, losować, robić widowiska, jak mieć je w domu i z nimi chwalić pana Boga. — I rzecz dziwna: że ubóstwo idzie w stosunkowo prostym do mnożących się zakładów dobroczynnych. — Rosną wprawdzie fundusze na utrzymanie ubogich, płyną składki szlachetne, wykupuje się hojnie społeczeństwo od konieczności patrzenia na nędzę, — a tu coraz więcej ubogich przybywa i w Anglii już podatek kilka krotnie zwiększony, wystarczać na wyżywienie ubóstwa niemoże. Dla czego? . . . oto bo miłość będąc obowiązkiem duchowym każdego pojedynczo i jego zasługą, płynie z wiecznych a nie z doczesnych urzędów, i oziębia się gdy ją kto w przymusowe i społeczne prawo zamienia. Bo miłosierdzie jest aktem wolnej woli, i o tyle tyl-

ko przymnaża zasługi, o ile jest dziełem wolnym od przymusu moralnego albo fizycznego. — Ja jeszcze pamiętam czasy, gdzie starych gracyalistów krztuszących się grona, stanowiły ozdobę i chlubę szlacheckich naszych domów. Oni to przechowywali tradycją, wprawiali młodszych do służby i rozciągali moralny dozór nad panów majątkiem, a często i nad obyczajami. — Dzisiaj jeszcze pocieszam się tym widokiem w bliskiej Krakowa majątności należącej do zamożnej a przykładowej z miłosierdzia rodziny, — P. . Po... Ale już w kraju po szlacheckich dworach nie widzę tych sierót, tych starców i kalek, które mi zawsze stoją przed oczami jako drogie kamienie szlacheckiej korony. — I aby się pocieszyć tą myślą z przeszłości, muszę sięgać pamięcią do Proszówek, do Szczucina w domu Chwaliboga i do dawniej szlachty, i w nich odszukiwać ślepe, niemowy i chrome, które się w tych domach chowały, żywiły i razem z dziedzictwem wsi, następnym pokoleniom były przekazywane. — Ten święty obyczaj gaśnie razem ze zwycięstwem zdań rewolucyjnych, które zburzyły i wiarę i miłość, a postawiły w ich miejsce społeczne braterstwo, i równość kłamliwą. — Dzisiaj więc ludzie są czy mają być braćmi (?)... to dobrze, jeśli prawda?... ale gdzie są tych braci ojcowie?... Oh, niema ich, a smutne-to braterstwo samych sierot i podrzutków!...

Kiedy przecież tak się ma już na ziemi powszechnie święcić, aby ubodzy stanowić mieli w społeczeństwie osobne pułki na żołdzie tegoż społeczeństwa, i kiedy ubostwo stało się kamieniem obrazy dla bogatych, to Bogu trzeba dziękować i za te koszary, które im ludzie budują, a które dla kalek stanowią dom przytułku wśród świata. Bogu trzeba dziękować i za tych, co się tém opiekują i trudnią, i za tych którzy koszt łożą, bo i do tego trzeba poświęcenia i szczerzej ofiary. —

Prawda iż dawniej łatwiej było szlachcie zajmować się w domu dziełami miłosierdzia, bo na wsiach szlachta siedziała, a najzamożniejsi zaledwie raz w życiu stolicę odwiedzali. — Dzisiaj każdy z małych posiadaczy, dzieląc się między Paryż, Angliją, Włochy a swoją wioskę, nie miałby czasu ani sposobności a może i zdolności, zajmować się szczegółami domu, i ta sierota albo ten kaleka zostawszy wszystkich sług pomiotłem, gorzkie i czasem nieznośne pędziłby życie. — Z drugiej strony, starych sług już niema, którzyby pana zastąpić umieli nie tylko w zarządzie ale i w miłości i dozorze moralnym. — Już tacy Kalicińscy, Boratyńscy, Tuchowska, Szadurska, należą do mitów i ich wspomnienia przesuwają się nam w pamięci jakby chińskie cienie. — Dzisiaj są najemnicy, których z panami nic innego nie wiąże, prócz rocznych zasług ogniwa. — Dzisiaj więc dzięki nowym socyalnym te-

oryom, jest kontrakt na piśmie, ale już niema owych serdecznych zobowiązań, które się zachaczały aż o dno sumienia i stawały się niemal wzajemnym ślubem wspólnej pracy, wspólnej przychylności i wspólnego dźwigania ciężarów, w chorobie, starości, przygodach i biedzie. —

XXIII.

List Rózia do panny Szadurskiej.

Jednostajność stosunków a wreszcie i cisza wiejska uspokoiły w Proszówkach burzliwe umysły niektórych domowników: panna Tekla wrabiała się pomału w obyczaj domowy, panna Tuchowska w zupełnej zgodzie z Szadurską mateczyła kochankom, oczekającym z niecierpliwością końca żałoby. Kaliciński podwajał pracy, Boratyński dozoru, Filaczyński obrotu i życzliwości. — Wszystko szło zgodnie i składnie, kiedy mały sam z siebie wypadek, rzucił ziarno niezgody, między kochanków i zawichrzył zgodę domownictwa.

Wiemy iż Rózia, służąca pani Stefanowej, pogniwawszy się z Szadurską, wyjechała z Proszówek bez pożegnania swojej rywalki — stosunki między nimi były zupełnie zerwane. — Tém czasem wróciwszy do Nieszkowa, poznała Rózia młodego ekonoma z Dziebuszyc, którego dziedzie p. Grodzicki, kawaler orla białego, od dwóch tygodni był przyjął. — Zjechawszy się z nim na sumie w kościele Słaboszowskim, zaraz

ku sobie wzajemny uczuli pociąg. — Już oboje kazania słuchali z mniejszą uwagą a mszy z wątpliwą pobożnością. — Po mszy świętej zatrzymawszy się na kościelnym Cmentarzu, parę słów do siebie przemówili, które były jakoby wstępem do bliższego zapoznania się wzajemnego. — Gdy bowiem mała odległość dzieli Nieszków od Dzieduszyce, przeto zapytał p. ekonom, czyli panna Rozalia niema zwyczaju wychodzić czasem na przechadzkę i w którą stronę?...

W niedzielę rzecze ze skromno—figlarnym wdziękiem panna Rozalija, chodzę do figury, na pół drogi do Dzieduszyce. —

— A czyby łaska była panny pozwolić, odrzeknie młody Adonis, abyśmy z sobą słów parę pomówili? —

— Ja niewiem, odpowie Różia — ja nieśmiem, a wreszcie cóż pan chcesz mówić? —

— Oto chcę pannie powiedzieć, iż pannę nad życie kocham, i że jako kawaler potrzebuję żony, bo mi nawet bieda bez niej, mając ordynaryę a żadnej w domu gospodyni. —

— Może panu trzeba bogatszej, rzecze Różia, bo ja niedawno służyć i nie sobie dotąd nieuzbrałam. Chociaż prawdę mówiąc, gdyby był mój ojciec nie stracił na dzierżawie, tobym nie potrzebowała być w obowiązkach, gdyż jestem familiantką; ale przez te różne nieszczęścia, taki los na mnie przypadł, że dzisiaj na to mi zeszło. — Jednak mój ojciec spo-

dziewa się jeszcze odebrać majątek, po stryju Xiędzu, po którym znowu drugi brat wszystko zabrał, bo była tam gospodyni co jemu a nie memu ojcu świadczyła. Otóż teraz będzie prawo o ten majątek...

— Toby mnie może panna Rozalija niechciała, rzecze młody Ekonom, skoro się spodziewa sukcesy? —

— Ej, nie do tego się mówi, odpowie Różia, bo majątek szczęścia nie robi; tylko o to, iż mężczyznom nie można wierzyć, choćby niewiedzieć jak się przysięgali, a każda panna powinna też swój honor utrzymać. —

— Oh co do mnie, rzecze Ekonom, to mogę zaręczyć, iż nie jestem tak jak inny, co by robił próżne bałamuctwa, jaby się mógł na to krwią swoją podpisać; u mnie słowo jak amen — Jeżeli więc pozyskam łaskę panny Rozalii, tobym też bardzo pięknie prosił, abyśmy się mogli rozmówić. — Czy dzisiaj wyjdzie panna Rozalija ku figurze?

— Możebym wyszła, ale się boję, bo zaraz ludzie rozgadają. —

— Kto ma rozgadać? odpowie drżący z miłości Adonis, kiedy w tę stronę nikt z dworu ani ze wsi nie chodzi. —

Zdaje się, iż ci młodzi państwo rozmówili się i zgodzili na warunki, bo wkrótce nastąpiły zaręczyny we dworze Nieszkowskim, a Różia upewniona o przyszłym

swojém postanowieniu, chciała znaleźć się szlachetnie względem panny Szadurskiej pisząc do niej list następujący. —

Szanowna panno Szadursko!

„Jakożmy się były z sobom pogniwały na prawdę, „tak że się nawet zaprzysięgłam niemówić jusz do „panny, a to z téj przyczyny o tego p. Filaczyńskiego „co i nie warto mówić o takim szczerze, bo jest chudy. — A ja pannie Szadurski znowu mówiłam o tym „pisarzu z Raławic, jako jest człek bardzo przywoity „i byłabym go sama wziena, ale że otusz teraz ja idę „za męża, a nie za tego pisarza tylko za Ekonoma „z Dzeduszyca, którego poznałam a zaraz on mnie tak „strasznie pokochał, że niech Bóg broni, i ja też jego „a i państwo moi pozwolili ale dopiero od roku. Więc „teraz, skoro mówiłam z pisarzem z Raławic o pannie „Szadurski, on mi się przyznał że panne tak kocha „że ani powiedzieć, prosząc bardzo abym ja to wszystko opisała do panny jako to jest prawda bez wątpienia. Ja też mówiłam mu z pewnością, że i panna „jego kocha żeśmy z sobą o tym w Proszówkach „mówili. — Tak on tyle się ucieszył, że jak tylko „pani Staroscina przyjedzie do Nieszkowa, on się zaraz zabierze koło tego interesu aby było wszystko „dobrze i jak najłepi. — Więc niemamy się już o co „z sobą gniwać, bo każda będzie mieć po mężu, a „żyć będziemy jak przyjaciółki. Proszę panny Szadur-

„ski zaraz odpisać, abym ja się wykazała całkiem panu „pisarzowi, a na weselu będziemy chulać przy pomocy „Boski, jako dozgonna przyjaciółka

Rozalija.

Posłaniec z Nieszkowa, który przyniósł list do mojej babki, miał sobie też powierzone i powyższe pismo ku oddaniu w wielkim sekrecie pannie Szadurskiej. — Jakoż dobrze się z tego polecenia wywiązał, ale panna Szadurska do intryg nie zdolna, ani tego listu nie podarła, ani go dobrze schowała, lecz w koszyczek otwarty razem z kłębkami nici i igielnikiem położyła, w zamiarach zapewne zniszczenia go później. W tém wyszła ubierać moją babkę, a wiatr ów szpieg nieznośny co wszystkimi szparami wciskać się nawykły, wpadł tém bezpiecniej do pokoju, że było otwarte okno, i dalejże przewracać po stoliku, dalej burmistrzować po wszystkich kątach, frankami szamotać, szukać po koszyczku! — Znalazłszy lekki papier, zabiera go z sobą i na bok unosi. — Pan Filaczyński widząc z swego okna, iż do pokoju kochanki wpadła zawierucha i robi spustoszenia, przybiegł na ratunek, a najprzód odebrał wiatrowi list, który on coraz dalej unosił. — Pokusa ciekawości go opanowała, a wreszcie narzeczonemu niemożna się dziwić iż był ciekawym; przeto otwiera list i czyta: ... ręce mu opadły — stanął w miejscu jak wryty, oczy w słup postawił. — Czyta jeszcze raz drugi... co do słowa

to samo. — Oh źle... pomyślił sobie... złapałem się... Ha, trzeba będzie rzecz zerwać, a lepiej wcześniej jak później!... Lecz jak tu zrobić?... czy list nazad położyć, czyli też zachować?... Jako mandataryusz świadomy przepisów, chce mieć dowód w ręku, ... tak jest, bo z czémże wystąpi przed Xiędzem Adryanem... Ale znowu nie pięknie listy czyje przejmować, czytać i zatrzymywać, ... niemożna, ... nieuchodzi rzecz sam do siebie... a więc środek jedyny, świadków przywołać... Biegnie więc zaraz po pannę Tuchowską i po Kalicińskiego, a przywoławszy ich do Xdza Adryana, rzecz całą w obec nich wyluszcza, list czyta, pokazuje, a razem oświadcza, iż postanowił zerwać wszelki z narzeczoną stosunek. — Po takim wstępie prosił tylko, aby mógł odnieść list na miejsce z kąd go wiatr wyrzucił, a zaraz do dalszej rozprawy powróci. — Lecz pan Filaczyński nie wiedział, gdzie list leżał, przeto rzucił go na stół przez okno i odszedł. — Panna Szadurska powraca do pokoju i widzi że wszystko w nieładzie, list leży na stole, kiedy pierwój był z niemi w koszyczku. — Domyśliła się więc iż jakiś zaszedł wypadek. To zaś wiemy wszyscy, że kobiety są domyslnie, i nietylko zgadywać umieją to co jest rzeczywiście, lecz i to, coby być mogło. — Otóż w jednej chwili, pojęła trudne swoje położenie, i utworzyła plan skutecznej obrony. —

Témczasem u Xdza Adryana toczyła się sprawa. — Panna Tuchowska za głowę się bierze, i zgorziona zaręcza, iżby się nigdy takiej nie dopuściła zdrady, ale dodaje z przygryzkiem: ... Sam sobie p. Filaczyński winien, bo taki wybór zrobił, chciało mu się młodziej, — ma teraz czego chciał!.. Kaliciński chwiejąc głową, nie pojmował jakby się takiej zdrady panna Szadurska dopuścić mogła? jednak sądząc na podstawie złożonego dokumentu, nie mógł jak ją potępiać. Filaczyński błądy na twarzy ale palający gniewem wewnątrz, niechce słyszyć o zgodzie, mówiąc:

— Jakto, to ja mam być szczurem? ja szczur?! niech się nie boi panna Szadurska abym wyjadał jej mąkę, zostawiam ten specyał szczęśliwшему panu pisarzowi, który więcej odemnie do szczura jest podobnym, bo w szpichlerzu siedzi. — Otóżto pleć niewieścia! mowił on. — Niewarto kochać ich szczerze, ale najlepiej być bałamutem. — Ja się jutro w Bochni ożenię skoro tylko zechcę. —

— Po co rzecz Tuchowska, miałby pan sędzia aż do Bochni jeździć, przecież i tu-by się kto znalazł na miejscu, coby pana mógł uszczęśliwić. Nie mówię za sobą, ale to pewne, iż jabym pewno nie wchodziła w takie korespondencyje. — Broń mnie Boże!... tego niema u mnie!!

Xiędz Adryan wysłuchał sprawy, namyslał się i kazał aby się uciszono a on tę rzecz rozsądzi, i jeśli

się przekona iż ze strony panny Szadurskiej zaszło bałamuctwo, surowo ją skarci, a nawet p. Filaczyńskiego jako uwolnionego od danych przyrzeczeń ogłosi; lecz jeśli nie znajdzie winy, to rzecz tę pogodzi. Cóż bowiem temu winna panna Szadurska, iż do niej jakaś Rozalia pisała, albo że w swym liście użyła uwłaczających panu Filaczyńskiemu wyrażen?.. Gdyby też do pana napisał kto list o panie Szadurskiej, toby się ona miała prawo gniewać na tego który pisał ale nie na pana. —

— To prawda — ale znowu gdyby ten list wykrywał, że ja kogo innego kocham, to panna Szadurska miałaby prawo mną pogardzić. —

— Zapewne odrzecz Xdz Adryan, gdyby to było panu dowiedzionem. Lecz w każdym razie proszę pana o cierpliwość do kilku przynajmniej godzin — a pannie Tuchowskiej zalecam, aby sprawy tej niezajętrzała. —

— Ah cóż mi tam do tego, rzecze panna Tuchowska, lecz to pewne iż mi żal p. Filaczyńskiego, iż tak zły wybór zrobił!

Wyszli świadkowie i obżałowany każdy w swoją stronę, a pan Filaczyński z głową pochyloną, i wolnym krokiem wracał do siebie, kiedy słyszy głos z boku, głos mu dobrze znajomy: „proszę pana na chwilkę, bo mam się rozmówić.“ — Była to oczywiście panna Szadurska, trzymająca list w ręku.

— Cóż tak pilnego? odpowie zimno Filaczyński — niemam teraz czasu.

— Ale kiedy ja pana proszę, rzeknie Szadurska, na dwa tylko słowa. —

Zwrócił się Filaczyński, nieprzyspieszając wcale kroku i stanawszy w pewnym oddaleniu od swjej narzeczonej, surowo na nią spojrział i pyta o powód zaczepki? —

— Chciałam panu zakomunikować niegodziwy list który odebrałam od panny służącej pani Stefanowej, na którą to pan w dzień zjazdu na Sty Stanisław tak mile spoglądał. — Od owjej Rozalii którą sobie pan zapewne z przyjemnością dotąd przypomina, a razem mam prosić pana abys mi koncept odpowiedzi raczył napisać, w takim duchu, iż żadnych jej swatów ani potrzebowałam ani potrzebuję; — że o żadnym pisarzu z Raclawic ani wiedziałam ani ją do oświadczeń żadnych nie upoważniałam. — Słowem niech pan tak odpisze, aby się nie ważyła na dal mięszać mnie w swoje intrygi, które mi zawsze były obce. Zakończ pan list w ten sposób, iżby się nigdy do mnie pisać nie ważyła, a to tém bardziej iż śmie uwłaczać człowiekowi, z którym mnie ma przyszyły związek na wieki połączyć. — Proszę pana abys przedko napisał, bo posłaniec ma odejść. —

Filaczyński oniemiał, i choć chce wargami dzwonić jakiś zarzut, to go skleić w słowa nie może. —

Z oskarżającego, stał się oskarżonym o przymilanie się do Rózi. — Podejrzenia jego topnieją pod szcerością wyznania panny Szadurskiej i kończy sprawę tak, jak my to zwykle kończymy mężczyźni, to jest: iż się srożymy wiele, odgrażamy więcej jeszcze, a potem?... potem... przepraszamy!

Panna Tuchowska nieobecna téj scenie myślała iż się znowu na jój kółko potoczyła woda. — Widać że w spalonym węglu jakaś się jeszcze zabłąkała iskierka, którą rozdmuchała nowa zawierucha. — Depcze więc po podwojeu, zachodzi do kuchni, — krząka, kaszle umyślnie, aby pana Filaczyńskiego obudzić uwagę. — Jakoż kto szuka znajdzie, choćby nawet guza. — Wychodzi Filaczyński, a ona do niego w takich odezwie się słowach:

— Wyjść mi z głowy niemoże obraza jakiej pan doznałeś ze strony panny Szadurskiej, aż mi się źle robi!... Bo żeby pana nazwać szczurem, który jesteś i przystojnym mężczyzną i słusznym człowiekiem, to na taką rzecz trzeba być prawdziwie... ani wypowiem. — Ja taka znowu jestem, iż wolę aby mi kto odebrał życie jak honor, i gdyby na mnie przyszło tobym się tak pomściła, że niech Bóg broni! Zawsze ja panu mówiłam iż co młode to głupie,... to nie dla pana była taka żona jak panna Szadurska. — Dla pana trzeba poważniejszej, bo pan jesteś urzędnikiem, sędzią, a nie żadnym pisarzem prowentowym —

potrzeba takiej, coby umiała być sędzią!... Nie chwając się, tobym ja tak umiała sądzić jak i mój mąż, a nawet wybiłbym chłopą potrafiła,... zwyczajnie jak na urząd przystoi!...

— Wstydź się panna Tuchowska odpowie Filaczyński: to grzech Mościa panno, podwodzić na przyjaciółkę; korzystać z danej niewinnie podoby, iżby siebie nadstawiać i komu narzucać. Cożbym ja z panną robił gdybym się z nią ożenił?... Jużes stara i kaleka, a brzydka w dodatku. — Oto bym się też ubrał?! Tobiebym nieszczęście przygotował, bobym cię nie kochał ale raczej znieawidził. — Byłabyś zazdrośną, podejrzliwą i nie bez powodu. — Życiebyś i sobie i mnie zatrula. — I cóż ci to po tém? Mogę być twoim przyjacielem, a wolałbym być synem twoim a nawet wnukiem jak mężem. — Życzę ci więc abyś już wybiła sobie z głowy te szalone zamiary wydania się za mąż. — Jesteś poczciwą sługą, czynną, przywiązaną i masz prawdziwe zalety, które słusznie w tobie nasza pani ocenia. — Nie ćmijże twoich dobrych przymiotów, śmieszna a nawet grzeszna zalotnością, poświęć już Bogu twoje panieństwo, bo przynajmniej z ofiary téj przybędzie ci zasługa, a bez téj ofiary, to i tak zostaniesz panną a diabeł cię do śmierci będzie ułudnemi nadziejami męczył. — Stara panna to jak hubka; która cała zetleje ale się nigdy płomieniem zapalić nie może. Dla tego życzę pannie Tuchowskiej

jako szczery przyjaciel, abys się z téj pokusy wyleczyć starała, a raczej Boga przyzwawszy na pomoc, zwyciężyła popędy ku zameżciu z którego nic być nie może. —

Panna Tuchowska, ocierając lzy chustką, nie mogła się oburzać na radę przyjacielską tklawie wypowiedzianą, ale cierpiała, jak drzewo w jesieni, z którego wichher ostatnie liście obdziera, zostawiając tylko suche i nagie gałęzie. — Wreszcie zdobywszy się na odwagę, rzekła. —

— Kiedy taka wola Boża, to niech i tak będzie. Pani Ignacowa córka mojej pani spodziewa się niezadługo potomstwa, więc będę się tém dziecięciem zajmować jakby mojem własnem, kochać go, i pieścić, gdyż obiecała pani Ignacowa oddać naszej pani na wychowanie to drugie dziecko, bo pierwsze w Zborowie umarło. — A więc będę miała przecież co kochać na świecie, i tak sobie dożyję dopóki mi Bóg przeznaczył. — Niech panu Bóg szczęści panie Filaczyński a zapomnijmy nawzajem co było między nami. —

Tym synem przybranym, ku któremu się miłość poczciwej Tuchowskiej zwróciła, ja to byłem, bo rodziłem się w Proszówkach, chowałem przy mojej babce, a przytoczone tu sceny mam z pierwszej ręki, lub mi je pamięć lat młodzieńczych przywodzi. —

Otoż dodam tu w końcu, iż ostatnia rozmowa panny Tuchowskiej z Filaczyńskim, była stanowczą i prawie odrazu przemieniła usposobienia duchowe poczciwej klucznicy. — Pokusa męcząca jej panieństwo, odbiegła od niej, a uwolniwszy serce, oczyściła szlachetny grunt jej wrodzonych przymiotów — Uwierzyła ona w wiek swój podeszły, w ubostwo wdzięków zewnętrznych i w niestósowność wejścia w małżeńskie śluby. — Miłość jej zwróciła się ku Bogu, czynność ku obowiązkom służby a razem ku dziełom miłosierdzia, w których spełnieniu stała się dla mojej babki dzielną pomocą. — Nadzieja jej doczesna obrała sobie (za lichy wprawdzie) ale tklawy przedmiot, wychowanie wnuka swój pani, a przeto od kolebki aż do lat dwunastu przywłaszczała sobie część prawa nademną, o którą się też później upominał i Xdz Żabiński proboszcz z Krzyżanowie, i Xdz Adryan a nawet Rzepecki marszałek domu, bo ten ostatni lubiąc dzieci, nie dał się nikomu w troskliwości o wnuka swój pani wyprzedzić. —

XXIV.

Rozprawy Teologiczne z panem Chwalibogiem.

Codziennym gościem a niemal domownikiem w Proszówkach był X. Proboszcz Żabiński, — częstym, poczciwy Doktor Kanka, a co parę tygodni odwiedzali też moją babkę p. Tomasz i Józef Wielogłowscy. Jako zaś blizy przez Sędzimirów krewni pp. Chwalibogi, jeden ze Szczucina a drugi z Opatowca, bywali u swojej ciotki w miarę sposobności. — Że zaś, za dobrych czasów, gdzie rodzinne stosunki bliżej z sobą ludzi wiązały taki był obyczaj, iż obsławano się niemal wieścią, aby na umówiony dzień zjechać wspólnie w dom patryarchalny, przeto zwykle pod wyrazem *goście*, rozumiała się liczba najmniej dwudziestu osób, a często pięciudziesiąt; w dnie zaś imienin i świąt uroczystych ich liczba do stu osób wzrastała. Około ś. Jana przed zjazdem szlachty do Krakowa na kontrakty, tłumnie przybywali do Proszówek goście: jedni z umysłu a drudzy w przejeździe do dawniej stolicy. — I tak: przy-

jechał p. Jan Chwalibóg z za Wisły i p. Antoni brat jego ze Szczucina, który miał ze sobą Lipowską córkę Generała. — Pan Antoni rodzony siostrzeniec ś. p. starosty Olszańskiego, był uważanym za syna domu, bo w częstszych z rodziną Wielogłowskich stósunkach dał się poznać z wielkiej prawości charakteru, prostoty ducha i łagodności. Pan Jan bystrzejszego umysłu i więcej pod względem nauk wykształcony, był rzutny, kawalerski, światowy, szlachetny, ale napił się zatrutej wody szkoły Wolteryjańskiej, i był masonem (a jakto dawniej mylnie nazywano) filozofem. — Pan Jan lubił rozmawiać i z łatwością prawił, umiał sofizmy sklejać, łączyć je i wiązać, tak, iż najczęściej logikę zręcznie zestawionych błędów, słabe umysły uważać mogły za nowe odkrycie prawdy. —

Przyjechał też mój ojciec, zjechał i p. Józef z Lيمانowej, p. Tomasz ze Świdnika i stary rezydent w rodzinie Wielogłowskich pan Szczepanowski szlachcic kontuszowy, złamany wiekiem, chorobą i niepowodzeniem. —

Obecność p. Jana Chwaliboga ożywiła Proszówki, tak, jak gdy wśród latowej ciszy i trwałej pogody, pokaże się na niebie przelotna chmura, którą wiatr poprzędza, grzmot w oddali głosi, a która kończy się burzą korzystną dla ogólnej w przyrodzie roślinności, ale szkodliwą dla ról nizko położonych, które zamula a często jałowym zasypuje piaskiem. —

Jakoż, przeczenie wywołując prawdę do walki, służy mimowolnie jej zwycięztwu i pomaga do wielostronnego onej objaśnienia, ożywia jej siłę ukrytą, budzi jej czujność, broń jej zaostrza a do zgromadzenia środków obrony przynagla. — Ale jeśli przeczenie jako żywioł psotny, zamiast trafienia na skałę która mu się oprze, uderzy siłą zawieruchy na pokład nie spojny, lub naspy piaskowe, to spustoszy te pola, obnaży słabych roślin korzenie, wysuszy dobre zawiązki duchowego życia, i grunt przez się nawiedzony w pustkowie zamienia. —

P. Jan Chwalibóg szyderczo się skrzywił, gdy przybywszy do domu swój ciotki zastał go zapelnionym księżmi zakonnikami, i pobożnemi zakonnicami. — Zdawało mu się że zajechał do klasztoru, i wszedł w to towarzystwo „jak Piłat w Credo.“ — Tu mu drogę zachodzi kaszląca zakonnica i wita uniżonym pokłonem a wzywa do odpowiedzi pochwałą Zbawiciela. — Tu Xdz Adryan nogami powłócząc mruczy niedokończoną jeszcze łacińską modlitwę — pani Usielska niepoczieszona wdowa, w żałobie się mu po przed oczy snuje — Xdz Żabieński zajeżdża a gdy na anioł pański zadzwoniono, wszysej przerwawszy w pół słowa rozmowę, powstają i Zdrowaś Marya, po trzykroć mówią. — Z innego świata w inny zupełnie świat dostał się Woltera zwolennik, a niewiedząc coby począć i jaką się stroną zespolić ze zgromadzeniem prawowier-

nych, postanowił milczyć, bolejąc tylko wewnętrznie nad przesadami i barbarzyństwem dawnych religijnych wieków. — Lecz łudził się pan Jan, iż potrafi zachować bierne stanowisko: właściwością bowiem każdego błędu, jest namiętność fałszywego prozelityzmu, który nie w miłości Boga i bliźniego ma swoje źródło, ale z miłości własnej i uporu płynie. —

Błąd i fałsz, nieznosi samotności ani pokoju, ale żyje zawieruchą i zwadą, a płodzi gadulstwo. — Jest on towarzyski, szuka ludzi i pierwszy ich zaczepia. — Jest on wesoły, ale wesołość jego szyderstwem usta wykrzywia. Palną jego bronią, jest *obelga*, sieczną *dowcip złośliwy*, a tarczą *sofizm*. — Błąd nigdy z prawdą twarz w twarz się nie mierzy, nigdy na rękę nie wyzwie, tylko szarpnąwszy ucieka, i podchwyciwszy usłyszane słowo, z niego snuje zarzuty a na nich gmach swego istnienia buduje. — Błąd się zawsze uskarża na nietolerancją prawdy, pomawia ją o wyłączość, o brak umiarkowania, i na nią składa powód wojny: a tém czasem gdy prawda zamknie się w swą twierdzę i nieprzyjmuje walki, to błąd jej przed oczy wytyka słabość i trwożliwość, i stojąc pod jej szanćami, otrębuje na wszech świat kłamliwe nad nią zwycięztwo. — Niema więc *prawda* innego na przeczenie sposobu, tylko, albo go o ziemię powalić i zwyciężyć albo nim pogardzić. — Przyjęcie walki przez prawdę bezbronną z uzbrojonym fałszem,

nie o jedną już szkodę i samą prawdę i dusze ludzkie przypawiło, bo mało kto przegraną położył na karb słabości szermierza, ale ją sprawie bronionej przypisał. — Znała to moja babka, i dla tego opasana niezłomnym murem wiary, prawdę od Boga daną bezpiecznie chowała, a nigdy za okopy przez kościół dla ludzkiej wiedzy usypane nie występowała. — Wiedzą to wszystkie dusze pokorne, czyste i prawdziwie pobożne, iż będąc przeznaczone do wewnętrznej z sobą walki, nieporywają się lekkomyślnie do szermierstwa ze światem zewnętrznym, i niepragną światłem dla własnej tylko duszy dostatecznym, rozświecać dalekich obszarów ciemności i błędów. Wiedzą one, iż Bóg zwycięstwo prawdzie w taki sposób zapewnił, iż jedni ją pokornie we własnym przechowują sercu, — i stanowią ów zapas wiary jakby wod oceanu: — drudzy posłani są od Boga ku jej obronie, a trzeci ją szerzą i stwierdzają ciała i ducha ofiarą. — Pokorne więc dusze, o których tu mówimy, a do których policzyć śmiało mogę moją babkę, nigdy niewdzierają się w przywileje naznaczonych przez Boga obrońców prawdy, ale przeciwko natarczywości jedynej tylko ale zwyciężkiej używają broni: *cichej modlitwy!* Słyszałem jednak, iż takie pokorne czystych dusz milczenie, nazywano „*obojętnością*“ lub „*brakiem odwagi w wyznaniu prawdy.*“ — Oh nie, albowiem obojętność tam się tylko objawia, gdzie niema *cierpienia*: można

zaś *cierpieć* milcząc lub się głośno skarżyć. — Można milczeniem i cierpliwością fałsz znużyć, a można go też kłótnią ożywić, zaostrić i wzmocnić — Myślę więc i podobno w rzadkichbym się pomylił wypadkach, iż u osób do walki z fałszem niepowołanych, pycha tylko bój toczy pod zasłoną świętej żarliwości. — Pycha mówię, która prawdy broni aby się z własnej pochwęcić odwagi, i zjednać cześć dla swego męztwa, tak jak ów Rzymski dawniej Atleta, który na widowiskach zwyciężał przeciwnika, nie z powodów zemsty lub niechęci, ale iżby od bezmyślnego ludu odbierał oklaski i zyskał tytuł odważnego szermierza. — Uderzmy się w piersi, a przynajmy, iż tak się to pomiekąd dzisiaj broni prawdy, to jest że się często fałsz w sobie nosi, chociaż się go w drugich namiętnie i odważnie bije. —

— Pan Jan Chwalibóg długo milczał, a zamysłony wodził obojętny wózek po uwijających się koło niego habitach i sutannach, kiedy wreszcie zbliżywszy się do mego ojca wziął go na bok i zapytał. —

— Powiedz mi mój Ignacy, co znaczy ten świątobliwy poczet Xieży i Zakonników w Proszówkach? czy tu jaką zakładacie kongregacyą?

— Pytasz mnie o to, rzeknie mój ojciec, z czém się w domu rodziców twoich łatwo obeznać mogłeś, bo przecież ten sam chrześciański obyczaj był w twojej rodzinie. — Czyli niepamiętasz owych poczeiwych

Reformatów, którzy z Pinczowa i ze Stopnicy przyjechawszy, w domu waszym znajdowali gościnność i hojną jałmużnę. — Cóż w tém było dziwnego?

— Prawda, odpowie pan Jan, iż bywało ich aż za nadto u moich rodziców, ale przecież nie tak wielu i tak różnobarwnych jak tutaj.

— Bo téż różne są stopnie pobożności, rzecze mój Ojciec: wiesz zaś iż Twoja Ciotka zawsze była pobożną, a tém samém dla duchownych życzliwą. — Ty nawet mój Janie w młodych latach byłeś bardzo pobożnym, gdy Ojcu Burzyńskiemu Gwardyanowi Reformatów służywałeś do mszy, a resztę wina z ampułek wysączałeś. — Czyli to pamiętasz?

— Oh, to pamiętam, żem wino wypijał, i dzisiajbym tę sztukę potrafił, ale mi téż tyle ze wspomnień méj pobożności zostało, bo przyznaj mój Ignacy, iż religija potrzebną jest aby lud prosty utrzymać w karbach moralności, ale dla nas oświeceńszych jest rzeczą zbyteczną. Wiesz zapewne, iż jestem Masonem i należę do loży noszącej tytuł „przesąd zwalczony.“ Byłem przez dwa miesiące *straszny bratem* a później *owcą pod młotkiem wielkiego mistrza*,... którego mi się słowa głęboko wyryły w pamięci, gdy w poufnej rozmowie wykrył mi cele wolnego mularstwa. — On zaś wysoki posiadał już stopień, będąc tam gdzie Xiężyc i gwiazdy! — Jaka szkoda iż człowiek tak światły jak ty mój Ignacy, nie należy do ciała, któ-

re losy ludzkości waży i które buduje świat wedle myśli wielkiego budowniczego. — Wielebys się rzeczy nauczył!...

— Dziękuję ci mój Janie, — wolę niezapomnieć tego w co wierzę i co mi pokój sumienia i zbawienie w przyszłym życiu zapewnia, jak się nauczyć mrować na przyszłość dom potępienia a pustoszyć w sobie gmach ręką Bożą zbudowany. — Powiadasz mi że religija jest ludzkim wymysłem: a czyliż wolnomularstwo aniołowie wymyślili?... podobnoć to anioł ciemności rzecz tę stworzył, i szerzy. — Ja mam wrodzony wstręt do stowarzyszeń pokątnych i tajnych, a wiem, iż to co jest pocziwe i dobre nie boi się światła, owszem, szuka jawności, grzech więc tylko ukrywa się w cieniach, a niemogąc zwyciężyć w dzień biały, podstępnie nurtuje. —

— Złe masz o tém wyobrażenie kochany Ignacy, odrzeknie pan Jan, dla tego pragnę, abyś wszedł do loży, i fałszywych pozbył się przesądów. — Ja ci wszystko ułatwię i próby oszczędzę, bo one są formą potrzebną tylko do ocienienia tęgości umysłu osób mniej znanych, lecz ty mój Ignacy dałeś dowody hartu twojej duszy, więc za jednym skokiem trzy stopnie przekroczysz. — Przyznasz dopiero jak ci się umysł rozwidni, i jak w przestronnym świecie wzrok twój bujać będzie. — A wreszcie wejdiesz w stósunki z najznakomitszymi kraju naszego ludźmi; oni cię wspierać

będą, w godnościach podnosić, oni ci otworzą drogę do znaczenia, zaszczytów i chwały. — Tak zaś na boku stojąc zapomniany, i w ciasnym kółku rodzinnych stosunków zamknięty, czemże więcej być możesz jak tylko mającym szlacheicem, dla świata obojętnym, w towarzystwie obcym. —

— Znasz mnie mój Janie, iż od lat najmłodszych blask mnie zewnętrzny nieułudził. — Znaczenia w dziesiątych stosunkach ani szukać winienem ani szukać mogę, a godności zaskarbiać kosztem mego sumienia, byłoby i grzesznym i w skutkach nieszczęsnym. Nieznam zasad masonii, niechęć ich poznawać, dość jest dla mnie wiedzieć, iż kościół zabrania wchodzić w zobowiązania na wierze nie oparte. — Jest to zawsze herezyja, odszczepieństwo i jakiś nowy kościół po za kościołem Bożym, a więc pod względem religijnym rzecz ta jest potępienia godną. — Ze względu na społeczny porządek, stronnictwo takie odłamane od wielkiej całości i nurtujące wewnątrz przez tajemne i ukryte sprężyny, jest nader szkodliwym, bo zastępując ogólną i bezstronną miłość bliźniego, przez braterstwo osób w wyłączone ciało związanych, zrywa jedność a stawia prywatę na miejscu zasługi. — Co do światła które ma szérzyć, to go porównam do ogniów bengalskich, które mogą jaskrawą rzucić na świat łunę, ale czyli one światło słoneczne zastąpią? Otóż ja wolę iść już za tym promieniem co mi z nieba płynie,

wolę z pochodnią wiary iść ubitą drogą, jak wspinać się na szczyty społecznych stanowisk, krętymi manowcami w śród błędów przepaści. — Szczęśliwy w mém zaciszu i w życiu domowym, nikomu nie zawadzam a pracuję dla wszystkich, bo wszak i chleb co jedzą wolni mularze, nie włoży waszój urosł, ale rośnie na roli Bożej na naszych zagonach. Dziwna to rzecz, iż ten co pracą swoją żywi społeczeństwo i który przysparza ogólne bogactwo, tak mało jest cenionym przez tych właśnie ludzi, którzy tylko dla tego innemu oddać się mogą powołaniu, iż rolnik ich zastępuje w troskach o pierwsze życia potrzeby! — Podług mnie tak wielkie jest powołanie rolnika, iż zdaje mi się że o nim mówił Chrystus pan w błogosławieństwie swoim zaręczając, iż „ciszy odziedziczą ziemię.“ — Otóż ja któremu Bóg część swojej ziemi ku uprawie i starunkowi powierzył, chcę odpowiedzieć téj łasce przez życie ciche i pracowite. —

— To sielanka mój Ignacy, to parafialne treny— i żal mi prawdziwie, iż tak na wsi rdzewiejesz. — Cóż ty czytujesz?... Bo widzę iż masz tych książek do licha, a kiedy mówisz toby się zdawało żeś czytał same kantyczki. — Otóż to życie odosobnione do tego prowadzi! — Zagrzebałeś się na wsi, uprawiasz, murujesz, budujesz, a témczasem sam zamieniasz się w gruz. — Bodaj to przejechać się do miasta, a w lecie do kąpiel i Tręczyna, Bardyowa, gdzie się lu-

dzi spotyka, zaraz z tego widoczny pożytek; bo się od nich dowiesz to tego to owego, usłyszysz dobrą radę, wpadnie ci w rękę książka pożyteczna. — Przeczytasz, oświecisz się, zabawisz, i tym sposobem człowiek się wykształca. — Zgadnij *n.p.* komu ja winienem zwycięstwo nad przesądami religijnymi? — Zgadnij!... ale może nie zgadniesz, bo kto wie czyliś nawet czytał?... Oto dziełom wielkiego Woltera!... Tak jest, temuto człowiekowi cały mój rozum winien jestem. — On mnie dopiero oświecił. — Jakiżby to był z ciebie człowiek pożyteczny i korzystny dla kraju, gdybyś dzieła Woltera zgłębił. — Ale to niedość raz czytać, ale potrzeba dwa a nawet trzy razy powtórzyć. — Ja już trzeci raz czytam a nasycić się nie mogę! — Gdybyś chciał tobym ci pożyczył, a za ręczę, że się sam potem zapiszesz do wolnomularstwa, bo cię konieczne następstwo tam zaprowadzi. Cały sekret jest na tém mój drogi Ignacy, iż ten wielki człowiek Wolter, najdoskonalej rzeczy rozbiera, tak, iż to co ci się zdawało dotąd białe, to zobaczysz czarne, a to o czém byłeś przekonany iż jest czarne, będzie później białe i rad nie rad przekonasz się iż ma racya. Tym to sposobem się oświecasz, i w czytując się stopniowo zmieniasz twój sąd o rzeczy i twoje wyobrażenia. — Powiadam ci, iż to jest krytyka nad wszelkie krytyki, rozum nad wszelkie rozумы! Jednak gdy ci to dzieło pożyczę, to proszę cię abyś

żonie twojej nie pozwalał go czytać, bo i ja go przed moją chowam. — Widzisz, że my to co innego, ale kobiety, to niech religii wierni pozostaną, bo niedalibyśmy sobie z niemi rady. — Dla nich wiara potrzebnym jest hamulcem. — Życzę ci po bratersku nie daj żonie czytać:...

— Ostatnia twoja przestroga, rzecz mój Ojciec, dała mi poznać miarę wartości dzieła, które zresztą nie jest mi obce, aczkolwiek go nieczytałam i czytać nie będę, bo życie człowieka nie wystarcza do nauczenia się prawdy, po cóż go więc trawić ku odczaniu się onęj. — Przeczenie jest jakby cień przy świetle, który nie tworzy światła ale go pozbawia. — W rzeczach zaś religii, przeczenie i zwątpienie jest właśnie tą przeszkodą, która niedozwala światłu wiary i prawdy rozlać się po duszy. — Wreszcie dużo łatwiej jest przeczyć, jak wierzyć, i dużo łatwiej w źrenicy oka promienie świecy pomieścić, jak blask całego słońca. — Otóż to dla tego właśnie, że łatwiej i snadniej, to człowiek odstępuje słońca Bożej prawdy a zapala sobie własnych pojęć kaganek, i z nim błądzi po świata bezdrożach, natrząsając się słońcu w pysznem swém zuchwalstwie, że się bez niego obejdzie. Cieszy się i nadyma, że i on potrafił sobie słońce stworzyć z kawałka łoju i z konopnej przędzy. — Tém czasem to jego słońce gaśnie za wiatru podmuchem, wyczerpnie się za łoju zużyciem, a słońce prawdy

wiecznej jak świeciło tak świeci, i świecić nieprze-
stanie. —

— Prawisz jak Xiądz mój drogi Ignacy, i widać
że ci twój Jezuita Jaszczurowski głowę przewrócił. —
Oh znam ja ich!... Oni są bardzo zręczni w tym
rzemiośle. — Ale chciałbym ja się z takim Patrem
spróbować, toby mu tak gładko nie poszło, bo na
nich jestem biczem Bożym! — I tak przed parą tygo-
dniami przyszedł do mnie braciszek Bernardyn z Kor-
czyzna po kweście, kazałem mu dać wybrakowanego
skopa, bo żebrzącym klasztorem nieodmawiam jałmu-
żny, zaprosiłem go nawet na obiad, bo gościnność
nakazuje. — Ale gdyśmy zasiedli do stołu, wszczynam
dysputę o klasztorach, i jak mu zacząłem dowodzić,
iż życie zakonne jest przeciwne ludzkiej naturze, to
tak zakonnik oniemiał, iż się tylko pocił i chustką
czoło ocierał, a nie mi na dowody odpowiedzieć nie
mógł. — Również mój Xiądz Wikary z Opatowca, to
już nawet niebywa we dworze tak go o wielu rze-
czach przegadałem.

— Mój drogi Janie, przegadać nie jest to wcale
jeszcze ani przekonać ani zwyciężyć, lecz jest raczej
znużyć. — Wierzę że się zakonnik pocił a Wikary
odstręczył, jeśli nastawałeś na ich sumienie. — Lecz
bądź pewnym, iż dla tego ani jeden ani drugi niezach-
wiali się w swój wierze, a tylko cierpieli nad two-
im błędem i nad tobą. —

— Dla czegoż więc nie bronili swoich zasad, sko-
ro się czuli mocnymi w swój prawdzie!

— Dla tego, odpowie mój Ojciec, iż prawda jest
jak dobre nasienie, które tam tylko roztropny gospo-
darz rzuca, gdzie się z niego plonu spodziewa, ale
nie rzuca na grunt nieuprawny albo zielskiem zaros-
ły. Wreszcie, że ci strwożony napaścią braciszek od
Bernardynów nic nie odpowiedział, to jeszcze nie prze-
waża szali zwycięstwa na twoją stronę, ręczę iżby ci
tak z tym staruszkim Kapelanem naszej matki pła-
zem nie uszło. Jest to uczony Xiądz zakonu Śgo.
Romualda O. Adryan.

— Tak?... to dobrze,.. poznajże mnie z nim, rad
się będę z nim spróbować na polu filozoficznym. —

— Chętnie was poznam, odpowie mój Ojciec, idź-
my więc przed ganek, bo on tam na ławie zwykł
siadywać. —

Wyszli panowie a znalazłszy Xdza Adryana przed
domem pokłonili się mu, a Ojciec mój przedstawił
mu pana Jana Chwaliboga. —

— Samo nazwisko pańskie jest już pociągającym,
rzecze Xdz Adryan, jakżeto bowiem piękne w nim
mieści się powołanie, chwały Bożej, a któremu pan
zapewne godnie odpowiadasz, tak, jak i cała szano-
wna jego rodzina. —

— W istocie nazwisko to świadczyłoby zapewne,...
ale to trudno...

— Trudno zapewne, rzecze Xdz Adryan, odpowiedzieć godnie téj chwale która się Bogu należy i przyjść do téj doskonałości do której powołani jesteśmy, ale Moć panie nie trudno do niéj zdążać, i nie wątpię, iż ta jest myśl Waszmość pana Dobrodzieja. —

— Tak, lecz nie zupełnie, ... chociaż zapewne zdążać, oczywiście, to samo z siebie wypływa. — Jednak rodzina Chwalibogów acz rozgałęziona i z jednego pnia pochodząca, a nawet jednym pieczętując się herbem, w wielu swych członkach mniej odpowiada znaczeniu swego nazwiska a tak gorąco chwiałą Bożą się nie zajmuje. —

— Oh, Moćpanie, żałować tych członków należy, ubolewać nad niemi, ale nie trzeba o nich wątpić, ani rozpaczać. — Miłosierdzie Boże jest wielkie, światło prawdy jasne, więc trzeba ufać, że się oni oświecą i sercem ku Boskiej prawdzie zwróceni, odpowiedzą godnie pięknemu znaczeniu swojego nazwiska. — Znałem ja w moim życiu ludzi bardzo nieszczęśliwych, którzy wskutek zepsucia i obamałucenia umysłu przez słuchanie mów przewrotnych i czytanie bezbożnych książek utracili wiarę; — znałem nawet Farmasonów, których namowy zdradliwe w tę sieć szatańską wplątały; otóż ci ludzie najszczerzej się później nawróciwszy, stali się wzorem cnót chrześcijańskich a świątobliwie żywot zakończyli. — Oh, módl się pan Do-

brodzięj za tych błędzących krewnych, ale o nich nie rozpaczaj!

— A któż się za mnie będzie modlił? zapyta pan Jan pomięszany. —

— W kościele wszyscy się modlą jedni za drugich, bo kościół cały stanowi jedną wielką rodzinę duchową, a oprócz tego, modlitwą łączymy się z duchami błogosławionemi, czyli z kościołem tryumfującym. Może dziś dziad pański i przodkowie modlą się Moćpanie za Wacpanem Dobrodz. — Modlimy się i my kapłani przy ofierze Mszy świętej za wiernych, a prosimy o łaskę, aby Bóg i niewiernych oświecił, a nawrócił do wiary św. katolickiej, wszystkich kacerzy odszczepieńców, heretyków i do uznania prawdy doprowadził. — Jeśli więc bolejesz Wacpan Dobrodzięj nad upadkiem w wierze którego z krewnych swoich to jutro na tę intencją Mszą św. odprawię, abys i pan Moćpanie mógł się w intencji połączyć. — Owszem, ... owszem, z całego serca! ...

— Bardzo dziękuję Ojcu, rzecze p. Jan, — bardzo jestem wdzięcznym, aczkolwiek ja już nie będę mógł być obecnym gdyż dzisiaj wyjeżdżam! —

— Jako wyjeżdżasz? zapyta mój Ojciec. — Wszakże obiecałeś parę dni z nami zabawić — niepuścimy cię, ani dzisiaj ani jutro. —

— Chętniebym został, ale namyśliłem się, ... interesa, Śty Jan się zbliża, muszę pośpieszać. ...

— Ależ mój Janie, dodał mój Ojciec, ważniejszą od interesów jest sprawa duszy. Skoro więc Xiądz Adryan tak łaskaw, iż chce odprawić mszę za Chwaliboga który w chwale Bożej zaleniwał to zostań!...

— Moje modlitwy, jako niegodnego sługi Bożego, (rzecze Xiądz Adryan), nie są wielkiej wartości, ale ofiara Mszy świętej odprawiona przez najmniej godnego ale ku temu uprawnionego kapłana, nieskończonej jest wagi i zasługi. —

Kiedy tak rozmawiają, a Xdz Adryan ani się domyśla, iż właśnie tym upadłym w wierze Chwalibogiem jest pan Jan, przychodzi pan Antoni Chwalibóg a z prostotą jego czystej duszy właściwą, odzywa się z uśmiechem. —

— Kozła, kozła, kozła, masz tu Xdz Dobrodziej przed sobą, brata mego! Dobry człowiek, dobry człowiek ale farmason, heretyk, nie mu nieporadzisz! —

— Głupis mój Antosiu, odrzeknie z gniewem pan Jan, nie mieszaj się tu między nas i idź panie bawić, my tu o rzeczach mówimy których nierozumiesz.

— Może, może, odpowie p. Antoni, ale to wiem mój Jasiu, żeś farmason, i że cię trzeba w święconej wodzie skąpać. —

Xiądz Adryan miarkując z pomieszczenia pana Jana, iż w tym żarcie pana Antoniego mogła być połowa prawdy, zamilkł, a po chwili w inną stronę rozmowę zwrócił, niezmieniając wcale uprzejmości dla pana Ja-

na. Owszem z zajęciem pytał się o kontrakty i dowiadywał czy ma zamiar jakie dobra zakupić. —

Pan Jan odpowiadał, ale był pomieszany. — Snadź iż go łagodność sędziwego kapłana zniewalała, a z drugiej strony nie wiedział jak wyjdzie z tej łapki w którą wpadł nadspodziewanie. Niechciał Xdza Adryana dłużej utrzymywać w błędzie, a z drugiej strony niechciał broni składać, więc radby był jako wykreścić się z tej sprawy, gdy znowu pan Tomasz, jakby na przekór wychodzi z pokoju, i jeszcze w sieni wytaacza zaskarżenie. —

— Ho, ho! Jasiu! cóż ty tu rozprawiasz? Czy ci śmierć zajrzała w oczy, iż się tak z Xiędzem przyjaźnisz? — Niech go tam Xdz Adryan przeciągnie ogórkiem, bo to stary Farmason francuzki. — Co on nam nie raz nagada, to aż uszy puchną. — Gdzieś tam wyczytał, że wszystko natura, i zawsze prawi *natura* i *natura*. A my to wiemy przecie co natura! On z rana to i pacierza nie zmówi, tylko taki sobie libertyn!... a czyta tych szpargałów, że niewiem doprawdy jak mu oczy starczą: bo jaki taki zaśnie gdy się położy, a on nie, tylko świecę pali a czyta. — Rano zaś gdy się przebudzi, to nam plecie trzy po trzy, a dowodzi o Xiężach, o tém i owém, co się jedno drugiego nie trzyma. —

Dajże nam pokój panie Tomasz, odmruknie groźno p. Jan, bo jesteś czasem nieznośny, —

— Nieprzeszkadzam państwu, rzekł p. Tomasz, bo ja tylko idę przejść się do ogrodu, gdyż w tych nizinach nadwiślańskich gorąco jak w łaźni, bodajto nasze góry. — Tam to chłodek! —

Xiądz Adryan oczy spuścił. — Mój Ojciec uśmiech połknął — a pan Jan oniemiał. — Długie było milczenie, tak jak kiedy przed walką każdy broń opatruje, a wewnątrznie w sobie wyrabia odwagę. — Wreszcie p. Jan Chwalibóg ze szlachetną wyznal otwartością, iż zarzuty pana Tomasza są sprawiedliwe. — Xiądz Adryan na to odezwał się łagodnie i głosem rozrzewnionym. —

— W Bogu nadzieja, mój szanowny Panie, iż się to na dobre przemieni. — Różnemi drogami Bóg ludzi prowadzi. — Jednych wiedzie bezpieczną drogą wiary, a na drugich dopuszcza pokusy, dla ich większej zasługi jeśli je zwyciężą. — Wszak czytamy w piśmie ile to dobry pasterz miał pociechy ze znalezionej setnej owieczki, a razem jak radośnie i z odznaczeniem przyjął Ojciec marnotrawnego syna, który w dom rodzicielski powrócił, tak więc i z panem będzie. — Otóż kiedy wiem, że to na pana padło iż w Chwalibogów ostygłeś pobożności, to tém goręcej będę się jutro modlił przy Mszy św. aby ci Bóg łaski swój nie skąpił, zagrzał twoje szlachetne serce ogniem swój miłości. — Mój panie, nie troszcz się, bo nie niema straconego. To próba pod której wagą zachwia-

ła się twoja dusza, ale z téj próby wyjdiesz zwycięzko przy pomocy Bożej. — W takimto wieku żyjemy, iż fałsz podniosłszy głowę, uwodzi dusze psoste i szlachetne tém łatwiej, iż one w dobrej wierze przyjmują każde kłamstwo za prawdę. — Wolter ten wielki kłamca, a twórca wielu w Europie nieszczęść, jest między innymi ową pokusą, dla ludzi skłonnych ku ciekawemu badaniu rzeczy niezbadanych. — On słabe i zniewińciałe porywa umysły, a napawając je zatrutą słodyczą, i zabija dusze i społeczeństwu gotuje upadek.

— A czyliż Ojciec Dobrodziej czytał Woltera? za-
pyta p. Jan.

— Czytałem i to z obowiązku, odpowie zakonnik, bo do nas należy znać wilków, które pustoszą Chrystusową owczarnią. Do nas należy rozpoznać się z bronią, której nieprzyjaciel używa do obalenia moralnych posad społeczeństwa. — Czytałem więc z uwagą, z boleścią i podziwem, trudno bowiem fałsz szpetny ubrać w równie ułudne kształty. — Jest to zły duch odziany szatami anioła. —

— Więc Ojciec Dobrodz. przyznajesz iż to uroczy jest geniusz, i że dzieło Woltera jest nieporównane.

— Przyznaję niestety talent, i tém bardziej boleję, iż fałsz i kłamstwo, tak powabnemi nęci ludzi kształtami. — Wolter dla tego jest niebezpiecznym, iż jest w kłamstwie logicznym, a płytsze umysły biorą zwykłe logikę fałszu za prawdę. —

— Pierwszego dopiero Xiędza słyszę, rzecze pan Jan, który Wolterowi oddaje sprawiedliwość.

— Smutna to sprawiedliwość, która chwali rozbójnika ze zręczności rozboju. — Nikt z resztą niezaprzeczał nigdy szatanowi rozumu, lecz się mu zaprzecza prawdy cnoty i poczciwości. — Gdyby złe niebyło ułudne i nie działało na imaginacyą to któżby się dał weń usidlić.

— Przyznasz jednak WWépan Dobrodziej iż Wolter nie jest to Ateusz i uznaje potrzebę religii tylko ją oczyszcza krytycznie z dodatków ludzkich. —

— Powiem Waépanu Dobrodziejowi, iż jego zdradliwa obrona religii jest jak gdyby kto komu głowę uciął, serce z piersi wyrwał, ręce związał, nogi spętał, a potem przyznał mu prawo do życia i ruchu. Jest to natrząsanie się z wiary i pastwienie się nad spotwarzoną prawdą. — Lecz niepotrzebnie przedłużamy nawet tę rozmowę, bo zapewne ubliżałbym Waépanu Dobrodziejowi, gdybym go posądzał o zwoleństwo dla fałszów Wolteryńskich. — Żaden umysł poważny i wzniosły nie da się na te plewy złapać, a głębszy rozum łatwo oceni płytkość nauki, która nie umiejąc nic zbudować, chce przynajmniej zyskać sławę burzycielki. —

— Ja sobie jednak zamawiam u Ojca Dobrodzieja łaskę obszerniejszego rozmówienia się w tym względzie, a może zdołam zbyt ostro sąd o dziełach Wol-

tera złagodzić — bo przecież na drodze rozumowej, położył on wielkie zasługi. —

— Będę zawsze na rozkazy Wacpana Dobrodzieja, o ile zechcesz szukać w Wierze skutecznych środków ku walce z błędem, — ale nie radbym wcale abyśmy wracali do przedmiotu, który zamiast roświecać bezwzględną prawdę, zaciemnia ją sofismami w przewrotnej głowie Woltera wymarzonemi. — Aby ocenić dzieła tego bezbożnego autora, należałoby zacząć od porównania sfałszowanych przez niego tekstów, i całe wywody na kłamstwie oparte wywracać. Do tego potrzeba i więcej czasu i źródeł podręcznych. — Wątpię również abyś WWépan Dobrodz. przy świetle swoim i wzniosłych uczuciach chciał brać obronę słusznie potępionego dzieła. — Znajdziemy więc dość innych przedmiotów do rozmowy nieskończenie wyższych i więcej zajmujących. — Lecz podobno WWépan Dobrodziej chciałeś nas dzisiaj już opuścić. —

— Zostanę jeszcze dzisiaj... namysliłem się... odpowiedział pan Jan. —

Rozmowa ta z Xiędzem Adryanem, wywarła na umyśle pana Jana Chwaliboga wielkie wrażenie. — Zesmutniał on, był roztargnionym, i mało mówiącym. Zwierzył się zaś memu Ojcu, iż nadspodziewanie zajęła go rozmowa z sędziwym Zakonnikiem, którego

łagodność, pobłażliwość, a przecież żywa i gorąca wiara, szczególny wpływ na nim wywarła. — Mój Ojciec uważając, iż pan Jan w swych przekonaniach jest zachwianym, czekał cierpliwie, aby Bóg prowadził dalej dzieło oświecenia téj szlachetnej duszy. —

XXV.

D y k t e r y j k i.

Kiedy przed gankiem toczono poważną z Xiędzem Adryanem rozmowę, reszta gości bawiła się w pokoju opowiadaniem spraw bieżących, i zaszłych w sąsiedztwie zdarzeń. Czasem obok niewinnych żartów, szarpnięto mimochodem czyją dobrą sławę, a w ten czas moja babka stając zaraz w obronie osób, prosiła aby je oszczędzano. — Ale pan Tomasz nie zawsze dał się uprosić, i chociaż serce miał dobre i ludzi kochał, to przecież gdy kogo wziął (jak to mówią) na fundusz, to się nim dopóty zabawiał jak cackiem, dopóki niepopsuł i czci nienaruszył. — Tą razą posłużył mu ku téj zabawie sędziwy Szczepanowski, godny i poczciwy szlachcic, który przechulawszy wieś a resztę na dzierżawach straciwszy, wyszedł na rezydenta w domu Wielogłowskich. — Wywodził on się z tego samego rodu, którzy z Biskupem męczennikiem są spokrewnieni. Był to nader wesóły

starzec, przyzwoitego układu, ale dziwnie i śmiesznie szeplecił, i ktoby go niewidział ale tylko słyszał, mógłby myśleć iż jakie trzechletnie mówi dziecko. Jako rezydent, dla wszystkich domowników miłym był towarzyszem, każdego uszanował, z każdym pogawędził i posiadając nieprzebraną wiadomość gospodarskich sekretów to w książkach wyczytanych, to zebranych skrzętnie ze starych kalendarzy, starał się tę wiedzę użyteczniać przy wielu domowych zachodach. On np. wódkę na alimbiku przepalał i tak oczyścił, iż nie traciła dochodem. — On spiritus nalewał na cytrynowe skórki, na pestki wiśniowe, ostreżyny, borówki, cynamon, gwoździki, kalmus i pomarańczki, i doskonale robił likiery. — On był obecnym gdy miód podbierano lub nowe osadzano roje; — on też zbioru owoców w sadach nieodstąpił, i dzielił na gatunki, latowych, jesiennych i zimowych jabłek i gruszek, a uczył, jak je na słomie układać aby nie gniły lub nie przemarzały. — On nawet gotowania powideł chętnie dopilnował, a przy ryb połowie byłby dzień i noc siedział, bo lubił ryby łowić i w ten czas tysiąc opowiadał zdarzeń i powiastek. — Rybacy bowiem tak jak i myśliwi, nie łatwo wyczerpią liczny zapas prawdziwych i zmyślonych wypadków. — Że zaś pan Szczepanowski za młodych lat swoich był myśliwym, i to na wszelką zwierzynę, czy pod siercią czy pod pierzem, a zaczawszy od niedźwiedzia aż do pliszki

żadnemu stworzeniu nie przebaczył, chwając się, iż zawsze trafiał, i miewał psy najlepsze i strzelbę najdonośniejszą, przeto choć w opisach spudłował albo w rybołostwie na piasku spłynął, to mu przebaczone, bo był lubionym i także dla wieku jego miano pewne względy. — Pan Tomasz chociaż go lubił i niedawno mu żupan sprawił, chciał go zachęcić do rozmowy, i dla tego, zaczął rzecz o powieściach, które już sto razy słyszał.

— Powiedzno Jegomość jak to było przecież z tym ślepym psem, zaczepi pan Tomasz pana Szczepanowskiego. —

— Ej có tam, gupstwo byuo, bo kejsby tam ślepy pies goni?... —

— Ale to prawda, rzecze p. Tomasz, bo ja już to samo od innych słyszałem, lecz ci państwo nie słyszeli. Powiedzno Jegomość, jeżeli mnie kochasz!...

— Oto, mówią o tym księciu Radziwiłie có tak źmiślau, że miau pśa có byu ślepy, ale wietsiu każdego źwiźia. Otóż przywiążali mu śpićca na guowie i ów śpić patśau za niego, a ten stary pieś, wachau i ściekau, a książę strzilauo. — Ale to nie prawda,... to kłamstwo,

— Ale gdzież tam kłamstwo, rzecze p. Tomasz, kiedy jest przecież w jakiejś książce wydrukowane, zdaje mi się, iż to będzie w żywocie księcia Radziwiła. —

— A kiedy jest wydrukowane, to có innego, to już musi być prawda! odpowie p. Szczepanowski. —

— Jakże znowu było z tym niedźwiedziem, co Jegomość zabiłeś w Poroninie za Nowym Targiem? zapyta p. Tomasz. —

— A có to, to prawda, ale o tem duugo mówić! Oto tak było: paśali górale byduo na polanach między lasami, i paśala też dzieucha, a niedźwiedź sobaka siedziau i upodobaua mu się ta dzieucha, bo byua piękna. — Tak ten niedźwiedź, raż, zakradł się z tyu, tak że dzieucha niewidziaua, i chciau ją poćalować. — Dopiro ona narobiua wżasku, a niedźwiedź uciekł. Jak mi to gaźda powiedziau, tak ja sobie z ćetyny zrobiuem salaś, i siaduem, a dzieuchę posadziuem na ponęte. — Nie duugo aże niedźwiedź wychodzi z boru i zakrada się. — Ja dopiro ciekam, ciekam, i fużiją gotuję. Jak byu na stó kroków, wymięziuem, w sam ueb, a jak palnę, tak mój niedźwiedź fik i psewróci się, ale ja niedowiezau, tylko ćempredź nabijam a wychodzę z budy. — Ja wychodzę a on wstaje; dopiro i dzieucha że mną do budy uciekua, a sobaka niedźwiedź na dwóch uapach idzie i byuby naś żiad, ale ja wymięziuem mu na kómorę, i jak huknę tak na mieściu pad i tylko nogami gźebau. — Ale byua moja strzelba tak mocno nabita, że mnie w gębę udeżyła, i ja się obaliu. Dzieucha żaledwie nieumarua że strachu, ale się potem ośmieliua a jak

już niedźwiedź źdech, tośmy go ciągli jak kunia. — Oh! był też to sobaka wielki!...

— A z tym zającem jaka to była sprawa, co to siedział w kapuście?

— Ż tym zającem, to byuo śmiechu! — Siedziau zając w kapuście, moja suka wietsi, wietsi, a pan Tomasz taki naguy, że idzie prosto na sukę. W tém zając pomknou i prosto panu Tomasiowi między nogi. — Pan Tomasz buch o ziemię a ja pęc do zająca, i zając na mieściu, a pan Tomasz kścić „żabiuješ mie.“ — Kejta pana żabiuem tylko zająca! — Tak zająca mówi pan Tomasz, kiedy się na mnie pakuu tli, to niechta, odpowiem, ale zając leżi. — Pana Tomasa żabiuem pakuem, a zająca śróciną — Dopierośmy się uśmiali. —

— Panie Szczepanowski, rzecze p. Tomasz, żeby nam to pan chciał jaką zagadkę powiedzieć, tobyśmy zgadywali. —

— Ej, kiedym żapomniau, chiba jednę. — „Wko-uo wośk, w środku nici jak żapalić to się świci.“

— To zapewne fajka? zgaduje pan Tomasz.

— Albo może szczépa, podchwyci p. Józef.

— Hi, hi, hi, hi, (rozśmiał się p. Szczepanowski) nie to, nie, żaden z panow nieżgad! — bo to świca. A znowu druga: „W stajni siada, owies i siano żiada? ...

— To szczur, rzeknie pan Tomasz.

— Ale gdzież tam, to kot odpowie p. Józef.

— I tego panowie nie żgadli, rzecze p. Szczepanowski, bo to kuń. —

— Ale to klacz nie koń, mówi pan Tomasz.

— Oczywiście że klacz dodał pan Józef, więc widzisz panie Szczepanowski że i ty niezgadłeś. —

— Może, może, juźci tak, kłać a nie kuń. — Żgadli panowie. —

Moja babka z hółem serca tego słuchała, prosząc się oczami tych panów aby poczciwego starca niebrali za przedmiot pośmiewiska. Pan Antoni Chwalibóg także z żalem widział, iż sobie z szlacheica żartują i mówił na boku do pana Józefa.

— Nie godzi się — nie godzi się, bo to przecież nasz, nasz, nasz, szlacheic polski, i dobrego rodu! — Człowiek poczciwy, a stary, mógłby być naszym Ojcem. —

Pan Jan Chwalibóg z moim Ojcem weszli do pokoju, kończąc jeszcze we drzwiach poważną jakąś rozmowę. — Kto znał bliżej pana Jana mógł uważać, iż mniej był wesołym, a nawet był milczącym. Mój Ojciec bał się bardzo, aby który z panów nieprześladował go wpływem jaki na nim wywarła rozmowa z Xiędzem Adryanem, nie bowiem tak nieoddala ludzi od nawrócenia się, jak szydercze prześladowanie z walki, która się w duchu odbywa, — albo niewczesny triumf wierzących. — To przedrzeźnianie, i ta

chępliwa pociecha, jakich sobie lekkomyślnie pozwalają katolicy z ludźmi tkniętymi dopiero łaską Bożą, rujnują często całe dzieło szczerego nawrócenia się, i z jednej strony upokarzając a z drugiej drażniąc i niecierpliwiąc, wywołują upór oddziaływanie i w wielu rzeczach stanowczo rzecz zbawienia bliźnich rujnują. —

Nigdy nie należy wtrącać się między Boga i człowieka, wtenczas gdy oni z sobą tajemnie rozmawiają. Można w cichości prosić pana Boga aby przysporzył łaski, — można też gdy się jest do tego powołanym lub proszonym, podierać dobrą wolę bliźniego, usuwać trudności, objaśniać wątpliwość. — Lecz ciężyc na czyjem sumieniu, narzucać się, zmuszać, i podglądać tajemnice ducha, lub posądzać i przesądzać, nie godzi się, nie wolno i nawet jest grzészny. — Dla tego owe w świecie przechwałki tuzinkowych żarliwców, „iż nawrócili, tego lub owego,“ są najprzód fałszem, a potem próżnych dusz oznaką. — Człowiek się do wiary w Boga i do wiary w słowo i obietnice Boskie nawraca, a nie do wiary w człowieka. — Wolna wola zespólona bezpośrednio z łaską, która uprzedza, lub którą sobie kto albo sam, albo przez modlitwy i zasługi drugich wyprosi, stanowi o człowieka nawróceniu. — Jeśli zaś dla ułatwienia tego zbawiennego dzieła, używa Bóg za narzędzie drugiego człowieka to z jakąż to pokorą takie posłannictwo spełniać powinien!... Niech sobie wystawi, iż zastę-

puje przy bliżnim aniola Bożego, który niewidzialny stoi na straży i duszy i ciała, niechaj modląc się do Boga o pomoc niebieską, odmiata tylko na bok przeszkody ziemskich pokus, któreby działaniu łaski stały na zawadzie. Lecz gdy kto takie posłannictwo spełni, niechaj Bogu zostawi obliczenie całej ztąd zasługi i Jemu samemu i dobremu sumieniowi bliźniego przypisze pomyślny nawrócenia skutek; bo gdyby go nieszcześciem swojemu wpływowi przyznał, to w pychę zapadnie i utraci zasługę w niebie, i wdzięczność tego, któremu w świętém dziele nawrócenia dopomógł.

Mój Ojciec przeto nie chcąc aby się na pana Jana Chwaliboga zwróciła uwaga, zaczął mówić o jarmarku w Dąbrowej, który dopiero się był skończył a zapytał pana Antoniego czyli swoje konie sprzedał?

— Niesprzedalem, niesprzedalem, odpowie pan Antoni, bo stare, kaléki, nicpotem, nicpotem. —

— Oh, to sławne, odezwie się pan Jan, co mój brat zrobił w Dąbrowej! — Prosił mnie abym mu konie sprzedał, jeden z nich jest kaleka a trzy są stare, ale dobre i pokazne a jak to mówią frontowe. Kazałem je mojemu stangretowi przejechać po rynku w lekkiej bryczce. — Jakoż wpadły zaraz w oko młodzikowi, który zapewne jeździ w konkury. — Pyta o cenę? — Ja żądam za wszystkie cztery, sześćdziesiąt czerwonych złotych i na dwa słowa zgodziliśmy się za pięćdziesiąt pięć a młodziniec ma liczyć pieniądze,

kiedy mój brat odprowadza na bok kupca i swoje własne konie oskarża, iż są kaléki, stare, i że téj ceny niewarte. — Oczywiście młodzik nie kupił, i mój brat na powrót szkapy do Szczucina poprowadził. —

— Prawda, prawda, prawda, odrzeknie p. Antoni, ale bo też brat ujął im lat, mówiąc temu kawalerowi, że konie mają po lat dwanaście, a one mają po piętnaście, jednemu zaś liczy mój Stangret osmnaście, bo to jeszcze koń po Jéjmości! — Nieodradzałem mu więc kupna, ale nie chcąc mieć fałszu na sumieniu, powiedziałem mu w sekrecie, że stare, stare, gałgany, kaleki, — bo prawda, że stare i jeden kaléka. —

— Znowu, (mówi dalej pan Jan) miał mój brat, tę dereszowatą klacz z Łysiną, którą kupił od pana Stefana. — Śliczna klacz, młoda, zdrowa, i ani odwrotnego włosa nikt w niej nie upatrzył. — Noga nızka, sucha, pęcina krótka, pierś szeroka, wyrost szyi dobry, łeb suchy, zuchwy szerokie, kłoc długi, w kłębie trochę wyższa, zad przewyborny. — Cała jéj wada, że była płocha, i kiedyś przestraszyła się na wsi psa, który z za płotu nagle ku niej skoczył. — Mój brat wątpliwy jeździec, nazwał to chimera, i chciał ją pozbyć zaco, zato. — Wyprowadził na jarmark, a ile razy kupiec przeszedł, to mój brat od tego targ wszczywał, iż kupno odradzał, twierdząc i upewniając że klacz chimeryczka. — Zgniewałem się, więc sam

tę klacz kupiłem, jeżdżę na nią, i za żadne pieniądze bym jej nie odstąpił, — bo najmniej trzy razy tyle warta. —

— Chwała Bogu — chwała Bogu, rzecze p. Antoni, jeszcze ci za to co dodam żęś kontent i że się nieoszukałeś! Dobra, dobra, dobra klacz, ale chimeryczka, lekliwa. —

— Pocziwa teźto dusza ten pan Antoni, rzecze Szczepanowski, a i tak bogaty! — Oho, Śćucin to piękny majątek, ćo tam uąk, a jaka to ziemia posiućkać takić! Tam można wziąć za uąki tysiće czerwonych zuotyeh.

— Bierze się, bierze się i więćej, ale się rozchodzi, nigdy się nie schowa.

— To wierzę mój Antoni, rzeknie pan Jan, iż nie schowasz, ale sąsiedzi za ciebie schowają. — Mój brat zawsze sobie w cudzej kieszeni znajdzie schowanie na swoje dochody. — Jednemu byđło odejdzie, to p. Antoni myśli, iż jest w obowiązku podzielenia się krowami z poszkodowanym. Drugiemu Wisła zaleje, to on zaraz posyła mu zboże i karmę; tamten pogorzał, to Antoś go odbudowywa; a kto tylko potrzebuje sto albo dwieście czerwonych złotych, to jedzie do Szczucina i co do grosza zabiera jakby w kwintecza. — Mój brat nieumi odmówić a tem mnić umi zataić, więc otwiera i sumienie i szkatułę. Raz teź tylko odmówił jednemu dalszemu sąsiadowi, a to

dla tego, iż list do niego napisał po francuzku. — Pogniewał się więc mówiąc: „głupi, głupi, do Chwałiboga pisać po francuzku! nie dam, nie dam, bo pisze mi, mon chère Ami.“ *)

— Ale bo teź to swawola, rzecze p. Antoni, żeby w poufałych stosunkach obcej mowy używać. —

— O swawola, doda p. Szczepanowski, dobrze mówi p. Antoni. A pan Jan i pan Ignacy ze Żborowa choć taći doźi ludzie, to żawse mówią po frańćuzku. — To na psa, i tego dawniej niebywauo.

— Inne teraz czasy i obyczaje mój panie Szczepanowski, rzecze pan Jan. —

— Juźci!... odpowie starzec, kiwając ręką obojętnie. —

*) Historyczne.

XXVI.

Rozmowa mego Ojca z Xiędzem Adryanem.

Goście się rozjechali, bo kontrakty Święto-Jańskie zgromadzały wszystką szlachtę w Krakowie. — Ale mój Ojciec, który nie miał żadnych terminów, pozostał w Proszówkach, i dzielił czas pomiędzy starania o najlepsze urządzenie gospodarstwa matki, a między czytanie dzieł poważnych i nauczających, lub uprzyjemniał sobie wolniejsze chwile poufną rozmową z Xiędzem Adryanem. Sędziwy ten zakonnik bardzo mego ojca polubił, i wysoki dla niego powziął szacunek, a ile razy z babką moją mówił o panu Ignacym, tyle się razy rozwodził w pochwałach, ale tylko za oczami, bo w oczy wystrzegał się go chwalić, twierdząc „iż do pochwały nawet sprawiedliwej, czepia się zaraz szatan, i pychę duszę zaraża.“ Raz gdy mój ojciec Xdza Adryana spotkał w namiocie czytającego jakieś dzie-

ło ascetyczne, staruszek uradowany zamknął książkę i rzecze do mego ojca :

— Czytałem tu Moćpanie żywot prawowiernego Chrześciana, którego Bóg różnemi próbami doświadczał, prowadząc go od młodości ciężką drogą niepowodzeń ziemskich. Stałem teraz właśnie w punkcie, gdzie już karta doczesnych pomyślności ku niemu się odwróciła i ciekawy jestem jak postąpi i czyli potrafi w szczęściu być tyle wdzięcznym opatrności, ile był cierpliwym w znoszeniu prób, które Bóg na niego zsyłał. — Dziwna to bowiem, ta dusza ludzka! . . . Wielka nędra jest dla człowieka, równie niebezpieczną pokusą, jak wielki dostatek, a czasem człowiek łatwiej zbawi się w nędzy jak w bogactwie. W innym zaś razie, ludzie wśród zaszczytów i nadmiaru doczesnej pomyślności umieją zachować ubóstwo ducha, pokorę, cichość, miłość i spełniać dzieła miłosierdzia, kiedy znowu zły ubogi wśród nędzy i niepowodzeń, jest pysznego serca, a razem — zazdrości, złořeeczy, i jak opętany szarpie łańcuchami, które mu się w biodra opasane nędzą wciskają. —

Oh znam ja to mój ojeze, rzekł mój ojciec bo już byłem pod wozem i na wozie i nie małą odbywałem z niepowodzeniem walkę, a w niej mię tylko miłosierdzie Boskie wspierało. Bóg, który nie opuścił mnie w sieroctwie i teraz czuwa nademną, gdy mi opatrność

środków przysporzyła. — Jeżeli ojca nie znudzę to mu skreślę koleje mego życia. —

— Owszem, proszę bardzo, (rzecze Xdz Adryan, jestem ich tém więcej ciekawym, iż uważałem, że się często z sobą w zapatrywaniu na rzeczy zgadzamy, tak jakobyśmy w jednym źródle wiadomość czerpali. I jakoż, dla katolików jedno jest tylko źródło. Wiara i płynące z niej dla człowieka prawo. —

— Otóż, rzecze mój ojciec, jestem synem śp. Franciszka Wielogłowskiego, który w Sandeckim posiadał dość znaczny szlachecki majątek, a chociaż zamożność jego nieprzechodziła zwykłych rozmiarów średniej czyli owój rdzenniej w naszym kraju szlachty, przecież liczone go pomiędzy bogatszych w okolicy obywateli. Ojciec mój ożeniony z Sędziarnią, a zkoligacony z tantnemi sąsiadami, żył hucznie i okazałe, miał dużo przyjaciół, a także i publiczne sprawy gorąco go obchodziły i na te potrzeby ostatni grosz łożył, niezachowując miary w poświęceniu ani granic w ofiarach. — Dopóki żył, majątek ten trzymał się jak owa stara grusza, która wypruchniawszy wewnątrz, zwierzchnią korą soki czerpiei zachowuje pozory trwałości: — Ale po śmierci mego ojca, którą zgon matki poprzedził, obliczono stan bierny i czynny majątku, a z tego pokazała się mała substancyja, która była całym dziedzictwem moim i moich dwóch braci. — Ja wtenczas zaledwie liczyłem lat ośm i by-

łem najstarszym w rodzeństwie. — Szlachetny a nieodżałowany teść mój, a razem stryj *śp.* Józef Wielogłowski starosta Olszański, mąż naszej matki, postanowił opiekować się moim sieroctwem i zastępując mi ojca, wychowywał mię razem ze swoimi synami. — Zamożność jego pozwoliła mu łożyć znaczniejsze na nauki koszta, więc i ja z tego dobrodziejstwa wspólnie korzystałem. — Matka mój żony pani starościna, anielską otaczała mnie troskliwością i żadnej w miłości macierzyńskiej między mną a własnymi synami nie robiła różnicy. — Nigdy nie synom ani sprawiono ani dano, z czego bym i ja równego nie miał udziału. — Słowem, było mi lepiej jak w domu rodzicielskim, ale ja jednak czułem iż jestem sierotą, i że mnie czeka praca i potrzeba wydzwignienia się ze stanu zależności własnym mozołem i trudem. — Przykładałem się pilnie do nauk, uczyłem się po całych dniach, a i część nocy nad książką trawiłem, aby zaś w pięknym pisaniu nabyć większej wprawy a papieru oszczędzić, kredą na desce po parę godzin wielkie pisywałem litery i kształtnych wyuczałem się pióra pociągów. — Oddano mnie jako pallestranta do Krakowa, a tam z korzyścią nauki skończywszy, użyty byłem przez mego Wuję pana Szambelana (Marcina Bademiego) jako aplikant w przybocznej kancelaryi króla Stanisława. — Obaj moi Wujowie p. Regent Badeni i p. Szambelan wysokie wtenczas przy królu

piastując urzędy, byli na mnie łaskawi, a także król sam Jegomość przychylnym na mnie patrzył okiem, gdyż byłem mu przydatnym do zagranicznych korespondencyi a uznano też, iż pismo moje odznaczało się starannością, a wypracowania jasnością. — Już sobie pracą własną zarabiałem na przyzwoite utrzymanie, kiedy mój Wuj Marcin Badeni mając sobie poleconym zarząd dóbr koronnych na Litwie i Żmudzi, prosił króla Jegomości iżby mnie jemu do tej pracy przydzielił. — Jakoż pojechałem na Żmudź z panem Szambelanem, który jak wiadomo dochody z tych dóbr dla publicznego skarbu potroił, i tą pracą tyle mozolną ile umiejętną zasłużył się wielce krajowi. — Gdy zaś wskutek rozporządzeń królewskich wszystkie dobra koronne miały iść w dzierżawę, a narzekano, iż pod zarządem Inspektora dóbr koronnych p. Marcina Badeniego wysoko były w intratach podniesione. Mój Wuj sam w dzierżawę wziął za wyższą jeszcze cenę te, które już skarb miał do wypuszczenia, a mnie ku dorobkowi, klucz Szawelski na Żmudzi, ze swego kontraktu odstąpił. — Lata były nader pomyślne; przy urodzajach ceny wysokie, a Anglicy głodni chleba, wysyłali po niego do Rygi. W kilka więc lat dorobiłem się przeszło miliona majątku, i byłbym zapewne ten zarobek o wiele pomnożył, gdyby znane wypadki niepozbawiły mnie dalszej pod nowym berłem dzierżawy.

Wróciłem więc w krakowskie z dorobionym groszem, a oprócz tego prowadziłem za sobą stada koni, bryki naładowane kosztownymi sprzętami — i kilku też ludzi doświadczonych a do mnie przywiązanych ze Żmudzi wyprowadziłem i tych mam dotąd w Zborowie.

Wdzięczność a razem miłość dla moich przybranych rodziców nakazywały mi najprzód zajechać do Zborowa. — Tam zastałem mego stryja złożonego chorobą. — Przyjazd mój bardzo go uradował, wpatrywał on się we mnie i co chwila przyzywał mnie do siebie aby mię uściskać. — Stryjenka się spłakała z poeciechy, kazała sobie najmniejszy szczegół z pobytu na Żmudzi opowiadać. Przedstawiała mi córki swoje Marysię i Teofilkę, które dziećmi małemi odjechałem. Kazała starych sług zawołać, a ci mnie ze łzami witali. — Słowem cały pierwszy dzień zszedł prawie na wzajemném rozrzewnieniu i przytaczaniu tylu drogich dla mnie wspomnień. Ludzie moi Żmudzini byli także przedmiotem podziwu nie tylko sług Zborowskich ale i moich kuzynek, a splecione warkocze hajduka do śmiechu je pobudzały. — Oh byłem bardzo szczęśliwym znaleźć się znowu pod dachem prawie rodzicielskim, pod tym dachem, gdzie jako sierota, tak szlachetnej i kłiwiej doznawałem opieki. — Takbym był chciał, iżby mnie w tym domu uważano za owego Ignasia bratanka i wychowanka, który był pierwszym do speł-

nienia każdej usługi.—Lecz nie!... Miałem już jakieś poważanie, jako spełniający krajowe urzędy, i to co zyskałem na szacunku, straciłem na tój rodzinnej poufałości tak miłej sercu, a dla mnie tak drogiej.—Wiele się téż do tego przeciąg czasu przyczynił i zerwane bezpośrednio z rodziną stosunki.—Mówią, iż oddalenie ścieśnia węzeł przyjaźni, ja zaś myślę, iż go nadwęreża a czasem zupełnie zrywa.—Ludzie odzwyczajają się od siebie, a tém samém zapomniawszy wzajemnie swoich przywar i zalet, ani pierwszych znosić, ani drugich oceniać nie umieją. — Ustaje potrzeba wspólnego pożycia... miejsce nieobecnością jednego z krewnych lub przyjaciół opróżnione, kto inny zastąpił.—Gdy więc dawny powraca, to znajduje się po za kołem które się zamknęło i związało podczas jego oddalenia.—Wprasza się on i wrabia, ale trudno mu się pomieścić, więc zostaje często jak piąte koło u wozu. — I wtenczas-to musi dla siebie stwarzać światek osobny, lub się téż jako ochotnik i luźny w świat szeroki rzucić, bo w większym okręgu łatwiej się pomieści jak w ciasnym kółku rodzinnym.—Widziałem w mojem życiu ludzi ściśłą i zażyłą przyjaźnią związanych i w poufałych stosunkach z sobą żyjących, którzy po kilku latach nie wiedzieli co do siebie mówić? — Jeden z nich nieśmiało przebąkiwał ów poufały tytuł przyjaciela, drugi go panem mianował, a obadwa czuli, iż pomimo dawnych stosunków

przyjaźni, już ich przegradza mur zobojętnienia i zarzewiałych stosunków.

Nie było jednak co do mnie tego wypadku, bo za każdym słowem odnawiały się drogie méj młodości wspomnienia, a trafiłem téż na dom, w którym żadne szlachetne uczucie niezamarzało. Moja droga stryjenka wprowadziwszy mnie do drugiego pokoju, opowiadała mi ze łzami o chorobie stryja, a nawet dodała, iż lekarze ze stanu jego ogólnego zdrowia nie są zadowolnieni.—Ta wiadomość najboleśniej mię dotknęła i zachmurzyła szczęście moje i radość jakich w Zborowie doznawałem.—Pocieszałem się nadzieją, iż obawa tak przywiązanej żony może być przesadzona, i szczerze uspokajałem stroskaną stryjenkę, jednak radbym był się co prędzej sam z jednym z lekarzy rozmówić, a o rzeczywistym stanie chorego przekonać — Témczasem siadłszy bliżej łóżka mego stryja, wpatrywałem się w niego i wistocie znalazłem, iż rysy się jego zmieniły.—Ukryć zapewne nie mogłem bolesnego uczucia, bo stryj zapytał mnie, czyli go bardzo zmienionym widzę? — Zapewne, odrzeknę, mniej dobrze stryj wygląda, ale da to Pan Bóg, iż niezadługo stryj dobrodziej do zdrowia powróci. — Wątpię, odpowie mi z wyrazem smutku, abym wyszedł z tój choroby, bo sam czuję iż się koniec zbliża, wada organiczna uleczoną być nie może a choroba moja ma siedlisko w sercu. Widzisz mój Igna-

siu ile to na zdrowie i życie człowieka wpływają moralne kłopoty.

Nie dobrze rozumiałem co mój stryj chciał nazywać kłopotami, bo go odjechałem jako jednego z najszczęśliwszych ludzi.—Miał on powszechnie w obywatelstwie poważanie i pierwsze między okoliczną szlachtą znaczenie i stanowisko.—Miał żonę anielskich cnót i tak do niego przywiązaną, i którą on téż wzajemnie tak kochał, że równie szczęśliwego stadła nie widziałem.—Miał dzieci, które mu chlubę przynosiły, majątek znaczny, stosunki familijne ze szwagrami najprzyjemniejsze—nie mogłem więc odgadnąć coby mu brakowało? — Ośmieliłem się go zapytać, jakie znaczenie przywiązuje do wyrazu kłopoty, ale on nie wytłumaczywszy się dodał: — Oto tak mój Ignasiu, kusilem zbytnie tyle już dla mnie hojną Opatrzność!

Znowu cięższa dla mnie zagadka! — Ale że pan Starosta nie lubił, gdy kto się ciekawie o jego sprawy dopytywał, więc zamilkłem, zostawiając na później zbadanie téj tajemnicy.

Témczasem dzieląc się między towarzystwo chorego stryja, stryjenki i ładnych kuzynek, uderzonym i mocno zajęтым byłem pięknoscią starszej córki moich stryjostwa Marysi.—Uroczych ona była wdzięków będąc panną, a teraz niemniej jest przedmiotem powszechnego podziwu, posiadając szlachetne rysy twarzy, przypominające nam piękności, jakie w greckich

antykach chwalimy. — Lecz bliskie pokrewieństwo i różnica wieku, nie pozwalały mi myśleć o związku, któryby już te dwie główne stawiał przeszkody. — Jednak trudno mi było ukryć serdecznego pociągu jaki ku niej miałem — zdradzałem się to wzrokiem, to częstszą z nią rozmową, to wyborem podarków, to przewidywaniem każdego jéj życzenia. Dość na tém, iż rodzice uważali, a i ona się domyślała, iż kuzynek ze Żmudzi nie jest obojętnym tylko krewnym i bratem odstryjecznym. Właśnie wchodziłem w interes o dzierżawę dwóch kluczów Staszowskiego i Szydłowieckiego — interes ten wymagał wszelkiego pospiechu, témczasem pobyt mój w Zborowie nad wszelkie postanowienia moje i naglące sprawy przedłużałem.

Trzeba było wyjeżdżać, a dzień stanowczy wyjazdu oznaczyłem, wszakże przed odjazdem chciałem zbadać moralne mego stryja umartwienia. Dla tego gdy pewnego dnia w rannych godzinach samego zastałem, prosiłem go usilnie, aby dla mojej spokojności powiedział mi co go tak trapi i jakim kłopotom pogorszenie stanu swego zdrowia przypisuje? Długo mi się wymawiał, ale widząc iż mnie tym brakiem zaufania zasmuca, i gdy łzy widział w moich oczach, tak rzecz objaśnił:

— Wiesz mój Ignacy, iż mnie zostawiłeś w kwitnym stanie majątku, Opatrzność nieszczęśliwa mi

swych darów, a drzwiami i oknami cisnęły mi się w dom korzyści. Dobra moje nietylko żadnym długiem nie były obciążone, ale jeszcze posiadałem znaczny obrotowy kapitał. To szczęśliwe powodzenie rozrzucało mnie. Chciałem korzystać z pomyslnej gwiazdy i pomnożyć dzieciom majątek, zakupując tu i owdzie wystawione na sprzedaż dobra. Rozrzucony między oddalone od siebie o mil kilka posiadłości, wydolać ich zarządowi nie mogłem, ani też spłacić reszty summ szacunkowych. Zabrałem więc w długi których stosunkowy ogrom o tyle mnie przeraża, iż chorym będąc, ani korzystnej sprzedaży, ani podwyższenia intrat skutecznie nie mogę. Długi te zaręczone na wszystkich moich dobrach, narażają mnie na sekwestr ogólny i przyprawić mogą o zupełną stratę lub znaczny uszczerbek majątku.

— A jakażby była summa najpilniejsza do zapłacenia, zapytałem się mego stryja, i jak wiele w tej chwili stryjowi potrzeba?

— Ośmkroć sto tysięcy rzecze on, lub może i co przeniesie.

— Więc nie turbuj się drogi stryju, odrzekłem. Dzięki Bogu mam tę summę tu z sobą nawet i składam ją u nóg twoich! Twój-to łasce i powziętemu w domu twoim wychowaniu zawdzięczam majątek, twojej opiece wszystko co mam winien jestem, przeto Bogu dziękuję iż mi dzisiaj nastrecza sposobność przy-

niesienia ci ulgi w chwilowych troskach. Tym zaś dowodem mojej wdzięczności niechęć i nie mogę się kwitować z dobrodziejstw od ciebie doznanych, bo serca, opieki moralnej, troskliwości ojcowskiej, żadnymi się skarbami opłacić i odwdziżyć nie zdoła. Ale dobrą dla mnie jest i ta mała sposobność usłużenia ci kochany stryju. Dzisiaj więc jeszcze rozrządź tą summą — zostawiam ci ją tu bezwarunkowo, a sam za resztę pozostałą mi, wezmę w dzierżawę Staszów i klucz Szydłowiecki i mam nadzieję, że wkrótce przy pracy i staraniach podwoję włożone w ten prze-mysł fundusze.

Mój stryj utkwiał we mnie wzrok badawczy, który mnie przeraził, zdawał on mi się pytać, czy te zamiary są szczerze i czy ofiara płynie z serca? a potem rzekł:

— Ta gotowość ulżenia mi w troskach, godna jest twojego serca które Bóg tyłą łaskami obdarzył, ale przyjąć jej nie mogę, bo nikogo we współnictwo moich niepowodzeń wciągać mi się niegodzi, a tém bardziej ciebie, którego pomyslnność majątkowa równie mnie cieszy, jakby własnego syna. Zachowaj więc tę summę, pomnóż ją, a ty przynajmniej przez stanowisko majątniejszego obywatela, podpieraj ród nasz w tym lichym świecie, w którym bogactwo więcej zjednywa ludziom poważania, jak enota, rozum i zasługi. Ja już jestem starym, i choroba nieuleczona ciśnie mnie

do grobu; mnie się już nie wiele należy, i nie wiele też kraj po mnie wymagać może, ale wy młodzi uświetniajcie imię które wam przodkowie wasi czyste od wszelkiej zmayı przekazują, i dorabiajcie się uczciwym sposobem majątku, a to nie z łakomstwa i w celu dogodzenia dumie, ale w celu zachowania tej godności szlacheckiej i tego w społeczeństwie stanowiska, które głównie zaręczyć może niepodległość majątkowa. Szlachty zadaniem jest, zbierać skrętnie a rozdawać hojnie—przymnażać i rozsypywać, bo przez nas Opatrzność dary swe rozdziela, i przez nas też Opatrzność zakładne spichrze napelnia.

Te słowa mego stryja rozrzewniły mnie, ale i dotknęły boleśnie; — on pochylił głowę na piersi i myślił;... ja z mojej strony szukałem w duszy sposobu zmaglenia go prawie do przyjęcia tej summy, a po chwili namysłu, rzekłem:

— Przyjąłem do serca każdy twój wyraz drogi stryju z uszanowaniem i miłością synowską, a wyznaję, iż jeśli powodzenie majątkowe jakiego mi Bóg przyporządził zadawalnia mnie i pociesza, to dla tego głównie, iż przez te dary Opatrzności użytecznym być mogę krajowi, a także i odpowiedzieć szlacheckiemu w społeczeństwie stanowisku. Kocham mój ród, a w tarczy herbowej widzę jedno ze znamion wybraństwa, bo komu Bóg daje znak, to mu też daje i posłannictwo, czyli powołuje go i stowarzysza do dzieł

ogólne dobro na celu mających. A dla tego właśnie iż kocham mój ród, pragnę aby nikt, żadnemu z nas niemiał nic do zarzucenia. Jakże więc mógłbym dozwolić, aby tobie mój stryju, głowie i zaszczytowi rodu naszego, zarzucano, że się ze swych przyrzeczeń niewywiązałeś. Czyliżby plama ze rdzy skąpstwa i samolubstwa nie padła na moją herbową tarczę, gdybym obojętnie patrzył, na sekwestr dóbr twoich, na twoje upokorzenie, na upokorzenie braci moich, synów twoich i ubóstwo twój żony i córek? Czylibym nie zasłużył na powszechną wzgardę, gdybym siedząc na pieniądzach, patrzył bez wzruszenia i wstydu jak licytują stryja mojego, opiekuna mego sieroctwa, dobroczyńcę i naczelnika rodziny naszej. Wolalbym w takim razie wrócić do stanu ubóstwa, nie nie mieć, nie nie posiadać, jak posiadając na to zezwolić i skutecznie nie zaradzać. Zaklinam cię więc mój stryju na miłość twoją dla mnie, i na wspomnienia o małym Ignasiu, którego ojcowską otaczałeś troskliwością, abyś jego ofiary nieodtrącał. Zrób to przez szacunek dla imienia które nosisz i które synom twoim i mnie jest wspólne, zrób przez wzgląd na sławę szlachecką której przez niesłowność uwłaczać się niegodzi. Weź tę summę z tej samej ręki, która dawniej czerpała ze źródeł twojej hojnej miłości. Bóg mi nastrocza tę sposobność, nie usuwajże mi jój drogi stryju, ale

uważaj ją za szczęśliwe dla mnie zrzadzenie Opatrzności.

Mój stryj widocznie wzruszony, westchnął głęboko — spojrzął na mnie i z obu oczów łzy mu pociekły, a gdy do powagi zwykłej mu, powrócił, rzekł:

— Kiedy tak chcesz koniecznie szlachetny synowcze, więc przyjmuję tę summę tytułem pożyczki, ale pod jednym warunkiem, o którym chcę być upewnionym przed śmiercią. Tym warunkiem jest, abyś przyrzekł mi, iż staniesz się opiekunem wdowy mój i dzieci, tak, jak ja niegdyś byłem twoim.

Upadłem do nóg stryja i oblewając je łzami, dałem mu to przyrzeczenie, upewniając, iż jego łaskawe zaufanie za najwyższy dla siebie poczytuję zaszczyt i szczęście. — Wtenczas stryj mój przywoławszy żony córek, rzekł im:

— Widzicie w panu Ignacym naszego ratownika i dobroczyńcę, bo w troskach majątkowych, które przyspieszając śmierć moją, wcześniójby was jeszcze osierociły, a razem wyzwały z majątku, skuteczną przyniósł pomoc, ofiarując nam swój kapitał ośmiu kroć stu tysięcy, którym ciężące na dobrach oczyścimy długi. Opierałem się tej szlachetnej ofercie, ale widząc iż odmówienie moje jest mu bolesném, przyjąłem tę summę jako pożyczkę, z warunkiem atoli, aby on po mojej śmierci zastąpił mnie w opiece nad wami.

Przedstawiam wam przeto w panu Ignacym przyszłego waszego opiekona.

Na te słowa stryja mówiącego z rozrzewnieniem, wszyscyśmy się łzami zalali i otoczywszy go, okryliśmy nogi jego i ręce tkliwymi uściskami, poczem stryjenka zwróciwszy się do mnie, ucałowała mnie w głowę — młodsza córka Teofilka rzuciła mi się z płaczem na szyję, a starsza Marysia pocałowawszy mnie lekliwie w ramię, zapłonila się i odskoczyła na bok.

Mój stryj który był znawcą ludzi, a tém bardziej znał swoje dzieci, zrozumiał ten ruch odwrotny swęj córki, i poznał, że jak zwykle bywa, pierwsze uczucie miłości poczyna się od obawy, czyli raczej od pewnej lekliwości. — Dla tego z miłym uśmiechem odwróciwszy się ku córce, rzekł:

— Widzę że moja Marysia za mnie długi panu Ignacemu chce wypłacać.

Potém zaś zwróciwszy się do mnie, zapytał:

— Czy przyjmujesz taką kruchą hipotekę?...

Nadspodziewanie zagadniony, oniemiałem i czułem iż mi ze wszystkich żył krew do twarzy skoczyła. Musiałem być bardzo czerwonym, gdyż mój stryj żartując, dodał:

— Dawno nie widziałem, aby młodzieniec trzydziesto kilku letni tak umiał się rumienić.

Ja zaś nie umiałem sobie zdać sprawy, czyli ta cała rzecz stoi na gruncie prostego żartu, czy też pewniejszą i rzeczywistą przybrać ma podstawę. Pocałowałem stryja w rękę, ale nie mu nie odpowiedziałem, bo i trudno było co odpowiedzieć. Gdy zaś mnie stryj zapytał co o tém myśle? Pojąłem wtenczas iż się rzecz na prawdę toczy i za całą odpowiedź padłem do nóg stryjowi i stryjence, a potem zapytałem Marysi czybym się mógł spodziewać jej przychylności? — Ona jak zwykle czynią wszystkie panny, odpowiedziała, iż w wyborze polega na woli rodziców, czyli tłumacząc to wedle prawdy, iż nie niema przeciwko mnie! — Szczęście moje było tak wielkie, iż raz jeszcze ucałowawszy nogi rodziców i rękę panny, rozrzewniłem się z nadmiaru pociechy, i z wdzięczności dla Pana Boga, który w jednym dniu tyle mi łask zesłał, i pozwolił dawny mój dług w części temu domowi wypłacić a nieskończenie większy na nowo zaciągnąć.

Wkrótce potem wyjechałem do Staszowa i wziąłem dobra te w dzierżawę wraz z kluczem Szydłowieckim, który później bratu memu Wincentemu odstąpiłem. — Uzyskawszy zaś w Rzymie dyspensę do wejścia w śluby małżeńskie, mogłem jeszcze za życia stryja mego połączyć się z dzisiejszą moją żoną. Lecz nie długo potem, śmierć pozbawiła mnie najgodniejszego stryja i teścia, a wskutek działów familijnych,

spadł na mnie ciężar posiadania Zborowa, tej obszernej ale pracowitej majątności.—Radbym aby z owoców tej pracy przynajmniej dzieci nasze korzystały, bo co do mnie, to same tylko czekają mię trudy.

Xiądz Adryan z zajęciem słuchał tego opowiadania, i po chwili rzekł:

— Mój Mości dobrodzieju, nie wiem kogobym miał z was więcej chwalić z dzieł prawdziwie chrześcijańskich jakimi żywot wasz napełniście.—Piękne sentymta stryja i teścia Wepana Dobrodzieja, znalazły też godne siebie współzawodnictwo w szlache-tnych uczuciach synowca. Obu przeto zarówno pochwałać się godzi i przystoi. Ale nieskończonej chwały jest tylko godnym sam Bóg, który serca wasze ku dobremu i ku dziełom zbawiennym skłonił.—A przeto chwałę Boga,—chwałę go sercem wdzięcznym, pocieszając się myślą, iż stawil w was dzieło swojej łaski, a przymnażając wam zasługi, pozwala drugim widzieć w czynach tak pięknych godne owoce wiary. Bez wiary Moćpanie i bez tej gruntownej religii jaką się w waszych rodzinnych stosunkach rzadzicie, poświęcenia takie byłyby niepodobne lub trudne, ale przy wierze, każda ofiara jest słodką, bo się ją czyni dla Pana Boga i w duchu Bożym.—Rozrzewniło mnie sieroctwo twoje Moćpanie w latach twych dziecinnych, ale utwierdziło razem w przekonaniu, iż się Bóg opiekuje sierotą, tém bardziej, jeśli ta sierota jest dzieckiem

ojca, który nie na zbytki i rozpustę stracił swoją substancją, ale ją dla drugich poświęcił. Oto znowu masz znaczny majątek, ale któż wie czyli go znowu syn twój nie straci? przeto nie zasadzaj szczęścia twych dzieci na tém czegoś się dorobił, ale na cnotach, które bogdajes w nich zaszczerpił. — Mnie Bóg w starości mojej także szacowną a nadspodziewaną zrządził łaskę, iż mnie w dom wasz zesłał. — Przyzwyczajonym będąc do trybu zakonnego życia, wypraszałem się długo przełożonemu od spełniania obowiązków kapelana w Proszówkach, bo jeżeli świat i jego obyczaje są niebezpiecznymi dla młodego Xiędza, to są one przykrym dla starego zakonnika ciężarem. Lecz w Waszej rodzinie jestem jak w zakonie, bo nietylko nie jestem zrażony sprawami przeciwnymi Boskim przykazaniom, lecz zbudowany waszą pobożnością. — Dla tego dziękuję Bogu za was, modłę się za wami, a proszę Zbawiciela, iżby przykłady życia waszej świątobliwej matki i wasze, zachęciły i innych do cnoty i aby je Bóg kiedy dla chwały swojej jawnymi uczynił.

XXVII.

Przyjaźń mojej Babki, z panną Duval Ksienią Staniątecką.

Smutno słyszyć jak świat nadużywa i zużywa to piękne miano przyjaźni, stosując go do wszelkiego współnictwa czy to w celach chwały, czy obrazy Bożej. Dużo zdaje mi się czystiej pojmuje lud nasz wyraz przyjaciel, używając go ku oznace przynajmniej pokrewieństwa. Wszakże prawdziwe znaczenie przyjaźni wyższem jest nad krwi stosunek i wyższem nad zlepek doczesnych interesów. — Jest to bowiem zespolenie dusz wzajemnymi obowiązkami ku osiągnięciu celów wiecznych: jest to doczesna umowa między duszami o wieczną miłość w niebie i o wiekuistą jedność w Bogu. Jest to zawarta wspólka, w której cnota jest zakładowym kapitałem, wzajemna modlitwa przemyśłem, pociecha serc odsetkiem, zasługa dorobkiem, chwała Boża celem, zbawienie

zapłątą. Taka to przyjaźń łączyła dwie czyste i po-
bożne dusze: — panny ksieni klasztoru Staniąteckiego
z moją babką.

Panna Duval z majątniej i starszlacheckiej rodziny
francuzkiej pochodząca, ale indigenatem dziadom jej
nadany, w poczet polskiego szlachectwa zaliczona,
była jedną z tych dusz wybranych, które Bóg stawia
na świeczniku aby przykładem enót pomrok błędów
rozjaśniały. Jako zaś w uroczyste święto, nie stawia
się na wielkim ołtarzu grobowych kagańców, ale do-
brawszy prostych i wyniosłych świec z czystego wo-
sku, niemi się wielki ołtarz przystraja, tak téż i dla
sławy zgromadzenia panien Benedyktynek w Staniąt-
kach, postawił Bóg przełożoną, która nie tylko z wiel-
kiej życia świątobliwości była znaną, ale przy wyso-
kim rozumie i głębokiej nauce rzadkim wdziękiem
postaci zewnętrznej jaśniała. — Była to rzeczywiście
owa ołtarna świeca, wysoka i smukła, a gorejąca
czystym płomieniem wiary i miłości Bożej. — Była ona
jak lilia biała, która nie żałuje, iż ją odetną od zie-
mi, byle przez czas niejaki była ozdobą świątyni pań-
skiej, a rozwinęła się i zwiędła u nóg Zbawiciela. —
Pamiętam iż gdy w Staniątkach panna Duval wyszła
na czele zakonnego orszaku przystrojona w kołpak
(po *Wizennie* przywilejem odziedziczony), to się zda-
wało, iż wódz aniołów prowadzi poczet niebiański
przez ziemskie padole, a po stoczeniu walki z poku-

sami życia w tym samym porządku powróci do nieba.
Lecz dla objaśnienia czytelnika, muszę zbroczyć na
chwilę od głównego przedmiotu i słowo o samymże
klasztorze Staniąteckim nadmienić. —

Klasztor Benedyktynek w Staniątkach zbudowany i
w fundusze zaopatrzony przez Kłemensa Branickiego,
piszącego się Hrabia na Ruszczy, oddany był na chwa-
łę Bożą siostróm tego zakonu, w raz z poświęceniem
służbie Chrystusowej jedynej córki Wizenny, która
nowo założonego klasztoru była pierwszą ksienią. —
Gdy się przy furcie zakonnej po raz ostatni z rodzi-
cami żegnała, matka zdjawszy ze swęj głowy kołpak
złoty sobolami obsyty, włożyła go na głowę swęj
córki, objawiwszy życzenie, aby wszystkie przełożone
tego zakonu na znak urzędu tę ozdobę przybierały.
Kościół na to życzenie zezwolił i obyczaj ten do dziś-
dnia jest przechowanym. — Wizenna pierwsza ksieni
panien Benedyktynek Staniąteckich, odznaczała się
świętością życia a pamięć jej przechowują nam dzieje.
Posiadała téż dar proroczy, bo gdy w lat kilka po
wstąpieniu do zakonu Bóg jej dał brata, rodzice ra-
dzili się, jakieby mu dać imię? Wizenna rzekła, iż
gdy to dziecko nazajutrz po odebranych chrzcie Śtym
umrze, przeto najstósowniej dać mu imię *Dojutrek*. —
Tak się téż stało, i *Dojutrek* umarł nazajutrz a po-
chowanym został w grobach kościoła Staniąteckiego,
gdzie téż później złożono i ciała Wizenny oraz jej

matki a w końcu Klemensa Hr. Branickiego, który zginął w rozprawie z Tatarami. —

Panna Duval nosząc z powołanego przywileju kołpak złoty na głowie, miała przy wysokim wzroście archanielską postawę. Jedni w niej podziwiali wspaniałość i powagę, inni słodycz, ci oceniali rozum, a tamci uderzeni wdziękami twarzy i kibici, żalowali, iż taka piękna pani zakonnemu poświęciła się życiu.

Bo epoka w której rzecz opisuję, sięga 1810 r. a wtenczas już byli nowi ludzie, którzy Bogu zazdrościli chwały, kościołowi bogactw, duchowieństwu i zakonom cnót i zasługi. — Już to była epoka w której pewna część szlachty nie byłaby na Xiędza poświęciła syna, chyba niedołęgę, a nieoddała córki do zakonu tylko ułomną. —

Panna Ksieni Staniątecka korzystając z bliskiego z Proszówkami sąsiedztwa, odwiedzała często moją babkę, dawną swoją i serdeczną przyjaciółkę. — Zajeżdżała kareta czterma końmi zaprzęzoną i przywoziła z sobą towarzyszkę czyli pannę Sekretarkę, która będąc wielkiej łagodności charakteru i dobrego wychowania, zabawiała się opowiadaniem pobożnych legend, dwóm rezydentkom domu, zakonnicom od Śgo Józefa. —

Moja babka starszą była o wiele lat od panny Ksieni, ale bardzo ją szanowała i pomimo ścisłej poufałości, nazywała ją *Mathą* w ten czas, kiedy panna Du-

val dobrą swoją przyjaciółkę nazywała *Józią*. — Jakoż łatwo pojąć, iż ojcowstwo duchowe nie odnosząc się do lat doczesnych, ale do wieczności nie może się liczyć wedle stopy doczesnego wieku. Rozmowa babki mojej z panną Duval toczyła się zawsze o rzeczach Bożych, bo te dwa serca podsycały się wzajemnie uczuciem miłości Boga i bliźniego. Babka moja unosiła się nad szczęściem życia zakonnego i niemal zazdrościła swojej przyjaciółce jej stanu, mówiąc: Gdybyś mnie matko przyjęła, i gdyby na to wasza reguła pozwalała, to pomimo lat moich i szczęścia jakie mi Bóg w dzieciach i wnukach przysporzył, jeszcze bym dzisiaj wstąpiła do zakonu, służąc wam przynajmniej jako furtyanka. —

— Moja Józiu, odpowie panna Duval, nieprzeczę, iż stan zakonny doskonalszym jest od świeckiego, ale nie jest on jedyną i wyłączną drogą zbawienia. — Każdemu człowiekowi w szczególnym jego położeniu i stanowisku, udziela Bóg odpowiednich łask i środków zbawienie duszy zapewniających. — Od człowieka więc tylko zależy, aby one przyjął i chciał je ku szczęściu wiecznemu i doczesnemu zużytecznić. — Jeżeli my w życiu zakonnym mamy wielkie pociechy a razem szczególną pomoc z nieba, ku spełnianiu dzieł chwałę Bożą pomnażających, to też mamy i trudności, których świeckie społeczeństwo nie doznaje. — Nie myśl przeto moja siostró abyś wchodząc

do zakonu czyściec twojego życia na raj zamieniła. Zmieniłabyś tylko izbę w tym wielkim gmachu świątą, w którym wszyscy zarówno czyściec odbywają i albo przez pilną pracę i posłuszeństwo prawu Bożemu dorabiają się nieba, lub też nie korzystając z zasług pokutnego na ziemi żywota, przez grób w otchłań wiecznych kar zapadają. — Nasza zakonna w tym czyścju izba, jest może lepiej umiecioną i oświeca ją bezpośrednio promień łaski Bożej, ale też Bóg po nas więcej wymaga, i to, z czego Bóg ludzi w świecie żyjących mniej surowo sądzi, staje się dla nas powodem kar wiecznych. — A wreszcie droga siostrzo, wszak dom twój jest prawie zakonem stojącym pod ogólną regułą praw Chrystusowych. — Ty jesteś jego przełożoną, domownicę członkami zgromadzenia, a ubodzy celem głównym waszych starań i środkiem ku zaskarżeniu u Boga zasługi. —

— Tak byćby powinno, rzecze moja babka, ale właśnie to przełożęństwo pana lub pani domu, wkłada na nich twarde i trudne obowiązki. — Musimy odpowiadać przed Bogiem za naszych domowników, a nie mamy środków wstrzymania ich od grzechów, i nastrożenia sposobności do dzieł zbawiennych. — Gdybym zaś weszła do zakonu, to będąc sama pod posłuszeństwem, zrzuciłabym z siebie ciężar przełożęństwa nad domownikami. — Mogłabym się po dniach całych modlić, Boga chwalić, służyć zgromadzeniu, i

łatwiej dla siebie i dla moich wyprosić łaski i miłosierdzie Boże a tém samém nadzieję zbawienia. —

— Widzisz moja Józio, iż chcesz cięższy na lżejszy krzyż zamienić skoro mówisz o łatwiejszej dla ciebie drodze zbawienia. — Czy myślisz iż by Cię tam Bóg nie znalazł, i czyliby Cię w zakonie cięższym jeszcze nie obarczył krzyżem? Wystaw sobie iż wyrzekłszy się rodziny twojej wskutek ślubów zakonnych, dowiadujesz się o chorobie dzieci twych lub wnuków. — Wrodzone uczucie i głos natury woła cię do ich łóża, chciałabyś ich ratować służyć im, pocieszać strapionych, ale klauzura zakonna trzyma cię na uwięzi. — Już rodzina twoja, to my — Siostry twoje, dzieci i wnuki, to są sieroty, które wychowujemy. — Waleczysz więc, a chociaż zakonne posłuszeństwo nad głosem natury przemaga, to jednak ciężaru takiego krzyża unieść ci trudno i nieraz pod nim upadasz. — Kto wie czyli pod taką pokusą zostając nie żałujesz iż nierozważnie uczyniłaś śluby! — Otóż Bóg pragnąc zbawić wszystkich ludzi, nigdy ich sumienia w przeciwieństwie nie stawia, i wymagać też nie może, aby z pogwałceniem równie świętych obowiązków, poświęcano się wyłącznej jego służbie. Powołanie do zakonu, nie jest bezwzględny i dobrym aktem ludzkiej woli: nie jest domem schronienia dla osób skołatanych życiem i pragnących spoczynku po światowym trudzie, ale jest łaską od-

dzielną i wyłączną, — wybraństwem, i naznaczeniem, które dusza uznaje, przyjmuje z wolnością, i dokonawszy prób uciążliwych dla ciała i ducha, dopiero wtenczas krzyż pański na barki swe bierze, gdy się upewni, że go uniesie i złoży dopiero na własnym grobie. — Jeżeli więc młoda osoba długo namyslać się powinna, za nim przyrzeczenie zawarcia małżeńskich ślubów da oblubieńcowi, to jeszcze dłużej badać się jej wewnątrznie wypada, czyli zamiary wejścia do zakonu są czyste, stałe, i od wszelkich względów ludzkich wolne. — Czyli ją rzeczywiście głos Boży powołuje, lub rozpacz albo upokorzenie ze świata wypęda? — Czy poświęcenie dla wyłącznej służby Boskiej ku temu stanowi ją skłania? lub też dla uniknienia poświęceń do zakonu spieszy? — Święte jest życie zakonne, jeżeli my zakonnice tę świętość do klasztoru wnosimy, ale jeżeli doń przynosimy piekło, to tém większa jest nasza odpowiedzialność, iż to piekło stoi pod znakiem Chrystusowym. — Jabym ci zupełnie inną dała radę moja droga sestro, rzece dalej panna Duval, oto, abyś kłopoty gospodarskie porzuciwszy, pojechała do Krakowa i tam osiadła. — Będiesz w pośród rodziny i przyjaciół, blisko źródeł duchownych. — Przykład twojego życia nie będzie bez korzyści dla drugich. — Wychowanie twego wnuka będzie tam łatwiejsze, i tak dopełnisz rzeczywistego powołania życia twojego. —

— Oh matko! cóż mi téż radzisz!! Dla mnie świat w Proszówkach jest już za wielkim, a ty mnie w gwar większego jeszcze chcesz rzucić!

— Nieznasz dostatecznie siebie samęj moja Józio, i myślisz iżby się twoje serce bez ludzi obeszło! — Nie zaiste, ... tybyś nie była ani chwili szczęśliwą i spokojną, gdybyś miłości twojej dla bliźnich w codzienném zastósowaniu nie mogła urzeczywistniać. — Twoja nieograniczona gościnność płynie tylko z czystej dla bliźnich miłości; i dla ciebie potrzebą serca jest służyć drugim, żywić ich, pocieszać, i ogrzewać ciepłem opiekónczej troskliwości. — Bóg cię tą drogą prowadzi, i na téj drodze przysparza ci zasług. — Jako więc zakonnika mającego te przymioty wysłają przełożeni na missyą, tak jabym Cię chciała wysłać w świat wielki na missyonarkę. —

— Jaktó mnie, moja matko? — mnie? której może jedynym przymiotem jest duch pokoju i cichość, — mnie którą wrzawa wielkiego świata głuszy?

— Ciebie właśnie, i dla tego ciebie, że masz przymiot pokory, na którym wielkiemu światu zbywa, chciałabym cię widzieć wśród świata abyś przekonała iż można żyć w tłumie ludzi i żyć w świecie a niebyć ze świata, ani téż jego niewolnicą. —

— Oh, do tego zakonu moja dobra matko niemam powołania, rzece moja babka. —

— Ale masz prawo i zdolności odpowie panna Duval, a twoja córka to ma i powołanie. — Lecz właśnie to, co ona robi z przyjemności, to ty zrobisz w duchu ofiary. —

— Może być że i na tém skończę, ale chyba dużo później odpowie babka moja. —

Rada panny Ksieni w kilka lat później przysłała do skutku, a tém czasem babka moja korzystając ze zbliżenia ze Staniątkami, często bardzo jeździła w odwiedziny do swojej przyjaciółki, lub ją do siebie zapraszała i obiedwie we wspólnym towarzystwie tak zasmakowały, że dla nich bliższe i częstsze z sobą stosunki stały się życia potrzebą. — Żałuję iż żadnego z mnogich listów panny Duval do mojej babki pisanych, nie udało mi się do dziś dnia przechować miałem onych zbiór duży, ale wraz z innymi stratami i tę poniosłem. —

XXVIII.

Spowiedź Wielkanocna.

Jednym z poważnych i uroczystych aktów w domu mojej babki była spowiedź domowników w czasie wielkiego tygodnia i poprzednie do niej przygotowanie. — Wiedzieli sąsiedzi a nawet i krewni, iż cały wielki tydzień w Proszówkach poświęconym jest nabożeństwu i głębszemu rozmyślaniu, nikt więc w tym czasie nie przyjeżdżał. — Roboty nawet gospodarskie szły wolniejszym trybem, a służba ogólna o tyle się odbywała, o ile była niezbędną do żywienia ludzi i bydła. — Zwyczaj wszyscy razem z panią domu spowiadali się w dzień wielkiego Czwartku w Krzyżanowicach, gdzie Xdz Żabiński ku pomocy OO. Reformatów z Wieliczki i Xdza Adryana zapraszał. Wszyscy też razem przystępowali do stołu Pańskiego i odbierali chleb aniołów z rąk Xdza Proboszcza. —

We Środę po obiedzie zwoływano do mojej babki wszystkich domowników, a gdy się ci zgromadzili w bawialnym pokoju i ustawili w półkole, moja babka stanęła w pośród nich, i złożwszy z pokorą ręce, oświadczyła, iż ma intencją w dniu następnym robić spowiedź wielkanocną, przeto uprasza każdego z domowników i sług swoich, aby ostrzegli ją, czy w jakikolwiek sposób z wiedzą swą lub bez wiedzy kogo z nich nieukrzywdziła na majątku albo na cześci, i że postanawia zaraz, lub gdyby to w tej chwili nie dało się skutecznie, później krzywdę wynagrodzić. — Przeprasza razem za wszystkie obrazy, z krewkości lub ułomności jej pochodzące. — Uprasza razem aby ją ostrzeżono, czyli nieobrazila sumienia jakim przeciążeniem gromady w pracy lub w szczupłym wynagrodzeniu zarobków. —

Zwykle się na tém rzecz kończyła, iż domownicy zamiast odpowiadać, płakali z rozezulenia, a niektórzy do nóg méj babki rzucając się, ją znowu przeprasza i o przebaczenie za uchybienia prosili. Gdy to się skończyło, znowu prosiła babka moja domowników aby chcieli i między sobą wzajemne urazy i gniewy załatwić, pogodzić się, przeprosić, i w usposobieniu miłości i jedności w Bogu przystępować do przenajświętszej biesiady. —

Była to chwila nader uroczysta! — Każdy głowę schyliwszy, milczał i budził w duszy wspomnienia, a

potem wodząc wzrok po współdomownikach, upatrywał tych, którym miał przyjaźń powrócić. — Kaliciński zaczął akt zgody i chodząc do tego lub owego, prosił o przebaczenie. — Za nim w trop poszła Tuchowska i wszystkich przepraszała, bo ze wszystkiemi chociaż bez żółci ale z krewkości w swary wchodziła. Potém już wszyscy domownicy zmieszani w jedno gronko zwijali się i rozwijali, przeprasząc się wzajemnie to słowem, uściskiem lub łzami, a zgoda ta była szczerą, bo kiedy się szło do spowiedzi, to tak, jakby stało się przed Bogiem w dzień śmierci. —

Po tej wzajemnej zgodzie i zadośćuczynieniu, Xdz polecił, aby się w cichości i zebraniu ducha do spowiedzi świętej gotowali, a nazajutrz o piątej z rana do Krzyżanowic poszli, nie rozmawiając lekkomyślnie po drodze, ale śpiewając psalmy lub też odmawiając Koronkę. —

Gdyby zaś kto, w rzeczach sumienia przed spowiedzią miał jaką wątpliwość, to może udać się do kaplicy, gdzie on oczekiwać będzie do wieczora. —

Całe potém domowników grono w jednej chwili się rozsypało, i było w tym dniu tak cicho we dworze, oficynie i na podworecu, jakby wszyscy we dworze wymarli. —

Jakoż umarli oni dla starych grzechów, aby ożyć dla cnót Chrześcijańskich, Sakramentami świętymi w du-

szy wskrzeszonych. — Każdy w swoim kąciuku, czytał książkę nabożną. — Panna Tekla w gabinecie grzechy swoje na kartce spisywała, i często chodziła do kaplicy po objaśnienie sumienia. — A niemowa, która spowiadać się nie mogła, siedziała w kuchni na stepie i ciągle na obie strony całowała szkaplerz i w niebo oczy wznosiła. — Bóg ją rozumiał, bo często niemowa do Boga wymowniej mówi, jak ten co niebo zasypuje słów obfitością i leniwy w sercu pracuje tylko wargami. —

Wieczór jakby makiem zasiał. — Każdy się modlił, a nazajutrz szedł Kaliciński przodem odmawiając wraz z resztą czeladzi koronkę — drugi pobożny zastęp prowadził Boratyński, a gdy się na ósmą z rana spowiedź i Komunię świętą ukończyła, w tym samym znowu porządku wracano do Proszówek odmawiając po drodze litaniją do pana Jezusa, i koronkę o Boskiej opatrzności. —

W wielki Piątek domownicy dzieląc się na trzy oddziały, obchodzili groby Pańskie w kościele Krzyżanowickim i w Bochni, śpiewając po drodze gorzkie żale. Co jedni wrócili, to odechodzili drudzy, a tę pobożną pielgrzymkę odbyła i Babka moja w towarzystwie Xdza Adryana, pani Usielskiej i panny Tekli. —

W wielką Sobotę Tuchowska i cała służba kuchenna w niemających była obrotach, bo święcone w Pro-

szówkach tak co do jakości jak i co do ilości obliczone było na miarę uczuć gościnnych pani Starościny i jej staro-polskich nawyknień. — W sobotę więc na noc wszyscy się zjeżdżali, a w Niedzielę po summie przybywał p. Kreiskapitan, który nie tylko te obyczaje chrześcijańskie szanował i zachowywał, ale onych w domu mojej babki zastosowanie, wysoko cenił. — Co go zaś szczególnież zbudowało i rozrzewniło, to święcone dla ubogich, na którego rozdawanie właśnie był natrafił. Każdy ubogi, miał osobny bocheneczek światlejszego chleba, i kawałek szynki lub głowizny. Takie małe święcone, ustawiono na rozciągniętej sztuce płótna na trawniku, a bochenek chleba i mięso wystrojono gałkami bukszanu. Schodzili się więc ubodzy ze wsi i z okolic, siadając każdy przed udzieloną sobie częścią wielkanocnej uczy. — Po drugiej stronie podwórca, stali z koszykami ubożsi włościanie Proszówek, i odbierali także udział święconego. —

Pan Kreiskapitan zbliżywszy się do Xiedza Adryana, rzekł rozczulony. Oh, cóż to za dusza mój Xieże Kapelanie, téj naszej p. Starościny!!

— Nic dziwnego Mości Baronie, odrzeknie Xdz Adryan, jest Chrześcianką i nie wiecój! —

— Prawda, ale nie wszyscy Chrześcianie takimi cnotami się odznaczają, rzecze p. Kreiskapitan. —

— Bo są tylko z imienia Chrześcianami a poganami w duszy, lecz ktokolwiek idzie szczerze za

śladem Zbawiciela i, wypełnia prawo Boże, więcéj jeszcze czyni jak pani Staroscina. — I ona rzeczywiście chodzi po drodze Bożéj, — lecz święte dużo więcéj czyniły, a świat o tém nie wie, ani ich nie naśladowuje. —

XXIX.

Uwieńczenie życzeń panny Szadurskiéj i pana Filaczyńskiego.

Skończyła się żałoba po Ojcu pana Filaczyńskiego a więc rychtemu połączeniu się z panną Szadurską nie nie stawało na zawadzie. — Babka moja oznaczyła dzień ślubu na 8. Września, po skończonych żniwach, w epoce właśnie w którój i panowie i oficyaliści mniej mieli na wsi zajęcia. — Wyprawa panny Szadurskiéj oddawna była gotową. — Wina w kilku gatunkach kupiono, a zaproszenia na wesele rozbiegły się zarówno między państwem jak i pomiędzy oficyalistami. — Babka moja upoważniła p. Filaczyńskiego aby zaprosił Stryja swojego Nadleśniczego a razem rodzinę swoją i przyjaciół, brat zaś panny Szadurskiéj, generalny rządca Dobr. Bejsce do p. Szambelana należących, zjechać miał pierwéj i zająć się szczegółami całego ceremoniału. —

Już na parę dni przed naznaczonym terminem zjeżdżali się z dalszych okolic goście. — Lokaj moich rodziców, artysta dekorator, pomalował okiennice w oficynie na czerwono, a wieńcami z hojny przystroił pokój dla państwa młodych. — Wnijscie do oficyny także było umajone splotami liści i kwiatów a ścieżka żółtym wysypana piaskiem. — Muzyka Górników od dawna zamówiona, czekała tylko na danie jej hasła. — Pan Kreiskapitan z żoną, dziećmi i wielą cyrkularnemi urzędnikami był zaproszonym, a także i Xdz Proboszcz z Bochni z Xdzem Katehetą, pan Doktor Kanka z córką. — Pan Teleżyński Aptekarz ze swoją małżonką; oraz z górnictwa kilku urzędników. Droga przez wieś świeżo naprawiona z dohrowolnego natchnienia gromady, kończyła się przy bramie rodzajem tryumfalnego łuku. Słowem wszyscy pracą i pieniędzmi, składali się aby uświetnić wesele p. Filaczyńskiego z Szadurską. — Zaczny i przyjacielski p. Leśniczy z Niepołomskiej puszczy, przyjechał w ogromnym wozie, siedząc na zabitym dziku w śród trupów sarn, głuszców i jarząbków. — Wjeżdżając w bramę trąbił na myśliwskiej trąbce, *pojezdne* a potem *na upadł*. — Fura jego była ozdobiona w świeże dębowe gałęzie, a konie przystrojone w wieńce z leśnych kwiatów. —

Ekonomy z sąsiedztwa przyjaźnią z panem Filaczyńskim zbliżeni zajeżdżali z żonami i córkami. — Po-

wiedzieć przeto można, iż Proszówki zamieniły się w obóz, a podworec zaledwie pomieścił powozy, bryczki, kolasy i wózki. — Większa część tych powozów stała na podworce a konie w brykach przegryzały siano w oczekiwaniu obroku. — Moja babka nie знаła większej części gości, ale cieszyła się że ich dużo i upominała aby mieli wygodę. — W wiliją Państwo młodzi spowiadali się, a na ranniej mszy w kaplicy przyjęli Ciało Pańskie: o jedynastej zaś miał być ślub. Pan Filaczyński o dziewiątej już był wystrojony we fraku aż po kostki, a reszta z nankinu. Biała kamizelka pikowa pod szyję zapięta i długa, oraz chustka biała z muslinu kilka razy szyję obwijająca uzupełniała strój ślubny. — O rękawiczkach białych mowy wtenczas nie było, bo każdy samorodnej rąk swoich skóry się nie wstydził. — Tak ubrany chodził ciągle Pan młody między swemi przyjaciółmi, traktując mężczyzn czystą przepalanką a żony ich i córki likierem. — Była też i przekąska, z chleba, ozorów, szynek i gorzkich makaroników. —

Strój panny młodej, nie szedł z taką łatwością, aczkolwiek ją kilka służących panien ubierało, a Tuchowska pełny papier szpilek trzymała na pogotowiu, do upinania i przypinania rozmaitych kwiatów i gałęzi rozmarynowych i mirtów, które miejscowy Plenisz, arcybotanik p. Teleżyński Aptekarz, naprzywoził z Bochni. — Każda panna służąca dawała projekta,

każda swoją gałązkę w warkocz zaplatała, dość na tém, iż gdy fryzura włosów panny Szadurskiej była ukończoną, głowa jej miała formę świeżej kopy siano, a co najmniej darnistego kopca. Biała suknia ze stanem skrojonym pod gardło, (bo tak krótki stan noszono), ścisła niedokładnie zadębiała żebra, z przodu zaś bukiet rozmiarów zbytecznych, z piersi wyrastał a pod nos się dźwigał. — Na to rzucono chustkę białą ptyfeniową obszytą franzelkami, i już panna młoda była zupełnie do ślubu gotową. — Gdy o tém zawiadomiono pana Filaczyńskiego, przyszedł zaraz ze swym przysłym Szwagrem do pokoju panny młodej, a za nimi wysypali się wszyscy z oficyny goście. — Oblubieniec wziął swoją narzeczoną pod rękę i prowadził do bawialnego pokoju, gdzie już urzędownie czekała ich moja babka otoczona swemi dziećmi przybyłą rodziną i szlachtą. — Państwo młodzi rzucili się wtenczas do nóg babki, prosząc o błogosławieństwo, które im téż babka moja z rozrzewnieniem udzieliła. Panna Szadurska płakała tak gwałtownie, że bano się o nią aby się na serce nierozchorowała; przyniesiono jej szklankę wody, i ową kolońską wódkę, która była w Proszówkach, jakby *Arcanum* na wszystkie choroby a nawet na choroby serca. — Wreszcie gdy Xieża już w kaplicy wszystko do aktu ślubnego przygotowali, a Rzepecki dwie poduszki nakryte dywanem na klęczniku dla Państwa młodych urządził, — Pan

Tomasz Wielogłowski jako kawaler i pan Szadurski brat panny młodej, także kawaler, podali jej ręce, a pana młodego panna Tekla z siostrą p. Filaczyńskiego prowadziła. — Za państwem młodemi szła moja babka z rodziną i gośćmi, potem krewni i przyjaciele p. Filaczyńskiego, później śludzy i wieśniacy, a w jednej chwili kaplica i cała przestrzeń aż do domu zapelnioną była widzami. — Duchowieństwo zaintonowało chórem *Veni Creator*, a Xdz Adryan w asystencji i z upoważnienia Xdza Proboszcza ślub dawał. Panna Szadurska płakała bardzo i mówiła cicho, bo tak było we zwyczaju, i oznaczało żal za panieństwem. Pan młody zaś odważnie ślubował, pilnując się tylko, aby przy podaniu sobie rąk, jego ręka a nie panny młodej była na wierzchu, na znak zwierzchnictwa mężowskiego. — Poczciwy Filaczyński myślał, iż to co pomoże, i że w tém jest jaki talisman władzy!!... Gdzie tam, to tylko złudzenie i próżna pociecha, bo żony tak sobie umieją radzić, iż mąż tylko to im rozkazuje, cę one chcą słuchać! Dość na tém, iż się ślub skończył, a od ślubu, prowadziła Filaczyńskiego moja babka z panią Kreiskapitanową, a pannę młodą mój Ojciec z Stryjem panna młodego. —

Dzień był pogodnym, bo jesień w naszym kraju piękniejsza bywa od wiosny, również jak i Matrony polskie są często miłsze od panien, bo one zachowały jeszcze pogodne oblicza, kiedy młode panienki wla-

tach rozkwitu już są skwaszone, zwarzone i przerostem władz umysłowych zawiedłe. — Otóż uradzono aby nakryć stoły w ogrodzie pod tą ogromną trześnią, która pokolenie nasze szerokim okrywała cieniem. — Przy pierwszym stole siedzieli Państwo młodzi i dostojni goście, przy drugim, kto się zmieścił, a kto nie znalazł miejsca, pożywał dary Boże siedzący, stojący, i przy mniejszych koczował stolikach. — Wśród obiadu ogólna panowała wesołość, a wino płynęło jak Raba — zdrowia szły nieprzerwanym ciągiem, muzyka grała, z takim tylko spoczynkiem, jaki był niezbędnym do wysuszenia gęstą ręką stawianych butelek. — Tém czasem sala jadalna zamienioną była w salę do tańca. —

Moja babka z upragnieniem oczekiwała końca obiadu, bo już na szarym końcu głośniejszy gwar dowodził, iż weselnicy oblali akt ślubny. — Jakoż po obiedzie, *honoratiorēs* poszli do bawialnego pokoju, a łaknący, zostali jeszcze dopijać do dna kielicha rozkoszy.

Trzeźwiejsi, przesadzali się między sobą w oświadczeniach wzajemnej przyjaźni, ci zaś, którym już nogi posług odmówiły, dobijali jak łódki kołatané falami do szpaleru, i w téj przystani szukali spoczynku i miłej ochłody. Lecz nie wszyscy szczęśliwie doszli aż do mety, ale wielu w pół drogi na ławie truskawek, lub pod krzakiem agrestu śłali sobie łoża, nie bardzo wygodne, jednak nieodzowne. —

Wino było czyste i nie szkodziło, dla tego w parę godzin zmartwychwstała rzesza tańcować zapragnęła, i jakoż do sali pannę młodą i panny zawiedli, muzyka zagrziała i poczęto pisać. Jaki był animusz w Krakowiaku, to o tém już młode pokolenie żadnego niema wyobrażenia, bo nie na tém jest sztuka w tańcu, aby nogami przebierać, a choćby i czwalować albo się jak wir kręcić, ale trzeba duszą tańcować, trzeba iżby ruch całego ciała nie płynął z wyrachowanej woli, ale z mimowolnego porwania ducha. Taniec to szal, ... taniec to jest poezycja ruchu — trzeba więc do téj poezyi (nogami się wyrażającój) być natchnionym. — Dla tego kiedy tańczono dawniej, to oczy sypały iskry, ręka w górę wzniesiona jak skrzydło do lotu, lub jak żagiel statku, chwytiała powietrze, a ciało jak cięciwa w połkole zwinięte, gięło się pod nawałem natchnienia i pod nadmiarem ochoty. — Że zaś taniec był dawniej poezją ruchu a nie najętą nóg pracą, dowodzą tego improwizacye Krakowiaków, których wyobraźnia tak hojnie tańczącym dostarczała. — Zaledwie się kto raz w Krakowiaku obrócił i w miejscu uderzył jedną i drugą nogą hołupca, zaledwie przeginając się, jakby kołysany jakąś miłosną myślą, stanął przed muzyką, a już z rękawa sypie Krakowiaki, pełne nieraz dopecipu, przygryzków a często tkliwój zalotności. — Gdy się udał Krakowiak to tańczące grono, jak iskrą elektryczną

tknięte w swym łańcuchu, podwoiło zapału, i dalejże sporządź i ogniścięj i żywiej wytupywać w płasach. — Gdy zaś już pierwszej parze zabrakło natchnienia i długo się namyśla, to się zaraz ze środka wyrzywa natchniony, i miejsce to zajmuje a ogień odżywia. — Tancerki niewiedziały czy chodzą czy lecą, bo jak wichrem porwane własnej już zaprzeczyły woli. Siła ich unosi, urok ich zwycięża; i niepytają kto i jak je wie, tylko czują, że ich szal ogarnął, weselość, kołysze, i że będąc na ziemi, żyją nadziemskim życiem. — Oto tak tańczowano dawniej, i tak się bawiono!

Poważniejsi goście poszli z moją babką przypatrzeć się weselną zabawie, boby przykro było uboższym, gdyby bogatsi wspólnego w ich uciesach nie brali udziału. — Pan Kreiskapitan wspiąwszy się na stołku tak był wesół, tak kontent, i tak się ubawił, że po raz kilka dziękował mojej babce iż go zaprosiła. — Ale całe towarzystwo zaniósło się od śmiechu i zagrzmiało wesołemi okrzykami, gdy pan Tomasz, który sam był na jedną nogę kulawy, wziął do tańca Tuchowską kulejącą na nogę przeciwną. — Tuchowska z początku wzbraniała się ale potem gdy i ją ogarnęła ochota, to tak wywijiała, że już wpisano ją do grona tańczących. — Pan Tomasz umyślnie większego udawał kalękę, ale jednak tańczył jak mało kto Krakowiaka, a zawsze był natchnionym do śpiewu,

(po dobrym obiedzie). Zaczął więc od takiej improwizacji:

Skrzypku graj powoli,
Bo mnie noga boli;
Ale graj od ucha,
Abym nabrał ducha.

* * *
Choć płasam z kulawą.
Ale panną prawą;
Co i dla kochanka,
Nie oddała wianka.

* * *
A zaś pannie młodej,
Choć nie brak urody,
Braknie jój ochoty,
Do panieńskiej cnoty!...

Hulaj dusza, bez kontusza! Hop, sa, sa!!

Pan Tomasz wytańczowawszy się, wrócił do pokoju grać zaczętego druźbarta, a panna Tekla rozżalona, że jój brat pospolituje się tańcząc z klucznicą, dzwoniła mu do ucha wymówki, których on nie bardzo słuchał, aż wreszcie znudzony rzekł: „Musisz jeszcze tego wieczora tańczyć z Boratyńskim, bo swoją drogą szlachectwo a swoją drogą uprzejmość dla wszystkich. — Najprędzej temu korona z głowy spadnie kto ją zbytkiem do góry zadziera, a jak spadnie, to mu jój nikt nie podniesie. Kiedy przeciwnie

gdy się człowiek uprzejmy pochyli, to go każdy rad dźwiga. — Ale na Waćpannę to za mądra mowa. — Oto przynies mi panna siostra wina!...

Tańczące grono bawiło się do północy, popasając i popijając w przestankach, aż dano wieczerną nakrytą w kilku pokojach. — Po wieczery przyszedł czas na czepiny, którego to obyczaju dopełniła moja babka, błogosławiąc jeszcze raz pannie młodej. Przy czepinach śpiewano za oknami pieśń „*O Chmietu*“ do tego stósowną, a później wrócono na salą aby znowu rozpocząć pląsy. —

O szóstej z rana niby się zabawa skończyła, ale nikt się nie położył, lecz się każdy przedrzymał w kącie, i znowu rozbudzony rozmawiał lub się tańczącym przyglądał. — Panna młoda najwięcej cierpiała nad bezsennością swój pani, i ciągle przychodziła prosząc aby spoczęła, ale bliski wschód słońca, chociaż zwiastował koniec nocy, nie zwiastował końca zabawy. — Urzędnicy wprawdzie i niektórzy goście rozjechali się, lecz większa część szczególnież weselników została. — Xiądz Adryan więc wpadł na myśl zbawienną, aby grono tańczących przenieść do namiotu i jakoż tam się już swobodnie przez cały dzień bawiono, a przyjaciele pana Filaczyńskiego uwolnieni od żywiołu ciężącego im powagą, oddali się najszerszej wesołości. Dzień drugi się kończył, i każdy pojmował, że tego już dosyć, kiedy przy ostatnim Krakowiaku, ekonom

z Okocima, niezmordowany hulaka, zaśpiewał znaną zwrotkę:

„Co mi to tam za wesele, co tylko trwa dwa dni
„Gdyby było cały tydzień, toby było ładniej.“

Zapewne iżby może było ładniej, ale nie wygodniej, a wreszcie o ile pierwsza ochota (jak to mówią z kopyta) jest przyjemną, a czasem nawet zajmującą o tyle zbyt przedłużona zabawa doprowadza do przesytu, i nie jest już porwaniem ducha, ale jego rozsawoleniem, a taki stan nazywamy bałamuctwem. —

Otóż w sam czas skończyło się wesele, goście wytańcowani i uraczeni, wrócili do domów, a moja babka i służący wypoczęli po trudach i niewyweczasie. —

Państwo Filaczyńscy przyszedłszy podziękować mojej babce, za poniesione koszta i fatygę, (której jak przytaczali, własni ich rodzice podjąłby niechcieli) zaręczali, iż do śmierci chcą wiernie swój pani służyć i odwdzięczać doznane łaski. — Pani Filaczyńska prosiła, aby mogła na dal téż same przy babce mojej pełnić obowiązki, dopóki sama nie wynajdzie panny służącej, któraby ją i w przychylności i w troskliwości o panią zastąpić mogła. — Z radością przyjęła moja babka tę ofiarę, bo tak swoją sługę lubiła, iż niemogła się przyzwyczaić do myśli rozstania się z nią i chociaż nie dawała jój poznać swego żalu, to zdradzał ją wyraz twarzy i czasem głębokie przy ubieraniu westchnienie, które było jakby słowem bole-

snego pożegnania. — Filaczyńskich miłość i poświęcenie dla babki mojej było bez granic, i kiedy w przód-
dy, każde z osobna miało dla niej uwielbienie, to
później w małżeństwie, zespoliły się te dwa uczucia
w jedynym celu, nieograniczonych dla mojej babki
osobistych ofiar. —

XXX.

Powódź w Proszówkach.

Smutnej pamięci powódź w r. 1813, dotknęła i
Proszówki. Raba wezbrana strumieniami z gór płyną-
cemi a wstrzymana przy ujściu w Wisłę, szeroko i
wysoko rozlała się na przestrzeni kilkomiłowej. Pro-
szówki całe były pod wodą, a drzewa przy starém
Rabisku, wierchołkami tylko sterczały po nad po-
wierzchnią fali. Domy we wsi, aż po strzechę zapeł-
nione wodą, wypowiedziały przytułek mieszkańcom,
którzy chroniąc się na strychy i kalenice wołali ża-
łośnie o ratunek. — Widziano Ojców i Matki uno-
szące dzieci z zalanych domów, ale za późno, bo gdy
się chronić chcieli, nieszczęsny żywioł porobiwszy
przerwy, zdradzał najlepiej obznajomionych z miejsco-
wemi ścieżkami. — Tonały więc te ofiary, w chwili
kiedy już bezpieczniejszych miały osiągnąć brzegów.
Bydło i sprzęty płynęły za prądem i jeżeli w prze-

biegu na wznioślejszy nienatrafły pagórek, to pochłonięte w nurtach, niszczały. —

Dwór w Proszówkach na boczniem wzgórzu zbudowany, jeszcze przez powódź nie był zajęty, acz woda już do bramy podwórca dochodziła. Kto przeto mógł, do dworu się, chronił. — Filaczyński i Boratyński, pragnąc jak najwięcej ludzi wyratować, sporządzili z drzew tratwy; koryta poprzerali na łodzie, bramy i drzwi zestawili w przewozowe statki, a uzbrojeni w osęki, puszczali się na to szerokie morze rwiącej powodzi, i dopływając do domów, zbierali pograżonych już w rozpacz mieszkańców. — Ta wyprawa udawała się im szczęśliwie, bo za każdą razą zwozili rodziny, któreby bez tego ratunku padły były konieczną ofiarą dopuszczonej plagi Bożej. — Cała ta wyratowana gromadka, tuliła się do dworu, a znalazła w mojej babce skuteczne wsparcie, współczucie i otuchę w nieszczęściu. — Dom cały w Proszówkach już był pełnym ludzi, a do sali jadalnej zniesiono dzieci i tam troskliwie opatrywano. Tuchowska poczciwa dowodziła tym oddziałem. — Starsze z dzieci wyprowadzono do ogrodu na kopiec i tam chleb rozdawano, rodzice zaś a szczególnie mężowie zajęci byli sypaniem wału blisku bramy, któryby przynajmniej chwilowo, wściekły pęd powodzi wstrzymywał. Praca ta szła z wielką trudnością, bo ani łopat w dostatecznej ilości nie było, ani deszczami nawilgła zie-

nia potrzebnej nieprzedstawiała spójności. — Woda coraz więcej piętrzyła i zajęła już oficynę a do kuchni pod przyciesią otwór wyrobiwszy, weszła. Służnie więc obawiano się, aby wkrótce niezałała podwórca i dworu, a tém sposobem niepozbauiła ostatniego schronienia. — Kaliciński z wyrazem rozpaczyszedł do mojej babki, prosząc ją, aby się schroniła na górę w kaplicy, gdzie on już dla niej i dla kilku osób pomieścić się mogących łoża i żywność przygotował, albo też, aby do stodoł się schroniła na bróg słomy, który przynajmniej o tyle przedstawia bezpieczeństwa, iż woda w zaciszu i o wiele budynków odbita, rwiącą w tém miejscu nie będzie.

— Nie, rzecze moja babka, — chcę podzielać z wami wszystkimi grożące niebezpieczeństwa i śmierć nawet, jeżeli ją Bóg na nas dopuści. Będąc waszą panią, mam obowiązek być téż waszą matką, a matka dzieci swoich w nieszczęściu nie opuszcza. — Zostanę przeto z wami, poddając się z pokorą Boskim rozrządzeniom.

Panna Tekla przybiegłszy donosi, że woda jest już w ogrodzie, Filaczyńska leżąc u nóg méj babki, prosi, aby usłuchała rady Kalicińskiego. — Zakonnice zeszedłszy z góry trzymają pod pachą tobołki i w pogotowiu do wymarszu pytają co robić? Wszyscy dworscy u wału, a inni w połach od sukni nawoz z stajni noszą. —

Xdz Adryan się modli i siedzi w sali jadalnej, jakby się jego ta scena wcale nie tyczyła. — Wpadł więc Kaliciński do niego i zaklinał, aby z mocy powagi kapłańskiej, zmusił swoją babkę do przyjęcia ofiarowanego jej ratunku. — Lecz Xdz Adryan poprawiając na nosie okularów odpowiedział: iż namawiać lekomyślnie do poświęceń i czynów heroicznych niktogo niechce, ale odradzać dzieł zasługę wieczną przysparzających nie może. —

Woda wciąż przybywa i już od strony Wisły dom był otoczony, a tylko część przednia na podmurowaniu i ganek był wolnym, w podworzu zaś mały pozostał pagórek, na którym się jeszcze trawnik od powodzi niezajęty zielenił. — Babka moja wyszła z pokoju i przywoławszy Xdza Adryana, uroczyście mu oświadczyła, iż chce dzielić los wszystkich mieszkańców. — Xiądz Adryan, skinieniem głowy potwierdził to postanowienie, dodawszy. „Bóg ci to pani policzy.“ — W ten czas moja babka zapytała Xdza Adryana, czyliby nie był czas przyjąć ogólnego przynajmniej rozgrzeszenia i mówić litaniję konających i psalmy pokutne. — Xdz Adryan odrzekł, iż zapewne chwila stanowcza się zbliżyła, bo już podobno woda przerywa świeżo usypany wałek i robotnicy z tego miejsca odbiegli. —

— A więc dobrze mój Ojczy, raczże w dzwonek kapliczny zadzwonić, aby się ludzie zgromadzili, i aby-

śmy wszyscy na tym trawniku stanawszy, oczekiwali razem wyroków opatrności. —

Xiądz Adryan brnął w wodzie powyżej kostek, dostał się do kaplicy, zadzwonił jakby na odprawienie ofiary mszy świętej. — Wszyscy się zbiegli, a otoczywszy babkę swoją, postępowali za nią, na ostatni już wolny od wody trawnik, gdzie Xiądz Adryan niebawem też przybył. — Ukłoniono na ziemi, a gdy z Xiędzem Adryanem psalmy odmówili, zaczęła się litanija za konających. — Tę ostatnią modlitwę odmawiały kobiety ze łkaniem i przerażeniem, a niektóre z rozpaczą. — Xdz Adryan odwróciwszy się, upomniał, iż rozpacz jest grzechem, a wiara i poddanie się woli Bożej, sprowadza miłosierdzie Pańskie tu i w dzień sądu. Następnie Xdz Adryan powstawszy zalecił, aby się wszyscy przez akt wewnętrznej skruchy do przyjęcia ogólnego rozgrzeszenia przygotowali, ci zaś którychby sumienie, jaka ważniejsza dręczyła wątpliwość, cichą przed kapłanem odbyli spowiedź, lub gdyby czas niepozwalał, obudzili serdeczne w sobie pragnienie oczyszczenia się z grzechów. — Po chwili milczenia już Xdz Adryan otwierał książkę do odczytania formuły generalnego rozgrzeszenia, kiedy woda przedarłszy na raz i w kilku miejscach usypany wałek, pokryła za jednym fali podskokiem całą murawę, gdzie klęczano. — Popłoch się robi, niewiasty krzyczą i chcą uciekać, ale że wszędzie głębiej jak

na pagórku, przeto wracają zanosząc się od płaczu. Woda była już blisko kolan, i zwiwała się kłębami około ściśniętej w jeden węzeł gromadki. — Babka moja i Xdz Adryan wpośrodku proszą, błagają o spokojność i poddanie się Bogu, ale ani uciszyć można, ani nadzieją ożywić dusz, które już rozpacz ogarnęła. — W tenczas Xdz Adryan używa jedyne go środka mówiąc: iż aplikować będzie rozgrzeszenie tym, którzy nadzieję w Bogu pokładają. — Słowa te przebiegły wszystkie serca światobliwą trwogą sądu i pragnieniem uzyskania odpustu, więc odrazu wszyscy z pochyloną głową przyjęli rozgrzeszenie, — a potem Xdz Adryan zaintonował pieśń do matki Boskiej bolesnej, a w końcu „Kto się w opiekę odda Panu swemu?“ Woda już nie szła wyżej i na szatach widziano, iż jej nieprzybywa — jednak od strony sadu zwanego Winnicą, nurtem się wciskała w podworec. — Kaliciński śledził najmniejszy jej postęp i na wszystkie strony się oglądał. — W domu już była pod oknami, a więc dzieci na stołach postawiono lub trzymano na rękach, zatem nie były narażone. — Chłopcy z zalanego w ogrodzie kopca, powchodzili na drzewa, a niektórzy mając wodę po pachy kwilili się w miejscu. — W pół godziny może Filaczyński zwrócony ku bramie, w słup się w patruje i prawie zaręcza, iż woda nieco opada. — Każdy na szatę patrzy, ale tej szczęśliwej wróżby sprawdzić

nie może. — Za kilka minut znowu twierdzi Filaczyński, że nurt jest mniejszy i widać przedmioty, które były zalane, — lecz nowe zaprzeczenie przysłusza jego nadzieje. — Aż w końcu Boratyński, Filaczyński i razem kilku chłopów zaręczają, że widzą na drzewach, że powódź się zmniejsza, i że nawet szybko woda odpływa. — Xdz Adryan także przez okulary przygląda się z nadzieją. Aż w końcu już wierzch się płotu pokazuje, który był pod wodą. — Wtenczas wszelka ustaje wątpliwość, a Xdz Adryan zaczął pieśń „Ciebie Boga chwalimy. —

Trzeba było słyszeć, jak ta pieśń zagrziała i z jaką ją wszyscy śpiewali ochotą. — Zdawało się, że piersi chłopom pękną a baby tak piskliwie nóty wyciągały, iż tylko miłosierdzie Boże ścierpieć może taką chwałę! — Boratyński jako muzyk pewne mięszał trele, a usta w tak przestrome rozmiary otwierał, iż nie tylko głos jego, ale i cała dusza z ciałą tym otworem uleciećby mogła. — Nieborak, w krótkce poszedł śpiewać w nadziemskim chórze, gdzie wierni Bogu i cnotliwi nieboją się już ani wód powodzi ani niszczących pożarów! —

Nie wyszło godziny a znowu odkryty trawnik na pagórku, uśmiechał się nadzieją i wróżył bliski wód ubytek, a do wieczora zupełnie już z dziedzińca woda ustąpiła, pokoje jednak były zalane i babka moja z domownikami noc na strychu przepędziła. Na drugi

dzień, z zamokłej mąki i kaszy, gotowano różne dla gromady pamulki, a kotły miedziane w których tę biesiadę na dworze przyrządzano, tak prędko były wypróżniane, iż palił się ogień nieustający, dla głodu nienasyconego, i dla lubowników nieobliczonych. — W parę dni mieszkańcy wsi Proszówek zwiedzać i wyprzątać zaczęli chaty swe, a oplakując spustoszenia, dziękowali Bogu i troskliwości babki i dworskich służących, za wyratowanie ich od niechybnej śmierci. Żyją jeszcze zapewne w Proszówkach niektórzy chłopci, którzy te dnie straszne, a razem poświęcenie się méj babki pamiętają — więc do ich świadectwa się odwołuję w opisie téj sceny. Wreszcie, dała téż méj babce i gromada Proszówek dowody wdzięczności, które w dalszych rozdziałach znajdą swoje miejsce. —

XXXI.

Bolesne skutki powodzi.

Poświęcenie się Boratyńskiego przy ratunku mieszkańców dotkniętych powodzią, było bez granic. — On-to właśnie puszczać się na tratwie, zaledwie odwagi swój życiem nie przypłacił. Odbywając kilkanaście razy tę niebezpieczną i męczącą podróż, czuł Boratyński, że siły wyczerpnął, lecz gdy mu znowu powiedziano, iż w włościańskim domu pod karcznią, w miejscu najbliżej Raby położoném, jest rodzina bez ratunku i narażona na śmierć nieochybną, puścił się raz jeszcze, i kilka razy prądem wody porwany, użył rozpaczliwych wysiłów, aby do zagrożonego zniszczeniem domu dopłynąć. — Bóg mu dopomógł w tym dziele poświęcenia, bo uniósł na własnych barkach starca, którego członki skośniałe obronić się bijącój na niego fali nie mogły. — Wyratował także dwoje dzieci drżące od zimna i głodu, które skurczone siedziały na strychu; wreszcie gospodarz i żona jego

zeskoczywszy ze strzecz na tratwę, znaleźli swoje wybawienie. Niosąc starca, uczuł Boratyński, iż w krzyżach coś nadweryżył. — Uczuł bolesną kolkę, ale że był silnym mężczyzną i rzadko chorował, więc mniej na to baczny, przypłynął zwycięzko z łupem zdobytym na śmierci. — Jeszcze śpiewał „Te Deum,“ przy wale dowodził, i chociaż narzekał na ból pod żebrami, to przecież mało go sobie ważył. — Ale przepędziwszy noc na brogu w stodole, zamiast doznać ulgi, już rano ruszyć się z miejsca nie mógł. — Gorączka się wzmogła, kolka dotkliwa tamowała oddech, — po doktora do Bochni nie było można posłać, bo wylew wody przerwał między miastem a Proszówkami wszelki stosunek, co więc można było, to radzono w miejscu — Kaliciński, Tuchowska, Rzepecki i kuchmistrz, składali się na radę i na środki lekarskie, ale bieg choroby był szybkim, choroba się wzmogła, gorączka trawiła to silne życie. — Xiądz Adryan prawie dzień cały i aż do północy przy nim przesiedział, aż wreszcie uradzono, aby go na stajennych derach przenieść do oficyny, gdzie łatwiej jest nieść pomoc. — Gdy go już w łóżku złożono, i gdy się wypowiedział i na śmierć jako prawy chrześcjanin przygotował, pragnął pożegnać swoją panią. — Jakoż natychmiast przyszła moja babka, której dopiero wtenczas powiedziano, iż Boratyński jest umierającym. — Chory zobaczywszy moją babkę, chciał powstać na łóżku, ale bolesna

kolka mu nie dozwoliła. — Natychmiast podskoczyła moja babka, prosząc go aby się nie dźwigał, a pozdrowiwszy go przychylnie, zapytała czy cierpi?

— Oh moja jaśnie pani, rzecze Boratyński, już to nic ze mnie nie będzie, i dla tego chciałem jaśnie panią pożegnać a podziękować jej za wszystkie łaski i dobrodziejstwa, za które niechaj Bóg pani na dzieciach i na wnukach płaci. Już to stary sługa odchodzi cię jaśnie pani, a prosi gdy umrze o modlitwę i o przebaczenie uchybień jakie mógł w służbie popełnić.

Babka moja zalana łzami starała się nieść mu pociechę i nadzieję, a zdjawszy z piersi drzewo Krzyża Świętego, które w relikwiarzyku zawsze nosiła, złożyła na piersiach Boratyńskiego, modląc się aby Bóg łaską swoją zastąpił nieskuteczną pomoc ludzką. Boratyński poniósłszy relikwiarzyk do ust, kilkakrotnie go ucałował, przeżegnał się nim z wiarą, i oddał méj babce, mówiąc:

— Niegodnym jest grzeszny człowiek cudu, i nie śmiem Boga o niego prosić, ale tylko żebrzę Zbawiciela mego o miłosierdzie nad duszą moją.

— Zatrzymaj, rzecze Xiądz Adryan, świętość tę aż do rozrządzenia boskiego, a ufaj i bądź spokojnym.

— Dzięki Bogu, rzecze Boratyński, jestem spokojnym, bo sakramenta święte przyjąłem i moją najdobrotliwszą panią pożegnałem.

Babka moja usiadła przy łożu chorego, a widząc iż łaknie, podała mn przygotowanego napoju z migdałów i trochę saletry, którego on nieco wypił, ale już przelękał z trudnością.—Po chwili zaczął się pocić, jedni mówili iż to bardzo dobrze, i że się choroba przeważała, drudzy utrzymywali, iż to są poty śmiertelne, lecz Xiądz Adryan wzięwszy na bok Filaczyńskiego, zapewnił go, iż do północy nie przeżyje.—Zwróciwszy się zaś do mojej babki, prosił ją aby zostawiła chorego w spokojności, gdy wszelkie wzruszenie i rozmowa pogorsza stan choroby. Moja babka posłuszna tej radzie wyszła, ale przyrzekła Boratyńskiemu odwiedzić go znowu po chwili.

Choroba postępowała gwałtownie, chory zaczął majaczyć i powtarzać głośno wymówione w czasie ratunku do starca wyrazy.

„Trzymaj mi się za szyję... nie bój się!... wróć „ja, wróć po drugich!... Chwała Bogu, mam ich „już pięcioro!... już są wszyscy!... teraz płynmy... „Uważajcie na dzieci aby nie spadły z tratwy!...“ I potem zamilkł, a znowu przypominając sobie spowiedź, chciał się bić w piersi i mówił: „Za te wszystkie grzechy i inne które nie pamiętam!! Boże bądź „miłościwi!... Kocham cię o Jezu mój!... Najświętsza Panno w twoje ręce oddaję ducha i ciało moje!...“ I znowu zamilkł, a zaczął jęczyć.... Wkrótce otworzywszy oczy, przeprowadził wzrok wesoly po wszy-

stkich łoże jego otaczających, mówiąc: „O jak mi też „to dobrze, już mnie nie boli—sen mi pomógł, „tak spałem smacznie.—Chciałbym się ubrać, bo co „się tam za nieład musiał zrobić w szpichlerzu.— „Oh już jestem zdrow zupełnie.“

Chciał się podźwignąć, ale siły go zawiodły i znowu upadł na łoże.

Moja babka weszła z panią Usielską, a Boratyński z uśmiechem który był jakby ostatniem pożegnaniem ulatującego ducha, chciał coś przemówić, ale słowo zamarzło mu na ustach.—Oczy w słup obrócone utkwiał w mojej babce, potem je wznosił do góry, głęboko odetchnął, drgnął całym ciałem, i już dusza jego była w objęciu jego anioła stróża.—Wszyscy uklękli odmawiając modlitwy i litaniją za dusze zmarłych, a babka moja rzewnie płacząc, przyszła mu zamknąć powieki, i modlić się nad zwłokami sługi, którego w enotach, przywiązaniu i poświęceniu nikt z przyjaciół ani krewnych nie przewyższył.—Strata to była nader dla babki mojej bolesna, i przez długi czas była niepokieszona.

Pogrzeb Boratyńskiego z powodu zbyt jeszcze wielkich wód, parafią od Proszówek dzielących, w cztery dni dopiero po śmierci nastąpił, a był tak solennym, iż o parę mil zjechało się duchowieństwo i sam Xdz Dziekan z Niepołomic celebrował—Xdz Adryan zaś

kazanie w czasie summy powiedział zastosowane do okoliczności, które się tak kończyło:

„Ufajmy miłosierdziu Boskiemu, iż człowiek ten „wiekuistego już używa szczęścia, bo śmierć jego „była męczeńską, gdyż życie swe ratunkowi bliźnich „poświęcił. — A wreszcie całe jego życie było ofiarą, „albowiem w sprawowanej służbie więcej troskliwym „był o dobro swych państwa jak o własne. — Oh, „gdyby słudzy wiedzieli jaką nastęrcza im Bóg spo- „sobność zbawienia się przez wierne, gorliwe i po- „korne wypełnianie obowiązków do stanu służebni- „ctwa przywiązanych, toby nie narzekali na los jaki „im przypadł w podziale, ale korzystaliby z niego ku „zaskarbienu sobie łask Bożych do przyszłego żywota, „a tu nawet docześnie znaleźliby w panach przyjaźń, „opiekę, ratunek i o los swych dzieci byliby uspo- „kojeni. — Zły sługa sam sobie goryczą stan swój „przyprawia, sam zaostrza surowość swojego zwierzch- „nictwa, i szarpiąc się bezsilnie, albo uledez musi woli „chlebowadcy, albo się chleba pozbawia, a przez obrazę „Bożą zbawienie sobie oddala. — Témczasem Boratyński „z spokojném sumieniem, żegnał swą panią, ufał jój „modlitwom, a gdy mu pani własną ręką powieki „zawarła, poszedł modlić się za nią w niebie z anio- „łami i odebrać z rąk Bożych nagrodę, za życie Bo- „gu i obowiązkom stanu poświęcone.“

XXXII.

P o ż a r.

Kiedy Bóg w tajemnych swoich widokach chce ludzi do skutecznienia jakiej myśli skłonić, to tak składa i zestawia ciąg wypadków, iż wola człowieka tam go właśnie prowadzi, gdzie Opatrzność cel mu zakreśliła. Potrzeba tylko baczenie śledzić znaki zsyłane nam przez Boga, i nie zagłuszać się na głos Pański, który zrozumiałym jest dla każdej duszy prostej, pokornej, i dającej się prowadzić po drogach wiecznych przeznaczeń. — Śmierć Boratyńskiego była jednym z ciosów bardzo dla serca méj babki bolesnych—zdawało się, iż bez tego trybu tak szybko i tak skutecznie w gospodarczym mechanizmie się obracającego, cały narząd ustanie. — W każdej chwili i wszystkim brakowało Boratyńskiego, a zastąpić dobrze sługi nie łatwo! — Szło jednak gospodarstwo jak mogło. Ziemia rodziła swoją drogą—słońce ją ogrzewało—deszcz ją odwilżał, chociaż Boratyńskiego już

nie było. — Wieśniacy pracowali, kupcy z Bochni przybywali po zboże — browar się szczerą intratą wypłacał, chociaż go już biedny Boratyński nie doglądał—pomału ruch ogólny wszedł w swoje karby i żał się ukajać począł, kiedy nowe a przykre zdarzenie rzuciło postrach i zamieszanie w spokojny układ życia mojej babki i jej domowników.

O jedenastej w nocy, kiedy już wszyscy po dziennych trudach spoczywali, i kiedy światła pogaszone, żadnym ziemskim promyczkiem nie przedzierały nocnego całonu.—Filaczyński się zrywa, obudzony łoną która przez okna pokój jego ogniem pożaru oświeciła. Za jednym podskokiem był już przed sienią, za drugim w kuchni, i zbudził ludzi nieszczęsną wieścią, iż browar się pali! — Gore! gore! powtórzyli wszyscy ze snu ocknieni.—Každy chwytą za co może, a raczej każdej rzeczy się dotyka, nie wiedząc co brać a co zostawić.—Drży tylko każdy i zębami dzwoni, a czuje że mu zimno, bo ogień pożaru to ma do siebie, iż pali budynek, ale w pierwszych chwilach w łód człowieka zmienia. — Krzesać ognia w skorupę chce ten ów, i drugi, ale nikt ani krzemienia ani skorupy odszukać nie może, bo chociaż miał ją w ręku, to nie wie co trzymał, i znowu położył. Pierwsza myśl Filaczyńskiego była ku temu zwrócona, iżby nie przebudzić pani: dla tego zalecał spokojność i cichość. Ale gdzie tam zachować cichość w czasie pożaru!...

Ten bączkę toczy, tamten szuka konewki, wreszcie do dworu pobiegł kuchta aby stróża i Rzepeckiego zbudzić.—Ruch był powszechny, rady panny Tuchowskiej głośne, a wreszcie pomoc z Bochni rychła — a więc tentent koni, ludzi bieganie, moją babkę zbudziły. — Pani Filaczyńska była już na nogach, a gdy ją pani zawołała pytając o powód niezwykłego ruchu, drżąc odrzekła:

— Podobno ogień się zatlił w browarze, ale już ugasili.

— Niech się święci wola Boska, odrzekła babka moja, i ubierać się poczęła.

— Niech JW. pani nie wstaje, bo dom jest od browaru daleko i tu nie ma niebezpieczeństwa, a przykro widzieć jak gore.

— To więc gore na prawdę? zapyta moja babka, święć się wola twoja Panie, dodała ona, żegnając się drzewem krzyża świętego, a potem w tę stronę gdzie był browar.—Ubierz mnie, chcę jednak poznać rozmiary strat, które Pan Bóg na nas dopuszcza.

Już były sikawki z Bochni i dzielnie walczyły z szerczącym się ogniem, górnicy przybyli z środkami obrony, a ze wsi, to ani jednego nie brakło mieszkańca. Chłopi Proszówek niepojętej odwagi dawali dowody. — Rzucali się w płomienie aby browarniane z nich wynosić sprzęty. Belki już się palące rąbali siekierami i na dół zrzucali, wodę cebrami nosili i wzajem

ją sobie podając, zalewali najmniejszy wybuch płomienia. Inni znowu ze stajen wypuszczali bydło, a inni na pobliskich siedząc dachach, z wiechami i osękami, zmiatali iskry które wiatr zanosił. Rzepecki i kuchmistrz dowodzili obroną, ale Tuchowska chociaż stała o podal, to krzyczała i radziła, a w miejscu drepciała jakby bardzo zajęta. Nikt jój wprawdzie nie słyszał a tém mniej jój słuchał, ale ona krzycząc sobie dla własnej pociechy, należała rzekomo także do ratunku. — Xdz Adryan ubrany, okrył się opończę i zmierza w stronę pożaru, lecz go moja babka do siebie przywołała, prosząc aby się pomodlił do Śgo Floryana.

— Już to uskuteczniłem, odrzeczł kapelan, a teraz idę odczytać exorcyzm, którym kościół zaklina niszczące płomienie—niech tu pani zostanie, bo noc jest chłodna i droga błotnista.—Bogu trzeba ofiarować tę szkodę, gdyż mniej jest ważnym dla człowieka wszystko ziemskie utracić, jak pokój duszy. Bądź pani dobrej myśli, dobry jest Pan Bóg.

Browar stał za bramą poniżej dworskich budynków, ale z okien sali jadalnej można go było widzieć. Babka więc tam poszła z Filaczyńską i po rozciągłości płomienia poznała, iż cały budynek jest przez ogień zajęty.—Uklękła przy oknie, zmówiła modlitwę, a zwracając się ku Filaczyńskiej, rzekła:

— Bogu dziękuję, iż wiatr od wsi wieje, i gdyby się ogień rozszerzył, toby dworskim a nie wiejskim budynkom zagrażał. Cóżby ci biedacy poczęli?

— JW. pani zawsze o drugich myśli, a i pani szkoda, bo gdyby się dworskie spaliły, to nie jednemu ubyłyby chleba.

— Zdaje mi się, rzecze moja babka, że łona się zmniejsza.

— Tak jest rzeczywiście, odpowie Filaczyńska.— Że też to nikt tu nie przyjdzie powiedzieć nam co się dzieje!

— Na czas się dowiemy moja Filaczyńsiu! rzecze moja babka, i wróciła potem do swego pokoju, aby jeszcze jedną skuteczną odmówić modlitwę.

Xiadz Adryan nadszedł niebawem, i zaręczył, że już pożar zupełnie przytłumiony a płomień pochodzi tylko z palącej się wódki, gdyż ostatniej kufy nie dało się uratować.

— Górnicy pracują dzielnie, mówił Xdz Adryan, ale co nasi wieśniacy, to jak lwy odważni. Powracam zbudowany ich poświęceniem, a Bogu tylko przypisuję, iż żadnego niema wypadku kalectwa, bo chłopci w ogień się rzucają i ogromne na barkach unosząc ciężary, wszystko prawie uratowali, wyjąwszy budynku, który w części spłonął a w części uszkodzony. Jest też przy ogniu kilku urzędników i woj-

sko nadbiegło, ale już niebezpieczeństwo mija, i sikawki niebawem do Bochni powrócą.

Nazajutrz poszła moja babka obejrzyć pogorzelsko, gdzie jeszcze kilku wieśniaków pracowało nad uporządkowaniem rozrzuconych belek i ściennego drzewa.—Jeden zbliżywszy się do méj babki, rzekł:

— Niech się tam bardzo Jejmość tém nie frasuje, bo gromada to za swój dzień odbuduje, i kmiecie zbierają się do dworu, aby się na to podpisać, jako oni drzewo za darmo zwiozą na całą tę budowlą.

— Dziękuję wam moje dzieci, rzekła babka, ale za cóż wy macie cierpieć i trudzić się, iż mnie Bóg szkodą dotknął?

— Ej, ktoby tam brał pieniądze od takiej pani, co jest jakby nasza matka, i co nas w każdej przygodzie ratuje.—A mało się to Jejmość dla nas naszkodowała, jakto była ta duża woda?

— Co tam mówicie o szkodzie swaku, rzecz drugi, lepsze to, że tam Jejmość była gdzie i gromada. Jaki taki byłby o sobie pamiętał, a nasza pani zkretesem się zamaczała po kolana, a stała w wodzie z nami.

— Juźci i za to, odpowie pierwszy, bo komuby się to inszemu chciało?

— Za dwa miesiące ani znaku téj pogorzeli nie będzie, rzekł trzeci, bo jest teraz w puszczy wyrąb drzewa na sprzedaż, to trzeba kupić, a my zwieziemy.

Jakoż prawda, iż na licytacyą puszczone wyrąb znaczny drzewa; — pojechał Kaliciński zakupić go a już zastał obywateli i żydów, mających zamiar licytowania.—Cena była nader niską, trzech złożyło wadium, ale wiedząc iż Kaliciński dla mojej babki licytuje, nikt wyżej nad krajear nie podniósł i przy kupnie Kaliciński się utrzymał. — Szczęśliwe to kupno w cenie już szacunkowej drzewa, sownie pożar opłaciło, bo sześć takich browarów można było wystawić.

Gdy drzewo oddane było w posiadanie méj babki a sztuki potrzebne na odbudowanie wycechowane, kmiecie Proszowscy i zagrodniki posiadający konie, po północy się zebrawi, i już na dziewiątą godzinę z rana pierwsze sztuki zwieźli, prosząc aby całą dostawę wolno im było uskutecznić.—Babka moja nie mogła się im wymówić od przyjęcia téj życzliwej ofiary, ale rozmyślała nad środkami wynagrodzenia im téj pracy. Gdy przyszło do budowania, to niktby nie uwierzył z jaką ochotą, radością i zapałem, szli wieśniacy do obrabiania materyału, i jakoż wkrótce browar piękniejszy i lepszy stanął, a chłopom darowała babka moja część zakupionego wrębu, za który oni znowu obiecali się odwdzieczyć inną w pracy pomocą. Słowem, nie był kłopot o pracowników, ale raczej o sposób wynagrodzenia, bo ani moja babka,

ani wieśniacy nie chcieli być ostatniemi w okazaniu swęj wdzięczności.

Chłopi dziwny mają instynkt do ocenienia nietylko uczuciów pana, ale i źródła z którego te uczucia płyną. Wszystkie demokratyczne umizgi szlachty, nigdy się prostemu ludowi nie podobają, bo w nich przeczuwa fałsz, a posądza o zdradę. Jakoż nie może się zgodzić ze zdrowym rozsądkiem chłopów takie pochlebstwo panów, wyobrażających moralną przynajmniej władzę. A przyznać trzeba, iż logika ludu jest ścisła i znawstwo doskonałe.—Instynkt chłopów porównać można do węchu zwierząt, które chociaż botaniki nie umieją, rozróżnią na pastwisku zdrowe ziółko od niezdrowego. Pierwszém się żywią, a drugie nogą depcą.—Wyłącznie więc tylko uczucia z zasad religijnych płynące—to jest uczucie opieki—moralnego współczucia i poświęcenia, zjednywać panom mogą serca ludu: i takich to uczuciów źródło przeczuwali wieśniacy w sercu mojęj babki. — Wiedzieli oni, iż jest wierną Bogu, a tém samém uwierzyli, że wierną być może i wszelkim obowiązkom jakie do jęj stanu są przywiązane.—Bez tego zaręczenia i bez tęj hypoteki, na której wszelki dług ducha względem bliźnich zabezpieczonym być winien, nie możemy nawet wymagać, aby nam ufano, i mniemać, iżby jedwabne nasze słówka ogólną przyjaźń nam zjednały. Pan, chrześcianin, jest tém względem ludu, czém jest

słońce względem księżyca, które nie biega za księżycem, ale się w miejscu obraca i świeci wtenczas, kiedy księżyc różne swojej powierzchni przedstawia strony, aby oświecony jego światłem i promieniem, znowu ciemnego pomroku objaśniał obszary. Dopóki *miłość* i *godność* chodzą w parze, to każdy obydwóm uwierzy, gdy się rozłączą i samopas chodzą, to *miłość* wyrodzi się w *słabość* i *pochlebstwo*, a *godność* w *pychę* i *twardość*! — Niestety, po tych dwóch drogach rozbiegli się ludzie, i dla tego *miłość* bywa ekliwą a *godność* rażąca.

XXXIII.

Gdzie dużo nianiek, tam dziecko kulawe, czyli dwaj nauczyciele.

Rodzice moi kilka razy na rok przyjeżdżali do Proszówek a tém téż częściej odwiedzali matkę po doznanych klęskach i stratach jakie w ostatnich latach poniosła. — Mój Ojciec zastanawiając się nad ogólnym trybem gospodarstwa, nabrał przekonania, iż sam tylko Bóg przysparza w Proszówkach darów, bo zarząd ludzki mało się do tego przyczyniał. Moja babka częścią duchową swego jestestwa była raczej w niebie jak na ziemi. — Kaliciński acz nader poczciwy człowiek, w ulepszenia rolnicze nie wierzył; Boratyńskiego owéj sprężyny ruchu nie było. — Raba podrywała brzegi najlepszego gruntu, słowem czuł mój Ojciec, iż rada panny Ksieni ze Staniątek była dobrą a pomału przyzwyczajał babkę moją do myśli obsiedlenia się w Krakowie. — Ale gdy tylko o tém wsze-

ła się rozmowa, babka moja tak za swoim zaciszem w Proszówkach obstawała, i taką do wielkiego miasta objawiała odrazę, iż nie można było upornie sprawy téj przeprowadzać. — Z drugiej strony, chodziło także memu Ojcu o moje wychowanie. —

Miałem ja wprawdzie aż dwóch domowych nauczycieli, Polaka i Francuza, ale co Polak nauczył, to Francuz oduczał. — Polak kazał mi ślęczyć nad książką, a z Francuzem wesoło nam chwile schodziły. To puszczaliśmy papierowe orły w powietrze, to ryby łapaliśmy na wędkę w starém Rabisku, to znowu zakładaliśmy ogródek i kanapki z darni. — Słowem, Francuz p. Rosé, był (jak to u nas bywa), owym arey-pedagogiem, przy którym blednęła umiejętność akademików, a tém bardziej guwenera mego, pana Pawłowskiego. —

Moja babka w ciągłej będąc obawie, aby mnie Francuz razem z papierowym orłem w powietrze nie wysadził, albo przy ryb połowie nie utopił, przechylała się za zdaniem skwaszonego p. Pawłowskiego, i niechętném okiem na francuzką edukacją spoglądała. — Ale gdy tylko zdrów i ucieszony z wyprawy wracałem, a pieszcząc moją babkę zacząłem opowiadać jak pan Rosé jest dobry i jak mnie kocha, a ile ja go kocham, to znowu sentencye moralne pana Pawłowskiego straciły na wartości. Pani Usielska, Tuchowska, Xdz Żabiński z Krzyżanowic, który mnie także

bardzo kochał, psuł i pieścił, byli za panem Rosé; twierdząc: iż „nie należy przeciążać zbytecznie umysłu dziecka, i że p. Pawłowski jest pedantem, który mi naukę obrzydza.“ — Za tym zdaniem poszła także i pani Filaczyńska pierwsza radczyni dworu. Ale Xdz Adryan stał po stronie p. Pawłowskiego sądząc, iż wcześniej należy wprawiać umysł do porządnéj pracy. — Babka moja, która mnie kochała dużo więcej jak na to zasługiwałem, jednym i drugim słusność powodów chętnie prawie przyznawała, ale za mojem życzeniem rada się była przechylić.

Pan Pawłowski obrawszy dzień ku temu sposobny, przyszedł urzędownie do mojej babki z oświadczeniem, iż dłużej w takim położeniu zostawać nie może, i że dom opuści, bo niechce swojej dobrej sławy pilnego nauczyciela na szwank narazić. —

— Cóż-to będzie, rzecze on, gdy przyjdzie czas examinów?! Tam się nie o rybołówstwo, ani o papierowe orły pytać będą, ale o nauki zasadnicze, a także p. Rosé nie będzie się rumienił za swego ucznia tylko ja, którego opieszałości gotowi profesoro- wie przypisać całą winę. — Otóż stawiam nieodwołalny warunek, aby za 15 dni od daty dzisiejszej jeden z nas dom opuścił; ja, albo p. Rosé. — Rzeknawszyście nie wiem co ja tu znaczę? (mówił p. Pawłowski). Wołam na mego ucznia, aby szedł do tablicy, i zadana mu regułę trzech w przykładzie rozwi-

nał, a tu on już ze swoim awanturnikiem francuzem na jakąś nową wybiera się wyprawę. — To ptaki wykręcać, to trzęśnie obrywać, to sporządzać huśtawki! Czy to nauka? czy tak prowadzony młodzieniec wyjdzie na co dobrego?... Pani Zborowskiej (matce mojej ze Zborowa) chodzi o język francuzki i pragnie, aby Walery przedewszystkiem umiał po francuzku. A to po co?... przecież między Polakami, a nie między Francuzami żyć będzie. — Niech on umie po łacinie, trochę po grecku, aby téż i Autorów starożytnych rozumiał, — niech zgłębi matematyczne umiejętności, a Historii i Geografii na pamięć się wyuczy, równie jak i z literaturą polską się obezna. — Potem niech się w Filozofii umysł jego rozkocha, w prawnych wykształci naukach, to mi dopiero będzie obywatel! — Ale uczyć się po francuzku a nie umieć po polsku, to jest przeciwko wszelkiej logice. —

P. zyznając, odpowie moja babka, iż p. Pawłowski zupełną masz słusność, i wierzaj mi, że cenię wysoko i pański rozum i skrupulatną pilność. — Szczerze boleję, iż się jakoś tak rzeczy złożyły niekorzystnie, jednak pan jesteś tak dobry i tyle nam dasz dowodów swój przychylności, iż ani wątpię, że pozostać raczysz. —

— Chętnie, rzekł p. Pawłowski, ale jeśli Francuz odejdzie. —

— Tak zapewne, doda moja babka, ale jeszcze czas jakiś pozostaćby musiał, bo mojej córce byłoby przykro, gdybyśmy pana Rosé oddalili, który tak bardzo mego wnuka pokochał, i wreszcie trzeba przyznać, iż Walery w języku francuzkim znaczne zrobił postępy. —

— Jakie postępy? przerwie p. Pawłowski, iż papłoni obcym językiem, i jak sroczka szczebiocze trzy po trzy. — Proszę się go zapytać o reguły gramatyczne, o składnię języka, i o pisownią? — Ręczę, iż z tego nie umiē ani słowa. — Szkoda zaś prawdziwie tego dziecka, bo pamięć ma dobrą i bystre pojęcie. Otóż śmiem powtórzyć co już przed dwoma dniami mówiłem pannie podsędkownie i Xdzu Adryanowi, że albo Francuz precz, albo ja wychodzę z domu. —

— Ale ja proszę pana, rzecze moja babka, i tyle ufam przyjaźni pana a tak jestem pewną... iż liczę na to... Więc dobrze mój szacowny panie Pawłowski... zostaniesz z nami, a o Francuza to mniejsza, on sobie tak będzie... niby tak tylko... jak był. — Ale broń Boże, żebyś ty nas opuszczał. — Ja już powiem panu Rosé, aby niechodził nad stare Rabisko, bo sama trętwieję, gdy idą na te ryby. — Mogłoby się dziecko utopić. — Oh ci Francuzi, to są ludzie bardzo lekkomyślni. — Niech p. Pawłowski nic na to niezważa, pan co masz rozum, naukę, to ani gorszyć się powinieneś Francuzem. Pańskie powołanie jest wyż-

sze, a Francuz jest więcej do zabawy i to dobry jest człowiek, poczciwy, bo on mego wnuka kocha, i umiē go bawić!!... Już ja to urządzę z obu panów zadowolnieniem. — Wreszcie Xdz Żabiński dzisiaj tu przybędzie to sprawę załatwi. —

— A dla czegoż nie Xdz Adryan? zapyta pan Pawłowski. —

— Oh zapewne, (odpowiē babka) Xdz Adryan jest człowiek światobliwy, przyjaciel domu, ale tēz i Xdz Żabiński równie nam jest przychylnym, a to mi wielkie daje zaręczenie, iż się tak do tego dziecka przywiązał i tak go mój wnuk kocha!! Pomnę, iż gdy mój wnuk miał dopiero lat dwa, to nazywał Xiędza Żabińskiego *Xiędz Oba*, i od tego czasu wszyscy już go tak nazywają. Więc to dawna przyjaźń on temu zaradzi, i pogodzi tę rzecz. — Co zaś do examinów to niewiem czyli koniecznie zdawać je ma w tym roku? Czyliż to jest tak niezbędnę?... Może będzie lepiej w roku przyszłym!

— Mniejsza o to, odpowie p. Pawłowski, ale ja niechęć chleba jeść za darmo, i pragnę się odplacić a czego nauczyć!

— Oh, co o to, to niech panu bynajmniej nie chodzi, nieoceniony p. Pawłowski. — Szczęśliwi jesteśmy posiadać pana w domu naszym jako przyjaciela, a wreszcie i wnuk mój niezaprzeczone odniósł korzyści z nauk, które mu pan wykładasz. — Czyta

dobrze, pisze pięknie, rachuje, i z Krasickiego tyle już umie bajeczek, i jeografią i historią powtarza bez błędu — cóż więcéj trzeba?...

— W istocie, iż to umieć, ale do łaciny napędzić go nie mogę, i liter się nawet greckich dotąd nie nauczył, (mówi p. Pawłowski).

— Tak (rzecze babka) to może bardzo źle, ale podobno łacina najwięcéj Księżom i Doktorom potrzebna, a on ani tym ani owym nie będzie. —

— Któż to wie?... a dla czegóż miałby być Xiędzem? mówi p. Pawłowski.

— Wola Boska!... nieprzeczę... Xiędzem? mógłby być, ale jednak!... a potem on do tego stanu żadnego niema powołania, oh najmniejszego!... Zapewne się ożeni, odziedziczy Zborów i pójdzie tą samą drogą co i Ojciec. — Będzie chłopiec majątny, żywy, wykształcony. — Więc łacina?... to może późniéj. — Ale ja się panu wcale nie sprzeciwiam, bo ja się na tém nie znam. —

— Właśnie o wykształcenie chodzi Mościa Dobrodz. rzecze p. Pawłowski, bo majątek to krucha rzecz, woda zabierze, ogień spali, złodziej ukradnie, ale rozum to grunt. — A tego rozumu od pana Rosé, Walery nie nabędzie tylko od człowieka, który systematycznie nauki ukończył. — Ja najprzód byłem przez trzy lata w infimie, przez siedm lat w Gimnazyum, przez trzy lata słuchołem Filozofii i przedmiotów do

wydziału filozoficznego należących. — Dwa lata chodziłem na medycynę, ale gdy ta nauka nie przypadała mi do smaku, chciałem Xiędzem zostać i półtora roku uczyłem się Teologii. — Aż potém przekonaawszy się, iż niema powołania, (a to z powodów Bogu i mnie wiadomych), zacząłem chodzić na prawo i chodziłem... zaraz... chodziłem wszystkiego przez lat cztery. — A więc cztery 1, 2, 7, 14, 10 — 20. Otóż widzi JWa pani, iż uczyłem się przez lat 20 miesięcy sześć, na co mam świadectwa, tu nawet z sobą w Proszówkach. — A pan Rosé? pan Rosé, gdy był młodym, najprzód baki zbijał; gdy był starszym ptaki łapał, późniéj orły z papieru puszczał, aż wstąpił do wojska i dosłużywszy się stopnia prostego żołnierza, przyszedł do naszego kraju aby uczyć rozumu szlachtę polską. — Więc w krótkości mówiąc a jaśniéj się tłómacząc, twierdząc:

1mo Iż pomiędzy mną a panem Rosé, taka jest różnica, jak między rybołostwem a ścisłą umiętnością. —

2do Iż kto sam nie umieć, niemoże drugiego nauczyć, a więc konkluzya, iż p. Rosé wnuka JWój pani niczego nauczyć nie może. —

3tio Iż mu może jeszcze głowę przewrócić ochotą do wojska, bo te Francuzy, to tylko w same zaburzenia i wojny wierzą. A któż wieć, czyli taki Rosé

nie był jednym z oprawców rewolucyjnych w czasie owych okropnych dni we Francji?...

Na tę ostatnią uwagę zadrżała moja babka, i nagle przerywając, pyta pana Pawłowskiego, na czém opiera to posądzenie?

— Na prostym wniosku odpowie p. Pawłowski, iż wiekiem jest współczesnym owój strasznej Epoce.

— Niechże Bóg broni, rzecze moja babka, — mój wnuk żołnierzem albo burzycielem!... to być nie może, bo on żadnego do wojska niema powołania, on jest jedynie i nawet prawo go uwalnia. — Ależ mi się zdaje, że p. Rosé jest emigrantem z wojska kondeuszowego, więc niemoże być rewolucjonistą. Lecz się zapytam i nie zaniedbam, aby tę rzecz wyjaśnić. —

— Ja nie twierdzę (rzecze p. Pawłowski), ale przypuszczam. —

— W każdym więc razie, dodała moja babka, widzisz pan ile jesteś dla nas niezbędnym, i ani wiem coby mi poczęła, gdyby pan dom opuścił, a pan Rosé dla zasad swoich oddalonym być musiał. Zmiłuj się pan i chciej pozostać przynajmniej do przyjazdu mego zięcia, który stanowczo dalszém wychowaniem syna swego zarządzi — pana zaś cierpliwość wynagrodzi. —

— Skoro pani rozkaże (odpowie p. Pawłowski, to

poddać się jej woli muszę i jeszcze będę jakiś czas cierpliwym. —

Ten nowy kłopot dał uczuć mojej babce potrzebę zbliżenia się do Krakowa i prowadzenia w sposób więcej systematyczny mego wychowania. — Jednak nie widziała w tém nic naglącego, gdyż po dniach kilku rzeczy się ułożyły i p. Rosé ofiarował się uczyć po francuzku paną Pawłowskiego. — Ztąd więc przyjaźń i zgoda. Już chodziliśmy razem we trzech nad starą Rabę, a czasem się i Xiądz Żabiński do nas przyłączał. — Pan Pawłowski tak się raz nawet rozweselił, iż z orłem papierowym biegał, ale zapatrzwszy się na latawca, potknął się na kamieniu, upadł, nos sobie okaleczył, sznurek z rąk wypuścił, a orzeł poleciał nad bory, lasy i zginął. —

Nauki moje szły porządniej, łaciny się nauczyłem, i p. Pawłowski był zadowolonym. —

Ale, że to kłopoty nigdy się nie kończą gdzie się nagromadzają różne a przeciwne sobie charaktery, przeto zaledwie jedna sprawa została załatwioną, a tu druga na stół wychodzi. —

Panna Tekla Wielogłowska już stanowczo, niechce pod jednym dachem mieszkać z panią Usielską i stawia także rezolutnie warunek, że albo ona odjedzie, albo pani Kapitanowa ustąpić musi. — Babka moja prośbą, słodkim rzeczy wykładem, chce sprawę załatwić, ale nie pomaga — panna Podsędkowna

stoi silnie przy swoich warunkach i żąda wydalenia pani Usielskiej, a to z powodów, że jęj zawsze pierwsze zabiera miejsce przy obiedzie, i że jęj pierwęj półmisek podają. Trzeciego zaś powodu najglównięjszego, przytoczyć nie mogę. —

Pani Usielska, z wyrazem pełnym słodyczy i szlachetności, ofiaruje się sama ustąpić, przynając pierwszeństwo krewnej domu, to jest pannie Tekli. — Panna Tekla już w pół tryumfująca rozsiada się na miejscu rywalki, ale babka moja inaczęj sądzi i mówi z boleścią:

Z prawdziwym żalem widzę, iż moja Kuzyna tak upornie obstaje przy swoich warunkach, bo miałam nadzieję, że aż do śmierci przy mnie pozostanie, albo do chwili w którejby może jeszcze poszła za mąż; ale skoro jęj wola tak jest stanowczą, przeto niemożę jęj zmuszać, i poddaję się jęj życzeniu. — Pani Kapitanowej zaś usilnie proszę, aby przy mnie pozostała. —

— Takżeto Stryjenka Dobrodz. krewieństwo swego męża szacuje? (rzekła panna Tekla), iż mnie poświęca dla obcęj? —

— Tak, rzecze moja babka, bo nad związki krwi, znam wyższe, to jest te, które Bóg przez zgodność myśli zawięzuje, a które są oparte na religii i z nięj płynących enotach cierpliwości, pokory, cichości, pobożności i t. d. —

Panna Tekla zawiedziona w swych nadziejach chciała już była swoje ultimatum wycofać, ale duma jęj niepozwalala, więc prosiła mojęj babki aby za trzy dni mogła wrócić do brata. — A późnięj rozplakawszy się poszła do pokoju, i do obiadu już nie poszła, kawę u siebie piła, a wieczorem sama wyszła, na spacer, i do późnięj chwili pomiędzy wierzbami błądziła. —

XXXVI.

Pan Rutkowski podprefekt ze Stopnicy.

Moja matka nie lubiła panny Tekli, ale o jęj losie myślała, sądziła bowiem słusznie, że obok innych przywar, najgłówniejszą było, skwaszone panieństwo. Bo jakoż wielka jest różnica między panną co niechce *rzeczywiście* iść za mąż, a taką co nie może. — Pierwsza niechcąc, już o tém nie myśli, ale zadębieje, zawiędnie i już dobrze. — Druga biedaczka, myśli a nie wymyślić nie może, a więc fermentuje, kwasia się na ocet, a wtenczas jest źle, gorzej i coraz gorzej. — Pierwsza zkrystalizuje swą słodycz a w drugiej miodek ciągle burzy. — Do tych ostatnich należała panna Podsędkowna. — Lecz pocóż o niej mówić, ... wszakże ma już wyjechać pojutrze, ... tak jest... już w watę obwija pierścionki i układa je w przegródkach szkatułki politurowanej. Już jęj resztę odpraso-

wanych niosą kołnierzyków i w pudło układają. Podróż więc za pasem, a tu nikt nie płacze, nikt nie żałuje, ani prosi aby została — Oh źle, niechciałoby się jechać, ale któż winien?... Nietrzeba było pani Usielskiej stać na zdradzie. Lecz w górach świeże powietrze, — i obok pagórków, śmiejące się doliny, więc jakoś to będzie!... Tylko że znowu żywej zobaczyć niemożna duszy! to smutne. — No, wola Boża!... kiedy tak rzeczy stoją, nadspodziewanie zajeżdżają moi Rodzice a za nimi idzie bryczka, wktórej nieznanomy gość siedzi. — Moja Babka zemną i pani Usielska i Xdz Adryan i kto był w pokoju wybiegają witać moich Rodziców, a po przywitaniu matka moja przedstawia pana Rutkowskiego podprefekta ze Stopnicy. Ojciec mój do ucha szepnął Xdzu Adryanowi i pani Usielskiej, iż to konkurent do panny Podsędkownej, a razem prosił, iżby ją pani Kapitanowa uprzedziła, a zaleciła aby się schludniej ubrała, iżby mogła wpaść w oko. — Pani Usielska pomimo zaszłego nieporozumienia przyszła do panny Tekli i dopełniła danego jęj zlecenia, które tak ożywiło pannę Teklę, jak Ether podany w zemdleniu. — Słodko się więc uśmiechnęła, i podając rękę pani Usielskiej rzekła:

— Zapomnijmy sobie uraz kochana pani Kapitanowo. Ja jestem żywa, a pani za słodka i ztąd zajścia między nami. — Gdybyśmy się były choć raz dobrze wyklóciły, toby było tak daleko między nami

nie zaszło, — ale ta właśnie różnica, do takiego gniewu mnie pobudza, iż nigdy téż pani zemną się nie chce spotkać, tylko zamilknie — a milczenie więcej czasem obraża jak kłótnia. —

— Chętnie zapominam co między nami zaszło, rzecz pani Usielska, ale ubieraj się panna Podśędkowna. — Ja pomogę, a jeżeli jakiej wstażki lub ozdoby potrzeba, to pożyczę. —

— Jakiż jest mój Konkurrent? zapyta panna Tekla czy młody?

— Jest wysoki, przystojny — podprefekt, i zdaje się człowiek dorzeczy.

— Podprefekt tylko? to mała figura, wolałabym aby był całym Prefektem, ale jeżeli młody, przystojny, wysoki, to na początek niechby i tak było.

Pan Podprefekt Rutkowski miał około lat pięćdziesiąt, co się aż nadto korzystnie dla panny Tekli ze zbliżającym się jój czwartym krzyżykiem stósowało. — Był on wysokiego wzrostu a rzadkiej chudości ciała, przytém łysy, jakał się bardzo, ale z resztą przyzwoitym i poczciwym był człowiekiem. Matka moja długo pracowała nad jego sercem i umysłem, za nim go skłoniła do starania się o rękę panny Tekli, której obraz mniej więcej wierny mu skreśliła, z dodaniem wszakże opisu pewnych wdzięków, które tylko można było mikroskopicznie w niej odkryć. Gdy się zdecydował jechać, powiedział mojej matce. Tyl-

ko dla popołaczenia się z domem państwa, na tę wyprawę jądę. —

Gdy panna Tekla była już gotową, a może żółtawą cerę twarzy podniosła owym różem, który tak skrętnie przed ludzkim okiem ukrywała, (a który ja raz niestety! z niewinną prostotą pod łóżkiem jój znalazłem i do salonu przyniosłem) gdy mówię była ubraną a weszła do bawialnego pokoju, to zdawać się mogło, iż lalka z jasełek w większych rozmiarach z budki wychodzi. W środku pokoju stanawszy jak wryta, kilka ucięła dygów w miejscu i to jeden po drugim, a potem zmieszana, niewiedziła co etykieta dalej czynić każe w tak solennych zdarzeniach. Padło jój na myśl, iż trzeba powitać moją matkę, i oczywiście, że to było w porządku, lecz chciała być zgrabną i sunąć w podrygach: ale że na stołku siedział pan Podprefekt zaraz przy kanapie, a nogi miał jak bocian długie i sążniste, więc zawadziła o nogę konkurenta, który zaraz powstał, przeprosił, a ona mu na to: „To nie panie nie szkodzi, wcale się nie gniewam.“ Mój Ojciec oczy spuścił, zaledwie śmiech tłumi. — Matka moja p. Podprefekta pannie prezentuje, ale przestrzeń ciasna, i nie było miejsca gdzie dyga uciąć, więc się przekątnią cofa ku szerszej przestrzeni i główkę na bok skręciwszy znowu dyga pali. — Po takim przedstawieniu, każdy co ma oczy, choćby był łysy, kula- wy, głuchy i niemy, byłby wewnętrznie zrobił posta-

nowienie, ślubować raczej wieczne kawalerstwo jak wiarę małżeńką. — Ale iż z góry uprzedziłem, że Podprefekt był człowiek poczciwy, i że nie panny łaknął, lecz związków rodzinnych, przeto się nie zraził.

Panna Tekla usiadła spuściwszy oczęta, jak na pannę przystoi gdy poraz pierwszy staje przed oblubieńcem, a pan Podprefekt chcąc doświadczyć, czyli (jak u kruka w Bajce) równie jest głos uroczy jak pierze, uprzejmie zapytał:

— Papapani za górami nie tęskni, za owemi górami, które my z równin tylko z opipipisu znamy?

— Tak téż, trochę, odpowie panna Tekla. —

— A dadaleko ztąd Ooowieczki?

— Będzie kawałek, odpowie panna Tekla.

Mój Ojciec chustką twarz sobie ociera, bo aż się spocił, tak śmiech wewnątrz tłumi — babka moja z pokorą ręce wedle zwyczaju złożyła, matka moja już widzi, że jakoś nie idzie, a pan Podprefekt niewié, jak z tego bezdroża wyjść na prosty gościeniec wiodący do domu. — Lecz że moja matka była rzutnej myśli, pełna dowcipu i wdzięcznego obejścia się z ludźmi, więc rozmowę ożywia i pana Podprefekta zasługi tak podnosi, tyle o nim mówi, że go ujęła i znowu przychylnie usposobiła do wytrwania w umówionych zamiarach. Po chwili chciał Podprefekt spróbować, czyli się nieda rozmowy zacząć z inną becz-

ki, więc tedy pyta, czy panna Tekla przekłada wieś nad miasto?

— Najbardziej lubię stary Sącz, odpowie panna Tekla.

— Bo momoże pani miłe nananastęcza wspomnienia?

— Coby mi tam nastęczał, ja niepotrzebuję, aby mi co nastęczał, odrzeknie dotknięta panna Tekla, która uprzejmiej napaści nie zrozumiała.

— Nie zrozumiałaś Kuzynko, rzeknie moja matka, co mówił pan Podprefekt, chodzi o wspomnienia.

— Ja wiem, że o wspomnienia odpowie panna Tekla. —

Już tedy nie było sposobu skleić nowego sprzętu z dwóch kawałków pruchna, które się za pierwszym zetchnieniem rozsypywało. Moja matka chcąc wcześniej rzecz ukończyć albo ją objaśnić, prosiła panny Tekli, aby kazała kawę przygotować, a tém samém chciała ułatwić jéj sposobność wyjścia z pokoju, co téż panna Tekla zaraz skuteczniła i nieoparla się aż w pokoju pani Usielskiej. —

— Jest dzisiaj moja Kuzyna pomieszana, rzecze moja matka, domysła się zapewne celu pańskiej wizyty, przeto pierwsze takie spotkanie bywa mniej dla panny łatwém, ale ona umie być przyjemną. —

— Oh, bardzo tetetemu wierzę, odpowie pan Podprefekt, ale widać, że nie lululubi żartów. — Jednak

to nie nie szkodzi, bo w naszym wieku, to się człowiek nie z miłości żężeżeni, ale z rozsądku. — Lecz niewiem czyli ja się będę popopodobał?

— Oh, niezawodnie, szanowny panie Podprefekcie, rzekła moja matka, toby też można Kuzynę moją pomawiać o zły gust, gdyby się jój człowiek uczciwy i tak przyzwoity, a stanowisko w świecie mający nie-podobał. — Jutro gdy się państwo bliżej poznacie to już gładziej pójdzie. —

Daléj toczyła się ogólna rozmowa o sprawach publicznych, kiedy w pokoju pani Usielskiej innego rodzaju odgrywała się scena:

Panna Tekla weszła do pani Kapitanowój, w humorze kwaśnym jak ocet siedmiu złodziei a gorzkim jak pieprz węgierski. — Stanąwszy zaś przed nią w groźnej postawie, bok sobie podparła, i tak się do niéj odezwie:

— A cóż sobie to pani Kapitanowa myślisz, pozwalając sobie takich zemną żartów?

— Jakich żartów? odrzeknie pomiészana pani Usielska.

— Jakich?... czy to pani niewie?... iżby mnie zwodzić i mówić że Konkurent przyjechał, a to stary, łysy, jakąś Podprefekt ze Stopnicy! —

— Pan Ignacy mi kazał powiedzieć, iż to Konkurent, więc też wypełniłam tylko polecenie, ale z re-

szta nie nie wiem (odpowie pani Usielska) ku drzwiom się cofając. —

— Niech pani nie ucieka, rzecz panna Tekla, bo tak nieujdzie; musimy się rozprawić!... Czyli ja już na to w domu tym zesła? ja Tekla Wielogłowska, Podsędkowna Sandecka, aby mnie takiemi Konkurentami częstować? aby mnie chcieć za dziada wydać, aby mną potyrać?!... Czy ja to dla takich łysych podprefektów mam rękę do dania, posag, edukacją i nazwisko? proszę pani zaraz mi na to odpowiedzieć, bo ja zład niewyjde, dopóki się nie dowiem! Będę tu stać we drzwiach i dopóty niepuszczę pani, dopóki mi pani Kapitanowa na to nie odpowie. — Rozumié pani? czy pani słyszała, com ja mówiła?... —

— Słyszałam, odrzeknie przerażona pani Usielska.

— Więc dobrze, mówmy daléj! — A pani Ignacowa, pan Ignacy i pani Staroscina, i cała familija i dalsi krewni, czy mnie mogą nakłonić, abym ja za łysiego poszła?... Cóż pani na to mówi?... —

— Nie może nikt przymuszać, odpowie pani Usielska.

— Dobrze! otóż pani dopiero jedno słowo mądre powiedziała, odrzeknie panna Tekla. — A więc nie pójdę! — choćby mnie prosili, to nie pójdę, choćby mnie umęczyli, — to nie pójdę. — Choćby mnie zabili, to nie pójdę, nie pójdę i nie pójdę. — Bo ja ani łysiego, ani starego, ani jakąś niechęć, tylko młodego, ładnego, bogatego, coby mnie kochał i ja jego

kochała — a ja sobie takiego znajdę i będę miała, i nikogo się nie będę prosić, a to czy dziś, czy jutro, czy pojutrze. — Nie jestem przecież ani kaleką, ani też żadną pospolita, ale sobie jestem Podsejdkówną Sandecką, a kto ma Owieczkę znajdzie i baranka. — Więc masz pani czegoś chciała, powiedziałam pani teraz, i proszę sobie to wiecznie zachować w pamięci, a drugi raz z takimi konkurentami do mnie nieprzychodzić. —

— Oh przyrzekam iż nigdy, odpowie ze skruczą pani Usielska. —

Moja matka niespokojna, iż panna Tekla nie wraca, a tém samém, iż oblubieniec za zły znak to opóźnienie poczytać może, wchodzi do pani Usielskiej i natrafia na koniec sceny. —

— Dla czegoż panna Tekla, rzecze moja matka, do konkurenta swego nie wraca? przecież należy być uprzejmą i starać się pozyskać jego serce.

— Ah, weale się nie spodziewałam, rzecze panna Tekla, ze strony pani Ignacowej, aby, mnie za tak mało uważała, myśląc, iżbym takiego amanta przyjęła?... tego się niespodziewałam,... pierwój śmierci jak tego!... Otóż to kuzyna!... siostra odstryjeczna, pięknie!... aż miło tak szanować swoich! — Chcieć mnie wydać za łysego, starego jaka! — Weale też nie potrzebuję — dziękuję ślicznie, i proszę go so-

bie dla kogo innego zachować... Oto pani Usielska wdowa, więc niech go sobie weźmie!...

— Ale moja panno Teklo, odrzeknie z zadziwieniem moja matka, cóż ci się w głowie roi?... Czy cię co oślepia?!... Stara jesteś, uboga, nieładna, więc cóż ty chcesz lepij? — Mieję też rozum, bo już w twoim wieku czas abyś go miała. — Ale wreszcie rzecz skończona, bo ja pana Podprefekta zaręczyłam, iż mu oddasz twą rękę!...

— A to mi się podoba!... a to mi dopiero śmiałość kogo sprzedawać!!!... Zaraz idę, odrazu i obces powiadam panu Podprefektowi, aby sobie poszukał takiej jak sam, łysój i starój, a nie pretendował żenić się z osobą taką jak ja jestem!

I jakoż chce wychodzić, ale moja matka, która przy wrodzonej słodyczy, miała razem wielką tęgość charakteru i podniosłość pani rzekła. —

— Nieważ mi się Waćpanna robić żadnych awantur ani uchylać gościom w domu mojej matki. — Wolno przyjąć lub nie przyjąć, ale żadnej sceny robić nie pozwalam. —

— Proszę?... nie pozwala pani Ignacowa, jakby jakiejś słudze swojej, rzecze panna Tekla.

— Tak jest, nie pozwalam, i jeżeli się Waćpanna odważy najmniejszą panu Podprefektowi powiedzieć niegrzeczność, to cię w pokoiku twoim każę zamknąć,

rzeczy spakować i jeszcze dzisiaj na całą noc wobec p. Podprefekta odesłać do Owieczki. —

Ta stanowcza przemowa przemogła upór panny Tekli. Wiedziała ona, iż matka słowa dotrzyma, zaraz więc ochłódła, i zmiękła. — Moja matka rzekłszy jój, że sama odpowie panu Rutkowskiemu, odeszła do pokoju, zostawiwszy pannę Teklę w osłupieniu, a panią Usielską w trwodze, gdyż przewidywała, iż piorun wywołany na nią spadnie — jakoż po chwili odwróciwszy się rzekła panna z żółciowém rozpaleniem wnętrza:

— Faworytka pani Kapitanowój, pani Ignacowa!... Oczko w głowie! kanaczek!... Winszuję, ale nie zazdroścę. — Lepszy jeden palec u pani Teofili Gostkowskiej jak cała pani Ignacowa i z mężem swoim i tym chłopcem chałaśnikiem, którego nie cierpię. — Florcio Gostkowski, Sabinka to grzeczne dzieci, Bizia państwa Stefanów, Józio pana Kacpra to kochane dzieci: ale tego rozpieszczonego jedynaka państwa Ignaców, to nienawidzę i tak go będę szczypać jak państwo Ignacowie wyjadą, że się na nim pomszczę!

— O, co z tego to nie będzie odrzeknie pani Usielska, (w samo serce raniona). — Już co tego, to bym nie zniosła, ale bym sama pannę oskarżyła. —

— Skarż pani — skarż. nie boję się — głowy mi z karku nie zdejmą — mówi panna Tekla. —

— Kiedy panna chcesz tego, to idę zaraz i po-

wiem pani Ignacowój, aby raczej syna swego wzięła, jak żeby mu się tu co złego dzieć miało. —

— Nieważ się pani chodzić! odpowie panna Tekla.

Mój Ojciec, który w swój dar przemawiania do ludzi ufał, właśnie szedł pannę Teklę nawracać do rozsądnej myśli, kiedy natrafia na łzy pani Usielskiej i na gniew panny Tekli. — Po słówku jak po nitce doszło się aż do kłębka i rzecz się wydała. — Mój Ojciec żał w sobie stłumiwszy, odrzekł zimno:

— Nie będziesz Waćpanna mieć tego tryumfu, bo właśnie przyjechaliśmy zabrać naszego syna. Jednak nie myśl, abyśmy ci szkodzić chcieli, i niech ta sprawa będzie wieczną dla naszej matki tajemnicą, bo pojmujesz, iż gdyby się matka dowiedziała, tobyś i dom i przyjaźń utraciła; tego zaś nie chcemy, wiedząc, iż jesteś sierotą, i że ztąd wyszedłszy u nikogo byś już gościnności nie znalazła. —

Wrócił mój Ojciec do pokoju, a matka moja właśnie rozmawiała z panem Podprefektem, przepraszając go za zawód, i tłumacząc, że stare panny mają zwykle swoje dziwaństwa, a myślą, iż razem z latami wdzięków i zasług im przybywa. — Mój Ojciec to potwierdził a pan Podprefekt z miłym uśmiechem rzekł. —

— Ooowszem, ooowszem, bardzo rad jestem, bobobobo prawdę mówiąc to i ja czułem odrazę, ale dla kokokoligacyi, byłbym już i wywypił ten kielich goryczy. —

Mój Ojciec uściskał pana Podprefekta i uśmiano się serdecznie a na drugi dzień toczyła się już bryczka z panem Rutkowskim po Cesarkim gościńcu, przez Sierosławice aż do Stopnicy. —

Ojciec mój po odjeździe Podprefekta rozmawiał długo z moją babką o potrzebie obsiedlenia się jej w Krakowie, gdy zaś prawie obietnicę uzyskał, wszczął kwestyą o mnie, i prosił abym mógł jechać do Zborowa, zaręczając, iż mnie potem do Krakowa odwiedzie. Długie i łzawe były o to targi, aż w końcu, przemogła prośba mego Ojca, a babka w nadziei zobaczenia mnie w krótkce w Krakowie na to rozłączenie zezwoliła, — W końcu więc 1814 roku opuściłem Proszówki i razem z rodzicami i panem Pawłowskim powróciłem pod dach rodzicielski. — Obraz zaś tego rozłączenia i wdzięczności moich rodziców dla babki, za moje wychowanie, skreślił sławny malarz Lampi na obszerném płótnie. — Miało to być areydzioło pędzla tego artysty i było w rzeczy samój znakomitym utworem, ale pożar w Krakowie w r. 1851 pozbawił mnie téj ostatniej po rodzicach pamiątki. —

Opisywać pożegnania mego z babką nie będę — powiem tylko, iż tak było rzewne, iż nawet panna Tekla płakała. —

XXXV.

Dobre ziarno plon wydaje.

Długo niewiedzieliśmy, co się z panem Janem Chwalibogiem dzieje? ale pan Antoni który częściej w Proszówkach bywał, mówił że pan Jan ztetryczał, i że się ku pobożności skłania. Jeździł on jak zwykle do Karlsbadu, był téż i w Trenczynie, ale więcej dla zdrowia jak dla zabawy. — Inni mówili, że pan Jan jest chorym, lecz mój ojciec zgadywał, iż ta piękna dusza wyrabia się, a umysł jego pracuje nad odzyskaniem prawdy. — Mniemanie mego ojca zostało usprawiedliwione. Pan Jan Chwalibóg przyjechawszy do Proszówek, miał postawę dużo już poważniejszą, nigdy lekkiej nie wszczynał rozmowy a na Xiędza Adryana z uszanowaniem i pewnym wyrazem miłości spoglądał.

Po obiedzie pan Chwalibóg pod pozorem palenia fajki, wyniósł się z Xiędzem Adryanem do ogrodu, i tam w namiocie aż do wieczora we dwóch rozma-

wiali.—Wrócili później na kawę. Pan Jan był roz-targnionym, zamyślonym, a Xiądz Adryan opromienio-ny szczęściem i radością. — Moja babka uważała, iż Bóg tknął tę duszę i wewnątrznie dziękowała Zbawi-cielowi za ten promień łaski, ale nie wdając się w to wcale, mówiła o rodzinie i o projektach wy-jazdu do Krakowa.—Obliczała ludzi których z sobą weźmie, a po obliczeniu pokazało się iż zabierze wszystkich, wyjąwszy Kalicińskiego, który miał prze-znaczony folwarczek na chleb łaskawy i państwa Fi-laczyńskich, mających stały urząd. — Że zaś w tym obliczeniu objętym był i Xdz Adryan, przeto staru-szek skinąwszy ręką, rzekł:

— Mościa Dobrodziejko—jutro nie nasze—wszyst-ko jest w ręku Opatrzności. Ani odkładać zbawien-nych myśli na później, ani też zamiarów odległych tworzyć nie można.

Pan Jan Chwalibóg spojrział na starca i westchnął, a potem składając wczesne odejście na stan zdrowia swego, pożegnał swoją babkę i poszedł do przygotowa-nego mu gościnnego pokoju. Ludzie służący uważali, iż się u niego wciąż świeca paliła, a sądząc iż p. Chwali-bóg zasnął i świecy nie zgasił, jeden z nich wszedł, ale widząc że p. Chwalibóg czyta, cofnął się. W parę godzin później budzi się Rzepecki, a dostrzegłszy światło w pokoju gościa, biegnie i drzwi otwiera,

ale znajduje pana Chwaliboga klęczącego przy łóżku i modlącego się.

— Czy jaśnie pan nie słaby? zapytał Rzepecki.

— Nie, dziękuję ci, bądź spokojny, i pomódl się za mnie, odrzekł pan Chwalibóg.

— Co to z tego będzie? mówi sam do siebie Rzepecki. — Całą noc się modli i każe aby się za niego modlić?... Żeby sobie zaś nad ranem nie chciał w łeb wypalić?... On co nawet w niedzielę na mszę świętą nie chodził!... No, jakaś tu z tego wyniknie kozera!... Choćby iść broń odebrać?... Albo prosić i do sumienia przemówić, iżby tej krzywdy i sobie i swoim nie robił?!... Nie inaczej... trzeba iść, boby człowieka Bóg ukarał, gdyby nie prze-szkodził złemu.

Wziął więc na siebie Rzepecki opończę i wchodzi z kagankiem, mówiąc:

— Mój jaśnie panie, ja bardzo przepraszam, lecz jestem niespokojnym o pańskie zdrowie, że pan tak medytuje.... Ja panu mówię, iż sobie nie trzeba przybierać do głowy, bo Bóg wszystko odmieni i bę-dzie pan znowu szczęśliwym. Nie daliśmy sobie ży-cia, więc go też sobie nie możemy odbierać, ani duszy na wieczne zatracenie w ręce diabłu oddawać. Zmiłuj się jaśnie panie, i westchnij do Boga, a proś Pana Jezusa konającego aby cię oświecił, bo to wielki grzech, najśmiertelniejszy ze wszystkich śmier-

telnych. To przecież biedna mucha nieprzymierzając, a sama się nie zabije, chyba ją panna Podśędkowna klapką zatłucze albo pajak złapie, a tu pan na takim majątku i z takiego domu, ma sobie krzywdę robić?... Na Boga pana proszę, oddaj mi pan rusznicę i te dwa pistolety, aż pana zła myśl opuści, i Bóg pana uleczy.

Pan Chwalibóg zrozumiał obawę poczciwego Rzepeckiego, uściskał go w głowę z rozrzewnieniem i oddał mu krucicę i strzelbę dla uspokojenia, acz miał zamiar śmierć w sobie zabić a nie życie.

Rzepecki ze łzami ucałował ręce jego i nogi, broń zabrał i wrócił do siebie, ale już zasnąć nie mógł.

O czwartej z rana zaczął krząkać Xdz Adryan, odmawiać modlitwy i ubierać się.—Rzepecki nie spał, więc pyta:

— Gdzież się Jegomość tak wezas wybiera? to dopiero czwarta.

— Ja wiem, odpowie Xdz Adryan, ale o piątą muszę już być w kaplicy, bo tam ma przyjść pan Chwalibóg.

— Oj to dobrze mój Jegomość, trzeba się spieszyć, bo ja nie mało miałem z nim przez całą noc strachu i kłopotu, bo sobie coś do głowy przybierał, a wdychał, klęczał, modlił się, czytał.

— To dobrze, odpowie Xdz Adryan.

— Piękne mi tam dobrze, kiedy aż musiałem mu broń schować, a ledwie go uprosiłem, że sobie życia grzesznego nie odebrał. — Widzi Jegomość, że ja tu mam jego rusznicę i pistolety, oba nabite i podsypane na panewkach.

— No, to zobaczymy, rzekł oziębło Xdz Adryan.— Ale mi się zdaje, że on chciał diabła zabić a nie siebie.

— Co też-to Jegomość z przeproszeniem takie rzeczy mówi. Gdzieżby zaś miał do diabła z pistoletu strzelać? A zabije to diabła z pistoletu?...

— Zabije, rzecze Xdz Adryan, ale trzeba pierwój głową w proch uderzyć, to jest w ten proch co się robi ze światowych śmieci.

— No proszę, odpowie Rzepecki, nie wiedziałem o takowej sztuce. Ale Xieża to na wszystko różne mają sposoby, bo się tego uczą.

Xiadz Adryan ubrawszy się, wziął klucze i poszedł do kaplicy, a wkrótce p. Chwalibóg zdążył za nim i przeszedł około Rzepeckiego. Jeszcze się poczciwy Rzepecki nie domyślił o co chodzi, bo wiedząc iż pan Jan Chwalibóg żyje wolnomyslnie, nie sądził aby się w nim tak nagle zrobiła odmiana. Zaczął więc marzyć i myślał, że go Xdz Adryan sztuki przed wschodem słońca chce nauczyć, do zabicia diabła prochem z kaplicy. — Wzięła go też pokusa podejrzyc tajemnicę i także się o tej sztuce dowiedzieć.

Ubiera się więc po cichu, wychodzi dygocząc i jak kot koło domu sunie się na palcach, aż do drzwi kaplicy. Patrzy, a tu Xdz Adryan siedzi, a pan Chwalibóg klęczy i spowiada się!...

— Spowiada się na prawdę... mówi sam do siebie. — Ale się też-to długo spowiada... nagada on tam dość... Bo i jest co... proszę?... tyle lat... nie dziwota! Oho! już rozgrzeszenie!... dobryś! już zgoda z Bogiem!... Chwała Panu Bogu! aż mi się chce płakać, takim kontent i rad temu!... Ale i ja zgrzeszyłem... Jużci grzechem jest podglądać... Xiędza szpiegować, posadzać o czary!... Grzech śmiertelny!... ej, nie jest śmiertelny, bo ciekawości nie ma na rejestrze grzechów śmiertelnych w mojej książce.... Tak, ale zawsze grzech... a co mi po grzechu?... Będę tam dźwigał w sercu to paskucstwo, pójdę i ja na spowiedź, kiedy już Xiędz siedzi, a za jedną drogą, jakby z dubeltówki, dwóch diabłów zginie.

Poszedł poczciwy sługa, i spowiedź odbywszy, o ósmej z rana z panem Chwalibogiem, przy mszy świętej przystąpił do stołu Pańskiego.

Babka moja ze łzami rozczulenia dziękując Bogu, krewnego swego uściskała i ubłogosławiła, a dowiedziawszy się o całej historii poczciwego sługi, rzekła z tym wyrazem prawdy, który cechował jój duszę:

— Oh niegodną jestem tylu łask i pociech jakie Bóg na mój dom zśle, a także nie czuję się godną aby tacy słudzy mnie grzesznój służyli.

— Wszyscy Boga sługami niegodnemi i nieużytecznemi jesteśmy, rzekł na to Xdz Adryan. — Ja zaś który stoję z brzegu, najmniej użytecznym jestem.

XXXVI.

Śmierć Xiędza Adryana.

Ostatnie słowa Xdza Adryana „iż stoi z brzegu“ były niemal prorocstwem, albowiem w kilka dni po odjeździe p. Chwaliboga, Xdz kapelan zaczął na zdrowiu upadać. Z początku sam się leczył i zażył kropli długiego życia (*longae vitae*), i przyłożył pod sercem plaster Cernerowski. Ale gdy widocznie stan się jego pogorszał, przywołano doktora Kanke. Ten poczciwy przyjaciel domu i doskonały lekarz, wypytał chorego, śledził słabość w swych rozmaitych objawach, i rzekł:

— Nie trzeba ani plastra pod sercem, ani żadnych lekarstw, tylko dwa lub trzy razy na dzień po kieliszku starego wina.

Xiądz Adryan zrozumiał receptę i odrzekł:

— *Senectus ipse morbus*, starość jest samą chorobą.

Doktor Kanka obojętnie potwierdził, ale dodał:

— Może Jegomość żyć z tém jeszcze długo.

— Albo też bardzo krótko, odrzekł Xdz Adryan z figlarnym uśmiechem.

Dok: Kanka zawołał Filaczyńskiego i powiedział mu w sekrecie, że w istocie choroba Xdza Adryana grozi apopleksją nerwową i że ani leczyć nie można, ani przewidzieć epoki skonu, albowiem w każdej chwili paraliż nerwów może zagasić tę dotlewającą się świecę. Radził jednak wino stare, jako podniecające czynność organów życia.

Xiądz Adryan, o stan zdrowia swego najmniej troskliwy, napisał parę listów, zapieczętował i schował do brewiarza, potem zaś prosił, aby mu posłano po Xiędza Żabińskiego. Gdy ten wszedł do pokoju, Xdz Adryan rzekł do niego:

— Chwała Bogu żeś przyjechał Reverende Pater, bo będziesz furmanił mojej duszy w podróży na tamten świat.

— Ej, nie Jegomości nie będzie, rzecz Xiądz Żabiński.

— Cóż mi ma być Moćpanie więcej jak to co mi się należy, to jest śmierć, a po niej czyszcwowe męki, odpowie Xdz Adryan.

— Pierwsze każdego spotka, a o zmniejszenie drugich cierpień, to się postaramy. Czy jesteś Jegomość gotów teraz się dysponować?

— Grzech mój jest zawsze przedemną, Amantissime Pater, a więc proszę. Każ Xdz proboszcz Moópanie wyjść świadkom.

Gdy wszyscy opuścili salę, Xdz Adryan odbył spowiedź, a potem chciał przyjąć ciało i krew Pańskie, jako Wiatyk. Zapalono więc świecę, otworzono drzwi do sali, zadzwoniono w kapliczny dzwonek, i przyniesiono processjonalnie złożony tam Przenajświętszy Sakrament. — Xiądz Adryan uklęknawszy ze skruczą i wielką miłością, przyjął święty chleb podróźnych, a długo wewnętrznie składając dziękczynienia za ten pokarm duszy, rozjaśnił się, wypogodził w całym swém obliczu i rzekł do obecnych:

— Upraszam osoby obecne, aby wyświadczyły mi przyjaźń w podziękowaniu wspólnie ze mną Panu Bogu, za nieskończone dobrodziejstwo udzielania się grzesznej duszy mojej w niesłychanej tajemnicy Ciała i Krwie Pańskiej, i aby zmówiły wraz ze mną a za Xiędzem proboszczem litaniją o Przenajświętszym Sakramencie.

Odmówiono litaniją, poczem Xdz Adryan zwrócił się do Xiędza proboszcza, rzekł:

— Bóg ci zapłać Reverende Pater, za usługę duchowną i pomoc przejścia z tego świata do wiecznego życia. Polecam modlitwom twoim duszę moją, a jeśli przy miłosierdziu Boskiém dostanę się kiedy w krainę błogosławionych, prosić będę Boga aby i dusza twoja

ze wszelkich skaz obmyta, wznosiła się z wolnością i nadzieją do nieba.

Potem pocałował w rękę Xdza proboszcza i tklawie pożegnał. Zwróciwszy się zaś do mojej babki, odezwał się:

— Niechaj ci Pan Bóg stokrotnie płaci szanowna pani za wszystkie dobrodziejstwa, a szczególnież iż z taką cierpliwością znosiłaś i znosisz w swym domu starca, niedołęę. — Błogosławieństwo Boże niechaj będzie nad tobą, twemi dziećmi, wnukami i praprawnukami twojemi, i niechaj Bóg w pokoleniach z ciebie płynących, przechowuje świętą wiarę katolicką a strzeże serce od kacerstwa, niedowiarstwa, i wszelkiego złego duchowego. — Pokój temu domowi, pokój Pana naszego Jezusa Chrystusa.—Amen.

Babka moja zalana łzami, poszła ucałować rękę kapłana, który dodał:

— Niech cię Bóg nie opuszcza, ale czuwa nad tobą zawsze i wszędzie, a szczególnież w godzinę śmierci. — Idź w pokoju, a nie płacz, bo to dzień wesela a nie smutku kiedy starzec umiera, a kończąc walkę, idzie na spoczynek.

Odzywając się zaś do reszty, rzekł:

— Was zaś wszystkich miłych mi braci w Chrystusie, i współ-domowników, żegnam serdecznie i błogosławię, a przepraszam za wszystko, czem z powodu ułomności mojej ludzkiej, mogłem was obrazić.

Wszystkie grzechy nie Xiądz popełnił, ale grzeszny Adryan, na niego więc a nie na Xiędza całe zło składajcie. — Niech was Bóg od wszelkiego grzechu strzeże — w dobrych postanowieniach utwierdza — wzajemną ku sobie przyjaźnią łączy, a da wam łaskę wypełniania pilnego i wiernego waszych obowiązków, przy dobrej pani której służycie. A teraz chciałbym się jeszcze z Xiędzem proboszczem sam na sam rozmówić.

Wszyscy kolejno ucałowali ręce Xdza Adryana i łkając wychodzili, a jeden drugiego się pytał, czy zaś może tak prędko umierać, kto tak przytomnie i wesoło mówi?...

Co już po spowiedzi sakramentalnej Xiądz Adryan mówił i co powierzył Xdzu Żabińskiemu, tego przytaczać tu nie jest czas ani miejsce. — Te słowa powiedziane były, aby je odnieść memu ojcu i panu Kacprowi Wielogłowskiemu. — Z biegu spraw ludzkich widzimy, iż to były słowa z natchnienia Bożego.

Potem znowu pytał się Xdz Adryan, czyliby nie było dobrze przyjąć już za jednym zawodem Sakramentu ostatniego namaszczenia?

— Nie widzę powodu, rzecze Xdz proboszcz, bo Jegomość jeszcze jesteś silnym.

— Oh nie, Reverende Pater, rzecze Xdz Adryan, ja czuję iż jestem na wyjeźdnem, przeto lepiej może wóz weześnieńj nasmarować.

— Skoro Jegomość chcesz, więc możemy, odpowie Xdz proboszcz.

Przyjąwszy więc Sakrament ostatniego pomazania, i odmówiwszy stósowne modlitwy, rzekł Xdz Adryan:

— Dzięki Bogu teraz dobrze, i trzebaby to już z tém życiem skończyć, bo i ludziom kłopot trzymać w domu żywego trupa.

— Jeszcze Jegomość pożyczysz, rzecze Xdz proboszcz. — Jeszcze sobie do Niepołomskiej kapliczki odprawimy pielgrzymkę.

— Ja już wątpię, odpowie Xdz Adryan, ale gdy sam będziesz pielgrzymkę odprawiał, to pomódl się za mnie, a jeśli Bóg pozwoli, to dam ci znak iż wiem o tém i że ci dziękuję.

— A jakiż to znak będzie? zapytał Xdz proboszcz.

— Oto przylecę do ciebie ptaszkiem i zaśpiewam ci na podziękowanie za pamięć o mojej duszy.

— Dobrze mój ojeze, będę pamiętał, odpowie proboszcz.

Na drugi dzień, Xdz Adryan był dużo lepiej i rzekł do Filaczyńskiego:

— Zażartowała śmierć ze starego, i chciała się dowiedzieć, czy się jój przelęknie?

Trzeciego dnia był gorzej. — Xiądz Żabiński go nie odstępował, odmawiał z nim modlitwy, a wieczór gdy kilka osób przy nim siedziało i babka moja od-

mawiała z panią Usielską na jego intencją koronkę, zapytał Xdz Adryan Xiędza Żabińskiego:

— Czy świeca zgasła, iż tak ciemno?

— Nie, odpowie Xdz Żabiński, świeca się pali.

— Więc ja gasnę, odrzekł Xdz Adryan.—Bywaj... zdrów — i belkocząc jeszcze niewyraźnie kilka słów, mowę zamknął i skonał.

Odmówiono modlitwy, — nazajutrz w kaplicy urządzono katafalk na którym ciało świętobliwego starca było złożone. Msze święte ciągle odbywały się przy jego zwłokach, aż poniesiony na barkach domowników Proszówek i gromady na miejsce wiecznego spoczynku, złożon był w ziemi Bożej ku przysłemu ciała zmartwychwstaniu.

Xdz Żabiński w parę miesięcy potem odwiedzał kapliczkę w Niepołomskiej puszczy, a modląc się, wspominał o przyrzeczeniu daném Xdzu Adryanowi, zmówił de profundis, kiedy ptaszyna wleciawszy na najbliższej stojące balasy, donośnie i tkliwie przyspiewywać poczyna.— Zastanowiło to Xdza Żabińskiego, ale i pewną go przejęło trwogą. — Odszedł więc o parę kroków i stanąwszy na drożynie, zaczyna drugą modlitwę, kiedy ten sam ptaszek nadleciał na krzak blisko stojący i znowu śpiewa. — Zmówił przeto Xdz Żabiński powtórnie modlitwę za dusze zmarłych i

wrócił do domu, a taką mimowolną już czuł trwożę ducha, że ile razy szedł do kapliczki, to brał za towarzysza albo organistę, albo przynajmniej syna organisty, iżby się (jako powiadał) nie spotkać z duchem sam na sam.

XXXVII.

Wydzierżawienie Proszówek.

Śmierć Xdza Adryana i Boratyńskiego, obok niepowodzeń gospodarskich, a razem wyjazd mój z Proszówek i tęsknota ztąd płynąca, przeważały szalę postanowień mojej babki za radą panny Xieni, i za życzeniami mego ojca.

Msza się już codziennie w kaplicy odbywać nie mogła; chociaż bowiem przyjechał O. Reformat z Wieliczki, to znowu po kilku dniach do zakonu powracał.—Słowem, wszystko się tak składało, iż babka moja pragnęła już obsiedlić się w Krakowie. — Mój ojciec swoją drogą starał się o dzierżawcę.—Szczęśliwym trafem, nawinął się mojemu ojcu niejaki pan Maszewski, który ożeniwszy się w Zborowie z dawną guwernantką mojej matki, dzierżawami chodził, i dorobił się kilkudziesięciu tysięcy, ale jeszcze wsi dziedzicznej kupować nie chciał, bo zakrawał na kupno większego majątku, mówiąc: „Małe dziedzictwo, wiel-

kie kaléctwo.“ — Był to dzierżawca wedle myśli i serca mego ojca, a rodzaj takich ludzi już zaginał! — Ubierał się w kontusz szaraczkowy na alepinowym żupanie ciemnego koloru w drobne kwiatki — pasem się jedwabnym obwijał — głowę miał podgoloną, na której kipiła czapka czworograniasta. — Szpinka u szyi z szkieł czeskich, — przytém wysoka laska w ręku z podłużną galką ze słoniowej kości. Z za kontusza wyglądał łańcuszek tombakowy od zegarka, a przy nim był kluczyk modnie osadzony w ogromny frukt z czerwonej masy, który spadał mu na żołądek. Na palcu pierścień z dużym krwawnikiem, na którym żyd w Rzeszowie herb Maszewskich wyrytował. Obówie aż po kolana ze skóry juchtowej, w nieobliczonych fałdach opadało ku kostkom. Pan Maszewski był wzrostu wysokiego, tuszy mierniej; głos jego potężny dudnił po szerokiej piersi, tak, jak gdy się po bruku próżną beczkę toczy. Mówiono o nim w okolicy, iż jest *zawołanym* gospodarzem, a przytém był pobożnym, rzetelnym i miał kapitały. Wszystkie więc posiadał główne przymioty; ale o jeden jeszcze chodziło, a ten był przeszkodą o którą się cała rzecz rozbić mogła.... Oto był zbyt surowym dla chłopów.... Mój ojciec wiedząc o ile włościanie dobrocią mojej babki byli rozpieszczeni, słusznie się obawiał, aby nagła zmiana w stosunkach z gromadą, nie przyniosła i właścicielowi i dzierżawcy szkody, prosił więc p. Ma-

szewskiego iżby się miarkował, a w postępowaniu starał się być łagodnym.

— To na nic się nie przyda chłopu miodem smarować, rzecze Maszewski.— Cóż ztąd dobrego? tylko się rozzuchwali, przybierze fantazyi, a w niczem nie jest lepszym ani nawet wdzięcznym. Są to nowe wymysły które praktykują książęta i wielcy panowie, bo na nie z za granicy przywieźli receptę. Lecz oni mogą bawić się w to, bo są magnatami, mają znaczne dochody i nie chodzi im o kilka tysięcy. Ale ubogi szlachcie co drze tyka gdzie może, toby nie wyszedł na takięj z chłopami spekulacyi. Jużci i dla chłopu trzeba być sprawiedliwym, bo i on jest Boskie stworzenie i téj samęj wiary, ale te inne dodatki to są zupełnie niepotrzebne. Zawsze należy się z poddanym z góry i surowo obchodzić, krótko się zawinąć a stanowczo. Zasłużyłeś? połóż się! Wypalić mu nie dużo—dziesięć albo piętnaście, ale oblewanych i nie żartować! — Potém jakby makiem zasiał, już się mu marnego słowa nie powie! — Taki to mam sposób, a dziękując Bogu, nigdy nie miałem wypadku ani podpalenia, ani nawet skargi, bo chłop chociaż nie prawnik, wie co sprawiedliwe. — Dzierżawiłem przed kilku laty w Jasielskim wioskę od wdowy, która téż tak była dla chłopów, jak nieporównywiająć pani starościna.— Miała apteczkę dla nich, leczyła na febrę, wspomagała pieniądzem, zbożem na przednow-

ku, a uderzyć chłopu?... broń Boże... to grzech!... Otóż zawołali na pańskie do młocki w czasie siewów, a tu ani jeden chłop nie wyszedł.... Ekonom sam chałupy objeżdża, wypędza, prosi... ani weź! gdcieżby który wyszedł, kiedy się nikogo nie boi... Kmiecie po dziesięć zagonów przez cały dzień orali, a na jednym morgu u żniwa to aż po ośm było dziewek. Przez lat więc kilka dziedziczka w taki sposób wieś spustoszyła, iż na spiżarnią zboże kupować musiała, gromada zaś rozpuściła się na bicz dziadowski. Poworywali się w grunt pański, pasali gdzie chcieli—wikle wycinali, kradli, a jeszcze sobie różne rościli pretensye, to o kawałek łąki, to o klin jodłowego lasu. — Ztąd skargi do cyrkułu, komissye, tak, że sprawy się o sam Wiedeń oparły.—Ktoś tam doradził, aby tę wieś mnie wypuścić w dzierżawę, a że ja w sąsiedztwie większe dobra trzymałem, więc się dałem namówić, i (co prawda to nie grzech), tanio ją chwyciłem. — No... dopieroż wziąłem się do rzeczy i przez dwa miesiące sam w onęj wiosce zamieszkałem.—Wstaję, obejdę pola, zanim słońce wyjdzie za góry! Słońce téż wychodzi, ale chłopcy z chałup na pańskie nie wychodzą.—Wracaj do dworu!... jak dosiądę szłapaka a jak zacznę jeździć od chałupy do chałupy, jak krzyknę, a tego i owego co mi się nawinie jak skropię... Jezus Maryja! trzeba było widzieć jak się zwijali, bo poczuli, że to (z przepro-

szeniem) nie baba niemi rządzi! — Jeden też chciał się stawiać, ale jak go wymustrowałem, zaraz poznał *mores* i *cyt*, ani *mrumru*. — Dopiero raz i drugi tak, a już chłopci poznali z kim mają sprawę. — Gadali więc między sobą, (a mój chłopiec ich podsłuchał i mnie powiedział). — Jeden prawi: O, to jakiś zły pan, będzie on tu broił i ludzi tyrał; — a drugi mówi: da się mu radę, bo tylko z początku tak się jurzy, ale on zwolnieje!... — Znów trzeci: Zwolnieje ci tam zwolnieje!... kiedy on i tam gdzie jest a także też, ludzi pędzi do roboty. — To go oskarżymy, rzekł czwarty. Cóż to pomoże, rzecze inny, kiedy mu przysądzą, bo jego prawo będzie, lepiej może i nie sprzeciwiać się a wychodzić kiedy tam już tak padło; ale ten to był zdrajca, co jejmości doradził aby wydzierżawić, bo cóż tam potrzeba kobięcie? Byłaby sobie i tak żyła a nam byłoby lepiej. — Ha, rzecze piąty, zobaczymy jak dalej będzie? Trzeba było szlachejce lepiej jako uprawiać, nie byłaby puściła w harendę. — Ha, któż ją tam wiedział, rzecze trzeci. Wreszcie sama temu winna, bo gdyby była swojej pracy przypilnowała, tobyśmy byli i robili, ale rządziła tam niezdarnie, więc jęć gromada nie bardzo szanowała.

Otóż widzi JW. pan dobrodziej, iż się to tak wychodzi na tych pieszczotach, iż ani pan nie ma, ani chłop nie czuje się być obowiązany do wdzięczności, bo korzyści nie przypisuje dobremu sercu i wspa-

niałości duszy, ale słabości charakteru i lęklivości. — Co moje, to moje, a co twoje, to twoje, rzekłem chłopom. — Potém wziąłem ich ostro, ale bez nieczyjjej krzywdy i tak gromadę ujeździłem, że wszystko jest jak w zegarku. Sami teraz chłopci przyznają, iż nigdy sprawiedliwiój nie byli rządzeni. — Płacę im na zagonie, pracą nie przeciążam, ale *mores* znają, i za każde złodziejstwo, zuchwalstwo lub upór, są karani.

— To wszystko jest prawda, rzecze mój ojciec, ale przyznasz pan, iż obowiązkiem naszym jest lud podnosić z tego stanu upodlenia i barbarzyństwa, więc jakośby trzeba więćej wpływać moralnie.

— Podnosić?... a to po co? do czego to posłużyć?... Ja zaś trzymam z świętym Pawłem, który mówi: „*Strzeżcie się, abyście drugich podnosząc, sami nie upadli.*“ Niech więc każdy swój własny ciężar dźwiga, my szlacheckich obowiązków a chłopcy chłopskich.

— Przepraszam, odpowie mój ojciec, bo jest też w piśmie: iżbyśmy wzajemnie znosili jedni drugich ciężary.

— Ej, to podobno do czego innego powiedziane, a nie do szlachty i nie do chłopów, odrzeknie pan Maszewski. — Lecz mniejsza o to, ale koniec końcem jakże JW. pan sądzisz, czy będzie zgoda o Proszówki? Ja się z Jejmością panią Starościna nie chcę targować,

i daję ile żąda, a w wiktuałach dam dużo więcej jak dzisiaj nawet przyrzekam, bo wiem, że przy jej gościnności to się i więcej rozejdzie — więc na dwa słowa!...

— Dobrze, odpowie mój Ojciec, ale główna przeskoda, to są ci włościanie, aby oni znowu na skargę do Krakowa nie chodzili, jak pan ich nagle ściśniesz na cuglach. —

— Nie będą chodzić, rzeknie p. Maszewski, bo ja ich nie znarowię tylko ujeżdżę. — Najgorzej tam się dzieje, gdzie kto drażni lud, i raz jest bardzo dla niego dobrym a drugi raz za zbyt surowym.

— Kiedy więc tak, rzecze mój Ojciec, przeto niech Bóg szczęści! kontrakt dzisiaj spiszemy, ale pana proszę, iżbyś sprawy nie rozgłaszał, gdyżby zawczesnego narobiło się żalu i płaczu. — Już wiosenne zasiewy są uskutecznione, więc rzeczy idą swoim trybem. — Wkrótce kontrakt spisano, babka go moja przyjęła — p. Maszewski zadatek wyliczył i dał oprócz tego, beczkę maślarza na porękawiczne. — Ale sekret nad dni kilka utrzymać się nie mógł, bo każdy się domyślał i z obecności kilkodniowej pana Maszewskiego i ze spisywania inwentarza, że jakaś główna zajdzie zmiana, i że w miejsce świątobliwej pani, dostaną kosa. — Chodziły już więc po wsi rozmaite wieści, jmniej lub więcej prawdziwe; przy młocce były o tém

mowy, w browarze ciche pogwarki. — W karczmie była rada. W Bochni na jarmarku zwiady o panu Maszewskim, i zapytania jak o nim ludzie twierdzą: czy ostry, lub miękki? A wreszcie, rzecz stała się publiczną i z pewnością wiedziano, że już pani oddaje Proszówki w dzierżawę. —

XXXVIII.

Wyjazd z Proszówek.

Nie będą czytelnika zajmował szczegółami rzewnego pożegnania méj babki z ludźmi i gromadą Proszowską. — Łatwo domyślić się z jakim uczuciem żalu rozstawali się z panią, której cnoty przez grubą nawet powłokę surowej organizacyi do serc się ich przelały. Dodam tylko, iż wśród rozżalonych, była tam jedna istota miotana trwogą i wewnętrzną rozpaczą, nadzieją, miłością, żalem, i niepewnością — istota tém nieszczęśliwsza, że ani słowa pociechy usłyszyć, ani się uskarżyć nie mogła. — A tą była niemowa. Paki które widziała, kazały jęj zgadywać, iż się na jakąś długą i daleką podróż zanosi. — Powszechny ruch i zajęcie, świadczyły o ważności toczącej się sprawy. — Częste odwiedziny gromady, pożegnania, łzy, dawane podarki, pozwalały twierdzić, iż bolesna dla gromady nastąpi zmiana. — Ale co się z nią samą stanie? ... Niewiedziała biedna niemowa! płakała

więc na kredyt, i załamywała ręce, ale razem szła coś nader pilnie, siedząc w cieniu rozłożystej leszczyny. —

Gdy już wszystko do wyjazdu było przygotowane, i gdy Xdz proboszcz Żabiński po raz ostatni mszą świętą w kaplicy odprawił, a na kawę potem do pokoju poszedł, wchodzi lekliwie niemowa, i składa méj babce na pamiątkę szkaplerz swojej roboty i piórko jedwabiami obwijane, a rzuciwszy się do jęj nóg, jęczy prawie i ryczy z żalu i rozpacz, i całując nogi méj babki oderwać się od nich nie da. — W téj scenie, wszystkie zbiegły się jęj uczucia i myśli, bo i pożegnania na przypadek gdyby zostać miała, i wdzięczności gdyby ją wzięto, i współudziału w ogólnym żalu. — Xdzu Żabińskiemu łzy się w oczach zakreśliły, bo miał najszlachetniejsze serce, podniósł ją przeto ułaskaw, i dał jęj w rękę kilka papierów szejnowych. Niemowa do nóg mu upadła oddając te pieniądze i wskazując na migi iż ich niechce. — Xdz Żabiński wzbrania się odebrać, więc niemowa odnosi je do mej babki, i pokazuje, że dla nięj na podróż ofiaruje w dodatku do szkaplerza. —

Moja babka, która miała zamiar wzięść z sobą niemowę, pokazuje jęj znakami, że i ona pojedzie, i że się z nią nie rozłączy. — Wtenczas scena się zmienia, bo biedna dziewczyna jakby porwana szalem znowu się do nóg, rzuca, ale chociaż płacze, to już pła-

czem innym, pomieszany ze śmiechem tak dzikim, tak strasznym, iżby się zdawało, że słowo jój uwiecznione w piersi, walkę odbywa z wadą organiczną i rwiąc swoje kajdany z ust się wyrывa. Język jój kołowrotem latał bez wyrazu, ale co on niezdolał wyrazić, oczy powiedziały — oczy w których ogień radości zabłysnął, jakby pochodnia życia. Potem nasza niemowa jak sunie przez ganek, jak zacznie po podwórzu podskakiwać, płaszać, w górę ręce podnosić rżąc piersią radością, to zdawałoby się, iż z czyszcą dusza uwolniona tak do nieba kroczy. — Wpadłszy do kuchni wszystkich kolejno całuje, nareszcie psa i w końcu kota, bo radaby każde stworzenie obdzielić miłością, przypuścić do udziału wewnętrznej pociechy — radaby też każdego w tym rajku pomieścić, który się dla niój otworzył.

Ale serce ludzkie to otchłań: i któż to przejrzy bezdno téj otchłani? Koniec każdej pociechy jest razem początkiem żalu, radość styka się ze smutkiem, a rozpacz z nadzieją tak, jak na odwrót nadzieja ze zwątpieniem! Bóg niechciał aby człowiek na ziemi używał bezwzględne szczęścia, bo niemiałby mu już czém cnót i zasług nagrodzić, a cierpienie i śmierć słodyczą zaprawić. — Bezwzględne szczęście jest w niebie, w Bogu i przy Bogu, wiekuista-to jedność z Bogiem, czyli z miłością doskonałą, z prawdą doskonałą, z czystością doskonałą, która jest ostatecznym człowieka

celem. — Otóż i nasza niemowa od razu z wysokości swego szczęścia strąconą została na padół ziemskich naszych smutków. — Gdy już powozy ruszyły a dano jój znak, aby na furę dla czeladzi przygotowaną siadała, spojrzała w około siebie: na kaplicę i na dwór, na ogród, okolicę, niebo i łzy się jój z oczów puściły. — Pobiegła cwałem do kaplicy, ... ale już drzwi zastała zamknięte, ryknęła z żalu i próg pocałowała. — Pobiegła do dworu ... pusty! ... Na prawdę więc i głośno zaniosła się od płaczu. — Wreszcie, ktoś po nią przybiegł i ciągnie za rękaw wskazując aby siadała. — Idzie więc, a przed wsiadaniem kładzie się na ziemi i oblewając ją łzami, całuje, jakby żegnała matkę, która ją żywiła, i dla sieroty była dobroczynną. —

Wreszcie zasiadła na wozie, a łkając i płacząc, rękami i głową żegnała każdą stronę i każdego człowieka, i drzewa winnicy, i nawet Rabę — aż wreszcie przyjechawszy do Bochni miasto ją zajęło, i znowu się utworzyła inna figura w kalejdoskopie jój serca: gdy zaś fura zrównała się z oczekującymi w Bochni powozami, a niemowa babkę mą zobaczyła, zaraz promień radości rozpędził noc żalu, i znowu z pociechą widziała się blisko swojej pani.

Zakończenie.

Moja babka po przyjeździe do Krakowa, zamieszkała w domu aptekarza Żuchowskiego przy ulicy Florjańskiej, gdyż dom moich rodziców własnością dzisiaj Hr. Soltykowej będący, zajmował syn mojej babki p. Kacper Wielogłowski pod ówczas Prefekt Departamentu Krakowskiego. —

O pobycie méj babki w Krakowie napiszę w innym oddziale, że jednak dni nasze są policzone, i nie wiem czyli mi Pan Bóg następne prace wykonać pozwoli, a chciałbym, iżby każde z trzech części mojego dziełka: *Zwiady świata i ludzi*, tworzyła osobną całość i nie była rozerwaną pracą, przeto powiem w krótkości, iż życie mojej babki w Krakowie zupełnie odpowiedziało życzeniu panny Duval Ksieni Staniąteckiej, gdyż żyła z całym światem, nie będąc ze świata, stała wśród ludzi w zgodzie i miłości, walcząc tylko z wadami własnego swego człowieczeństwa, i w roku 1818, otoczona szacunkiem i miłością powszechną,

po chorobie dwóchniowej zasnęła w Bogu na ręku mojej matki, a przygotowana do śmierci przez Xdza Burzyńskiego Biskupa Sandomierskiego, który był przyjacielem jej męża i obojga spowiednikiem. —

Biskup Burzyński twierdził, iż babka moja skończyła w duchu niezaprzeczonej świętobliwości i z zupełną ufnością w miłosierdzie i łaskę Bożą. — Pochowaną zaś jest w grobach kościoła OO. Reformatorów w Krakowie, gdzie jej nagrobek a razem i matki mojej, widzi przechodzień przy ołtarzu Świętego Kazimierza. —

Jeżeli zaś czytelnik w tej mojej drobnej pracy, i w ciągu opisu znalazł dla siebie ziarno pożytku albo zajęciã, i jeżeli mi chce sownie zapłacić szafunek uczucia i czasu, niechaj za dusze zmarłe, które w tym opisie na ziemską wywołałem scenę, zmówi wraz zemną: Zdrowaś Marya, i wieczny odpoczynek, racz im dać Panie, a światłość wiekuista niech im świeci Amen.

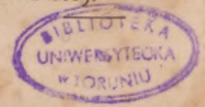
Mulford Trentice

DZIEJE POLSKI

pod panowaniem AUGUSTA II. od roku 1696 — 1728

opisał współczesny, Erazu Otwinowski.

A tak wejrząwszy szlachta na exorbitancye Sasów, jako szlachte zabijają, dwory najeżdżają, kontrybucyami trapią, wyprowadzenia ich nulla spes, forma regiminis żadna. tém bardziej poczęła w ich rość animositas pectorum; więc naprzód poczęło obmyślać obronę Podgórze krakowskie w powiecie sądeckim, a na największą, zasłużył sławę i wdzięczność wiekopomną Stefan Wielogłowski cześnik, rawski, który animavit wszystkich do obrony naturalnej, exponendo omni periculo zdrowie i fortunę swoje. Ten zacny człowiek najprzód poruszył wiele szlachty na sejmik: do Proszowic. electionis deputatów na trybunał: stanęła z nim znaczna gromada Podgórczanów lekko, bez wszelkich zawad, wozów, ale arcy armatno, a po zaganieniu sejmiku obrali marszałka województwa Marcina Rybińskiego, Łomżyńskiego chorążego; a wszedłszy w konfederacyę partykularną i przyrzekłszy do ostatniego tchu nie odstępować się, poszli pod Kraków, gdzie natenczas stał w garnizonie generał Lamoth, mając kilkaset infanteryi i pułkownik Mier z regimientem konnym dragoniskim. Ci obadwa chcieli szlachtę znosić, ale ujęci zdrową wojewody krakowskiego perswazyą, żeby olejem ognia nie gasili, przestali na tém, dając pierwój znać o tém królowi do Warszawy, co się dzieje w krakowskiem. A wojewoda wyjechawszy do szlachty radził, żeby się jeszcze z tą rezolucyą zatrzymali, ponieważ i słabych sił byli, bo tylko jeden powiat sądecki, a z bieckiego nieco było szlachty; druga, niewiedzieli, jeżeli insze województwa będą téj rezolucyi po przeszłorocznej konfuzyi, a w wojsku kwarcianem nulla spes, ponieważ hetman częścią uwiązał w imprezach królewskich, a śmiałości cale nie miał ogarniony strachem. Ale Podgórczanie, lubo in parva frequentia, bo ich nie było nad 700 koni, animati od Wielogłowskiego more bellico podniósłszy chorągiew poszli w góry, deklarując się extrema pati a wiecéj trybutów nie dawać. Zawisłne powiaty województwa krakowskiego nie ruszyły się, bo kasztelan wojnicki Dębiński, jako mógł, utrzymował rzeczy, żeby potém tota moles pomsty (in quantumby się nie utrzymali) na jeden kraj od króla nie padła, ile że Sandomierzanie cicho siedzieli, a insze województwa tylko się nad swoją niewolą dziwiły płacząc i stękając. I zaprawdę była to bardzo słaba odwaga Podgórczanów, bo i kointelligencyi żadnych nie mieli z inszemi województwami, ani nadziei o kwarcianem wojsku, nawet ich województwo nie chciało z nimi iść w jeden sens; ale jednak dextera domini fecit virtutem, że z tak małych początków in immensum wyrosły rzeczy. Zaczem może cale polskie królestwo Podgórczanom województwa krakowskiego wieczne dzięki czynić, a osobliwie wiekopomnej sławy Wielogłowskiemu, który nieustraszonem sercem dał okazyę do wydzwignienia się z niewoli i restauracyi praw zdeptanych całej korony polskiej. (Str. 227 — i 228).



Biblioteka Główna UMK



300050099636

329195

534 927

Biblioteka Główna UMK



300050099636

Small white rectangular label on the spine with a blue mark.